

ÅSA LARSSON

**NAJLEPSZY
SZWEDZKI
KRYMINAŁ** | **2012**

Oficjalna Nagroda Szwedzkiej Akademii Kryminału



**W OFIERZE
MOLOCHOWI**



ÅSA LARSSON

W OFIERZE MOLOCHOWI

Przełożyła

Beata Walczak-Larsson

Tytuł oryginału:

Till offer åt Molok

Czytam Księgę Kapłańską. Rozjuszony Bóg recytuje ustanowione przez siebie prawa, wylicza kary za ich nieprzestrzeganie. Sroży się, grozi i pała gniewem. W rozdziale dwudziestym, pod nagłówkiem Kary za bałwochwalstwo, Pan mówi, że ten, kto da jedno ze swoich dzieci Molochowi, zostanie ukarany śmiercią, a miejscowi ludzie go ukamieniają. Bóg zwróci oblicze przeciwko takiemu człowiekowi i wyłączy go spośród swego ludu. Ciekawe, w jaki sposób, myślę, skoro już będzie ukamienowany. Jeżeli miejscowa ludność zasłoni oczy przed człowiekiem, który dał jedno ze swoich dzieci Molochowi, całą jego rodzinę dosięgnie gniew Boga.

Czytam o Molochu. Wygląda na to, że bożek ów może zapewnić bogactwo, obfite plony i pomyślność na wojnie. Któryż bóg nie obiecywał takich rzeczy? Zdarzało się, że poświęcano mu dzieci. Istniały miedziane statuy Molocha, puste w środku, z potężnymi ramionami. Statuę najpierw rozgrzewano do czerwoności, później zaś kładziono żywe dziecko w jej objęcia.

Myślałam o tym, pisząc tę książkę. O poświęcaniu dzieci dla szczęścia, ku chwale tego świata.

ŻE TEŻ PIES może tak krzyczeć. Samuel Johansson nigdy czegoś takiego nie słyszał.

Stoi w kuchni i smaruje kromkę chleba. Elkhund jest uwiązany na podwórzu. Panuje błogi spokój.

I nagle pies zaczyna szczekać. Najpierw ostro, popędliwie.

Na kogo tak ujada? W każdym razie nie na wiewiórkę, to pewne. Łoś? Nie, szczekanie na łosia jest bardziej stłumione i uporczywe.

Potem coś się dzieje. Pies krzyczy. Wyje, jakby otworzyła się brama piekieł. To odgłos, który wzbudza w Samuelu Johanssonie zimny strach.

A potem raptownie zapada cisza.

Samuel wybiega z domu. Bez kurtki. Bez butów. Bez rozsądnej myśli.

Potykać się w jesiennych ciemnościach, biegnie ku garażowi i psiej budzie.

A tam, w świetle lampy nad garażem, stoi niedźwiedź. Szarpie martwe ciało psa, chce je wziąć ze sobą, ale ono ciągle jest przywiązane do długiej liny. Niedźwiedź zwraca zakrwawiony pysk w stronę człowieka i wydaje potężny ryk.

Samuel robi chwiejny krok do tyłu. A potem wstępują w niego nieziemskie siły i biegnie tak szybko, jak nigdy wcześniej w życiu. Wraca do domu po strzelbę. Niedźwiedź nie rusza się z miejsca, ale Samuel czuje na karku jego gorący oddech.

Mokrymi rękami ładuje broń, otwiera ostrożnie drzwi. Musi zachować spokój. Musi trafić celnie. W przeciwnym razie sprawy mogą potoczyć się bardzo szybko. Ranne zwierzę rzuci się na niego w ciągu sekundy.

Skrada się w ciemności. Krok za krokiem. Włosy na karku najeżyły mu się jak igiełki.

Niedźwiedź stoi tam, gdzie stał. Pożera resztki psa. Podnosi wzrok, gdy słyszy odgłos odbezpieczanej broni.

Samuel nigdy tak się nie trząsł. Nie ma chwili do stracenia. Próbuje się uspokoić, ale to niemożliwe.

Niedźwiedź groźnie potrząsa głową. Bulgocze. Sapie jak miech. Rusza powoli do przodu. Wtedy pada strzał. Potworny huk. Zwierzę zwała się na ziemię, lecz momentalnie się podnosi. Po chwili znika w mroku.

Niedźwiedź rozplywa się w czarnym lesie. Lampa nad garażem nie daje dużo światła. Samuel się cofa. Kieruje strzelbą to tu, to tam. Cały czas nasłuchuje. Cholerne niedźwiedzisko w każdej chwili może skądś wyskoczyć. Widoczność jest ograniczona do jakiegoś metra. Jeszcze dwadzieścia kroków do drzwi. Serce wali młotem. Pięć kroków. Trzy. W domu.

Samuel drży. Cały się trzęsie. Musi położyć komórkę na kuchennym stole i objąć prawą ręką lewą, żeby wystukać odpowiednie cyfry. Łowczy odbiera po pierwszym sygnale. Umawiają się na spotkanie o brzasku. W ciemności nic nie można zdziałać.

O świcie na podwórzu Samuela zbierają się mężczyźni z wioski. Są dwa stopnie poniżej zera. Przymrozek ściał drzewa. Opadły liście. Jarzębiny czerwienią się w szarości poranka. W powietrzu coś wiruje. To taki śnieg, który nigdzie nie osiada.

Mężczyźni dokładnie przyglądają się potworności przy budzie. W zasadzie została tylko głowa, uwiązana na linie do biegania. I jakieś cholerne ochłapy.

To grupa twardzieli. Ubrani w kraciaste koszule, bojówki i zielone kurtki. Do pasów przytroczyli noże. Młodzi mają brody i kaszkiety. Najstarsi starannie się ogolili i włożyli na głowy skórzane czapki z nausznikami. To mężczyźni, którzy sami konstruują pojazdy do transportu ubitych łosi. Mężczyźni, którzy wolą samochody z gaźnikami, bo przy takich mogą majstrować, uniezależnieni od warsztatów naprawczych, gdzie do aut podłącza się teraz kable komputerowe.

– To było tak – podsumowuje łowczy, podczas gdy pozostali umieszczają pod wargami kolejne porcje snusu¹ i zerkają na Samuela, któremu trudno opanować nerwowe tiki twarzy. – Samuel usłyszał wycie psa. Wziął strzelbę i wyszedł z domu. Podejrzewał, że to może być niedźwiedź, bo przecież od jakiegoś czasu mamy takiego w okolicy.

Samuel potakuje.

– No więc tak. Wychodzisz ze strzelbą. Niedźwiedź pałaszuje psa i rusza do ataku. Strzelasz w obronie własnej. Zwierzę podeszło do ciebie. Nie wracałeś do domu po broń. Od początku miałeś ją ze sobą. Nic w tym dziwnego. Nikt cię nie oskarży o naruszenie prawa łowieckiego, prawda? Wczoraj wieczorem zadzwoniłem na policję. Od ręki wydali zezwolenie na odstrzał.

– Kto go dojdzie? – pyta ktoś.

– Patrik Mäkitalo.

Na tę wieść wszyscy popadają w zadumę.

Patrik Mäkitalo pochodzi z Luleå. Oczywiście dobrze by było, gdyby za niedźwiedziem poszedł ktoś z lokalnego koła łowieckiego. Ale nikt nie ma tak ciętego psa jak Patrik. A gdzieś w środku mężczyźni zastanawiają się, czy oni sami są wystarczająco cięci.

Niedźwiedź jest zraniony. A więc niebezpieczny. Tutaj potrzebny jest pies, który odważy się go osadzić. Który nie stchórzy i nie wróci do pana z depczącym mu po piętach drapieżnikiem.

Potrzebny jest też myśliwy, któremu nie zadrży ręka, kiedy „proszę państwa, oto miś” pojawi się w zaroślach. Wówczas nie ma sekundy do stracenia. Powierzchnia, do której się mierzy, by uśmiercić niedźwiedzia, jest nie większa niż dno garnka. Celuje się na stojąco, bez podpórki. To trochę jak strzelanie do przelatującej piłeczki tenisowej. Jeśli spudłujesz, nie masz gwarancji, że zdążysz oddać jeszcze jeden strzał. Polowanie na niedźwiedzia to nie jest zajęcie dla tych, którym trzęsą się ręce.

– O wilku mowa – odzywa się łowczy, śledzący oczyma szosę.

Patrik Mäkitalo wysiada z samochodu i pozdrawia zebranych skinieniem. Ma około trzydziestu pięciu lat. Wąskie oczy, bródka długa i wąska jak u kozy. Mongolski wojownik z prowincji Norrbotten.

Patrik nie mówi dużo, słucha łowczego, pyta Samuela o strzał. Gdzie stał on? Gdzie stał niedźwiedź? Jakiej amunicji użył?

– Oryxa.

– Świetnie – odpowiada. – Dobrze zachowuje masę. Przy odrobinie szczęścia przeszył tuszę na wylot. Krew ułatwi tropienie postrzałka.

– A czym ty strzelasz?

To któryś ze starszych odważył się zadać pytanie.

– Vulkanem. Najczęściej zatrzymuje się tuż pod skórą.

No jasne, myślą mężczyźni. Bo jego zwierzęta padają w ogniu. Nie musi ich tropić. Może się zatroszczyć o skórę niedźwiedzia.

Patrik odbezpiecza karabin i wchodzi do lasu. Wraca po chwili z krwią na palcach.

Podnosi klapę bagażnika. W klatce transportowej stoją dwa psy myśliwskie z jęzorami zwisającymi z uśmiechniętych pysków. Nie mają odwagi spojrzeć na kogoś innego niż ich pan.

Patrik prosi o mapę topograficzną. Łowczy przynosi ją ze swojego samochodu i rozkłada na masce.

– To się okaże, jaką wybrał drogę – mówi Mäkitalo. – Ale jeśli poszedł pod wiatr i przedarł się przez młodniak, jest ryzyko, że przeprawił się gdzieś tutaj.

Sunie palcem wzdłuż potoku wpływającego do rzeki Lainio.

– Zwłaszcza jeśli to jakiś starszy cwaniak, który zrozumiał, jak przechytrzyć psy. Przygotujcie łądź i bądźcie w pogotowiu, gdyby się okazało, że trzeba przejść przez wodę. Psom nie stanowi, że zmoczą sobie łapy, ale ich pan nie jest równie wytrzymały.

Wszyscy nieznacznie podciągają kąciki ust, już odrobinę zbratani wspólnym zadaniem.

Zebrawszy się w sobie, łowczy pyta:

– Chcesz wziąć kogoś ze sobą?

– Nie. Potropimy kawałek i zobaczymy. Jeśli ruszył w tym kierunku, w stronę mokradeł, to będziecie je musieli obejść i zająć tam stanowiska. Zobaczymy, dokąd uszedł.

– Chyba nietrudno go znaleźć; w każdym razie jeśli farbuje – odzywa się jeden z mężczyzn.

Patrik nie zaszczyca go nawet spojrzeniem, gdy odpowiada: – Hm, zazwyczaj po jakimś czasie przestają krwawić. A potem zaszywają się w gęstwinie, często zataczają łuk i podchodzą prześladowcę. Więc jeśli będę miał pecha, to nie ja jego, tylko on mnie znajdzie.

– Święta prawda, kurwa – potwierdza łowczy, ciskając z oczu błyskawice w stronę kolegi z niewyparzoną językiem.

Patrik Mäkitalo wypuszcza psy z klatki. Znikają jak dwie brązowe kreski z nosami przy ziemi. Rusza za nimi z GPS-em w ręce.

Tempo, tempo! Spogląda w niebo z nadzieją, że śnieg nie rozpada się na dobre.

Przemierza teren szybkim krokiem. Ożywia w pamięci spotkanych przed chwilą myśliwych. Tacy jak oni siedzą na stanowiskach, pociągają z flaszki, a potem zasypiają. Nigdy nie podołaliby takiemu marszowi. A tym bardziej

polowaniu.

Po drugiej stronie zwirowej drogi wznosi się piaszczyste zbocze. Widać, że niedźwiedź się po nim wspinał. Ciężko i na rozstawionych nogach. Mężczyzna przykłada dłoń do wyraźnych tropów.

Mieszkańcy Lainio już odczuwają niedźwiedzią gorączkę. Od jakiegoś czasu wiedzą, że zwierzę kręci się w pobliżu. Łajno obok przewróconego kubła na śmieci, parujące w porannym chłodziu, czerwone jak grysik z brusznicą i jagodami. Nieustające rozmowy o drapieżniku. Odkurzane stare historie.

Patrik przygląda się zadrapaniom w miejscach, gdzie niedźwiedź zapierał się łapami o darń, by wejść na skarpe. Pazury ostre jak noże. We wsi mierzą ślady. Kładą pudełko zapalek obok i fotografują komórkami.

Kobiety i maluchy nie wychodzą z domu. Nikt nie ma odwagi iść na jagody. Rodzice przyjeżdżają po dzieci samochodami, odbierają je z przystanku szkolnego autobusu.

To bez wątplenia spory gagatek, stwierdza Patrik, studiując tropy. Stary mięsożerca. Dlatego rzucił się na psa.

Przed nim wysoki sosnowy las. Teren łatwy i płaski. Kolumnada drzew, proste pnie, żadnych gałęzi i tylko szumiące w górze korony. Mech, chrzęszczący latem pod stopami, teraz jest mokry, miękki i bezgłośny.

To dobrze, myśli Patrik. Cicho i dobrze.

Przecina podmokłą łąkę. Stara stodoła zapadła się na środku. Wokół leżą zmurszałe resztki dachu. Mróz nie ściał jeszcze wystarczająco podłoża. Mężczyzna brnie przez mokradła, już solidnie spocony. Wokół unosi się woń błota i żelazistej wody.

Ślady nagle skręcają. Wiodą ku zaroślom, w kierunku Vaikkojoki.

Gdzieś w oddali, w szarości poranka, nawołują skrzekliwie kruki. Roślinność gęstnieje. Drzewa karłowacieją. Walczą o przestrzeń. Cherlawe sosny. Nędzne, poszarpane choiny świerków. Mizerne brzoźki z resztkami listowia, żółcącego się na tle przygaszonej zieleni i siwizny. Widoczność maleje do pięciu metrów. A może jeszcze bardziej.

Patrik dochodzi do potoku. Chwilami musi odgarniać gałęzie. Widzi teraz na odległość kilku metrów.

I wtedy odzywają się psy; dają głos trzy razy. Potem zalega cisza. Ich właściciel rozumie, co to znaczy. Wypłoszyły niedźwiedzia z łoża. Poczuli ostry zapach i dały znać.

Po dwudziestu minutach znów zaczynają szczekać. Tym razem uporczywie. Dogoniły postrzałka. Patrik zerka na GPS. Półtora kilometra. Oszczekują go i biegną za nim. Tempo, tempo! Jeszcze nie ma się co podniecać. Pozostaje mieć nadzieję, że młoda nie podejdzie za blisko. Jest trochę narwana. Starsza suka pracuje spokojniej. Potrafi oszcekać zwierzynę na bezpieczną odległość. Rzadko podchodzi bliżej niż na trzy metry. Teraz z pewnością zachowuje cztero-, pięciometrowy dystans. Ranny kudłacz łatwo traci cierpliwość.

Po półgodzinie słychać charakterystyczny oszczek. Psy osadziły postrzałka. Razem z nim stoją w miejscu.

No jasne. W najgorszej gęstwinie. Suche gałęzie i dziadostwo, zero widoczności. Patrik nie ustaje w marszu, zostało mu około dwustu metrów.

Ma boczny wiatr. Nie szkodzi; niedźwiedź nie powinien go zwietrzyć. Odbezpiecza broń. Idzie przed siebie. Serce mu wali.

W porządku, myśli. Wyciera dłoń o spodnie. Polowaniu zawsze towarzyszy dawka adrenaliny.

Jeszcze tylko pięćdziesiąt metrów. Mruży oczy, próbuje coś zobaczyć w gęstwinie gałęzi. Suki mają na sobie kamizelki, seledynowe po jednej stronie i jaskrawopomarańczowe po drugiej. Żeby odróżnić je od niedźwiedzia, kiedy nadejdzie odpowiedni moment, żeby wiedzieć, w którym kierunku są zwrócone.

W oddali miga coś pomarańczowego. Która to z nich? Nie sposób dojrzeć. Niedźwiedź powinien być między nimi. Patrik wypatruje oczy. Tak cicho, jak tylko się da, idzie bokiem. Gotów do strzału, ładowania, kolejnego strzału.

Wiatr zmienia kierunek. Ukazuje się druga suka. Stoją oddalone od siebie o dziesięć metrów. Gdzieś tam powinien być niedźwiedź. Ciągłe niewidoczny. Patrik musi podejść bliżej. Czuje powiew wiatru na karku, trochę z boku. Niedobrze. Unosi fuzję.

Widzi kudłacza. Dziesięć metrów. Za daleko na dobry strzał. Za dużo drzew i zarośli. Niedźwiedź się podnosi. Poczł woń człowieka.

Rusza przed siebie. Wszystko dzieje się błyskawicznie. Zaledwie jeden oddech i zwierzę jest już w połowie drogi. Trzask łamanych gałęzi.

Pierwszy strzał spycha niedźwiedzia na bok, ale ten nie przerywa biegu. Drugi strzał jest perfekcyjny. Drapieżnik zwala się na ziemię trzy metry przed Patrikiem.

Momentalnie dopadają go psy. Targają za uszy. Kąsają kudły. Wolno im. To ich nagroda.

Serce tłucze się jak otwarte drzwi na wietrze. Patrik chwyta oddech między pochwałami dla psów. „Dobrze!” „Dzielna dziewczyna!” „Zuch z ciebie!”

Wyciąga telefon. Dzwoni do łowczego.

Mało brakowało. O mały włos... Przez głowę przemyka mu myśl o synku i narzeczonej. Myśl, którą szybko od siebie odsuwa. Spogląda na niedźwiedzia. Jest ogromny. Prawie czarny.

Członkowie koła łowieckiego przybywają na miejsce. W powietrzu czuć chłód jesieni, szorstkiego niedźwiedzia i głęboki respekt. Myśliwi obwiązują zwierzę parcianymi taśmami, tworzą z ich końcówek kilka uprzęży i wspólnymi siłami wywlekają ciało z lasu. Składają je bliżej drogi, na polanie, do której może dotrzeć czterokołowiec. Harują jak woły. Ciężki kawał drania, mówią.

Po jakimś czasie przybywa też kontroler z *länsstyrelsen*². Przeprowadza inspekcję miejsca zestrzału, by się przekonać, czy nie złamano zakazu wykładania przynęty. Podczas gdy myśliwi odpoczywają, pobiera wszystkie niezbędne próbki. Wycina kępkę sierści i fragment skóry, odcina jądra i pomagając sobie nożem, wydłubuje ząb, potrzebny do określenia wieku zwierzęcia.

Na końcu rozcina brzuch.

– Sprawdzimy, co miś ostatnio jadł? – pyta.

Psy, uwiązane przy drzewie, skomlą żałośnie i szarpiają się na linach. To przecież ich niedźwiedź!

Nad zawartością żołądka unosi się para. I cholerny odór.

Kilku mężczyzn bezwiednie się cofa. Wiedzą, co jest w środku. Resztki Elkhunda Samuela Johanssona. Kontroler też wie.

– Aha – mówi. – Jagody i mięso. Sierść i skóra. Kiedy tak miesza patykiem w bezkształtnej mazi, nagle opadają mu kąciki ust, mina rzednie.

– Ależ to, kurde, nie jest...

Milknie. Prawą ręką, odzianą w plastikową rękawiczkę, podnosi kilka kostek.

– A cóż on, kurwa, połknął? – mamrocze, grzebiąc jeszcze chwilę patykiem.

Mężczyźni podchodzą bliżej. Drapią się po głowach, daszki czapek zsuwają im się na czoła. Ktoś wyciąga okulary.

Kontroler wstaje. Gwałtownie. Cofa się. W palcach trzyma niewielką kość.

– Wiecie, co to jest? – pyta.

Twarz mu poszarzała. Wyraz jego oczu sprawia, że pozostałym przechodzą ciarki po plecach. Zapada cisza. Żadnego wiatru. Żadnego ptaka. Las milknie. Jak gdyby nie chciał wyjawiać tajemnicy.

– W każdym razie to nie jest pies. Tyle mogę powiedzieć.

NIEDZIELA, 23 PAŹDZIERNIKA

JESIENNA RZEKA CIĄGLE JESZCZE rozmawiała z nią o śmierci. Ale w inny sposób. Dawniej była czarna. Mówiła: Możesz z tym skończyć. Możesz wejść na cienki lód i biec po nim tak długo, aż się pod tobą załamie. Teraz zapewniała: Dziewczyno ty moja, jesteś tylko mgnieniem. To przynosiło pociechę.

Prokuratorka Rebeka Martinsson od jakiegoś czasu spała spokojnie o wilczej godzinie. Nie budziła się opanowana trwogą. Lęk jej nie kłuł, nie grzebał w środku, nie rozdrapywał duszy. Nie pociła się, nie czuła kołatania serca.

Nie wystawała w toalecie, wpatrzona w czarne źrenice, chcąc obciąć sobie włosy albo coś podpalić, najlepiej siebie samą.

Dobrze jest, mówiła. Do samej siebie albo do rzeki. Czasami do kogoś innego, jeśli ów ktoś miał odwagę zapytać.

Dobrze było. Radzić sobie z pracą. Sprzątać dom. Nie czuć suchości w ustach i zapomnieć o wysypce spowodowanej lekami. Spać po nocach.

Czasami nawet się śmiała. Podczas gdy rzeka płynęła, tak jak płynęła od pokoleń, na długo przed pojawieniem się Rebeki, i tak jak będzie płynęła po jej śmierci.

To wszystko było jej dane tylko teraz, w przebłysku życia. Tylko teraz mogła się śmiać i dbać o porządek w domu, radzić sobie z pracą i – siedząc w słońcu – palić papierosa na ganku. Później przez bardzo długi czas będzie nicością.

Czyż nie? – zapytała rzeka.

Rebeka lubiła porządek. Lubiła utrzymywać dom w niezmienionym stanie, jak za życia babci. Spała w alkowie na wysuwanej sofie powleczonej pokostem. Na podłodze leżały utkane przez babcię gałgankowe dywaniki. Na ścianie wisiały tace, zebrane w ozdobnych wieszakach z ręcznie haftowanej taśmy.

Stół z opuszczanym blatem oraz krzesła były pomalowane na niebiesko i wyświecone wszędzie tam, gdzie spoczywały ręce, gdzie opierały się stopy. Na prostej półce cisnęły się *Postylla* Laestadiusa, zbiór psalmów i stare numery kolorowych czasopism sprzed trzydziestu lat. W szafach na pościel spoczywały wymaglowane, podniszczone prześcieradła.

Na stopach Rebeki smacznie spał Jasko. Policjant Krister Eriksson podarował jej szczeniaka półtora roku temu. Urodziwy wilczur był już prawie dorosłym chłopcem, przynajmniej tak mu się wydawało. Sikając, podnosił nogę tak wysoko, że niemal tracił równowagę. Śnił o tym, że jest królem Kurravaary.

Łapami psa wstrząsały dreszcze, kiedy we śnie dopadał gryzonie, które za dnia kusiły go swą wonią, ale które nigdy nie pozwalały się schwytać. Ujadał i kłapał lekko pyskiem, kiedy śnił o tym, jak z gruchotem miazdzy im grzbiety. Może śniły mu się też okoliczne suczki. Odpowiadały na jego piękne listy miłosne, które codziennie pisał moczem na każdym źdźble trawy.

Ale gdy król Kurravaary się budził, nikt nie nazywał go inaczej niż Smarkacz. I żadne suczki nie były nim zainteresowane.

Drugi pies Rebeki nigdy nie leżał na łóżku. Nie przesiadywał u niej na kolanach jak Smarkacz. Kundlica Vera pozwalała się czasami pogłaskać, ale dłuższe pieszczoty nie wchodziły w rachubę.

Sypiała pod stołem w kuchni. Była w nieokreślonym wieku i nieokreślonej rasy. Dawniej mieszkała w głębi lasu. Jej pan był odludkiem, który przyrządzał olejek przeciw komarom i latem chodził nago. Kiedy padł ofiarą morderstwa, Rebeka zaopiekowała się Verą. Nie potrafiła pogodzić się z myślą, że alternatywą jest uspienie zwierzęcia. Suka pojechała więc z nią do domu. I już tu została.

W każdym razie w pewnym sensie. Vera była bowiem istotą, która przychodziła i odchodziła wedle własnego uznania. Która zmuszała Rebeke do poszukiwań, kiedy udało jej się czmychnąć wzdłuż wiejskiej drogi albo przeciąć zagon ziemniaków i popędzić w stronę szop na łodzie.

– Że też masz odwagę puszczać ją samopas! – mawiał Sivving, sąsiad Rebeki. – Wiesz, jacy są ludzie. Ktoś ją w końcu zastrzeli.

Ocal ją, modliła się wtedy Rebeka do Boga, któremu chwilami ufała. A jeśli nie możesz tego uczynić, oszczędź jej cierpienia. Bo powstrzymać jej nie potrafię. Ona nigdy nie była moja.

Kiedy spała, nie drgały jej łapy. Nie ulegała we śnie złudnym woniom. To, o czym śnił Smarkacz, ona robiła na jawie. Zimą nasłuchiwała znajomych szmerów, zanurzała pysk w śniegu i chwytiała nornice w zęby, jak lis. Albo brała rozpęd i rozgniatała je przednimi łapami. Latem wygrzebywała z norek nagie myszki i połykała je na miejscu. Nie gardziła końskim łajnem z pastwisk. Wiedziała, których gospodarstw i ogrodów powinna unikać. Przemykała obok nich skulona. Wiedziała też, gdzie poczęstują ją słodką drożdżówką i zrzywkami z renifera.

Czasami nagle się zatrzymywała, wpatrzona w jakiś punkt na północnym wschodzie. Rebeka dostawała wtedy gęziej skórki. Bo tam stał dawny dom Very, za rzeką, niedaleko jeziora Vittangijärvi.

– Tęsknisz za nim? – pytała wówczas.

I była wdzięczna, że słyszy ją tylko rzeka.

Vera się obudziła. Usiadła na podłodze u wezglowia i nie spuszczała ślepi ze swojej pani. Kiedy Rebeka podniosła powieki, zobaczyła sukę, która zachęcająco tłukła ogonem o podłogę.

– No, chyba żartujesz – jęknęła. – Jest niedziela rano. Jeszcze śpię.

Naciągnęła kołdrę na głowę. Vera położyła łeb na skraju łóżka.

– Spadaj! – rozkazała Rebeka spod przykrycia, choć wiedziała, że już za późno, że nie uda jej się ponownie zasnąć.

– Chcesz siku?

Na słowo „siku” Vera zazwyczaj stawała przy drzwiach. Ale nie tym razem.

– Czy to Krister? – spytała Rebeka. – Jedzie do nas Krister?

Można było odnieść wrażenie, że suka czuje, kiedy Krister wsiada do samochodu piętnaście kilometrów dalej, w mieście.

W odpowiedzi na ostatnie pytanie Vera położyła się pod drzwiami.

Rebeka ściągnęła ubrania z krzesła obok i poleżała na nich chwilę, zanim – ciągle pod kołdrą – zaczęła je na siebie wciągać. Dom był wyziębiony po nocy; nie miała ochoty na rześkie powietrze i lodowatą bieliznę.

Po chwili obydwie psy cisnęły się przed Rebeką siedzącą na sedesie. Smarkacz położył głowę na jej kolanach, chcąc wykorzystać każdą okazję do pieszczot.

– Pora na śniadanie – oznajmiła pani, wyciągając rękę po papier toaletowy.

Zwierzęta popędziły do kuchni. Przy miskach uświadomiły sobie jednak, że przewodniczka stada została w toalecie, i gwałtownie zawróciły. Rebeka zdążyła się podtrzeć i wcisnąć guzik spłuczki; myła pospiesznie ręce w zimnej wodzie.

Po śniadaniu Smarkacz wrócił do łózkowego ciepła.

Vera położyła się przy drzwiach w sieni na gałgankowym dywaniku, wcisnęła wąski nos między łapy i wydała z siebie tęskne westchnienie.

Dziesięć minut później dał się słyszeć warkot samochodu wjeżdżającego na podwórze.

Smarkacz wyskoczył z łóżka tak gwałtownie, że kołdra zawirowała w powietrzu. Wpadł pod stół, zahaczył o Rebekę, dopadł do drzwi, a potem powtórzył wszystko jeszcze raz. Ślizgając się na powleczonych pokostem deskach, poprzesuwał i pomarszczył gałgankowe dywaniki, przewracał krzesła.

Vera się podniosła i cierpliwie czekała. Też chciała wyjść na dwór. Machała radośnie ogonem, ale nieprzesadnie.

– Nie wiem, o co wam chodzi – powiedziała Rebeka, udając, że nie rozumie.
– Musicie się wyrażać trochę jaśniej.

Smarkacz zaskomlał śpiewnie, popatrzył wymownie na drzwi, podbiegł do nich i zawrócił.

A pani szła do wyjścia, wcale się nie spiesząc. W zwolnionym tempie. Nie spuszczać oczu ze Smarkacza, który aż się trząsł z podniecenia. Vera przysiadła. Jeżeli tak... Wtedy Rebeka przekręciła klucz i otworzyła drzwi. Psy rzuciły się w dół po schodach.

– Ach, więc o to wam chodziło! – Roześmiała się.

Policjant i przewodnik psów, Krister Eriksson, zaparkował przed domem Rebeki. Już z daleka dojrzał światło w oknie kuchennym na piętrze. Serce podskoczyło mu radośnie.

Właśnie gdy otwierał drzwi samochodu, z mieszkania wybiegły zwierzaki.

Najpierw Vera, kołysząc zadem. Z przyjaźnie wygiętym grzbietem.

Psy Kristera, Tintin i Roy, to ciężko pracujące, dorodne, zdyscyplinowane i rasowe owczarki niemieckie. Mówiło się o nich w policji, ale też na mieście. Smarkacz Rebeki był synem Tintin. Zapowiadał się na pięknego wilczura.

W środku tej grupy powsinoga Vera. Chuda jak patyk. Jedno ucho stało na baczność, drugie było lekko załamane. Wokół oka miała czarną łatkę.

Na początku Krister próbował ją wychować. „Siad”, mówił. Patrzyła mu w oczy, przechylała głowę: „Gdybym tylko mogła zrozumieć, o co ci chodzi. Ale jeśli nie masz zamiaru zjeść tej wątrobianej chrupki, to...”.

Był przyzwyczajony do tego, że psy go słuchają. A jej nie potrafił nawet przekupić.

– Cześć, włóczykiju! – powiedział na powitanie, tarmosząc jej miękkie uszy i gładząc smukłą głowę. – Jak to możliwe, że jesteś taka chuda, choć cały czas jesz?

Suka przystała na krótkie pieszczoty, ale zaraz ustąpiła miejsca Smarkaczowi. Ten wpadł jak szalony między nogi Kristera i zrobił parę ósemek. Nieustannie w ruchu, nie dał się nawet pogłaskać, potem położył się na znak całkowitego poddania, by momentalnie się podnieść i na przednich łapach parę razy przyskoczyć do Kristera. Po chwili znów leżał na plecach, jeszcze raz zatoczył kółko, odbiegł i wrócił z szyszką, którą mogliby się pobawić. Upuścił ją przed stopami mężczyzny, polizał go po ręce, a w końcu położył się obok i szeroko ziewnął, jakby wypuszczając emocje, których po prostu zebrało się zbyt dużo.

Na ganku pojawiła się Rebeka. Piękna, piękna. Krister patrzył na jej skrzyżowane ręce, skulone ramiona, niewielkie piersi zarysowane pod wojskowym podkoszulkiem. Długie ciemne włosy, ciągle jeszcze sennie zmierzwione.

– Cześć! – zawołał. – Wspaniale, że jesteś na nogach o tak wczesnej godzinie.

– Na nogach jak na nogach, kurza dupa! – odkrzyknęła. – To ta psica. Musicie chyba być w zmowie. Budzi mnie, kiedy czuje, że do nas jedziesz.

Roześmiał się. Radość i ból, ręka w rękę. Ona ma chłopaka. Adwokata w Sztokholmie.

Ale to ja chodzę z nią po lesie, pomyślał. To ja odśnieżam jej podwórze i opiekuję się psami. Kiedy jedzie do niego, jasne. Ale to bez znaczenia.

Biorę to, co dostaję, powtarzał jak mantrę. Biorę to, co dostaję.

Dobrze, dziewczyno, wymamrotał do Very. Budź ją. A tego adwokata możesz kiedyś ugryźć w nogę.

Rebeka popatrzyła na Kristera i z lekkim zdziwieniem potrząsnęła głową. Nie żeby kiedyś otwarcie wyznał, że jest w niej zakochany. Nigdy się też nie narzucał. Ale pozwalał sobie na długie i wnikliwe spojrzenia. Czasami przyglądał jej się z uśmiechem, jak gdyby była cudem. Przyjeżdżał do niej bez uprzedzenia i wyciągał ją do lasu. Oczywiście jeśli nie było u niej Månsa. Podczas jego wizyt trzymał się od Rebeki z daleka.

Måns nie przepadał za Kristerem Erikssonem.

– Wygląda jak kosmita – mawiał.

– Owszem – odpowiadała.

Bo to prawda. Ciężkie poparzenie w młodości zdeformowało jego twarz. Brakowało mu uszu, a w miejscu nosa znajdowały się tylko dwa otwory. Skóra przypominała suchą mapę w różnych odcieniach różu i brązu.

Ale ma zgrabną i wysportowaną sylwetkę, pomyślała Rebeka, patrząc, jak Smarkacz liże mu twarz. Psy wiedzą, jaka jest ta skóra w dotyku.

– Tak gwoli informacji – powiedziała, łagodnie się uśmiechając – całe wczorajsze popołudnie spędził na kupie gnoju u Larssona, gdzie rozdrapywał krowie placki i wyjadał z nich białe robale.

– Fuj! – wykrzyknął Krister i zaciskając usta, próbował odepchnąć od siebie młodego wilczura.

Vera podniosła głowę, spojrzała w stronę szosy i zaszczekała.

Psy Kristera zawtórowały jej z samochodu. Już od dłuższego czasu wszyscy, oprócz wilczurów, świetnie się bawili.

Sekundę później przy skrzynkach pocztowych pojawił się sąsiad Rebeki, Sivving.

– Halo! – zawołał. – Cześć, Krister, usłyszałem samochód i tak pomyślałem, że to ty.

– O Jezu – wymamrotała Rebeka. – Jeszcze niedawno zapowiadało się na spokojny niedzielny poranek.

Vera ruszyła przed siebie, żeby przywitać się z Sivvingiem. On spieszył się, jak mógł, ale nie szło mu zbyt dobrze. Lewa strona ciała nie nadążała za prawą. Stopa zostawała w tyle, ramię zwisało ciężko wzdłuż tułowia.

Rebeka patrzyła na Verę, która ściągnęła sąsiadowi rękawicę i zatoczyła

wokół niego koło tak wolno, by zdążył jej tę rękawicę odebrać.

– Cholerne psisko! – usłyszała, jak przemówił do suki z czułością w głosie.

Ze mną nigdy się nie bawi, przeleciało jej przez myśl.

Sivving dotarł na miejsce. Ciągłe jeszcze był roslym mężczyzną. Wysokim. Z zaokrąglonym, budzącym szacunek bandziochem, z miękką, białą kulą włosów, jak u dmuchawca.

– Czy moglibyśmy pojechać do Sol Britt Uusitalo? – spytał bez ogródek. – Obiecałem sprawdzić, co się z nią dzieje. Zadzwonili z jej pracy, bo się niepokoją. Mieszka pod Lehtiniemi.

Rebeka zazgrzytała bezgłośnie zębami.

Zawsze wynajdzie mi jakieś zajęcie, pomyślała. Obiecuje komuś, a potem przychodzi tutaj, mimo że jest niedziela i wczesny ranek.

Krister zdążył już otworzyć drzwi po stronie pasażera.

– Wskakuj do środka – powiedział i przesunął fotel do tyłu, żeby ułatwić starcowi wsiadanie.

Ale przecież to dobry człowiek, przyznała Rebeka w duchu. Dobry i troskliwy. Poczwała wyrzuty sumienia.

– Ann Helen Alajärvi, wiesz, córka Gösty Asplunda – kontynuował Sivving, walcząc z pasem bezpieczeństwa przeciągniętym przez wydatny brzuch. – Razem z Sol Britt obsługuje bufet śniadaniowy w hotelu Vinterpalatset. Zadzwońska, bardzo zaniepokojona. Sol Britt powinna być w pracy o szóstej rano. Obiecałem, że pojadę i sprawdzę. I tak miałem wyjść z Bellą. Ale wtedy zobaczyłem samochód Kristera. Dobrze, żebyśmy pojechali wszyscy razem. Gdyby trzeba było wyważyć drzwi.

Spojrzał na nich z zadowoleniem. Prokuratorka i policjant.

– To nie jest takie proste – odparła Rebeka.

– Jest, jest – zaoponował Krister ze śmiechem. – Rebeka wchodzi na dach i wślizguje się przez okno, a ja taranuję drzwi.

Ruszyli w stronę Lehtiniemi.

– Czy Sol Britt to twoja znajoma? – spytał policjant.

Rebeka siedziała z tyłu z Verą i Bellą, wyzlicą sąsiada. Smarkacz dzielił kłatkę transportową z psami Kristera.

Cały samochód było czuć psami. Bella cierpiała na chorobę lokomocyjną i z

pyska zwisały jej długie nitki śliny.

– Nie, nie do końca znajoma – odparł Sivving. – Mieszka trochę na uboczu. Znacznie ode mnie młodsza. Ale zawsze tu mieszkała, no, więc kiedy się widzimy, mówimy sobie „dzień dobry”. Parę lat temu miała problemy z alkoholem. Wtedy nikogo nie dziwiło, że czasami nie zjawia się w pracy. Koleżanki i koledzy wiedzieli. Kiedyś zapukała do mnie, chciała pożyczyć trochę pieniędzy. Nie pożyczyłem, ale zaproponowałem obiad. Odmówiła. Mniejsza z tym. Trzy lata temu zmarł jej syn, potrącony przez samochód. Miał trzydzieści pięć lat, pracował w warsztacie przy Hotelu Lodowym w Jukkasjärvi; w młodości obiecujący narciarz, wygrał mistrzostwa juniorów w okręgu, kiedy miał siedemnaście lat. Osierocił syna. Mały miał wtedy cztery, może pięć lat. Jakżeż on ma...

Sivving zamilkł i poruszył gwałtownie głową, jak gdyby chciał z niej wytrząsnąć imię chłopca. Nie można przecież snuć opowieści, nie znając imion i nazwisk.

O Boże, jaki z niego gaduła, pomyślała Rebeka, wyglądając przez okno.

W końcu sobie przypomniał.

– Marcus! To zresztą osobna historia. Jego matka dawno temu przeprowadziła się do Sztokholmu. Ma nowego faceta i dwójkę dzieci. Szybko im to poszło. Wyjechała stąd, gdy Marcus skończył rok. Od razu zamieszkała z tym nowym i sprawili sobie młode. Pierworodnym zaś nie była szczególnie zainteresowana. Sol Britt się wściekała. Chociaż z drugiej strony cieszyła się, że wnuczek zamieszka u niej. To był jakby początek zmian w jej życiu. Zaczęła chodzić na spotkania anonimowych alkoholików i przestała pić. Kiedy rano zadzwoniła Ann Helen, zapytałem ją, czy nie sądzi, że Sol Britt znów wpadła w nałóg. „Nigdy w życiu!”, powiedziała. No, więc musimy w to wierzyć. Mogło się przydarzyć mnóstwo innych rzeczy. Wystarczy, że człowiek się potknie na dywanie i uderzy głową o kant stołu. A później minie kilka dni, zanim go znajdą.

Rebeka ugryzła się w język, by nie wypalić: „Zaglądam do ciebie co najmniej raz dziennie!”. W lusterku wstecznym zobaczyła przelotne spojrzenie Kristera.

– A jak tam moroszka w tym roku? Udała się? – policjant zmienił temat rozmowy.

– Nie za bardzo. W tym sezonie nikt dużo nie ubliczał. Za mało było insektów. Zazwyczaj przeczesuję mokradła za Rensjön. Tam moroszka rośnie zawsze. Ale nie w tym roku. Pochodziłem parę godzin i nawet nie przykryłem

dna wiaderka. Trochę dalej wzdłuż jeziora ciągnie się wąski pas brzeziny. Byłem tam trzy, cztery lata temu; moroszka wtedy obrodziła, pomyślałem więc, że na pewno coś znajdę, a tam ani jednej maliny! No, ale w tym roku, chociaż ich wszędzie jak na lekarstwo, postanowiłem tam mimo wszystko zajrzeć. I słuchajcie, zatrzęsienie! Pomarańczowy kobierzec. Jakieś piętnaście na sto metrów. Zbierałem dwie godziny i wróciłem do domu z siedmioma, ósmioma litrami. No, ale to wszystko.

– Wow! – wykrzyknął policjant.

Rebeka odpłynęła gdzieś myślami. Jak dobrze, że Krister jest pogodny i okazuje zainteresowanie. Sąsiad może się więc nagadać do woli. W każdym razie bardziej niż psy, z którymi policjant chodzi na spacer.

– No, chociaż teraz nie jest mi łatwo ze względu na ramię... – mówił dalej Sivving. – Ale dawniej to dopiero! Jak razem z Maj Lis zbieraliśmy jagody w Pauranki... Kiedy to mogło być? W dziewięćdziesiątym piątym? Przez osiem godzin zebrałem sto czterdzieści pięć litrów! Rosły wszędzie. Na skraju torfowisk, w lesie, na porębach. Krzewinki ugięły się pod ich ciężarem, człowiek najpierw widział tylko zielone, trzeba było podnieść krzaczek, żeby zacząć zbierać. Ogromne owoce. Dojrzałe i słodkie. To tutaj! Nie musisz wjeżdżać na podwórze. Zatrzymaj się na poboczu.

Nareszcie, pomyślała Rebeka.

Sivving wskazał ręką dom przy drodze. Piętrowy, drewniany. Pomalowany na żółto. Wybudowany prawdopodobnie w pierwszej połowie ubiegłego wieku. Żelazny balkon od frontu był w tak opłakanym stanie, że chyba nikt nie miał odwagi nań wychodzić. Brakowało ganku. Do drzwi wejściowych prowadziły dwie drewniane kratownice, położone jedna na drugiej. Stary ganek widocznie kiedyś rozebrano, a do budowy nowego nigdy nie doszło. Wokół nie zielenił się żaden trawnik. Dom stał na zwiewnej łące, typowej dla tutejszych piaszczystych gleb. Stojące na środku podwórza zegar słoneczny i odrapany maszt flagowy sprawiały wrażenie zagubionych. Sztywne poszwy i poszewki na suszarce ogrodowej przypominały o tym, że nadeszły nocne przymrozki.

– Zastanawiam się, czy to nie było w tym samym roku, kiedy zebrałem tak dużo żurawin – kontynuował niezłomnie Sivving, któremu na wspomnienie jagodowych przygód wyraźnie poprawił się humor. – W każdym razie późną jesienią. Zaczynałem dopiero koło południa, bo rano owoce były przymarznione do podłoża.

Rebeka poruszyła się na tylnym siedzeniu. Gdyby w końcu wysiadł i

sprawdził, co z tą Sol Britt, może nareszcie poszliby na spacer do lasu.

Tylko że on musi dokończyć opowieść. Pozwól mu dokończyć, upomniała się bezgłośnie Rebeka.

– W ciągu jednego dnia zebrałem dwadzieścia cztery litry. Dwa z nich podarowałem siostrze Maj Lis, która mieszka w Pajali. Akurat miała u siebie krewnych z Finlandii, poszli do lasu i wrócili z pięcioma litrami. Strasznie zadowoleni. A wtedy Gunsan powiedziała: „Znam takiego, co zebrał dwadzieścia cztery litry”. *Sitä ei voi*, odparli. „To niemożliwe”. Na to Gunsan: „Dla niego to możliwe!”.

Sivving przerwał i spojrzął na dom. Zapadła cisza.

– No, to pójde i zobaczę – odezwał się. – Poczekacie, prawda?

SIVVING OTWORZYŁ DRZWI bez pukania, zgodnie z wiejskim zwyczajem.

– Halo! – zawołał.

Żadnej odpowiedzi.

Prosto z sieni wchodziło się do kuchni. Czystej i schludnej. Zlew z nierdzewnej stali błyszczał z daleka. Na serwetce obok stał pusty wazon. Suszarka do naczyń była opróżniona. Białe kafelki ozdobiono naklejkami; motyw z czterema owocami na przemian z obfitym kwieciami w żółci i brązie.

Starzec zatrzymał się na moment. Myślami powrócił do żony. Ona też nigdy nie zostawiła na suszarce nawet szklaneczki. Wszystko musiało być porządnie sprzątnięte. Wytarte do sucha i wstawione do szafki.

Przypomniał sobie te chwile, kiedy sam zmywał. Nieważne, jak bardzo się starał. Zawsze chodziła za nim ze ścierką i poprawiała.

Bez Maj Lis to nie to samo, pomyślał.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że ona może umrzeć wcześniej. Byli przecież w tym samym wieku. Wszystkie pieprzone badania wykazują, że kobiety żyją dłużej od mężczyzn. Dlaczego właśnie oni byli wyjątkiem?

Po jej śmierci prasował serwetki i układał kwiaty w wazonach. Wrzos, dziki rozmaryn, pełniki. Tylko że to nie pomagało. Nie pomagały też nawet najbardziej gruntowne porządki. Dom przestał żyć. Jakby nie chciał.

Sivving nie potrafił go sprzedać. Ale nie umiał też w tej pustce mieszkać. Przeprowadzka do kotłowni w piwnicy okazała się najlepszym rozwiązaniem.

Mniej sprzątanina, wyjaśniał tym, którzy się dziwili. Jak inaczej mógłby wytłumaczyć to wszystko ludziom, którzy tego nie rozumieją?

Teraz rozglądał się po kuchni Sol Britt Uusitalo. Zasłonki podwiązane wstążkami. Bibeloty i mnóstwo kwiatów na parapetach.

Wszystkie dolne szafki były pootwierane.

Dziwne, uświadomił sobie. Od razu zaczął to sobie tłumaczyć. Może usłyszała chrobotanie i próbowała zlokalizować mysz? A może czegoś szukała? Płynu do mycia, który gdzieś się zapodział? Albo...?

Drzwi do sypialni były uchylone. Nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. Powinien wejść do środka?

– Halo! – zawołał ponownie. – Sol Britt!

Zawahał się. Wejść tak po prostu, bez zaproszenia, do kobiecej sypialni? A może Sol Britt leży tam pijana?

Pijana, półnaga, nieprzytomna. Nie znał jej i nawet jeśli Ann Helen zapewniała, że powrót do nałogu nie wchodzi w grę, to...

Poczuł się nieswojo. Lepiej, żeby tu weszła Rebeka. Jest przecież kobietą.

Rebeka i Krister wysiedli z samochodu. Psy były spokojne. Już wkrótce wybiegają się do woli w lesie.

Krister wyciągnął z kieszeni pudełko ze snusem. Ugniótł w palcach porcję i wsunął ją pod górną wargę.

W oczach Rebeki dostrzegł cień obrzydzenia.

– Wiem – powiedział.

– Używaj sobie – uśmiechnęła się. – To po prostu nie moja bajka. Spróbowałam tylko raz i nie wiem, czy kiedykolwiek miałam większe nudności.

Mężczyzna schował pudełko do kieszeni. Po chwili znów je wyjął.

– Skończę z tym – oznajmił.

– Dlaczego?

Spuścił wzrok.

Rebeka umilkła i też pospiesznie wbiła wzrok w ziemię.

Krister z uśmiechem wskazał na wargę i powiedziawszy: „To mój ostatni snus”, cisnął pudełko w las.

Sivving wyszedł z domu.

– Nie ma jej w kuchni – zawołał i obejrzał się przez ramię. – Nie chcę wchodzić do sypialni. Bo może tam po prostu śpi. I nagle wyrośnie przed nią facet. To dość niezręczna sytuacja, no nie? Uważacie, że powinienem wejść?

– Stoi tu jej samochód – powiedziała Rebeka do Kristera.

Spojrzeli po sobie. Czasami ludzie umierają we śnie. Zdarza się to nawet dość często.

Tintin zaszczekała głośno i zaczęła drapać w pręty klatki.

– E, wejdę i zobaczę – postanowiła Rebeka.

Krister chwycił ją za ramię.

– Poczekaj! – poprosił, patrząc na Tintin.

Suka stała wyprostowana w klatce. Poruszała rytmicznie nozdrzami. Szczeknęła jeszcze raz i znów zaczęła drapać.

– Ona znaczy. Czuje śmierć. I to tak szybko. Powietrze musi być przesiąknięte krwią.

– Sivving! – zawołała Rebeka. – Poczekaj! Nie wchodź. My to zrobimy.

Rebeka weszła do środka, zaraz za nią Krister. Zawołała: „halo!”. Dom odpowiedział ciszą. Otwarte szafki kuchenne, niczym rozwarte usta, które chciały coś powiedzieć, ale nie wydobyły z siebie ani słowa.

Atak serca, pomyślała Rebeka, kierując kroki do sypialni. Przewróciła się i rozbiła głowę.

A jeżeli nie umarła, tylko leży tam sparaliżowana?

Sol Britt leżała na plecach w łóżku. Głowę miała odwróconą na bok. Oczy otwarte, usta też. Wystawał z nich język. Jedno ramię zwisało bezwładnie.

Miała na sobie tylko majtki. Kołdra spadła na podłogę. Całe ciało było w kropkach niewielkich ran.

– Co to... – zaczęła Rebeka i przerwała.

Krister podszedł do leżącej i na wszelki wypadek przyłożył palce do jej szyi. Kilka sennych much wleciało ku sufitowi i przysiadło na nim. Policjant skinął głową.

Rebeka przyglądała się martwej kobiecie. Cienkie strużki zaschniętej krwi z kilku ranek. Szukała w sobie emocji. Czegoś, co może przypominałoby wzburzenie. Przerazenie?

Nic jednak nie czuła.

Spojrzała na Kristera. Był poważny, ale spokojny. Tylko w telewizji policjanci wymiotują na miejscu zbrodni.

– Co tu się stało? – spytała, słuchając swojego rzeczowego tonu. – Ktoś ją zakłuł?

– Halo! – zawołał z zewnątrz Sivving.

– Znaleźliśmy ją – odkrzyknęła Rebeka. – Ale nie wchodź!

– Spójrz na jej twarz – powiedział Krister i pochylił się nad zmarłą. – Tutaj, przy kości policzkowej. Jakby ktoś zdrapał jej naskórek.

– Musimy ją tu zostawić – zdecydowała. – Zadzwoń po techników i medyka sądowego.

– Popatrz na ścianę – odparł Krister.

Nad łóżkiem ktoś napisał dużymi czarnymi literami: „KURWA”.

Rebeka obróciła się na pięcie i wyszła z sypialni. Sivving stał pod drzwiami wejściowymi, przepełniony niepokojem.

– Co się stało?

– O Sivving...

Wyciągnęła rękę, by go dotknąć, ale w połowie gestu się zawahała i pozwoliła jej opaść.

Tak bardzo go lubiła. Jej rodzice nie żyli. Babcia też. Sivving był dla niej najbliższym człowiekiem na świecie, ale nigdy nie okazywali sobie czułości. To nie w ich stylu.

Pomyślała, że powinna była go przyzwyczaić do dotyku.

Powinam była go dotykać, tak jak dotykała mnie babcia, przyznała w duchu. Mimochodem. Kiedy przechodząc przez kuchnię, pospiesznie mnie głaskała, poklepywała. Kiedy pomagała mi zasunąć zamek albo założyć rękawiczki. Kiedy otrzepywała mnie ze śniegu w sieni.

Gdyby tak postępowała z Sivvingiem, może teraz nie czułaby się tak niezręcznie. Tęskniła za tym, by ująć jego dłoń, lecz nie potrafiła się przemóc.

– Co się stało?! – wykrzyknął starzec. – Jakaś potworność, prawda? Nie żyje, tak?

Za plecami Rebeki wyrósł Krister. Spojrzał na Sivvinga.

– Czy nie mówiłeś, że Sol Britt mieszka z wnukiem? – spytał cicho. – Jakżeż mu było, Marcus?

– Tak. Gdzie on jest? Gdzie jest chłopiec?

KOMISARZ ANNA MARIA MELLA patrzyła zdumiona na najmłodszego syna. Że też taka niewielka istota może być tak gadatliwa! Zaczynał od rana, zaraz po przebudzeniu.

Teraz stał w drzwiach sypialni rodziców i trajkotał, podczas gdy mama w poszukiwaniu rajstop przewracała do góry nogami zawartość komódki.

Siostra Roberta, ta z Junosuando, miała urodziny. Anna Maria postanowiła włożyć spódnicę. Jak można mieć pełną szufladę rajstop i ani jednej całej pary?

Na domiar złego spódnica okazała się trochę przyciasna. Że też jakiś głupi kilogram ma tak duże znaczenie. Dawniej ładnie spływała z bioder. Teraz ciągle podjeżdżała do góry, pod żebra, i przy byle ruchu obnażała uda.

Wyglądam jak brojler, pomyślała, patrząc z przygnębieniem w lustro.

– Mamusiu, wiesz? Starszy brat Maltego ma *Zelda Legend of the Hourglass*. Pozwolił nam się przyglądać, jak gra, i zaszedł strasznie daleko. Jest taka jaskinia, a w niej brama, i wiesz, co trzeba zrobić, żeby przez nią przejść? Mamusiu! Wiesz?

– Nie.

– Trzeba zacząć rozmawiać z tablicą, a potem trzeba na niej coś napisać, chociaż nie pamiętam co, muszę zapytać Maltego, i wtedy, w każdym razie... Słuchasz?

– Mhm.

– Wtedy brama się otwiera i trzeba przejść przez most, a tam jest miecz. O, jak bym chciał dostać Nintendo DS. Kupisz mi?

– Nie. Idź do swojego pokoju i włóż ubrania, które leżą na krześle.

Dziura na pięcie, stwierdziła i rzuciła jeszcze jedną parę rajstop na podłogę.

Mam tak zgrubiałe i popękane pięty, że momentalnie wydzieram dziury.

Gustav ciągle stał w drzwiach sypialni. Tyle że na czworakach i wierzgał nogami.

– Popatrz, potrafię stać na rękach! Zobacz teraz, jak...

– Słuchaj no, mój miłościwy panie. Marsz stąd! Ubieraj się. Migiem!

Chłopiec, nie spiesząc się, ruszył w kierunku swojego pokoju.

Może te? – pomyślała, naciągając kolejną parę rajstop na rękę, żeby sprawdzić ich stan. Całe!

Kiedy jednak naciągnęła je na pupę, puściło potężne oczko. Następna para też była dziurawa. Kolejne rozleciały się, gdy dociągnęła je zaledwie do kolan.

Znów zaczęła przekopywać szufladę. Majtki, skarpety, rajstopy, jeden wielki miszmasz. Kurz podrażnił jej nos. Kichnęła.

– Noż, do kurwy nędzy! – wybuchła.

– Jak ci idzie? – spytał Robert, jej mąż, który właśnie pojawił się w drzwiach, prosto spod prysznic.

– Posikałam się – odparła, siadając na skraju łóżka. – Przekopywałam zakurzoną szufladę ze skarpetami, kichnęłam i – kurza dupa – posikałam się. Jestem wrakiem.

– Bardzo?

– Nie, no chyba rozumiesz, że nie. Ociupinkę. Ale mimo wszystko. Poddaję się. Myślałam, że włożę spódnicę, bo twoje siostry są zawsze takie wyszykowane, ale widzę, że pozostają mi spodnie i kosmiczna pielucha.

– Chodź do mnie, kochanie. Sprawdzę.

– Nawet nie próbuj! Jeśli mnie dotkniesz, to wyciągnę pistolet służbowy!

Wstała, wyjęła z szuflady bawełniane majtki i parę frotowych skarpet. Założyła je i wciągnęła dzinsy w ciągu trzydziestu sekund.

Olewam, pomyślała w duchu. I tak nie mogę się z nimi równać.

Zajrzała do pokoju Gustava. Chłopiec stał w łóżku na rękach.

– Ubierz się w końcu! Nie mam zamiaru gderać. Ubierz się, ubierz się, ubierz się. Ile razy...

– Jeszcze tylko raz, bo muszę wygrać w szkole z Lovisą, no wiesz, mamy

zawody, kto najdłużej ustoi na rękach, a ona cały czas próbuje mnie pokonać, bo jestem lepszy. Mówi, że jej rekord to trzynaście sekund. O, w łóżku jest o wiele trudniej, strasznie tu miękko. Możesz zabrać kołdrę i poduszkę? Mamusiu, czy ty mnie słuchasz? Zabierz, proszę...

– Tu jest twoja bluza. Włóż ją, zanim się zdenerwuję.

Anna Maria przyciągnęła syna do siebie i przełożyła bluzę przez jego głowę. Powinna ją wyprasować. Poza tym Gustav ma za długie włosy. Mama Roberta z pewnością zwróci na to uwagę. Spod dzianiny dochodziło nieustanne paplanie.

– Mamusiu, no, chyba nie wierzysz, że rekord Lovisy to trzynaście sekund, skoro w szkole nie potrafi ustać nawet trzech. Mamusiu, wiesz? Widziałaś moją listę życzeń?

– Tysiąc razy. Ale do Gwiazdki jeszcze daleko. Wkładaj skarpety.

– Ale nie widziałaś jej ostatnio! Dopisałem mnóstwo rzeczy. I wszystko można kupić na Ellos, kropka, com. Chociaż nie lego. Bo mam też specjalną listę lego. Au! Moje brwi! Au!

– Przepraszam.

Spod bluzy wyjrzała głowa chłopca. Anna Maria pomogła mu odnaleźć rękawy.

– O, chciałbym dostać tak dużo zestawów lego. Na przykład...

– Słuchaj! Na mojej liście życzeń jest to, żebyś sam włożył spodnie i skarpetki.

– Co?! Nie chcesz nic więcej? Dobrze. Ale, mamusiu... Chciałbym, żebyśmy pojechali do Ullared. Linus z mojej klasy tam był i opowiadał, że można tam kupić masę fajnych rzeczy. A wiesz, ile znaków drogowych już umiem? Może sto. Na przykład taki okrągły niebieski ze strzałką w tę stronę. To bardzo proste. Od razu to wyczytałem. Nawet nie musiałem pytać tatusia ani ciebie. To oznacza, że trzeba jechać właśnie w tym kierunku, czyli tam gdzie pokazuje strzałka. A jak strzałki są w kółku? Wiesz, co to oznacza?

– Spodnie. Już!

– No, ale przecież wkładam. To oznacza rondo!

– Mówi się: oznacza – skomentował Petter, przechodząc obok pokoju młodszego brata.

Anna Maria pomogła Gustavowi włożyć spodnie i zaciągnęła go do kuchni,

podczas gdy on nieustannie rozprawiał o znakach drogowych i lekcjach walki mieczem, których Oshus udziela Linkowi, kiedy ten wychodzi z jaskini. Posadziła go przed kefirem z płatkami oraz kanapką i za jego plecami zrobiła do męża minę: „zajmij-się-nim-zanim-zrobię-mu-krzywdę”. Robert siedział już przy stole, ze wzrokiem wbitym w najnowszy numer „Annonsbladet”.

Ich szesnastoletnia córka Jenny siedziała zamyślona nad podręcznikiem fizyki. Anna Maria już dawno straciła nadzieję, że kiedykolwiek będzie mogła jej pomóc w nauce. Gwoździem do trumny była klasówka z geometrii euklidesowej.

Jedenastoletni Petter z bezradną miną patrzył w talerz z kefirem.

– Nie mam łyżki – poskarżył się.

– Ale chyba masz nogi? – spytała Anna Maria, nalewając sobie kawy do kubka.

W końcu klapnęła przy stole.

– Mamusiu, wiesz – zaczął Gustav, który milczał pięć sekund, ponieważ mama wetknęła mu do ust łyżkę kefiru.

– Czy ktoś go może uciszyć? – warknęła Jenny. – Próbuję się uczyć. Jutro mam sprawdzian.

– Sama się ucisz! – powiedział wzburzony Gustav. – I nie przerywaj mi.

– Przestań się do mnie odzywać! Zabraniam ci – odpała Jenny i zakryła dłońmi uszy.

– Jak dostanę pod choinkę lego soku mielenie, to będę cicho przez cały miesiąc. Mamusiu, kupisz mi?

– To się nazywa Sokół Millennium, głupku – sprostował Petter. – Mamo, wiesz, ile kosztuje taki zestaw? Pięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć koron.

– Daj spokój – odparła Anna Maria. – Kto kupuje lego za sześć patyków? To niemożliwe.

Petter wzruszył ramionami.

– To ty jesteś głupek – wypalił Gustav.

Petter wykonał serię szybkich gestów. Pokazał na brata, potem pokręcił przyłożonym do skroni palcem wskazującym: „ty, głupi”, błyskawicznie uformował dłonie w litery „t” i „o”, następnie wyciągnął środkowy palec: „fuck”, by zakończyć literą „t” utworzoną z obu wyprostowanych dłoni.

– Odwal się! – krzyknął Gustav płaczliwym głosem. – To ty... jesteś skończony głupek!

– Czy wy naprawdę nie możecie się uspokoić?! – wrzasnęła Jenny. – Chrzanię to wszystko! Nigdzie z wami nie jadę. Jutro mam sprawdzian, kapujecie?

Gustav szturchnął starszego brata. W oczach zabłyśły mu łzy. Petter zaśmiał się szyderczo. Gustav rzucił się na niego z pięściami.

– Aj! – pisnął Petter nienaturalnie cienkim głosem.

Robert spojrział znad gazety.

– Włóżcie talerze i kubki do zmywarki – odezwał się, pozornie nieporuszony wojną światową, która właśnie wybuchła.

Jenny podniosła się, zatrzasnęła z hukiem podręcznik i krzyknęła:

– Włóżę!

Wtedy zadzwonił telefon Anny Marii. Gdzieś leżał, ale gdzie? Niezbyt daleko, bo sygnał był dość wyraźny.

– Kochani, spokój! – zaapelowała. – Czy ktoś mi pomoże znaleźć komórkę?

Wstała od stołu i wsłuchana w znajomy dźwięk, doszła do sterty ubrań leżących na krześle skrzyniowym w przedpokoju.

W kuchni zapadła cisza. Cała rodzina patrzyła na Annę Marię. Rozmowa nie była długa.

– Tak. Kurza dupa! Jasne, już jadę.

– Co się stało? – spytała Jenny. – Spoko, mam. Wiesz, że nikomu nic nie powiemy...

– Czy ktoś umarł? – chciał się dowiedzieć Gustav. – Ale chyba go nie znam, prawda?

– Nie, nie znasz – odpowiedziała i zwracając się do Roberta, dodała:

– Muszę lecieć. A wy sobie jakoś...

Zakończyła zdanie nieokreślonym ruchem ręki, mając na myśli i śniadanie, i chaos w kuchni, i dzieci, i rodzinę Roberta, i podróż samochodem do Junosuando, tam i z powrotem.

Czuła, jak na policzki występują jej rumieńce.

Wąskie narzędzie kłujące, powtórzyła w duchu.

Serce w jej piersi biło spokojnie.

Dziesiątki ciosów, może nawet sto. I ze wszystkich miejsc na ziemi – właśnie w Kurravaarze!

– Pozdrówcie ode mnie ciocię Ingele – poprosiła dzieci.

Odwróciwszy się do Roberta, opuściła kąciki ust z nadzieją, że przybrała minę osoby rozczarowanej.

– I babcię – dodała. – Naprawdę mi...

– Nawet nie próbuj – przerwał jej mąż.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w głowę.

SIVVING NIE POTRAFIŁ ustać w miejscu. Przeszł z nogi na nogę ze wzrokiem utkwionym w las.

– Zobaczysz, że go znajdziesz – zapewnił Kristera. – Zobaczysz.

Stali wciąż przed domem Sol Britt Uusitalo. Technicy i medyk sądowy byli już w drodze. Krister zerknął na Rebeke. Nieprzerwanie rozmawiała przez telefon.

Szukali chłopca. W jego pokoju na piętrze łóżko było niezasłane. Zajrzeli do drewnutni i starej stodoły, obeszl dom dookoła. Wołali. Ani śladu Marcusa.

Krister Eriksson mruknął coś w odpowiedzi. Założył Tintin kamizelkę roboczą. Za plecami miał Sivvinga, który nieustannie przebierał nogami.

Był do tego przyzwyczajony. Zawsze miał za sobą drepających wkoło ludzi. Rodziców dzieci, które zgubiły się w lesie. Dorosłe dzieci, których rodzice, dotknięci demencją, wychodzili z domu i nie wracali. Kolegów. Wszyscy udeptujący wokół niego ziemię czekali na szczęśliwe zakończenie. On i Tintin byli ich nadzieją.

Ale Tintin nie odczuwała niepokoju ani udręki. Piszczła z podniecenia, nie mogąc się doczekać, kiedy wyruszą. Przepelniona psią radością i chęcią do pracy.

Nagle policjantowi zrobiło się ciężko na duszy. Nie chciał znaleźć martwego chłopca. Tyle się mogło zdarzyć. Wyobraźnia podsuwała niejedno alternatywne rozwiązanie i żadne z nich nie miało szczęśliwego zakończenia.

Ktoś wynosi chłopca do samochodu. Malec szamocze się w objęciach

napastnika. Na głowie ma krwawiącą ranę, w ustach knebel. Inny scenariusz: jakiś szalowiec zakłuwa na śmierć kobietę w łóżku. Chłopiec się budzi, zostaje zraniony, ale udaje mu się zbiec w ciemnościach. Kuśtykając, oddala się kawałek i w końcu umiera samotnie w lesie.

Krister planował dzisiaj spacer po lesie w towarzystwie Rebeki i psów. To jeden z ostatnich dni w roku odpowiednich na taką wędrówkę. Wkrótce miał spaść śnieg.

Mimo wszystko odetchnęli z ulgą, kiedy nie znaleźli chłopca zadźganego na śmierć w pościeli. Na podłodze leżała koszulka. Czarna, sprana, z nadrukiem. Prawdopodobnie miał ją na sobie poprzedniego dnia.

Krister pozwolił Tintin dokładnie ją obwąchać, a później wydał komendę: szukaj! Zaczęli od obejścia domu. Napięta smycz. Na tyłach budynku suka ruszyła na skos przez działkę. Nos w wysokiej, pożółkłej, jesiennej trawie. Przebiegła przez krwiste jarzębinowe zarośla i wpadła do lasu. W dół do rowu, znów w górę, obok starej wanny zanurzonej w mchu. Minęli stertę desek przykrytych zieloną plandeką.

Wtedy Tintin uniosła głowę. Ślady zapachowe w powietrzu są zawsze świeże. Musieli więc być blisko. Suka parła do przodu wzdłuż leśnej dróżki, między sosnami. Oddalili się od domu tak bardzo, że stracili go z pola widzenia.

Przed nimi ukazał się domek zabaw.

Jeżeli w ogóle można było tak nazwać tę żalosną budowlę. Sklecona z płyt pilśniowych, pomalowana na czerwono-brunatny kolor, pokryta papą. Rozbite dawno okno przesłaniała przezroczysta folia budowlana.

Krister zatrzymał się na moment. Tintin szarpała za smycz, skomląc.

Zdarzało mu się znajdować martwe dzieci. Przypomniawszy sobie dwunastoletnią dziewczynkę, która odebrała sobie życie. Gdzieś niedaleko Kalix. Policjant zacisnął mocno powieki, żeby odsunąć od siebie ten obraz. Siedziała pod drzewem. Można było odnieść wrażenie, że tylko zasnęła. Głowę trzymała prosto.

Tintin znalazła ją po trzech godzinach szukania. A ponieważ nie przepadała za łakociami i raczej w ogóle nie była łasa na jedzenie, uhonorował ją w sposób, w jaki zawsze honorował ją za dobrze wykonaną pracę. Po prostu zaczął się z nią bawić. To była dla niej najlepsza nagroda. Chodziło też o to, by suka każdy dobrze rozpracowany ślad łączyła z czymś przyjemnym.

Martwa dziewczynka siedziała pod drzewem, podczas gdy Krister figlował

obok z Tintin, wołając: „Zuch dziewczyna! Zaraz złapię zuch dziewczynę!”.

Właśnie wtedy dotarli na miejsce dwaj koledzy. Spojrzeli na zmarłe dziecko. Potem popatrzyli na opiekuna psa jak na wariata. Krister uwiązał sukę na smyczy i odszedł w milczeniu. Nie próbował się nawet tłumaczyć. Po co? I tak by go nie zrozumieli. Z pewnością opowiadano o nim to i owo w okolicach Kalix.

Chłopiec znajdował się w domku. Krister był niemal pewien. Tintin skomlała i szarpiąc za smycz, wrywała się w jego stronę. Nie było się nad czym zastanawiać. Musiał to sprawdzić.

Na podłodze leżał kwiecisty materac. Na chybotliwym stoliku stało mnóstwo puszek po piwie. Ktoś tutaj niewątpliwie urządzał sobie zakrapiane imprezy z obmacywaniem. Ale teraz kilka koców oraz niespecjalnie czysta, skosmaczona kołdra przykrywały drobne ciało dziecka.

– Dzielna dziewczyna! Zuch dziewczyna! – Krister pochwalił Tintin.

Suka kręciła się w koło, dumna jak paw. Policjant odchylił koce i kołdrę. Delikatnie przyłożył dłoń do szyi. Skóra była ciepła, tętno wyraźne. Biała koszulka i nagie stopy. Żadnych śladów krwi. Żadnych obrażeń. Ulga była tak ogromna, że Krister zadrzał jak w febrze. Chłopiec żył!

Właśnie otworzył oczy. Utkwił je, zaokrąglone ze strachu, w klęczącym nad nim mężczyźnie.

I wydał przeraźliwy krzyk.

SIVVING ZATOCZYŁ kolejny krąg wokół samochodu, powłócząc niedomagającą nogą.

Jeszcze mi tu upadnie, pomyślała Rebeka. A ja go sama nie podniosę.

– Może jednak usiądziesz? – zaproponowała na nowo.

– No, raczej widać, że od jakiegoś czasu nie miała chłopca – powiedział, jakby nie przyjmując do wiadomości jej słów. – Popatrzże na płot. Przyjdzie zima i zawali się pod naporem śniegu. Jak myślisz, dobrze mu idzie?

Machnął ręką w kierunku lasu, gdzie zniknęli Krister i Tintin.

Rebeka obrzuciła spojrzeniem ogrodzenie, które tu i ówdzie odchylało się od pionu. Słupy zmurszały ze starości. Powstrzymała się, żeby nie napomknąć o swoim płocie, który trzymał się prosto, mimo że nie miała w domu

mężczyzny zręcznego do stolarki. I żeby nie wspomnieć o paru młodzieńcach we wsi, których płoty już dawno się rozleciały.

– Powiedziałaś, że jej syn został potrącony przez samochód? – spytała, zmieniając temat.

– Tak, Boże drogi – odparł Sivving, zatrzymując się na chwilę. – Biedny chłopiec. Najpierw mama przeprowadza się do Sztokholmu. Później w wypadku samochodowym ginie tato. A teraz babcia...

– Jak doszło do tego wypadku?

– Nie wiadomo. Sprawca uciekł. Chyba jednak usiadę na chwilę. Mogę? Nie ma tutaj wiele śladów?...

– Możesz siedzieć w samochodzie. Przesunę do tyłu fotel kierowcy, drzwi zostawimy otwarte i opowiesz mi, co wiesz o Sol Britt.

Sivving usiadł na przednim siedzeniu i wytarł czoło. Rebeka miała ochotę zrobić to samo.

– No, jeżeli chodzi o śmierć jej syna... – zaczął. – Czasami myślę, że to mógł być ktoś z naszej wsi. Wiadomo, że ten i ów jeździ po pijaku. Potrąci kogoś, spanikuje i ucieknie. A może nawet nie zauważy.

Bella i Smarkacz kręcili się w klatce, przecież obiecano im spacer po lesie! Vera wzdychała na tylnym siedzeniu.

– A do tego ojciec Sol Britt, jesienią... – mówił dalej Sivving. – To też osobna historia. Ale na pewno o niej słyszałaś.

– Nie.

– Daj spokój! Nie słyszałaś o mężczyźnie rozszarpanym przez niedźwiedzia? O Boże, kiedy to było? Krucho u mnie z pamięcią... Na początku czerwca! Pisali o tym w gazetach. To był staruszek, wszyscy myśleli, że pobłądził w lesie. Szukano go, ale nie znaleziono. A teraz, no, może jakieś dwa miesiące temu, w okolicy Lainio ustrzelono niedźwiedzia, który pożarł psa na uwięzi. W żołądku misia wykryto resztki Fransa Uusitalo, ojca Sol Britt. Delektował się staruszką przez całe lato, brr!

– Tak, czytałam o tym. To był ojciec Sol Britt?

Sivving spojrzał z wyrzutem na Rebeke.

– Z pewnością ci o tym mówiłem. Ale widocznie zapomniałaś.

Zamilkł na chwilę. Rebeka pograżyła się w myślach. Przypomniała sobie mężczyznę rozszarpanego przez niedźwiedzia. Kiedy w żołądku drapieżnika

znaleziono kość ludzkiej ręki, przeszukano dokładnie okolicę Lainio i w końcu znaleziono zwłoki. Czy może raczej ich resztki.

Od czasu do czasu zdarzało się, że niedźwiedź atakował człowieka. Kiedy człowiek wchodził między samicę a jej młode. Albo kiedy miał ze sobą głupiego psa, który najpierw gonił misia, a później wracał, przez misia goniony, żeby znaleźć schronienie u swojego pana lub pani.

– A jego mama – odezwał się Sivving – to znaczy babcia Sol Britt, też została zamordowana.

– Co ty powiesz?

– Pracowała jako nauczycielka w Kirunie. Zaraz, kiedy to było? Przyjechała tu na krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Uczyła mojego stryja. Słodka jak cukierek, powtarzał zawsze. Miła dla dzieci. Nigdy nie wyszła za mąż, ale urodziła syna. To był właśnie ojciec Sol Britt, ten, którego później rozszarpał niedźwiedź. Kiedy miał zaledwie kilka tygodni, zamordowano jego mamę. Potworna historia. Pewnego zimowego wieczoru ktoś ją zabił w szkolnej sali. Ale to stare dzieje.

– Kim był morderca?

– Nie wiadomo. Jej przyjaciółka zaopiekowała się chłopczykiem i wychowała go jak własne dziecko. W tamtych czasach nie było lekko.

Wypowiadając ostatnie zdanie, rzucił Rebecce karcące spojrzenie.

A ona przypomniała sobie wcześniej owdowiałą matkę Sivvinga, która samotnie wychowywała swoje dzieci.

Wiem, że mam dobrze, pomyślała. Gdybym teraz została samotną matką, poradziłibyśmy sobie świetnie. Moje skrzaty miałyby dach nad głową, pełne brzuszki i zapewnione miejsce w szkole. Nie musiałabym ich nigdzie oddawać.

Popatrzyła na sąsiada. Wiedziała, że nieraz bieda zaglądała mu w oczy. „Równie dobrze mogliśmy się znaleźć w domu dziecka”, mawiał czasami.

Nie wszystko kiedyś było lepsze, pomyślała.

JEST 15 KWIETNIA 1914 ROKU. Nauczycielka Elina Pettersson siedzi w pociągu jadącym ze Sztokholmu do Kiruny. Według rozkładu jazdy podróż trwa trzydzieści sześć godzin i dwadzieścia pięć minut, ale dziś mają znaczne

opóźnienie ze względu na wszystek śnieg zalegający na torach. Elina spędziła w pociągu dwie noce i po spaniu na siedząco czuje, jak pobolewa ją pupa; pociesza się jednak tym, że wkrótce dotrze do celu.

Kiedy wygląda przez okno, widzi uginający się pod śniegiem karłowaty las. Zasnute bielą torfowiska i jeziora. Stada reniferów, które wielkimi oczyma, acz pozornie bez lęku, obserwują zgrzytający, sapiący i buchający pojazd. Od czasu do czasu wagony są odłączane, lokomotywa się cofa i nabiera rozpędu, by zamontowany na niej pług poradził sobie z masą śniegu na torowisku.

Tyle śniegu i tyle lasów! W głowie się nie mieści, że Szwecja jest taka rozległa. Nigdy wcześniej Elina nie zapuściła się aż tak daleko na północ. Żadna ze znanych jej osób nie zapuściła się aż tak daleko na północ.

Słońce przygrzewa przez szybę. Świetlne zajaczki przysiadają na fotelach obitych mokietem, kicają po niebiesko-zielonym, wzorzystym pluszu. Światło jest tak ostre, że trzeba mrużyć oczy, ale Elina nie chce opuścić rolety. Pejzaż za oknem jest bezgranicznie piękny.

Czuje się wolna. Właśnie skończyła dwadzieścia jeden lat i jedzie do Kiruny! Do najnowszej osady na świecie. Właśnie tam jest jej miejsce. W nowych czasach.

W ciągu zaledwie kilkudziesięciu lat Szwecja dźwignęła się z ubóstwa. To przecież nie tak dawno, dzięki szczepieniom, pokojowi i ziemniakom, lawinowo wzrosła liczba ludności. A wszyscy biedacy... Teraz gdy już masowo nie umierali, musieli sobie radzić, choć ledwie wiązali koniec z końcem. Ich dzieci o zapadniętych policzkach chodziły boso. Gdzie się miały podziać? Czy tak jak rodzice miały kopać rowy melioracyjne albo harować w oborze? Nie. Nagle zabrakło dla nich miejsca. Miasta w dalszym ciągu były śmiesznie małe. Szwedzi zaczęli więc opuszczać kraj. Młodzież, siła i marzenia wypływały do Ameryki. Władze wygłaszały kazania o patriotyzmie i ograniczaniu apetytów, ale tak naprawdę były bezradne niczym człowiek, któremu upuszczono krew.

Podnoszenie się z ubóstwa zaczęło się – jak to zwykle bywa – od najbiedniejszych. Dzięki bogactwom naturalnym. Rudzie żelaza. Lasom. Na początku dwudziestego wieku coraz większe znaczenie zaczął odgrywać przemysł bazujący na nowych wynalazkach. Zdobywano patenty, tworzone spółki akcyjne, nieustannie i w ogromnych ilościach.

Teraz ludzie ciągną do miast. Tam wytwarza się ścier drzewny, telefony, karabiny maszynowe, maszyny rolnicze, klucze szwedzkie, szczypce hydrauliczne, dynamit i zapalki. Nowa Szwecja zaczyna się bogacić.

Elina prostuje plecy i postanawia przejść do wagonu kawiarnianego. Musi zażyć trochę ruchu. Wkrótce, już niedługo będzie w Kirunie!

Już samo to, że cała miejscowość jest zelektryfikowana! Elektryczne latarnie na ulicach i prąd w gospodarstwach domowych. Jest też kąpielisko, pawilon muzyczny i biblioteka.

Elina spogląda na śnieg skąpany w słońcu i nagle się uśmiecha. Dziwnie jej z tą wesołością na twarzy. Przykłada palce do ust i dotyka uśmiechu. Dopiero teraz, kiedy opuściła prowincję, kiedy opuściła Jönåker, uświadamia sobie, że przez ostatnie dwa lata była pogrążona w smutku.

Jakby nagle obudziła się z ponurego snu i dość mgliście pamiętała, o co w nim chodziło. Chce zapomnieć wiejską szkołę. Te wszystkie zszarzałe dzieci bezrolnych chłopów, wyrobników folwarcznych, zagrodników, parobków, dziewczek służebnych i robotników dniówkowych. Dzieci, które od początku wiedzą, że skończą edukację na ustawowych sześciu klasach i w wieku dwunastu lat będą wystarczająco dorosłe, by zarabiać na własne utrzymanie. Dzieci, które nie opuszczają ojca, matki i młodszego rodzeństwa. Coś w nich już dawno wygasło. To widać po oczach. Kiedy na dworze pada deszcz lub śnieg, powietrze w klasie gęstnieje od zapachu ich ubrań. Czuć od nich oborą, brudem i mokrą wełną.

Chce zapomnieć synów bogatych gospodarzy. Teraz już nic jej nie mogą zrobić. Opaśli i zadowoleni; jeszcze dzieci, a już właściciele majątków. I tylko dlatego że ich ojciec posiada całą wieś oraz okoliczne pola i lasy, w stosunku do nauczycielki i kolegów mogą się zachowywać, jak im się żywnie podoba. Nauczycielka, której zależy na utrzymaniu posady, traktuje więc panicza życzliwie. Wystawia mu dobre cenzurki, żeby nie zostać bez prezentu na Boże Narodzenie: korca żyta, szynki, kiełbasy i paszy dla krowy. Precz! Precz, wszelkie myśli o bogatych gospodarzach!

A wiejski pastor? Z nim też nie będzie już miała do czynienia!

Niech się smaży w piekle, myśli o nim gniewnie.

Duchowny pełnił jednocześnie funkcję przewodniczącego w zarządzie szkoły. Już na pierwszym zebraniu doszło między nimi do scysji. Elina była zwolenniczką reformy pisowni, a głowę przepełniały jej idee Ellen Key³. Pastor twierdził, że Key jest nieobyczajna, Selma Lagerlöf – szkodliwa, Strindberg to potępieniec, a Fröding – autor plugawej literatury. Oczy zachodziły mu łzami, gdy słyszał, jak dzieci śpiewają *Przylaszczki na stokach się ukazały*, a jednocześnie nie potrafił oderwać wzroku od jej piersi. Kiedy zostawała z nim sam na sam, nigdy nie miała pewności, dokąd zawędrują

jego tłuste palce. A on z lubością wstępował do szkoły po skończonych lekcjach. Czasami przypominało to bieg dla zdrowia, choć wokół katedry. Ona przed nim, on za nią.

W Kirunie będzie inaczej. Głowę Eliny przepełniają marzenia. Serce uderza w takt spojeń szyn.

Ona sama jest jak dom wysprzątany na wiosnę. Podłogi już wyszorowane. Wszędzie pachnie szarym mydłem, wiatrem i słońcem. Okna i drzwi otwarte na oścież. Na sznurach między brzoźami schną gałgankowe chodniki.

Czuje się gotowa do miłości. W Gällivare do pociągu wsiądzie mężczyzna, któremu ofiaruje swoje serce.

CHŁOPIEC PRZERAŻLIWIE krzychał ze strachu. Tintin zaczęła szczekać.

Krister nakazał jej spokój, wycofał się z domku i stanął poza zasięgiem wzroku dziecka.

– Przepraszam – powiedział. – Wystraszyłeś się? Wiem, że wyglądam dość okropnie.

Chłopiec zamilkł.

– Zostanę na zewnątrz – mówił dalej policjant. – Słyszysz mnie?

Żadnej reakcji.

– Opowiem ci, dlaczego tak wyglądam. Kiedy byłem mały, zaczął się palić mój dom. Cały płonął, gdy wróciłem ze szkoły. W domu spała moja mama. Wbiegłem do środka, bo wiedziałem, że mama tam leży. Wtedy bardzo się poparzyłem. To dlatego nie mam ani uszu, ani nosa, ani włosów, a skóra jest taka dziwna. Ale serce mam całe i dobre. Jestem policjantem i szukałem cię razem z moim wilczurem, Tintin. Niepokoiłiśmy się, myśleliśmy, że coś ci się stało. Boisz się psów?

Cisza.

– Bo jeżeli się nie boisz, to może pozwolisz Tintin wejść do środka, żeby się z tobą przywitała? Pozwolisz?

W dalszym ciągu żadnej odpowiedzi.

– Nie wiem, może potakujesz głową, a może nią kręcisz. Nie widzę cię. Mógłbyś odpowiedzieć słowami?

– Tak.

Głos chłopca był cienki i słaby.

– Czy twoje „tak” znaczy, że Tintin może wejść do środka?

– Tak.

Krister spuścił sukę ze smyczy. Błyskawicznie wślizgnęła się do środka, ale zaraz wróciła.

Pieprznęty pies, pomyślał. Nie mogłaś zostać tam trochę dłużej?

– Oj, ale się jej spieszyło! – powiedział głośno. – Zdążyłeś ją pogłaskać?

– Nie.

– Ona już taka jest, że na dobrą sprawę dba tylko o swojego pana. To znaczy o mnie. Ale znam innego psa, który na pewno by ci się spodobał. Wabi się Vera.

– Znam ją. Czasami do nas przychodzi i wtedy babcia robi naleśniki, i Vera je naleśniki razem z nami, a później wraca do domu. To pies pana Sivvinga.

– Pan Sivving od czasu do czasu zajmuje się Verą, to fakt. Ale tak naprawdę sunia należy do pani Rebeki. Wiesz, kto to jest? Nie, aha... ja też się nią czasami opiekuję.

Krister się zaśmiał.

– To znaczy Verą...

– Może pan wejść do środka, jak pan chce. Nie boję się pana.

– Dobrze, wchodzę. Oj, ależ tu się zrobiło ciasno! Tintin, przesun się trochę. No tak, jesteś bardzo dzielna! Wiesz, wytropiła cię od samego domu i teraz jest z siebie bardzo dumna.

– O, jaki ma miękki język! Kiedyś też mieliśmy psa.

W domku cuchnęło pleśnią. Pora się stąd zbierać.

– Mhm. Nie jest ci zimno? Nie masz butów ani skarpetek. Przybiegłeś tu boso?

Chłopiec momentalnie spowaźniał. Skinął szybko głową, nie spuszczając oczu z miękich uszu psa, które nieustannie próbował głaskać.

– Byłoby dobrze, gdybyś później o tym opowiedział. Ale teraz chciałbym cię zanieść do samochodu. Zaparkowałem go przed waszym domem. Powinieneś coś na siebie włożyć. Czeka tam pan Sivving. Znasz go przecież.

– Będę się mógł pobawić z Verą?

– Jeżeli chcesz.

Chociaż żadna z niej pańcia do zabawy, pomyślał policjant. Szkoda, że nie mamy pod ręką jakiegoś labradora. Zwariowanego i wesołego psa, który leży sobie spokojnie, kiedy dzieciaki dosiadają go jak konia.

Włożył chłopcu swoje skarpety i kurtkę. Marcus odpowiadał na pytania, ale unikał wzroku mężczyzny.

Krister nieczęsto dotykał ludzi. Uświadomił to sobie, kiedy podniósł chłopca i trzymając go w objęciach, szedł przez las, jarzębinowe zarośla i okolice domu, by w końcu zatrzymać się na podwórzu. Po chwili chłopiec zaczął się trząść. Odzyskiwał ciepło, to dlatego. Zrzucił policjantowi ręce na szyję, nie był wcale ciężki. Krister czuł jego oddech na policzku. Czuł kości kręgosłupa wystające spod skóry. Powstrzymał się, żeby nie przytulić chłopca do siebie, nie ucisnąć go mocno, tak jak uczyniłby to niespokojny rodzic.

Przestań, upomniał siebie. To tylko praca.

Sivving z mozołem wydostał się z samochodu, powiedział: „Dzięki Ci, dobry Boże” i wyglądał, jakby lada moment miał się rozpląkać ze szczęścia. Rebeka uśmiechnęła się przelotnie do Kristera i spojrzała mu w oczy. On też był bliski płaczu. Nie rozumiał do końca dlaczego; może po prostu poczuł ulgę, że chłopiec żyje.

– Co się stało z pana mamusią, kiedy palił się wasz dom? – szepnął mu Marcus do ucha, gdy Rebeka zniknęła w budynku, by przynieść chłopcu buty i ubranie.

– Yh... – zawahał się Krister. – Umarła.

– O! Vera!

Chłopiec wskazał ręką skraj lasu, gdzie – kołysząc zadem – pojawiła się znajoma suka.

– Musiałam ją na sekundę wypuścić – wyjaśniła Rebeka.

Vera podbiegła do Kristera. Trzymała coś w pysku.

– Co tam masz? – spytał.

Wybuchł śmiechem, ale zaraz umilkł. Śmiać się tutaj, kiedy babcia Marcusa...

– Co się stało? – Rebeka nie kryła ciekawości.

– Vera... znalazła pudełko ze snusem. To, które przed chwilą wyrzuciłem.

I bardzo dobrze, pomyślał. Bo właśnie mam ochotę na snus. Ale to będzie ostatnia porcja.

KOMISARZ ANNA MARIA MELLA stała w sypialni Sol Britt Uusitalo w towarzystwie prokuratorki Rebeki Martinsson oraz kolegów: Tommy’ego Rantakyrö, Freda Olssona i Svena Erika Stålnackego. Teren wokół domu został ogrodzony.

– Wkrótce zjawią się tu mieszkańcy wsi – powiedział Sven Erik. – A dziesięć minut później, no, może kwadrans – lokalne gazety. Razem z popołudniówkami, które wyślą do nas najbliższych stacjonujących dziennikarzy. To im nie zajmie dużo czasu. W sieci będziemy mogli przeczytać o morderstwie za godzinę.

– Wiem – odparła Anna Maria. – Krister zabierze stąd chłopca. Dobrze, że się nim zaopiekuje.

A potem będzie przy nim w trakcie przesłuchania, pomyślała. Żeby mały czuł się bezpiecznie.

– Weźmiesz to na siebie? – spytał Sven Erik. – To znaczy porozmawiasz z chłopcem?

– Porozmawiam. No, chyba że któryś z was bardzo chce...

Koledzy pokręcili głowami.

– On chyba tego nie zrobił? – wyrwało się Tommy’emu. – Takie rzeczy zdarzają się tylko... gdzie indziej.

Anna Maria nie odpowiedziała.

Popatrzyli na podziurawione ciało kobiety, na napis na ścianie.

Te wszystkie nakłucia, pomyślała. Czy siedmiolatek w ogóle dałby radę? Umie napisać „kurwa”? Wie, co to znaczy? Spokojnie! Pamiętaj o bezstronności, upomniała się w duchu. Wzięła głęboki oddech.

– Okej – odezwała się. – Kto ją nazywał kurwą? Ktoś z mieszkańców wsi? Grożono jej? Jest jakiś były kochanek? A może aktualny? Szenie Eriku, przejdiesz się po wsi? W zasięgu wzroku nie ma żadnych sąsiadów, ale może porozmawiasz z tymi, którzy mieszkają wzdłuż szosy? Zauważyli coś? Słyszeli? Pogadaj też z jej koleżankami i kolegami z pracy. Kto ostatni

widział ją żywą? No, wiesz.

Bujny wąs Stålnackego poruszał się to w lewo, to w prawo. Policjant wiedział dokładnie, o co jej chodzi, i nie zgłaszał sprzeciwu.

Świetnie, pomyślała. Sven Erik potrafił postępować z ludźmi. Rozgaszczał się w ich kuchniach i wdawał w pogawędkę nad filiżanką kawy. Po chwili gospodarze mieli wrażenie, że siedzi u nich ktoś z rodziny. I na dobrą sprawę niemal zawsze okazywał się bliższym lub dalszym krewnym. W jakiś pokrętny sposób był spowinowacony z niemal każdą napotkaną osobą. Albo przynajmniej chodził do tej samej szkoły. Albo pamiętał sportowe wyczyny rozmówcy sprzed kilkudziesięciu lat.

Wkrótce miał przejść na emeryturę. Wtedy ona będzie najstarsza w zespole. Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Przecież jeszcze niedawno miała dwadzieścia parę lat, tyle co Tommy Rantakyrö. Tommy był ich młodzikiem. Ugniatał porcje snusu wielkie jak czeczoty brzozowe. Nie mógł usiedzieć na miejscu, jakby ciągle świerzbiła go skóra. Nieustannie sprawdzał, co robią inni. Był ostatnim, któremu przydzielano zadania. Spodziewał się raczej głównianych poruczeń. Najczęściej też je wykonywał.

– Fredde – Anna Maria zwróciła się do Freda Olssona. – Ty też wiesz, no nie?

– Połączenia przychodzące i wychodzące – wyrecytował. – SMS-y. Komputer. Ten tutaj i służbowy, przypuszczam. Mogę się rozejrzeć i poszukać komórki?

– W przedpokoju leży otwarta torebka. Zajrzyj do niej, technicy będą to musieli zaakceptować. W każdym razie Sol Britt nie miała telefonu obok łóżka. Ale nie możemy zacząć przekopywać mieszkania, bo wściekną się jak trolle.

Fred Olsson zniknął w przedpokoju. Po chwili wrócił z telefonem w rękę.

– Sprawdzę go – powiedział.

– Dziwne, że szuflady w kuchni są pozamykane, a szafki otwarte – odezwał się Sven Erik. – Jak gdyby ktoś czegoś szukał. Czegoś dużego.

– Narzędzia zbrodni? – zaproponował Fred.

– Tommy! – zwróciła się do kolegi Anna Maria. – Porozmawiasz z nauczycielem Marcusa? Z dyrektorem. Z personelem szkoły. I może świetlicy, jeśli do niej chodził.

Tommy się skrzywił.

– I o co mam ich pytać?

– Jak się chłopiec miewa. Czy jest spokojny. Czy nie wpadł w tarapaty. Jakie ma... jakie miał warunki domowe? Musimy odnaleźć jego matkę.

– Sivving na pewno wie, jak ona się nazywa. Mogę do niej zadzwonić – zaoferowała się Rebeka.

– Świetnie. Zrób to jak najszybciej, zanim skontaktuje się z nią jakiś dziennikarz. Co jeszcze Sivving powiedział o Sol Britt?

– Obsługiwała bufet śniadaniowy w hotelu Vinterpalatset. Dzisiaj rano nie przyszła do pracy, to dlatego Sivving chciał tutaj przyjechać. Kiedyś miała problemy z alkoholem, ale po śmierci syna, trzy lata temu, przestała pić i zaopiekowała się wnukiem. Matka Marcusa żyje, ale mieszka w Sztokholmie, założyła nową rodzinę i wygląda na to, że w ogóle nie jest zainteresowana swoim pierworodnym.

– Co się z tymi ludźmi dzieje?! – wybuchnął Sven Erik. – Co to za matka, która zostawia własne dziecko?

Anna Maria poczuła zakłopotanie. W pokoju zapadła kompletna cisza. Matka Rebeki opuściła rodzinę, kiedy Rebeka była małą dziewczynką. Później wpadła pod ciężarówkę. Do dziś nie wiadomo, czy to był wypadek.

Podobna myśl uderzyła Svena Erika. Stali tak kilka sekund, nie wiedząc, co powiedzieć. Mężczyzna odchrząknął.

Jednak Rebeka sprawiała wrażenie, jakby ich nie słuchała. Patrzyła przez okno na Marcusa, który na podwórzu rzucał piłeczką tenisową. Wyglądało na to, że namawia Verę, aby ją przyniosła. Oczywiście na próżno. Vera nigdy nie bawiła się w aportowanie. Teraz stała spokojnie i patrzyła na piłeczkę tak długo, aż Marcus, zrezygnowany, poszedł po nią sam, by po chwili znów ją cisnąć przed siebie. Rzucał, przynosił i tak w kółko. Czasami po piłeczkę biegł Krister. Jedynie Vera stała nieruchomo.

– Czy on... – odezwała się Rebeka, wskazując na chłopca – czy rozumie, że jego babcia nie żyje?

Wszyscy spojrzeli na Marcusa.

Właśnie tak dzieci mogą reagować na żałobę. Jakby ktoś je włączał i wyłączał, pomyślała Anna Maria. Spotkała się kiedyś z taką reakcją. W jednej sekundzie maluch oplakiwał zmarłą mamusię. W drugiej – zatracał się w telewizyjnej kreskówce.

– Tak – powiedziała w końcu głośno. – Myślę, że wie.

Anna Maria ukończyła szkolenie z metodologii przesłuchiwania małoletnich i kilka razy przesłuchiwała dzieci w sprawach dotyczących przemocy domowej. To było coś wyjątkowego, owszem, ale nie sprawiało jej trudności. Gdyby tylko jej dzieci i mąż wiedzieli, jaka potrafi być cierpliwa i spokojna!

Jedynie w domu zadaje pytania naprowadzające i lekceważę odpowiedzi, pomyślała, uśmiechając się krzywo.

– Spotkamy się w komendzie o trzeciej – zdecydowała. – Nie unikniemy konferencji prasowej, ale tę zwołam na jutro rano, o ósmej. Koniec, kropka, ani sekundy wcześniej. Tommy, skoczysz do miasta po kamerę? Muszę porozmawiać z Marcusem, zanim... Tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Popatrzcie! – krzyknęła Rebeka. – Popatrzcie na Verę. Ona się bawi!

Suka ruszyła nagle przez podwórze za piłeczką, złapała ją i upuściła u stóp chłopca.

– Nigdy wcześniej nie aportowała.

Po chwili Rebeka dodała, jakby tylko do siebie:

– W każdym razie nie do mnie.

TO TAKI CHŁOPIEC, który prędzej czy później będzie prześladowany w szkole, pomyślał Krister, kiedy Anna Maria włączyła kamerę wideo. Taki jak ja, tylko ładniejszy.

Marcus miał długie jasne włosy i bladą twarz z sinymi cieniami w kącikach oczu. Jak na swój wiek był dość wątyły, ale zadbany. Był czysty i miał krótko obcięte paznokcie. W komodzie w jego sypialni nie brakowało wyprasowanych i poskładanych ubrań. Zarówno szafkę, jak i lodówkę wypełniały porządne produkty spożywcze. Na półmisku w kuchni leżały świeże owoce. Wszystko wskazywało na to, że Sol Britt dobrze się opiekowała wnukiem.

Chłopiec siedział na ławie w kuchni Rebeki. Vera leżała obok; pozwalała się poklepywać i głaskać. Po drugiej stronie usiadł Krister i nie mógł się nadziwić temu widokowi.

To dopiero sunia, pomyślał z uśmiechem.

Gdyby to on ją głaskał, albo Rebeka, Vera już dawno zeskoczyłaby na podłogę.

– Wiesz – odezwał się do Marcusa – kiedyś byłem z Verą u kolegi w Laxforsen. Miał kotkę, która niedawno urodziła młode i nie chciała ich zostawić samych ani na sekundę. Była wychudzona, nie miała czasu nawet na jedzenie. Ale kiedy przyszedłem tam z Verą, odważyła się wyjść z domu i zostawiła kocięta pod jej opieką. Maluchy wspinały się po Verze, gryzły ją w uszy i ogon.

I ssąły tak zachłannie, że poraniły jej sutki, dodał w myśli. Biedaczyna.

– Kocia mama wróciła mniej więcej po godzinie – opowiadał dalej. – Na pewno skorzystała z okazji i zjadła mnóstwo myszy. Miała do Very zaufanie.

Kocięta i samotni chłopcy, pomyślał. Do takich stworzeń to ona ma cierpliwość.

– Dobrze, zaczynamy – powiedziała Anna Maria. – Możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz i ile masz lat?

– Nazywam się Marcus Uusitalo.

– A ile masz lat?

– Siedem lat i trzy miesiące.

– Świetnie, Marcus. Pan Krister i Tintin znaleźli cię dzisiaj w lesie, w domku zabaw. Możesz opowiedzieć, jak się tam znalazłeś?

– Poszedłem tam – odparł i przysunął się jeszcze bliżej do Very. – Przyjdzie po mnie babcia?

– Nie, babcia... Nie wiesz, co się z nią stało?

– Nie.

Anna Maria spojrzała na Kristera, szukając pomocy. Nie powiedział mu? Nikt mu nic nie powiedział?!

Krister prawie niezauważalnie skinął głową. Oczywiście, że powiedział. A komisarz Mella musi się trochę wyluzować. Przecież malec ledwo co usiadł. Powinna najpierw porozmawiać z nim o czymś innym.

– Twoja babcia nie żyje, kochanie – odezwała się Anna Maria. – Wiesz, co to znaczy?

Marcus spojrzał na nią pełen powagi.

– Tak. Tak jak tatuś.

Policjantka siedziała przez moment w milczeniu. Miała niezdecydowaną minę. Patrzyła na chłopca zwężonymi oczami.

On zaś sprawiał wrażenie spokojnego i skupionego, choć niewątpliwie był przygaszony. Nieustannie głaskał miękkie uszy Very.

Anna Maria pokręciła nieznacznie głową.

– Śliczna jest – powiedziała.

– Prawda? – odparł Marcus. – Czasami przychodzi do mnie i do babci na naleśniki. A kiedyś weszła za mną do autobusu, jak jechałem do szkoły. Po prostu sobie wsiadła do środka, chociaż nie miała biletu. No tak, ale psy nie muszą mieć biletów. Usiadła koło mnie. Nikt mnie wtedy nie zaczepiał. Nawet Willy. Wszyscy chcieli ją pogłaskać. A moja pani, chociaż to była pani na zastępstwie, zadzwoniła do babci. A babcia zadzwoniła do pana Sivvinga i Vera pojechała do domu taksówką. Nie kosztowało to dużo, bo pan Sivving ma zniżkę z gminy⁴. Ale babcia mówi, że jak dotąd autem przejechała się tylko Vera.

– Opowiedz mi teraz, jak to było, kiedy poszedłeś do domku w lesie.

Znów jej się spieszy, pomyślał Krister. Na próżno usiłował nawiązać z nią kontakt wzrokowy.

– Też mieliśmy psa – powiedział chłopiec. – Ale zniknął. Może go przejechał samochód.

– Mhm. Jak doszedłeś do domku, Marcus?

– Na nogach.

– Okej. Wiesz, która była godzina?

– Nie. Nie znam się na zegarku.

– Czy na dworze było jasno czy ciemno?

– Ciemno. To było w nocy.

– A dlaczego poszedłeś do domku w nocy?

– Ja...

Przerwał i wyglądał na zdziwionego.

– Nie wiem.

– Pomyśl. Poczekam, a ty się nad tym zastanów.

Siedzieli w milczeniu dość długo. Krister głaskał chłopca po ramieniu. Marcus pochylił się nad Verą i szeptał jej coś do ucha. W końcu zapomniał o pytaniu.

– Dlaczego nie miałeś na sobie butów? I kurtki?

– Przez moje okno można wyskoczyć. Łąduje się na daszku nad drzwiami z tyłu domu. A potem można zejść po drabinie.

– Dlaczego nie miałeś na sobie butów?

– Buty są w przedpokoju.

– Dlaczego wyskoczyłeś przez okno? Dlaczego nie wyszedłeś drzwiami?

Chłopiec znów zamilkł.

W końcu lekko pokręcił głową.

Pora dać sobie spokój, pomyślał Krister.

Czyżby nic nie pamiętał? Pytania tłoczyły się w głowie Anny Marii. Chciała je zadać wszystkie naraz. Dlaczego się obudziłeś? Co widziałeś? Słyszałeś coś? Rozpoznałbyś...?

A on sobie siedział i głaskał psa. Zupełnie nieporuszony. Komisarz Mella nie wiedziała, co powiedzieć.

– Pamiętasz coś? – spróbowała ponownie. – Cokolwiek. Pamiętasz, jak się położyłeś wieczorem do łóżka?

– Babcia mówi, że muszę iść do łóżka o wpół do ósmej. Każdego dnia. Nieważne, co akurat pokazują w telewizji. Zawsze muszę się kłaść bardzo wcześnie.

A ja muszę się poddać, uświadomiła sobie policjantka. Tak bardzo mi zależy, że jeszcze trochę i on za chwilę coś zmyśli. Cały czas to powtarzali na szkoleniu. Że dzieci chcą zadowolić dorosłych. Wymyślą Bóg wie co, żeby tylko człowiek był zadowolony.

– Jak ktoś przychodzi do domu, to się budzę – powiedział Marcus do Kristera. – Kiedy pan przyszedł z Tintin, obudziłem się prawie od razu. Myśli pan, że chodziłem przez sen?

Ale przecież przed chwilą pamiętał, że wyskoczył przez okno, pomyślała Anna Maria. Nie, tak się nie da. Jeszcze to wszystko spaprzę. Musimy wezwać specjalistę.

– Rozmowa z Marcusem Uusitalo została zakończona – oznajmiła i wyłączyła kamerę.

– Zadzwonimy do twojej mamy – zwróciła się do chłopca. – Ale mama mieszka w Sztokholmie. To bardzo daleko. Czy znasz jakąś inną dorosłą

osobę, która mieszka w okolicy i u której wolałbyś zostać?

– Mama nigdy nie chce ze mną rozmawiać. Nie mogę pojechać do babci?

Anna Maria i Krister wymienili spojrzenia.

– Ale... – zaczęła i urwała w pół zdania, nie potrafiąc go dokończyć.

Krister objął chłopca ramieniem.

– Słuchaj no, kolego – powiedział. – Czy nie powinniśmy, ty i ja, Vera i Jasko... Jasko to też pies Rebeki... Chociaż wiesz, jak go nazywamy? Smarkacz! No więc czy nie powinniśmy wszyscy, moje psy też, pojechać do mnie do domu i zjeść śniadanie? Nie jesteś przypadkiem strasznie głodny?

MARCUS WYBIEGŁ z psami na podwórze. Krister ruszył za nim i w drzwiach wejściowych wpadł na Rebekę. Niemal się zderzyli. Mężczyzna cofnął się o krok i uśmiechnął. Musiał się powstrzymać, żeby jej nie złapać w pól. Psy doskoczyły do gościa i zaczęły się witać.

– Rozmawiałam z jego mamą – powiedziała.

– Tak?

Wiatr wdarł się z impetem na ganek. Uniósł kilka pasemek jej włosów. Tęczówki Rebeki miały kolor szarego nieba i zeschłej piaskowej trawy. Krister wstrzymał oddech. Czuł, jak wali mu serce.

Spokojnie, powiedział do siebie w duchu. Mogę przecież tutaj stać i sycić nią oczy. Zaczyna nas łączyć przyjaźń. To mi powinno wystarczyć.

Rebeka westchnęła głośno, wyraźnie dając do zrozumienia, że rozmowa nie była przyjemna.

– Cóż mam powiedzieć? Kobieta naturalnie była wstrząśnięta tym, co się zdarzyło, ale od razu mi wytłumaczyła, że to nie jest najlepszy moment na przyjazd Marcusa. Wyobrażasz to sobie? Powiedziała, że nie układa jej się najlepiej z partnerem. Że jeśli będzie zmuszona zająć się synem, to facet ją zostawi. Że akurat teraz nawet dwoje własnych dzieci przerasta jego siły. Że to kawał egoisty. Że ma ciężki okres w pracy. Że w końcu trzeba go też zrozumieć. Że ja też powinnam zrozumieć jej sytuację. Że nigdy nie myśli o sobie, że nie w tym rzecz. Bla, bla, bla.

Ściągnęła twarz. Zacisnęła usta. Zmrużyła oczy. Spojrzała w bok.

– Dobrze się czujesz? – spytał Krister.

– Nie chodzi o mnie.

Teraz! – pomyślał. Ręka wyciągnęła się automatycznie. Pogłaskał Rebeke. Najpierw po policzku i uchu. Później po włosach.

Nie odsunęła się. Była bliska płaczu. Po chwili odchrząknęła.

– Anna Maria jeszcze tu jest?

Skinął głową. Chciał ją objąć. Dotknąć ustami jej skóry. Zanurzyć nos we włosach. Między nimi przepływał jakby prąd elektryczny. Czy to możliwe, że ona tego nie czuje?

– Dowiedzieliście się czegoś?

Pokręcił głową.

Nie bez trudu odzyskał głos.

– Wezmę go do siebie. Nie wiedziałem, kiedy wrócisz, więc wziąłem też Verę i Smarka. Chłopiec lubi sukę. Czuje się przy niej bezpiecznie. Nie pozwolę, żeby siedział w towarzystwie jakichś obcych paniuś z opieki społecznej. Anna Maria sprowadzi tu specjalistkę, żeby porozmawiała z Marcusem. Ale na razie chłopak jest ze mną i z psami.

– To dobrze – uśmiechnęła się. – To dobrze.

Anna Maria przystała na kawę i owsiankę z jagodami.

– Ucieszę się, jak mi trochę ubędzie – powiedziała Rebeka. – Mam zamrażarkę pełną jagód.

Uśmiechała się do policjantki, która jadła, jak przystało na prawdziwą matkę kilkorga dzieci. Wiosłowała pospiesznie łyżką i piła kawę dużymi haustami, jak sok ze szklanki. Rebeka opowiedziała o rozmowie z matką Marcusa, Anna Maria – o przesłuchaniu chłopca.

– Był taki nieporuszony – wyznała komisarz i zaczęła obracać w zębach kromkę pieczywa chrupkiego niczym rozdrabniarka do drewna. – Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie wiedział, że jego babcia nie żyje. E, gównu z tego wyszło. Możesz później sprawdzić w komputerze. Ale przecież musiał coś zobaczyć albo usłyszeć. To chyba oczywiste, nie? No bo dlaczego wyskoczył przez okno w swoim pokoju i pobiegł do domku w lesie? Musiał się czegoś wystraszyć.

– Rozmawiałam z Sivvingiem – odparła Rebeka. – Powiedział, że Sol Britt nie miała tu żadnych krewnych oprócz kuzynki, która chwilowo przebywa w

Kurravaarze, tylko dlatego że jej mama leży w szpitalu w Kirunie. Tak czy inaczej, musimy z nią porozmawiać. Może Marcus mógłby na razie u niej zamieszkać? Trzeba ją o to zapytać. Sivving nie wie, czy były ze sobą w dobrych stosunkach.

– Jak myślisz, możesz z nią porozmawiać?

– Okej.

Anna Maria spojrzała na opróżniony do czysta talerz i wzniosła dłonie w dziękczynnym geście.

– Wielkie dzięki! Ostatnio jadłam owsiankę z jagodami, kiedy byłam dzieckiem.

Omiotła wzrokiem kuchnię Rebeki. Dobrze się tu czuła. Na zaimpregnowanej pokostem podłodze leżały gałgankowe chodniki. Poduszki spoczywające na niebieskiej drewnianej ławie były wypchane pierzem ptaków wodnych, które upolował dziadek prokuratora, i obleczone poszewkami uszytymi przez jej babcię z własnoręcznie utkanego materiału.

Nad piecem na drewno wisały bukieciki suszonych jaskrów i kocanek oraz skrzydło głuszca, którym gospodyni zamiatała pięknie wyprasowany obrus, ozdobiony haftem. A delikatne białe firanki były wykrochmalone, tak jak za dawnych babcinych czasów.

Na takie rzeczy można sobie pozwolić, kiedy się nie ma dzieci, pomyślała policjantka.

Wszystkie obrusy, które odziedziczyła po przodkach, leżały niewyprasowane w jakiejś szafie i ciążyły Annie Marii na sumieniu, choć na dobrą sprawę nie wiedziała dlaczego. Jej stół kuchenny pokrywała cerata, zszarzała od farby drukarskiej ze wszystkich „NSD”⁵ i „Annonsbladet”.

Spojrzała na swój telefon komórkowy.

– Porozmawiaj z nią. Spotkamy się o drugiej u Pohjanena. Chciałabym usłyszeć, co ma do powiedzenia, zanim zbierzemy się o trzeciej na naradzie.

Lars Pohjanen był medykiem sądowym. Rebeka skinęła głową. Wiedziała, że komisarz Mella prosi ją o udział w spotkaniu głównie po to, żeby nie czuła się wykluczona. Nie dlatego, że policjantka potrzebuje pomocy.

Dziwne są ludzkie reakcje, pomyślała Rebeka, przypominając sobie, jak układały się ich stosunki poprzednim razem, kiedy prowadziła postępowanie przygotowawcze, a Anna Maria kierowała grupą śledczą.

Nie obyło się bez zgrzytów, Rebeka czuła się wyobcowana. Teraz zaś, gdy Anna Maria zapraszała ją do współpracy, nie potrafiła pozbyć się skrępowania.

Trudno człowieka zadowolić, przyznała. Przecież ona mnie pyta, czy chcę się z nimi bawić. Naprawdę nie muszę dociekać, jakie są jej motywy. Czy naprawdę chce mojej obecności, czy tylko próbuje być miła.

– Przyjdę, jasne. I... proszę bardzo! Babcia ciągle robiła owsiankę z jagodami, kiedy byłam mała.

– Właśnie, przypomniało mi się... – dodała, gdy Anna Maria sznurowała buty w sieni. – Sivving wspomniał, że babcia Sol Britt Uusitalo też została zamordowana.

– No co ty?

– Tak! Była nauczycielką w Kirunie.

DYSPONENT HJALMAR LUNDBOHM wsiada do pociągu w Gällivare 15 kwietnia 1914 roku. Jest zmęczony i przygnębiony. Czuje się stary i spracowany. Jakby dźwigał na plecach wielki kosz pełen ludzi i trosk. Są tam rozżarzeni do czerwoności robotnicy. Wygrający pięściami, wykrzykujący: „Proletariusze, łączcie się!”, „Bój to jest nasz ostatni!”. Mocne dłonie uderzające w stół, do stu tysięcy diabłów, koniec ciemnienia ludu!

Ci wszyscy związkowcy, wyrzuceni z tartaków za działalność rewolucyjną, te wszystkie gorące głowy z Västerbotten przyjeżdżają później do Kiruny. Tutaj potrzeba każdego mężczyzny i każdej kobiety, którym niestraszne ciemność i mróz. Ale później to on, Lundbohm, musi się z nimi biedzić. Z agitatorami, socjalistami, komunistami.

W koszu z troskami tłoczą się również nadgorliwi urzędnicy i świadomi swej wartości inżynierowie. Grzęzną we wzajemnych swarach, każdy widzi tylko czubek własnego nosa. Jest tam też rodzina Wallenbergów i sztokholmscy politycy, którzy niecierpliwie czekają na zyski. Trzeba wydobyć żelazo z czeluści góry. Inwestycje w kolej żelazną i jednostkę municypalną Kirunę muszą być opłacalne.

Na samym dniu kosza znajdują się ofiary kopalni, poszkodowani w wypadkach, kalecy. Wdowy po zmarłych górnikach i przerażone niepełnoletnie pólsieroty, którym bieda zagląda w oczy.

Kosz ze skałą płoną. Pozostałościami po wydobyciu rudy.

Jak zadowolić wszystkich? Choćby problem mieszkaniowy – w jaki sposób dysponent ma zapewnić dach nad głową przybywającym do Kiruny? Chciałby wybudować miasto z prawdziwego zdarzenia. Kiruna nie powinna i nie może powtórzyć losu Malmberget. Malmberget, osada górnicza sto kilometrów na południe stąd, to prawdziwe Klondike. Rozpadające się rudery, pijaństwo, ruja i porubstwo. Lundbohm chce czegoś innego. Chce szkół, kąpielisk i powszechnej edukacji, tak jak w Fordlandii, założonej przez Henry'ego Forda w Ameryce Południowej, tak jak w Pullman City w USA. Musi sprostać wielu wyzwaniom.

Budowa solidnych domów, a przy tym pięknych, wymaga czasu. Ale przecież ludzie muszą gdzieś mieszkać. Ciasnota to powszechny problem. W istniejących kwaterach do spania wykorzystuje się każdy metr kwadratowy. Czasami w ciągu jednej nocy wyrastają, jak spod ziemi, nielegalne budowle. A kiedy się je rozbiera, wokół stoją kobiety z gromadką dzieci i głośno zawodzą.

Problemy z zaopatrzeniem w żywność to kolejna troska. Z zaopatrzeniem w wodę również. Hjalmar Lundbohm nie nadąza. Nie nadąza z pomocą dla wszystkich.

Właśnie miał naradę z zarządem kopalni w Malmberget. Tamtejsi zarządcy kipią z gniewu, ponieważ kopalnie w Kirunie dysponują zbyt wieloma wagonami do przewozu rudy. Oni też chcą transportować swój urobek.

Kiedy wsiada do wagonu, przez stację przeciąga wiatr. Podnosi tumany śniegu. Każda śnieżynka iskrzy w słońcu jak wirujący w powietrzu diament.

Gdybym potrafił malować, myśli. Malować obrazy, zamiast tkwić w tym kieracie.

Pociąg rusza, postępując. Dysponent od razu kieruje kroki do wagonu kawiarnianego.

Siedzi tam tylko jedna osoba. Na jej widok wszystkie jego ciężkie myśli ulatują przez okno. Chciałby niemal przetrzeć oczy, by się upewnić, że to nie ułuda.

Kobieta ma krągłe, zaróżowione policzki, radosne oczy, długie rzęsy, perkaty nos i usta ułożone w czerwone serduszko. Wygląda jak dziecko. Albo raczej – jak dziecko z obrazka. Z takiej pokolorowanej ilustracji, na której dziewczynka przechodzi przez kładkę nad rzeczką, szczęśliwie nieświadoma czyhających w świecie niebezpieczeństw.

Ale najbardziej wyjątkowe są jej kręcone blond włosy. Rozpuszczone, sięgają z pewnością do pasa, myśli mężczyzna.

Odnawia, że buty nieznajomej są zadbane, choć trochę zdarte, a płaszcz od dołu zaczyna się strzępić i widocznie dlatego obszyto go lamówką.

Może właśnie z tego powodu ośmiela się zapytać, czy wolno mu się przysiąść. Tak naprawdę jest zdumiony, że kobieta siedzi zupełnie sama. Powinni ją otaczać górnicy i budowniczy kolei, spragnieni damskiego towarzystwa. Rozgląda się wokół, trochę zdziwiony, jakby za chwilę miał odkryć, że zalotnicy schowali się pod stołem albo za ciężkimi kotarami.

Nieznajoma odpowiada życzliwie, acz nie bez rezerwy, że naturalnie mu wolno. Jednocześnie omiata spojrzeniem wszystkie puste stoliki w wagonie.

Mężczyzna czuje się zmuszony do natychmiastowego wyjaśnienia swej natarczywości. Że też, do diabła, ma na sobie tylko prostą koszulę; wygląda jak każdy inny, skąd ona ma wiedzieć, kogo ma przed sobą?

– Na widok nowej twarzy spieszę, aby się dowiedzieć, któż to przyjeżdża do mojej Kiruny.

– Pańskiej Kiruny?

– E, niechże panna nie przywiązuje takiej wagi do słów.

Prostuje się. Chce, żeby zrozumiała, z kim ma do czynienia. Z jakiegoś powodu nagle okazuje się to niezmiernie ważne.

Wyciąga rękę.

– Hjalmar Lundbohm. Dysponent. To ja jestem pryncypałem.

Ostatnie zdanie wypowiada, mrugając filuternie okiem. Pragnie zasignalizować dystans do wysokiego stanowiska i brak pychy.

Kobieta przygląda mu się nieufnie.

Pewnie jest przekonana, że z nią flirtuje, myśli niepokieszony.

Na szczęście jednak do stolika podchodzi kelnerka z kawą. Widzi sceptyczną minę Eliny.

– To prawda – mówi, podając kawę dysponentowi i dolewając podróżnej. – To dysponent we własnej osobie. Gdyby tylko nie upierał się chodzić w koszuli roboczej, gdyby chciał się odziewać jak na szacownego pana przystało! Powinien może zawiesić tabliczkę na szyi.

Elina się rozjaśnia.

– To pan! To pan mnie zatrudnił. Elina Pettersson, nauczycielka.

Cztery godziny między Gällivare a Kiruną mijają jak z bata strzelił.

Dysponent wypytuje Elinę o wykształcenie i poprzednią posadę. Ona grzecznie odpowiada, że w Göteborgu ukończyła prywatne seminarium dla nauczycielek klas elementarnych, że w szkole w Jönåker, gdzie pracowała, było trzydzieścioro dwoje uczniów, że roczne zarobki dochodziły do trzystu koron.

– A jak się tam panie Pettersson podobało?

Zupełnie niespodziewanie Elina zdobywa się na odwagę, by odpowiedzieć:
– Tak sobie.

Lundbohm jest słuchaczem, przed którym nietrudno otworzyć serce. Może to zasługa jego półprzymkniętych oczu? Ciężkie powieki nadają mu zamyślony, rozmarzony wygląd, a ów sprawia, że język sam się rozwiązuje.

Słowa wymykają się z ust, słowa o tej szarej gnuśności, która tak ją męczyła ostatnimi laty. Elina wyznaje, o jakich uczniach marzyła w seminarium. Opowiada, jak bardzo czuła się przygnębiona, zrozumiałwszy, że większość z nich nie wykazuje żadnej chęci do nauki. Nie była na to przygotowana. Sądziła, że dzieci będą spragnione wiedzy i książek, tak jak ona, kiedy była małą dziewczynką.

Opowiada o zasiadających w zarządzie szkoły pastorze i bogatym chłopie, którzy uważali, że czytanie katechizmu oraz nauka arytmetyki na liczydło są zupełnie wystarczające, i „nie znaleźli powodów, ażeby przychylnie rozpatrzyć” jej wniosek o zakup czarnej tablicy na stojaku i kredy za łączną sumę pięciu koron, które miały pomóc dzieciom w nauce pisania i ortografii. Nie zezwolili jej również na kupno trzech egzemplarzy czytanki Selmy Lagerlöf.

– Dlaczego pani sądzi, że w Kirunie będzie inaczej?

Dysponent unosi lekko głowę i uśmiecha się, gdy napotyka wzrok nauczycielki.

– Ponieważ pan jest innym człowiekiem – odpowiada kobieta i patrzy mu w oczy tak długo, aż on – nie wytrzymawszy jej spojrzenia – zamawia jeszcze jedną filiżankę kawy.

Elina uzmysławia sobie, że ma nad nim władzę. Ze względu na dużą różnicę wieku podczas rozmowy nie myślała o nim w kategoriach płci. Ale przecież on jest mężczyzną.

A ona jest świadoma swej urody. Nieraz czerpała korzyść z tego, że ma długie włosy i szczupłą talię. To dzięki kobiecym wdziękom udało jej się na przykład namówić dwóch parobków, by za niewygórowaną cenę naprawili dach w domu dla nauczycielek.

Najczęściej jednak świetna aparycja jej ciąży. Co za urwanie głowy z tymi wszystkimi niechcianymi zalotnikami! Ale teraz, gdy widzi, jak dysponent ucieka wzrokiem w obawie, że wzrok ów mógłby zdradzić jego myśli, serce uderza jej radośniej.

Naprawdę ma nad nim władzę! Nad człowiekiem, którego Rudyard Kipling nazywa niekoronowanym królem Laponii. Który zna tyle ważnych osób: księcia Eugeniusza, Carla i Karin Larssonów, Selmę Lagerlöf. A kimżeż jest ona? Nikim. Jej niewątpliwe atuty to młodość i piękny wygląd. To one sprezentowały jej tę chwilę. Elina w sercu dziękuje Bogu. Gdyby była przeciętnej urody, nie siedziałaby tu z Hjalmarem Lundbohmem.

A on znów na nią spogląda.

– Jeżeli czegoś zabraknie w klasie – odzywa się – podręczników, tablicy, czegokolwiek... Proszę się do mnie zgłosić. Osobiście.

Rozmowa schodzi na temat oświaty. Elina mówi, że Kiruna jest osadą górniczą. Dlatego też wie, że tu sprawy będą się miały inaczej. Podkreśla, że skuteczne przepisy dotyczące zatrudnienia dzieci w fabrykach to najwspanialsze osiągnięcie w nowym prawodawstwie ochronnym. Żadne prawa bowiem nie regulują pracy dzieci na roli.

– Jak te dzieci mają się uczyć, kiedy są wycieńczone codzienną harówką? Wygasa w nich nawet naturalna żądza wiedzy, byłam tego świadkiem.

Wkracza teraz na swój ulubiony temat. Ellen Key i *Stulecie dziecka*. Policzki jej płoną, kiedy wygłasza ewangelię Ellen, kiedy tłumaczy, jak ważne jest, by siły fizyczne i duchowe dziecka do lat piętnastu wyłącznie były spożytkowane dla jego własnego rozwoju przez szkołę, sport i zabawę, podczas gdy domowe zajęcia i szkoły zawodowe, nie zaś przemysł, kształcą jego zdolność do pracy. – Nie kształci go też ciężka praca w zagrodzie – dodaje, spuszczać wzrok na wspomnienie wątlých dzieci harujących u agrariusza jako dziewczki i parobki stajenne.

Hjalmarowi udziela się jej zapal.

– Dla mnie przemysł i każda inna podobna działalność to za ledwie środek, nie cel sam w sobie – mówi.

– A jaki jest cel?

– Celem zawsze pozostanie umożliwienie ludziom jak najbogatszego życia. Również duchowego.

Usłyszawszy to wyznanie, Elina patrzy na niego z tak wielkim szacunkiem, że Hjalmar, niemal zażenowany, dodaje:

– A poza tym najzdolniejsi robotnicy to robotnicy oświeceni.

Opowiada, że już i w Rosji, gdzie oświata ludu tak wiele pozostawia do życzenia, doświadczenie ujawniło to samo; toteż robotnik umiejący czytać i pisać wszędzie bez wyjątku otrzymuje wyższy zarobek niż analfabeta, używany tylko do najgrubszych robót. Obecny szybki rozwój niemieckiego przemysłu i jego zwycięstwo nad angielskim przypisać można wyższej oświacie niemieckiego ludu. Intensywna i inteligentna praca amerykańskiego robotnika częściowo z tej samej przyczyny wypływa. Oświata i jeszcze raz oświata!

Hjalmar czuje się rozradowany. Dawno nie był taki wesoły. To dobrodziejstwo podróżowania. Człowiek przez kilka godzin może się poświęcić tylko i wyłącznie poznawaniu bliźniego.

I to jeszcze jakiego bliźniego! W postaci tak słodkiej osoby. I do tego bystrej.

Pięknych kobiet w Kirunie jak na lekarstwo. Są młode, to fakt. Tak jak młoda jest osada. Ale ciężkie warunki życia dość szybko odbijają się na ich twarzach. Dziewczęta tracą krągłe, rumiane policzki. Odziane w męskie płaszcze i otulone w wełniane szale, chronią się przed mrozem. Żony inżynierów wprawdzie zachowują krągłość policzków, ale nie kwapią się do zażywania spacerów ani uprawiania sportu, jak to czynią panie w Sztokholmie. Latem dokuczają komary, a zimą jest zbyt mroźno. Siedzą więc w domu i przybierają na wadze.

Rozmowa biegnie żywo, przeskakują zwinnie z tematu na temat.

Akurat teraz mówią o *Mona Lisie*, która – skradziona przed niespełna trzema laty – na krótko przed Bożym Narodzeniem powróciła do Luwru. I pomyśleć, że złodzieja zwabił w pułapkę sprytny włoski handlarz dzieł sztuki, udając, że chce kupić obraz.

Nie zgadzają się co do prawa wyborczego dla kobiet. „Ale sufrażystką nie jestem”, wyznaje Elina, na co Hjalmar odpowiada frywolnie, że gdyby nią została, wówczas w więzieniu osobiście zaczęłyby ją przymusowo karmić. Spełniając jej prośbę, opowiada o wizycie Selmy Lagerlöf w Kirunie, kiedy pisała *Cudowną podróż*. Rozmawiają o wspomnieniu pośmiertnym Augusta

Strindberga, o jego zgorzknieniu i pogrzebie. Nie mogą oczywiście nie wspomnieć Titanica. Właśnie dzisiaj mijają dwa lata od katastrofy.

I nagle docierają do celu. Nie do wiary! Pociąg staje na stacji, drzwi się otwierają, ludzie tłoczą się z bagażami do wyjścia.

Elina musi wrócić do swojego przedziału.

Hjalmar żegna się pospiesznie, życzy jej powodzenia i przypomina, by dała znać, w razie gdyby miała kłopoty lub gdyby czegoś zabrakło w szkole.

Ale zanim Elina zdąży coś powiedzieć, dysponent znika.

Najpierw jest zdziwiona. Sądziła, że dotrzyma jej towarzystwa, przynajmniej do peronu. Po chwili ogarnia ją złość. Gdyby była szlachetną damą, podążyłby za nią do przedziału, poniósł jej torbę podrózną i pomógł wysiąść z pociągu. Służyłby jej ramieniem.

Kiedy tak stoi przed stacją, wyglądając swoich kufrów, czuje, jak złość zamienia się we wstyd.

A cóż ona sobie wyobrażała? Że zostaną przyjaciółmi? Jakież on miałby w tym interes?

Że też wpadła w taki ferwor! Na samo wspomnienie oblewa się pąsem zawstydenia. Musiał pomyśleć, że jest najbardziej zarozumiałą i egocentryczną nauczycielką, jaką kiedykolwiek spotkał. Ta jej płomienna mowa o Ellen Key... Przecież Lundbohm zna Key osobiście!

Do Eliny podchodzi młodzieniec z jej bagażem. Kufry są ciężkie, szczególnie jeden. Niełatwo ciągnąć wózek w śniegu.

– A cóż to pani ma w środku, cegły? – żartuje. – Dom pani będzie budować?

Nagle wtrąca się jakiś inny młodzian i proponuje, by w tym przyszłym domu zamieszkali razem. Elina nie słyszy zaczepki.

Na stacji kłębią się tłumy ludzi. Trwa rozładunek i załadunek. Przed budynkiem czekają na pasażerów sanie zaprzężone w konie. Przy kociołku podgrzewanym gazem stoi dziewczyna sprzedająca kawę i ciasteczka.

Na zaśnieżonej brzozie stadko drozdów wyśpiewuje swoje trele. I to wystarczy, by Elina odzyskała dobry humor. Odczuwany przed chwilą wstyd się ulatnia. Hjalmar Lundbohm to przecież tylko tuzinkowy mężczyzna. A tutaj jest tak pięknie; tyle śniegu i słońce! Panna Pettersson ciekawa jest miasta wieczorem, w poświacie ulicznych latarni, w świetle lamp otaczających kopalnię. Gdzieś w środku słyszy śpiewne „Kiruna”. Kiruna. Nazwa miasta pochodzi od lapońskiego określenia pardwy górskiej, *giron*.

Hjalmar Lundbohm szybko opuszcza pociąg. Spieszy się, ponieważ przyszło mu do głowy, gdzie mógłby zakwaterować nową nauczycielkę. Ale musi to załatwić jak najprędzej, aby Elina nie zdążyła zauważyć, że ze względu na nią zmienia plany.

Z jednej strony nie chce uchodzić za żalostnego jegomościa, z drugiej jednak bardzo chciałby ją jeszcze spotkać. Jeżeli plan wypali, będą się widywać dość często.

KUZYNKĄ SOL BRITT UUSITALO nazywała się Maja Larsson. Rebeka oparła rower o drewnianą i rozejrzała się dokoła.

Dom należał do matki Mai. Widać było, że mieszka tutaj stary człowiek, który stracił siły witalne. Niejedna różowa płyta z eternitu odpadła od fasady. Rynna trzymała się na słowo honoru. Obrazowania okienne wymagały odmalowania. Zapadnięty ganek stał ukośnie w stosunku do drzwi wejściowych. Przy południowej stronie domu rosło kilka rosochatych krzewów, prawdopodobnie czarnej porzeczki. Pod nimi leżały resztki podpórek domowej roboty, zmurszałe i omszone.

Rebeka zapukała, ponieważ dzwonek nie wydawał żadnego dźwięku.

Na widok kobiety, która otworzyła drzwi, nieznacznie się cofnęła. Jakaż ona piękna! Wysokie kości policzkowe, brak makijażu, wyraźne zmarszczki podkreślające ogorzałość twarzy. Kobieta wyciągnęła smukłą szyję i może właśnie ten królewski gest spowodował, że Rebeka cofnęła się o krok. Maja wyglądała na sześćdziesiąt lat. Miała na sobie męskie spodnie, zwisające swobodnie z bioder, i brązowy, wycięty w serek sweter, pocerowany na łokciach. Zupełnie białe włosy były zaplecione w mnóstwo cieniutkich, długich warkoczyków i zebrane w luźny kok na głowie. Wyglądały jak płatanina węzłów. Spod grubych, jasnych brwi spojrzały na Rebece szare oczy.

– Słucham – powiedziała.

Rebeka uświadomiła sobie, że musiała się zapatrzeć. Przedstawiła się szybko i wyjaśniła, z czym przyszła.

– Chodzi o pani kuzynkę, Sol Britt Uusitalo. Została zamordowana.

Maja Larsson popatrzyła na prokuratora Martinssona jak na dziecko, które zaproponowało sprzedaż gazetek bożonarodzeniowych. W końcu pozwoliła

sobie na westchnienie.

– O kurde! Przypuszczam, że chce pani wejść i porozmawiać? Zapraszam więc do środka!

Skierowała się do kuchni. Rebeka zrzuciła pospiesznie buty i podążyła za nią. Usiadła na drewnianej ławie, podziękowała za kawę i wyciągnęła z kieszeni notatnik.

Maja wysunęła jedną z szuflad i wyłuskała z niej pudełko papierosów.

– Proszę mówić! Papierosa?

Rebeka potrząsnęła głową. Kobieta zapaliła, wypuściła dym nosem. Stała przy piecu i pociągając za metalowy łańcuszek, otworzyła otwór wentylacyjny pod sufitem.

– Ktoś ją zakłuł na śmierć we śnie.

Maja Larsson zamknęła oczy i spuściła głowę. Jakby próbowała zrozumieć wiadomość, którą właśnie usłyszała.

– Przepraszam, jeśli sprawiam wrażenie... Chodzi o moją mamę. Nie zostało jej dużo czasu. Mieszkam tutaj, żeby być przy niej do samego końca. Czasami wydaje mi się, że nie mam już w sobie żadnych uczuć.

Nagle z ożywieniem spojrzała na Rebekę.

– Marcus!

– W porządku – odpowiedziała Rebeka. – Nic mu się nie stało.

– Chce mnie pani zapytać, czy się nim zajmę?

– Nie wiem. A może pani się nim zająć?

Twarz kobiety stwardniała.

– Ach tak! Rozumiem więc, że jego mamuska odmówiła? Nadwerężyła sobie kręgosłup? A może zalał ich sąsiad? Czy w ogóle zapytała, jak chłopiec się czuje?

Rebeka przypomniała sobie, jak matka chłopca przekonywała ją, że zostanie bez partnera, jeśli Marcus pojawi się w ich domu. Nie zapytała ani razu o samopoczucie syna.

– Zajmę się nim – obiecała Maja. – Oczywiście. Jeżeli nikt inny nie weźmie go do siebie. Tylko że teraz moja mama... Całymi dniami jestem u niej w szpitalu. Nie wiem, jak to wszystko poskładać do kupy. Marcus mnie nie zna. Nie mieszkam tutaj na stałe, przyjechałam tylko ze względu na mamę... I

kompletnie nie znam się na dzieciach. Nie mam własnych. Boże drogi. Myślę, że świat oszalał. Zajmę się nim. Jasne, że się nim zajmę.

Rebeka otworzyła notatnik.

– Kto ją nazywał kurwą?

– Że co, proszę?

– Ktoś napisał „kurwa” nad jej łóżkiem.

Maja Larsson przyglądała się Rebecce. Badała ją wzrokiem. Niczym lisica, która zatrzymawszy się na skraju lasu, próbuje odgadnąć, czy obcy wśród drzew to wróg czy przyjaciel. W końcu odpowiedziała. Jej głos był cichy i miękki. Srebrne węże wiły się na głowie.

– Wiem, kim pani jest, Rebeko Martinsson. Córką Mikka i Virpi. Wróciła pani w rodzinne strony. Chociaż nie wiedziałam, jak pani teraz wygląda. Spotkałam panią parę razy, kiedy była pani dzieckiem. Wie pani, jak to jest na wsi.

– Nie.

– Możliwe, że pani nie wie. Jest pani prokuratorką. Ludzie nie mają odwagi z panią zadzierać. Ale Sol Britt...

Pokręciła głową. Jakby chciała powiedzieć, że nie ma siły wyjaśniać wszystkiego do początku.

– Proszę, niech pani opowie.

– A niby dlaczego? Niejeden we wsi to kawał drania, owszem. Ale to nie znaczy od razu, że ją zamordował... Opowiem, a pani później będzie chodziła od domu do domu, zadawała pytania. Ludzie okrzykną mnie kapusiem i nawrzucają kamieni przez okno.

– Ktoś ją zakłuł na śmierć – powiedziała Rebeka twardym głosem. – To nie było jedno ukłucie, tylko sto. Widziałam. Pomoże mi pani?

Maja Larsson położyła rękę na karku i świdrowała Reбекę spojrzeniem.

– Potrafi pani przekonywać.

– Tak. Potrafię.

– Znałam pani mamę. Chodziłyśmy razem na tańce. Była bardzo ładna. Miała masę wielbicieli. Później spotkała pani ojca, wyszła za niego za męża, a ja się przeprowadziłam, straciłyśmy kontakt. Sol Britt czasami też z nami chodziła potańczyć, chociaż była młodsza. No, ale to była moja kuzynka. Aż

kiedyś wpadła. Kiedy urodziła Mattiego, miała tylko siedemnaście lat, a jego ojciec ulotnił się, zanim mały skończył roczek. Nawet już nie pamiętam, jak się skurczybyk nazywał. Wyjechał stąd i dobrze mu się ułożyło, zaczął pracować w Scanii jako kierowca wózka widłowego. W każdym razie Sol Britt spotkała nowego mężczyznę. Dość szybko się rozstali. Później pojawił się kolejny. Pił. Przyprawiał do domu kumpli i wszczywał awantury. Wyrzuciła go na zbity pysk. Więcej nie trzeba. Matti nieraz słyszał w szkole, że jego mama to kurwa i że pije.

– A piła?

– Tak. Piła za dużo. Ale wie pani co? Mnóstwo ludzi pije. Tylko że Sol Britt stała się taką osobą, przy której wszyscy zasrani nieudacznicy mogli się poczuć lepsi. Wszystkie wiejskie baby, które nie muszą liczyć się z każdym groszem. Myślę, że życie z facetem idiotą jest do wytrzymania, jeśli kobieta postanowi, że najgorsza rzecz, jaka jej się może przytrafić, to życie bez niego. U boku mężczyzny ma przynajmniej wyższe notowania. I może ciągnąć gorzałę z czystym sumieniem, bo wiadomo, że Uusitalo i tak ciągnie więcej. Bo zawsze, kiedy idzie przez wieś po kieliszku, z definicji jest pijana. Wstyd i żenada, nie? Podczas gdy wszyscy inni mogą ją odwiedzać w każdym stanie po spożyciu, że tak powiem. Przychodzili do niej faceci zalani w trupa, pokłóceni z żonami albo przez żony opuszczeni. Przychodzili, zataczali się, a ona proponowała im kawę. Nic innego, wiem to na pewno. Nie żeby to teraz miało jakieś znaczenie, ale wiem, że tak było. Później wracali zygzakiem do domu, do sąsiada albo kumpla i chełpili się, że ją przelecieli. Pieprzeni łgarze i ich pobożne życzenia! Niejeden wyzywał ją później od kurew. Nie mogę pojąć, że ona tu ciągle mieszkała, że się stąd nie wyprowadziła.

Rebeka wyjrzała przez okno. Czyżby zaczął padać śnieg? Kilka zabłąkanych płatków wirowało bez ładu i składu, jakby nie mogły się zdecydować, czy mają spaść, czy wzlecieć w górę.

Nie chciała tego słuchać. Nie chciała słuchać o swoich rodzicach. Nie chciała wiedzieć prawdy o Kurravaarze, która nie była jej Kurravaarą.

Łatwiej mi się od tego odciąć, teraz gdy jestem dorosła, pomyślała. Nie muszę mieć do czynienia z ludźmi tego typu. Co innego wówczas, kiedy byłam mała. Kiedy miałam ich w tej samej klasie. Wtedy byłam bez szans.

– Czy ktoś jej groził?

– Część dzieciaków ze wsi pastwi się nad Marcusem. Jeżdżą razem autobusem do szkoły. Sol Britt poszła z tym do dyrektora. Rodzice się wkurzyli. Właśnie na nią! Bo odważyła się oskarżyć ich dzieci. Nie poddała

się i stawiała opór, nawet wtedy gdy Louise i Lelle Niemi wydzielali się na nią pod jej drzwiami. Robią takie rzeczy, z którymi policja sobie nie radzi. Na przykład włączają długie światła przy mijaniu. I faktycznie, nazywali ją kurwą. Wypowiadali to słowo bezgłośnie, gdy spotykali ją w sklepie, w mieście. Wnuczek błagał i zaklinał babcię, żeby nie reagowała, bo będzie jeszcze gorzej. A ich synalek popycha Marcusa ot, tak sobie, chłopiec wpada do rowu i tonie w śniegu. Zabiera Marcusowi rzeczy. W ubiegłym roku Sol Britt kupiła mu trzy plecaki. Powiedział, że je zgubił. A przecież on nie gubi swoich kłopotów.

Kobieta wyjęła brudne naczynia ze zlewu, wetknęła weń zatyczkę i odkręciwszy kran, zaczęła wkładać do spienionej wody talerze, szklanki i sztućce.

– Nie mam pojęcia, dlaczego to pani opowiadam. To idioci, ale oni jej nie zabili.

Zmywa tak, jak się zmywało kiedyś, zanotowała Rebeka. Płucze naczynia w miednicy, nie pod bieżącą wodą. Ciepłą wodę trzeba oszczędzać.

– Gdzie mieszkają?

– W tym dużym, żółtym domu w głębi zatoki. Naprawdę pani nie wie? Radzę z nimi nie zadzierać, jeśli chce tu pani dalej mieszkać.

Rebeka uśmiechnęła się krzywo.

– Zdarzało się, że zadzierałam z ludźmi. Nie pozwalałam się zastraszyć.

Teraz uśmiechnęła się Maja Larsson, równie krzywo. Przelotny uśmiech znikł z jej twarzy bardzo szybko, jakby czymś wystraszony; może smutkiem, może czyjąś śmiercią.

– Prawda. Czytałam o tym. Słyszałam też. Sporo się o tym mówi. Zabiła pani trzech pastorów, tutaj, w okolicy Kurravaary.

A gdzieś w Szwecji dorastają ich dzieci, przemknęło Rebecce przez myśl. Dzieci pozbawione ojca. Dzieci, które mnie nienawidzą.

Zajrzała do pustego notesu.

– Czy chciałaby pani dodać coś jeszcze? O Sol Britt? Jaka była w ostatnim czasie? Czy coś ją martwiło?

– Nie. Albo, szczerze mówiąc, nie wiem. Nie wiem, czybym coś zauważyła. Jestem tutaj i próbuję karmić mamę. Czuwam przy niej. Przecież jeszcze tak niedawno tu mieszkała. Krzątała się, gotowała, robiła porządki.

Obiegła spojrzeniem kuchnię.

– A teraz wygląda jak ptaszyna. Jest pani podobna do swojej mamy.

Rebeka poczuła, jak coś w jej wnętrzu stwardniało.

– Dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić czas – odparła życzliwym tonem, nie dając nic po sobie poznać.

Maja Larsson skończyła zmywanie i odwróciła się. Rebeka miała wrażenie, że przeszyła ją wzrokiem na wylot.

– Aha – powiedziała kobieta. – Takie buty. Ale pani mama naprawdę nie była złym człowiekiem. A pani tato nie był żadną ofiarą. Jeśli chciałaby pani kiedyś o tym porozmawiać, to zapraszam na kawę.

– Nie rozumiem, co pani ma na myśli – odpowiedziała Rebeka, wstając. – Odezwiemy się do pani w sprawie Marcusa.

Spojrzała na zegarek. Pora na obdukcję.

W SALI SEKCYJNEJ jak zawsze było zimno. Rebeka Martinsson i Anna Maria Mella nawet nie rozpięły wierzchnich okryć. Nad lekką wonią ciał w stanie rozkładu oraz zdecydowanie ostrzejszym zapachem środków dezynfekujących dominował dym z papierosów ordynatora Pohjanena.

Lekarz siedział na krześle, z papierosem w jednej ręce i dyktafonem w drugiej. Metalowe krzesło miało kółeczka i przypominało szkielet fotela biurowego bez oparcia. Anna Maria podejrzewała, że Pohjanen coraz rzadziej się z niego podnosi. Słyszała, że w ubiegłym roku przestał jeździć samochodem. To dobrze. Bez wątplenia był śmiertelnym zagrożeniem na drodze. Nieustannie zmęczony, połowę dnia pracy spędzał, leżąc na sofie w pokoju dla personelu. Coraz mniej Pohjanena, coraz więcej raka. Nagle poczuła, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu jest na niego zła.

Pod rozpiętym zielonym fartuchem lekarskim ujrzała T-shirt z Madonną. Wysportowana sylwetka piosenkarki, cylinder na głowie i wypływające spod niego jasne loki kłóciły się ze spopielała, martwą skórą mężczyzny. Cienie pod jego oczami były wyraźne, niemal niebieskie.

Anna Maria zastanawiała się, w jaki sposób Madonna trafiła na klatkę piersiową medyka. Widocznie dostał koszulkę w prezencie. Od córki. A może od wnuczki? Za żadne skarby nie mogła uwierzyć, że Pohjanen wie, kim jest ta kobieta w kapeluszu.

Sol Britt Uusitalo leżała na plecach na stole z nierdzewnej stali na środku pomieszczenia. Zakrwawione rękawiczki lekarza leżały obok otwartego ciała.

Trochę dalej technik sekcyjny Anna Granlund przepiłowywała czaszkę innego zmarłego. Policjantka wzdrygnęła się na dźwięk pilarki tarczowej wgrzyzającej się w kości głowy. Pomachała na powitanie do Anny, która skinęła w odpowiedzi: „zaraz skończę”. Po chwili wyłączyła narzędzie, zdjęła okulary ochronne i przywitała się z przybyłymi.

Teraz wszystkim zajmuje się ona, pomyślała komisarz Mella, spoglądając na asystentkę. Wszystkim oprócz samej myślowy.

– Palisz tutaj? – spytała Rebeka Pohjanena, gdy tylko ucichł zgrzyt pilarki. – Dostaniesz wypowiedzenie.

Mężczyzna wydał z siebie skrzeczące „he, he”! Wszyscy wiedzieli, że od wielu lat jest uprawniony do renty chorobowej. Mógł robić, co mu się żywnie podoba. Byleby tylko na drugi dzień przyszedł do pracy.

– Chcecie na mnie donieść? – wycharczał zadowolony.

– Chcę, żebyś nam opowiedział choć trochę – odparła Anna Maria, nie odrywając wzroku od zmarłej.

– Jasne, jasne – wysyczał medyk.

Machnął ręką, jakby dając do zrozumienia, że mogą sobie odpuścić tę obowiązkową szopkę, którą odgrywali za każdym razem, gdy komisarz przychodziła do niego z pytaniami, zanim skończył obdukcję. Te jego narzekania i poirytowanie, kiedy wytykał jej, że mu przeszkadza i nie pozwala pracować w spokoju. Te jej próby, żeby go udobruchać, zazwyczaj udane.

– Najpierw pomyślałem: gwoździarka – zaczął. – Widziałem kiedyś coś takiego, nawet dwa razy. Gwoździe znikają pod skórą, krwawienie jest znikome, tak jak tutaj. Przyjmując, że któryś z pierwszych strzałów jest śmiertelny. No ale nie znalazłem żadnych gwoździ, więc...

Włożył nowe rękawiczki z lateksu i przysunął do siebie tackę ze skórą pociętą na grube plastry. Anna Maria pomyślała, że przez jakiś czas nie będzie mogła wziąć do ust bekonu.

– Tutaj – powiedział, wskazując na coś. – Tutaj masz otwór wlotowy w zewnętrznej warstwie skóry. Nieznaczne pęknięcia w skórze właściwej i w tkance podskórnej świadczą o niedużym uszkodzeniu; pod wpływem zranienia tkanka nie została rozcięta. A popatrz tu. Otwory wlotowe są

zaokrąglone. I dość głębokie.

– Szydło?

– Blisko.

– Gwóźdź w desce? – próbowała zgadnąć Rebeka.

Pohjanen pokręcił głową.

W kilku miejscach przyłożył do ciała Sol Britt oba palce wskazujące oraz prawy kciuk, zaznaczając trzy rany w linii prostej.

– Pas Oriona, pas Oriona, pas Oriona – powtarzał, wskazując nowe miejsca.

– W pierwszej chwili trudno to zauważyć, ponieważ ran jest tak dużo.

– Co? – spytała Anna Maria.

– Widły – odpowiedziała Rebeka.

Pohjanen spojrzał na nią z uznaniem.

– Też tak sędzę.

Podniósł ręce zmarłej.

– Żadnych obrażeń świadczących o próbie obrony. Ponieważ krwawienie było mało obfite, zgaduję, że zabił ją już pierwszy cios.

Rebeka prawie niezauważalnie zmarszczyła brwi. Pohjanen zerknął na nią i pospieszył z wyjaśnieniem.

– Kiedy umierasz, kiedy serce się zatrzymuje i przestaje pompować krew, wówczas przestajesz też krwawić. Weźmy przykład Jezusa na krzyżu. W Piśmie stoi jak byk, że żołnierze połamali gołenie tym, którzy byli z nim ukrzyżowani, ale oszczędzili nogi Jezusa, ponieważ już nie żył. Jeden z żołnierzy przebił mu bok i natychmiast wypłynęły krew i woda. A więc ciągle jeszcze żył i prawdopodobnie zmarł dopiero ugodzony włócznią. Miałem niejedną dyskusję na ten temat z ludźmi Kościoła, którzy oczywiście wolą biblijną wersję śmierci Chrystusa.

– Ludzie Kościoła raczej nie przepadają za takimi jak wy – powiedziała Anna Maria, żeby go ożywić. – Ostatnio Marie Allen z Laboratorium Rudbecka odkryła, że szczątki świętej Brygidy i jej córki Katariny, złożone w relikwiarzu w Vadstena, w żadnym wypadku nie pochodzą od osób ze sobą spokrewnionych.

Charkotliwy śmiech Pohjanena zabrzmiał jak silnik, który nie chce zapalić.

– A na dodatek okazało się, że jedną czaszkę od drugiej dzieli jakieś

dwieście lat – zakończyła Anna Maria.

– O Boże – dodał medyk. – Nic tylko rzucić te kości dla psów.

– Jest taka... przepełniona spokojem – odezwała się Rebeka. – Myślisz, że spała?

– Wszyscy zmarli są przepełnieni spokojem – odparł sucho Pohjanen. – Niezależnie od tego, jak bolesną mieli śmierć. Zanim pojawi się stężenie pośmiertne, wszystkie mięśnie, również mięśnie twarzy, tracą napięcie.

Coś przemknęło po twarzy Rebeki. Lekarz pojął to w lot.

– Myślisz o swoim ojcu? – spytał. – W takim razie przestań. Jeśli człowiek po śmierci wygląda na pogodnego, to może faktycznie był pogodny. Przecież taka możliwość też istnieje. No. Wiele urazów powoduje natychmiastową śmierć.

Wskazał na ranę między pępkiem a kością łonową zmarłej.

– Tutaj doszło do przekłucia tętnicy głównej. Właśnie brzuszna część aorty przecinali samurajowie, kiedy popełniali seppuku. Stwierdziłem też krew w worku osierdziowym i jeżeli miałbym zgadywać, to był pierwszy cios. Przyjrzałem się uważnie tej ranie, są tam ślady rdzy, jestem tego niemal pewien. Jeśli chcecie, to wyślę próbkę do laboratorium.

– A więc stare widły – powiedziała Rebeka.

– No, nowych to raczej już nie ma. Używa się takich jeszcze?

– I leżała w łóżku, kiedy... – zaczęła Anna Maria.

– Tak, z pewnością. Nie będziemy jej teraz odwracać, ale są ślady po kilku ukłuciach, które przebiły ciało na wylot, na przykład tutaj, nad obojczykiem. Materac musi być podziurawiony w ten sam sposób.

– Morderca musiał stać na łóżku, pochylony nad nią – ciągnęła komisarz. – Albo obok łóżka. To ciężkie zadanie.

– Bardzo ciężkie – zgodził się Pohjanen. – Zwłaszcza gdy zadajesz ciosy w nogi. Tylko że kiedy dopuszczasz się takiego czynu... Jest w tym jakiś brak opamiętania. Adrenalina przepełnia ciało. Rozpiera cię niepohamowana wściekłość albo ekstatyczna radość. Nie potrafisz się powstrzymać. Wymierzasz kolejne ciosy, choć ofiara już nie żyje. To zazwyczaj świadczy o zaburzeniu psychicznym.

– Sprawdzimy oczywiście w psychiatryku, czy nie wypuścili jakiegoś wariata.

Powinna była ugryźć się w język. Kurza dupa, że też zawsze musi palnąć jakąś gafę! Przecież Rebeka była na przymusowym leczeniu psychiatrycznym. Poddawano ją elektrowstrząsom. Miała halucynacje, krzyczała. To było po tym, jak Lars Gunnar Vinsa zastrzelił syna, a potem siebie. Anna Maria nigdy z nią o tym nie rozmawiała. To było takie niepojęte. Nawet nie wiedziała, że w dalszym ciągu stosuje się terapię elektrowstrząsową. Myślała, że to odległa historia. Jak w filmie *Lot nad kukułczym gniazdem*.

– Ależ się zrobiło cicho – zaskrzeczał Pohjanen.

Sytuację uratował telefon policjantki, który rozbrzmiał znajomym sygnałem. Odebrała z ulgą. Dzwonił Sven Erik Stålnacke.

– Myślałem, że konferencja prasowa jest zaplanowana na jutro rano – zaczął bez wstępów.

– Bo jest – odparła komisarz Mella.

– Ach tak. To ciekawe, dlaczego von Post stoi w sali konferencyjnej i rozmawia w najlepsze z gromadką dziennikarzy.

Anna Maria zdusiła w sobie: „Co ty mi tu, kurwa, opowiadasz?!”.

– Zaraz tam będę – powiedziała tylko i się rozłączyła. – Nie będziesz zadowolona – zwróciła się do Rebeki.

WE MEET AGAIN, pomyślał prokurator Carl von Post, widząc wysiadające z samochodów Annę Marię Mellę i Rebekę Martinsson. Pieprzniete ciućmy.

Rebeka Martinsson. Minęło ładnych parę lat, odkąd przyjechała do miasta i wtrąciła się w jego dochodzenie w sprawie zabójstwa Wiktora Strandgårda. Od samego początku, gdy tylko wysiadła z samolotu, wydawało jej się, że jest Bóg wie kim. Utalentowana adwokatka z kancelarii Meijer & Ditzinger. Phi, jakby to coś znaczyło. Jej partner był współwłaścicielem firmy. Von Post od razu zrozumiał, jak zdobyła tę pracę. Ale media, ci wszyscy zasrani dziennikarze... uwielbiali ją. Po rozwiązaniu sprawy morderstwa można było o niej przeczytać w każdej gazecie. Jego natomiast przedstawiono jako idiotę, który zaaresztował niewinną osobę. Myślał, że się jej pozbędzie, ale gdzie tam. Martinsson się tu przeprowadziła i zaczęła pracować w prokuraturze. Ona i ta karlica Mella raz po raz potykały się w śledztwie dotyczącym morderstwa Wilmy Persson i Simona Kyrö. To cud, że złapano sprawcę. A

prasa – znów ci skurwiele dziennikarze – rozpisywała się o niej jak o jakiejś Modesty Blaise.

On zaś rok w rok zajmował się pijakami za kierownicą, pobiciami i kradzieżami skuterów. Z reguły. No, miał też jedno morderstwo. Pewnego sobotniego wieczoru mieszkaniak Harads zatłukł brata.

Carl von Post utknął w prokuraturze okręgu Lappland. To ich wina. Tej cholernej Modesty Blaise i wodzonej przez nią na pasku policjantki. Posada w znaczącej stołecznej firmie adwokackiej była marzeniem ściętej głowy. Ale tym razem podjął decyzję. Zajdą zmiany. Teraz nadeszła jego kolej. Teraz o nim zrobi się głośno. To o nim będą się rozpisywać. Właśnie takiego spektakularnego morderstwa potrzebował. Jej ono nie jest potrzebne. Dopilnował więc, żeby mu je przyznano. A te dwie ciucmy już go nie odzyskają, wkrótce to odkryją.

Carl von Post odwrócił się do zebranych dziennikarzy. Wszyscy spoglądali kątem oka na swoje iPhone'y, przeglądali wpisy na Twitterze i Flashbacku w poszukiwaniu dodatkowych informacji. Włączono mikrofony. „Expressen” i „Aftonbladet” wysłały solidnych wolnych strzelców. Reporterzy z „NSD” i „Norrbottens-Kuriren” stali trochę dalej, w korytarzu, z nadzieją, że uda im się złapać kogoś znajomego. Mężczyźni z SVT i TV4 jeździli wkoło gigantycznymi kamerami. Byli też ludzie, o których prokurator nie miał zielonego pojęcia. Wszyscy się wdzięczyli, próbując wyrwać dla siebie dodatkowy komentarz po zakończeniu konferencji.

– Za pięć minut – oznajmił i zapraszającym gestem wskazał rzędy krzeseł w sali konferencyjnej.

Nie tracąc ani chwili, pospieszył w kierunku wyjścia, żeby porozmawiać z przybyłymi kobietami na osobności.

Anna Maria kroczyła na spotkanie prokuratora. Carl von Post szedł teraz wolniej, nie chciał pokazać, jak bardzo jest zestresowany. Przez szklane drzwi policjantka zdążyła jednak dostrzec jego zawrotne tempo. Rebeka została trochę w tyle.

– Serwus! – wykrzyknął i szeroko się uśmiechnął. – Dobrze, że przyszłyście. Słyszałem, że wracacie od medyka sądowego. Może zdacie mi szybciotko relację, bo...

– Wiesz co? – przerwała mu Anna Maria. – Za chwilę trafi mnie szlag. Więc gdybyś powiedział mi dobre słowo, takie na uspokojenie...

– O co ci chodzi?

– O co mi chodzi?!

Ręce policjantki uniosły się w górę, by po chwili spocząć na głowie, jakby miały zapobiec eksplozji.

– Zwołałeś konferencję prasową. Teraz. A ja zapowiedziałam ją na jutro rano. Na ósmą.

Von Post skrzyżował ramiona na piersi.

– Przykro mi, że wszystko potoczyło się tak szybko. Naturalnie powinienem był cię powiadomić o zmianie terminu. Prowadzę dochodzenie przygotowawcze i uważam, że im wcześniej porozmawiamy z prasą, tym lepiej. Wiesz przecież, jak to się skończy, jeśli tego nie zrobimy. Nasi zaczną sprzedawać informacje popołudniówkom, które nie zawahają się przed niczym, żeby tylko zwiększyć nakład.

– Nie musisz mnie uczyć, jak powinniśmy się obchodzić z mediami. I co to znaczy, że prowadzisz dochodzenie przygotowawcze? Przecież prowadzi je Rebeka.

Von Post spojrzał na prokurator Martinsson, która właśnie stanęła obok policjantki.

– Nie, nie prowadzi – odpowiedział chłodno. – To decyzja Alfa Björnfota.

Alf Björnfot był prokuratorem rejonowym. To on przekonał Rebece do pracy w prokuraturze, kiedy kilka lat temu zrezygnowała z posady w kancelarii adwokackiej w Sztokholmie i przeprowadziła się do Kiruny.

Anna Maria otworzyła usta, aby powiedzieć, że to, kurwa, nieprawda, ale momentalnie je zamknęła. To oczywiste, że von Post nie przyjechałby tutaj na własną rękę. Nie był głupi. To znaczy, owszem, był, ale nie w ten sposób.

Rebeka bez słowa skinęła głową. Kilkusekundową ciszę przerwał Carl von Post.

– Jesteś zbyt blisko związana ze zmarłą, po prostu. Alf poprosił mnie o przejęcie sprawy.

– Nie znałam jej.

– Nie znałaś, ale mieszkasz w tej samej wsi. Prędzej czy później pojawi się w dochodzeniu jakaś znajoma osoba. Powstanie drażliwa sytuacja. Powinnaś to zrozumieć. Björnfot musiał cię wyłączyć, żeby uniknąć podejrzeń o stronniczość prokuratora.

Spojrzał na nią. Ani drgnęła.

Najprawdopodobniej ma lekki uraz mózgu, pomyślał. Lekkie upośledzenie umysłowe.

Rebeka przybrała obojętny wyraz twarzy. Z wysiłku zabolęło ją czoło, była jednak prawie pewna, że nie uzewnętrzniła emocji. Pozbyli się jej jak jakiegoś śmiecia. Alf nawet do niej nie zadzwonił.

Byle tylko nie pokazać, że czuję się dotknięta, pomyślała.

To by dopiero była gratka dla von Posta. Przeszcześnieśliwy, obżerałby się jej zranioną dumą jak padliną.

– I chyba trochę się o ciebie niepokoi – mówił dalej miękkim głosem. – Przecież chorowałaś, a taka historia mogłaby ci solidnie zszarpać nerwy.

Przechyliwszy głowę, przyglądał się Rebecce.

Nie odpowiadaj, upomniała się w duchu.

Von Post westchnął, zrezygnowany, i rzucił okiem na swojego iPhone'a.

– Zaraz zaczynamy – dodał. – Co powiedział lekarz? Krótko.

– Nie mam czasu – odparła Rebeka. – Muszę odebrać psy.

Nie ruszyła się jednak z miejsca. Stała jak zamurowana.

– Nic nie powiedział – wtrąciła Anna Maria. – Nie zdążył.

Obie kobiety skrzyżowały ręce na piersiach. Rebeka opuściła je pierwsza, obróciła się na pięcie i poszła.

Von Post podążył za nią wzrokiem, kiedy wsiadła do samochodu i odjechała. Ach, to tak!

W ten sposób pozbyłem się jednego Murzyniątka, pomyślał.

Nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

Został jeszcze tylko jeden. I niech sobie nie wyobraża, że wszystko mu wolno. Przeklęta baba!

– Nie mam czasu na fochy, Mella – powiedział głucho. – Albo przekazujesz, co Pohjanen miał do powiedzenia, albo wyłączam cię ze śledztwa.

Anna Maria spojrzała podejrzliwie na prokuratora.

– Mówię poważnie – kontynuował von Post, nie spuszczając wzroku. – Policjant, który zataja informacje przed prowadzącym dochodzenie przygotowawcze, nie potrafi współpracować. Obiecuję ci, osobiście dopilnuję, żebyś została przeniesiona do drogówki. *Länspolismästaren*⁶

czasami pożyczają ode mnie mieszkanie w Riksgränsen.

Patrzył na nią spod podniesionych brwi. No, to jak?

– Tylko że Pohjanen naprawdę nie miał nic do powiedzenia – wyznała Anna Maria.

Zaróżowały się jej policzki.

– Najprawdopodobniej została zakłuta widłami. Śmierć nastąpiła bardzo szybko. Szalenie dużo ukłuć. Albo ciosów. Albo jak to nazwać...

– Świetnie – odparł von Post i poklepał policjantkę po ramieniu. – No to zaczynamy. Pora na konferencję.

– CZY TU ZAWSZE jest tak dużo śniegu?

Panna Elina Pettersson ogląda Kirunę z sań. Siedzi na koźle sama, ponieważ woźnica od jakiegoś czasu idzie obok i prowadzi buchające parą konie.

– Nie – odpowiada chłopak. – To znaczy tak, zawsze jest dużo, ale przez ostatnie trzy dni mieliśmy prawdziwą nawałnicę. A dzisiaj rano nagle wiatr ucichł i wyszło słońce. Panienska niech sobie od razu zapamięta. To są góry. U nas pogoda zmienia się z minuty na minutę. W Midsommar⁷ przeszłego roku pojechali my, młodzi, na tańce pod Jukkas. Ciepło i lubo już było. Drzewa wypuszczały listeczki. A z wieczora zaczął padać śnieg.

Młodzian śmieje się na wspomnienie.

Cała osada spoczywa pod grubą pierzyną. Śnieg zalega wysoko pod ścianami domów, które jak gdyby ubrały się w długie, białe spódnice. Na dachach uwijają się jak w ukropie mali chłopcy. Rozebrani do pasa, w ciężkich butach, zgarniają śnieg.

– Inaczej dachy mogą się zawalić, zanim to wszystko stopnieje – komentuje woźnica.

Uliczne latarnie mają białe papachy, a masyw, z którego wydobywa się rudę, jest otulony miękkim puchem i nie różni się wyglądem od innych gór. Gałęzie brzoź chylą się pod ciężarem ku ziemi i tworzą bajkowe portale, mieniając się w słońcu. Elina, oślepiąca światłem, przymyka oczy. Nawet mrużenie sprawia jej trudność. Słyszała o ślepoty śnieżnej. Czy właśnie o to chodzi?

– Panienska tu spocznie – odzywa się chłopak, kiedy zajeżdżają na miejsce. – Ktoś później panienkę odbierze. Bagaże niech leżą w saniach, to potem z nimi przyjadę.

Elina zostaje sama w szkolnej sali. Jest niedziela i kompletnie pusto. Osobliwa cichość. We wpadających przez okno promieniach słońca podrywa się do tańca welon kurzu.

Jest tu tablica, świetnie; jest wiele plansz, a na nich sceny biblijne, mapy, ilustracje roślin i zwierząt. Już słyszy, jak opowiada dzieciom najciekawsze historie ze Starego Testamentu; o Dawidzie i Goliacie, oczywiście o Mojżeszu w sitowiu, o dzielnej królowej Esterze. Ciekawe, jak dużo znanych jej roślin i zwierząt występuje tak daleko na północy. Dzieci powinny, rzecz jasna, założyć zielniki, powinny poznać własną florę i faunę. Nauczycielka zatrzymuje wzrok na fisharmonii, na wiszącej obok gitarze.

Zastanawia się, jak długo przyjdzie jej czekać, jest bowiem bardzo głodna. Ostatnie kanapki w podróży zjadła wczoraj koło drugiej. Czyli prawie dobę temu.

Nagle słyszy trzask drzwi wejściowych. W korytarzu ktoś otrzepuje buty ze śniegu. Po chwili otwierają się drzwi do klasy i na progu staje kobieta w jej wieku. Nie, chyba jednak trochę młodsza, dostrzega Elina. Na pierwszy rzut oka zmyliły ją zaokrąglone kształty, obfite piersi i pupa. Do twarzy dziewczynie w młodzieńczym tłuszczyku, przynajmniej na razie, bo wkrótce z pewnością zamieni się w stateczną matronę. Ale urodziwa z niej osobka. Na dobrą sprawę są do siebie trochę podobne; obie mają kartoflane noski i krągłe policzki. Tyle że nieznajoma jest ciemnowłosa. Z jej brązowych oczu bije ciekawość. Jakby wyglądały kogoś, kto za moment ma objawić radosną nowinę.

– Panienska Elina Pettersson?

Dziewczyna wyciąga rękę. Odrobinę spierzchłą i zaczerwienioną. Skórę ma twardą, paznokcie bardzo krótkie. To ręka kobiety pracującej.

Ręka mojej matki, myśli nauczycielka i nagle wstydzi się swej wypielęgnowanej dłoni.

– Jestem gosposią dysponenta Lundbohma. Klara Andersson. Może mnie panienska nazywać Kruszką. Bo myślę, że nie musimy być takie formalne, teraz gdy będziemy razem mieszkać. Chodź!

Bierze Elinę pod rękę i wyprowadza na śnieżne słońce. Jej kroki są szybkie. Elina niemal biegnie. Kruska rozprawia wesoło, jakby znały się od zawsze.

– Powiem tak: nareszcie! Powtarzałam dysponentowi setki razy, że chcę mieszkać na swoim. Do dzisiaj sypiałam u niego w służbówce. Ale ci wszyscy goście! Artyści i przemysłowcy, górmistrzowie i szaleni poszukiwacze przygód, którzy przyjeżdżają w góry, gubią się, a potem trzeba ich ratować. Najpierw człowiek musi przygotować im posiłek, żeby mogli się najeść i napić, później to wszystko podać. O każdej porze dnia i nocy; mamusia dysponenta zrobiła chyba dość dużo, żeby rozpuścić synalka jak dziadowski bicz. I kiedy w końcu padam na łóżko i wiem, że za parę godzin znów czeka mnie niewolnicza harówka, no to wtedy schodzą się podpici goście i zaczynają drapać w drzwi i skomleć jak psy. Pfe! Stare dziadki! Rygluję drzwi na noc, ale ze spania nici. No, pan dysponent nie. On nigdy... W każdym razie teraz będę miała własny kąpiel.

Potrząsa kluczem przed Eliną.

– Panienska naturalnie przyzwyczajona do własnego. Ale w Kirunie brakuje mieszkań. Musimy się nimi dzielić.

Ściska jej ramię.

– A ja chętnie się z tobą podzielę. Od razu to wiedziałam!

Mieszkanie nosi nazwę B12; to skrót od budowli numer dwanaście. Określa się ją mianem blaszanego rożka. Spod śniegu i lodu ledwie widać, że ściany są zielone. Blaszane dachy zaś czerwone, objaśnia Kruszka.

– Zobaczysz w lecie, jak się żarzą w słońcu w środku nocy! To przepiękny widok!

Mieszkanie na piętrze składa się z kuchni i pokoju. Żadnych mebli. Podłoga ze zwykłych desek.

– Piec! – wybucha Kruszka. – Prawdziwy piec z piekarnikiem!

Przeprowadza inspekcję husqvarny. Krążki są całe, popielnik również. A do tego dwie blachy.

Kruszka odwraca się do Eliny z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Codziennie rano będziemy piekły chleb. I sprzedawały robotnikom. Jeżeli ty i ja zamieszkamy w kuchni, to możemy wynająć pokój. Bez problemu zmieszczą się w nim cztery osoby. W ciągu dnia materace postawi się na sztorc. Tutaj staną stół z opuszczanym blatem i dwa krzesła. Doskonałe miejsce do czytania, pracy albo przyjmowania uczniów. Współlokatorzy będą wracać do domu dopiero o ósmej, dziewiątej wieczorem. Trochę wcześniej, jeśli będą chcieli zjeść tu kolację, to by nam zasiliło domowy budżet. Ale

wyłącznie ze śniadaniem, wtedy zarobimy na nich osiem koron tygodniowo. A do tego trochę grosza ze sprzedaży chleba.

Słuchając opowieści o chlebie, śniadaniu i kolacji, Elina musi usiąść, tak bardzo jest głodna. Osuwa się na skrzynię z drewnem. Kruszka w lot pojmuje, o co chodzi.

– Ależ ze mnie gapa! – wykrzykuje, chwytając głowę Eliny w swoje ręce i całuje ją w czoło. – Powinna się była połapać.

Rozkazuje nauczycielce, żeby nie ruszała się z miejsca. Ona za chwilę wróci.

Elina czuje, jak wypełnia ją radość. Jakby w jej żyłach złotym strumieniem krążyło przedwiosenne słońce. Czuje, że właśnie zyskała przyjaciółkę. Wesołą, słodką i nie dającą sobie w kaszę dmuchać. Przyjaciółkę, która w te pędy wybiegła z domu, bo Elina „musi coś włożyć do ust”!

Rozgląda się dokoła. Tutaj musi stanąć rozsuwana ława kuchenna. Na podłodze dywaniki. Ściany trzeba odmalować, na biało, rzecz jasna; będzie chędogo i ze smakiem, zgodnie z zaleceniem Ellen Key. A w oknach pelargonie, w sam raz na lato.

Myśli o tych wszystkich wieczorach i niedzielach, które przez ostatnie trzy lata spędzała w samotności. Nigdy więcej!

Kruszka wraca w towarzystwie młodszej służącej, która pomaga jej dźwigać rzeczy niezbędne do robienia porządków: fartuchy, wiaderka, ścierki, szare mydło, szczotki i ogromną balię do grzania wody. Wyciąga kanapki dla Eliny oraz kawałek niemal czarnego mięsa renifera. Kroi je w cienkie plastry.

– Takie suszone i solone mięso smakuje może dziwnie, jak człowiek nieprzyzwyczajony, ale naprawdę dodaje sił. Spróbuj! A ja zacznę tutaj chędożyć. Jesteś ubrana do podróży, więc pomyślałam...

Elina się śmieje. Bo jeśli Kruszka sądzi, że nauczycielka to taka szlachetna panienska, która nie ma pojęcia o sprzątanii... Przecież ubrania można wyprać. Jak tylko dostanie fartuch, to pokaże, co potrafi!

Kruszka odpowiada ze śmiechem, że jeszcze nie spotkała nikogo, kto by się z nią mierzył w robieniu porządków. Dysponentem wieczorem zajmą się młodsze służące. Wyjęła pieczeń; pan Lundbohm nie oczekuje dzisiaj żadnych gości, Kruszka może się tu zatem krzątać do północy.

Mieszkanie nie jest duże; z pomocą młodszej służącej uwijają się błyskawicznie. Napęniają balię śniegiem z podwórza i stawiają ją na piecu.

Czyszczą sufit szczotką na kiju, wycierają ściany i drzwi, na klęczkach szorują podłogę. Przychodzi do nich sąsiadka z dołu i nie tracąc humoru, prosi o ostrożniejsze gospodarowanie wodą, bo jej się leje na głowę. Dziewczęta zbierają mydliny, raz po raz płuczą ścierki, a w końcu wycierają wszystko do sucha. Z podłogi i balii unosi się para, mieszkanie zamienia się w saunę. Sprzątaczkę otwierają okna na oścież i wdychając rześkie powietrze, zmieszane z zapachem szarego mydła, pucują szyby gazetami. Śpiewają na całe gardło: psalmy, szlagiery oraz szansonetki o morderczyniach dzieci, nieszczęśliwych miłościach i biednych dzieciach, umierających raz na to, raz na tamto.

Po południu przyjeżdża dwóch mężczyzn z meblami Kruszki. Wnoszą na piętro rozkładaną ławę kuchenną, dokładnie taką, jaką Elina widziała w wyobraźni, pierzynę, kołdrę i poduszki, niewielki stół z opuszczanym blatem, dwa krzesła ze szczebelkowym oparciem, szafkę na miednicę i dzbanek. Stos ściereczek, obrusów i gałgankowych dywaników. Dwa kufry z resztą dobytku.

Kruszka i Elina siedzą na skrzyni z drewnem i piją gorącą kawę. Zmęczone sprzątaniami, czują każdy mięsień. Czują, jak obsychający pot pokrywa skórę cienką warstwą soli.

Wiedzą jednak, jak kokietować uśmiechem tragarzy. Prostują karki, odgarniają włosy, częstują kawą z ciasteczkami. Myk, myk, myk – mężczyźni przynoszą deski i zbijają dwa kozły, z których rano będzie można składać ławę dla śniadających współlokatorów. A nieużywane – razem z blatem – włożyć pod ławę kuchenną.

W drodze powrotnej tragarze spotykają na schodach woźnicę, który wraz z kolegą próbuje wnieść na górę kufry Eliny.

Większy kufer sprawia im kłopot, tyrają jak woły, o mały włos nie wypuszczają go z rąk i sami nie zostają przygniecieni. Starsi koledzy zawracają i podają im pomocną dłoń.

– Co w nim masz? – pyta Kruszka.

Wszyscy patrzą na Elinę.

– Musiała to panienka brać ze sobą rudę żelaza? – odzywa się jeden z młodzików. – U nas ci jej pod dostatkiem.

– To moje książki.

Oczy Kruszki zaokrąglają się jak u wiewiórki.

– Książki? Jezusie miły! A gdzie my je postawimy?

– Myślałam, że będziemy miały regał...

Kruszka patrzy na Elinę, jakby ta właśnie zaproponowała, żeby trzymały w domu tygrysy i słonie. Regał na książki! Takie rzeczy mają przecież tylko jaśniepaństwo.

Mężczyźni śmieją się serdecznie i obiecują, że za chwilę wrócą z kolejną partią desek i gwoździ. Ale wtedy Kruszka musi się odwdziżyć obiadem, bo niejedno słyszeli o jej sztuce kulinarnej. Gosposia kiwa głową, nieobecna duchem. Nie potrafi oderwać oczu od kufra.

PROKURATOR REJONOWY Alf Björnfort spojrział na wyświetlacz telefonu. Rebeka Martinsson. Zaklął pod nosem. Powinien był do niej zadzwonić. W pierwszym odruchu pomyślał, że nie odbierze. Ale przecież aż tak się nie zeszmacił.

– Cześć, Rebeko – odpowiedział. – No więc, kurczę blade...

– Chciałeś do mnie zadzwonić? – przerwała mu.

– Tak – odparł szybko i wciągnął powietrze. – Ale... dzień przeleciał jak z bicia trząśł. Sama wiesz, jak to jest.

Żadnego przeproszania, upomniał się w duchu.

– Proszę, mów dalej – zachęciła Rebeka zwodniczo spokojnym głosem. – Bo ja nie za bardzo wiem, co mam powiedzieć.

– Yh... Calle von Post przyszedł do mnie i... no, zaproponował, że przejmie postępowanie przygotowawcze. Ofiara mieszkała w Kurravaarze, czyli tam gdzie ty, i... Rozumiesz.

– Nie.

– Daj spokój, Rebeko. Przecież we wsi wszyscy się znają. Prędzej czy później powstanie taka sytuacja, że zajdzie podejrzenie o stronnictwo.

– Ale gdy prowadzę inne dochodzenia, wszystko jest w porządku, tak? Przekroczenie dozwolonej prędkości na skuterze, kradzieże silników, włamania?...

– Media skupiają na tym morderstwie tysiąc procent uwagi. Zjedzą nas na śniadanie za każdy najmniejszy błąd. Doskonale o tym wiesz.

W słuchawce zaległa cisza.

– Halo?

– Chyba lepiej, żebym się nie odzywała.

W jej głosie zabrzmiał smutek. Björnfort wolałby usłyszeć złość.

– A co miałem zrobić?

– Może po prostu mi zaufać? Zaufać, że się wycofam, jeśli zajdzie taka potrzeba? Dokładnie tak, jak w każdym innym przypadku. A nie uciekać z podkulonym ogonem pod silną presją mediów. To moje morderstwo. A ty sprezentowałeś je Carlowi i nawet mnie o tym nie powiadomiłeś.

Prokurator przejechał dłonią po twarzy, usiłując stłumić ciężkie westchnienie. Z głębi jego płuc wydostał się dźwięk, którego nie powstydziliby się płetwal błękitny.

Dlaczego do niej nie zadzwonił? – zadał sobie pytanie. Była bezsprzecznie najlepszym prokuratorem w rejonie. Przecież sam ją prosił, żeby przyjęła tutaj posadę. Zrekapitulował szybko przebieg wydarzeń.

Von Post przyszedł do niego i oznajmił: „Teraz moja kolej”. Potem wyłuszczył problem ryzyka stroniczości. To, co mówił, wydawało się mieć ręce i nogi. Poza tym przyznał z pokorą, że sprawa afery podatkowej, w której mu pomaga, najzwyczajniej go przerasta. Mogłaby się nią zająć Rebeka, zaproponował. „Ona wiedziałaby, jak to ugryźć”, powiedział. „Nikt nie zna się na prawie podatkowym lepiej niż ona”.

Zgodził się więc. Ale dlaczego zwlekał z telefonem do Rebeki? Ponieważ już wtedy gdzieś tam w środku wiedział, że postąpił nie fair. Chciał uniknąć konfliktu z von Postem. Chciał mu rzucić kość, żeby się odczepił. Nie przypuszczał, że Martinsson przykłada do tej sprawy aż tak wielką wagę. Myślał, że fajnie będzie pracować z nią przy wyjaśnianiu podatkowych przekrętów, bo von Post ciągle był niezadowolony. Myślał, że... chyba w ogóle nie myślał.

– W każdym razie teraz jest jak jest – powiedział.

Uświadomiwszy sobie, że odezwał się w nim zrzęda, próbował zmienić nastrój.

– Ale wiesz co? Siedzę tu w Luleå nad pewną aferą podatkową i potrzebowałbym kompetentnej osoby, która by się przyjrzała tej sprawie. Co ty na to?

Momentalnie pożałował swych słów.

– No chyba żartujesz – odparta niespiesznie Rebeka. – Jak ci nie wstyd? Nie, nie zamierzam grzebać w twoich skisłych dochodzeniach. Za to mam siedem tygodni zaległego urlopu. I biorę wolne już dziś. Ty albo von Post możecie zająć się jutrzejszą rozprawą karną i tym wszystkim, co leży na moim biurku.

– Nie możesz tak...

– Spróbuj mi odmówić – warknęła. – Od razu złożę wymówienie.

Björnfort się zezłościł.

– Nie bądź dzieckiem! – wybuchnął.

– Nie jestem dzieckiem! – wrzasnęła. – Jestem dorosła i wkurwiona! I cholernie tobą rozczarowana, tchórze jeden. Kto by pomyślał, że dasz dupy von Postowi?

Prokuratorowi zabrakło powietrza. Miał wrażenie, że stalowa obręcz opasuje mu klatkę piersiową.

– Co... Chyba... Dość tego! – krzyknął. – Zadzwoń do mnie, kiedy się uspokoisz – dodał, zanim się rozłączył.

Z hukiem odłożył telefon. Przez chwilę nie odrywał wzroku od leżącej na biurku komórki. Miał nadzieję, że Rebeka oddzwoni. Wówczas, kurwa, powie jej, żeby sobie za dużo nie pozwalała.

– Tylko sobie, kurwa, za dużo nie pozwalaj! – krzyknął do telefonu i pogroził mu palcem.

Usiadł i zaczął przekładać papiery. Za nic nie potrafił sobie przypomnieć, czym się zajmował przed kilkoma minutami.

Co ona sobie myśli, że kim jest? Jak miała czelność?...

Kierowniczka sekretariatu weszła do gabinetu i zapytała o rozkład posiedzeń na kolejny tydzień. Zajmowali się planowaniem przez pół godziny. Zdążyła mu minąć złość. Wytarł czoło batystową chustką do nosa. Przysiadł na skraju biurka.

Chyba wolałby jeszcze raz poczuć gniew. Z uspokojeniem nadeszła bowiem refleksja. Podsunęła mu lustro. To, co w nim ujrzał, nie napawało go radością.

Nie powinien był oddawać sprawy von Postowi. Zrobił to bez zastanowienia. Powiedział tylko: „Dobrze, dobrze, może być”. A teraz dupa zbita. Co się stało, to się nie odstanie. Nie chciał, żeby Rebeka była na niego zła.

– Popełniłem błąd – powiedział głośno.

Zatkał nos i wypuścił powietrze ustami.

– I wiem to nawet bez pieprzonej perspektywy genderowej.

O GODZINIE DZIESIĄTEJ wieczorem przychodzi z wizytą dysponent Hjalmar Lundbohm.

– Zobaczyłem, że się świeci w oknie – mówi przepraszającym tonem.

Kruszka dyga przed gościem i zaprasza go do środka.

Razem z Eliną zdążyła się umyć w resztkę wody z balii i poczęstować tragarzy smażonym amerykańskim boczkem z niebiańskim sosem cebulowym. Oni zaś raz-dwa zbili w pokoju regał na książki. Elina czuje mętlik w głowie, tak dużo się dziś wydarzyło. Ma wrażenie, że upłynął tydzień, odkąd wysiadła z pociągu, palona wstydem, gdy Hjalmar Lundbohm zniknął po zdawkowym pożegnaniu.

Teraz żałuje, że nie włożyła ładniejszej bluzki. Ale przecież nie spodziewała się wizyty. Pan Lundbohm chce jedynie oznajmić, że zaprosił gości na jutrzejszy obiad. Kruszka nie kryje zdziwienia. Dysponent uprzedza ją tylko

w wypadku większych przyjęć, a i to nie zawsze. Dziewczyna dyga raz jeszcze i zerka zaciekawiona na Elinę.

– Panna Pettersson może przyzwyczajona do własnego kąta? – pyta dysponent. – W Kirunie panuje ciasnota, musimy dzielić się mieszkaniami.

Nie daj Boże, bym znów mieszkała sama, myśli Elina, ale głośno odpowiada:

– Z pewnością będzie mi tu bardzo dobrze. Czy pan dysponent życzy sobie kawy?

Pan dysponent sobie życzy, owszem, chyba że panny mają coś mocniejszego na poczęstunek.

Piją gorącą kawę z drewnianych czerpaków. On chyba nie przywiązuje wagi do takich drobiazgów, myśli Elina. To człowiek, który jednego dnia posila się lapońskim jadłem na drewnianym talerzu, by następnego wieczoru obiadować w towarzystwie księcia malarza.

Mężczyzna komentuje urodę gałgankowych chodników i przytulność mieszkania. Rozsiada się na kuchennej ławie i słucha Kruszki, która opowiada o najbliższych planach. Jutro zamierzają malować i tapetować. Regał pomaluje się na niebiesko.

– A co będziecie na nim trzymać?

– Książki, rzecz jasna!

Gosposia wskazuje na ogromny kufer.

– Nasza nowa nauczycielka ma ze sobą całą bibliotekę.

Pan Lundbohm posyła nauczycielce długie spojrzenie. Po chwili pyta ją pokornie, czy mógłby ową bibliotekę obejrzeć.

Elinie trzęsą się ręce, ale nie ma wyboru.

A przecież jednocześnie chce pokazać, kim jest.

Na widok takiej masy książek Kruszka musi usiąść.

– To niesamowite! – wybucha. – Przeczytałaś je wszystkie?

– Tak – odpowiada Elina z odrobiną przekory w głosie. – Niektóre nawet kilka razy!

Hjalmar Lundbohm wyjmuje binokle z kieszonki.

– Sprawdźmy – oznajmia stanowczo.

Gospośnia zaczyna wyjmować książki spomiędzy lnianych ściereczek i cieniutkiego papieru, jedną po drugiej. Od czasu od czasu wygląda delikatnie bibułkę i składa ją na stosiku obok. Pan Hjalmar odczytuje tytuły na głos.

Eliną siedzi nieruchomo i tylko patrzy. Ileż uczuć się przez nią przelewa. Ileż głosów.

Jestem po prostu zmęczona, myśli, czując, jak dławi ją nagłe wzruszenie.

Głosy. Głosy kobiet w rodzinnej wsi, które przekonują matkę, że dziewczynka oszaleje od tego czytania. Że książki szkodzą. Że tylko lenie siedzą nad lekcjami. Sąsiadki, które wyrrywają jej pióro i zaganiają do zmywania. Matka, która kładzie dłoń na jej plecach i zabrania wstać od stołu. Wkłada Elinie pióro do ręki, mówiąc: „Córka ma się uczyć. Dopóki starczy mi sił, dopóty ona będzie się uczyła”. Nauczycielka, która rozmawia z mamą w kuchni i w końcu mówi: „Jeżeli zezwoli pani Elinie na studia, to ja za nie zapłacę. Nie mam własnych dzieci na utrzymaniu”.

Dysponent Lundbohm przegląda jej książki. Komentuje te, które przeczytał, pyta o te, których nie zna.

Eliną odpowiada. Niefrasobliwie i pogodnie. Bo jak wyjaśnić takiemu jegomościowi, że książki mogą uratować człowiekowi życie? On przecież zawsze miał wszystko na wyciągnięcie ręki: teatr, literaturę, studia, podróże.

Nauczycielka się uśmiecha; to jej pomaga. Wkrótce opowiada żywo, niepytana, i dotykając książek, czuje radość z ponownego z nimi spotkania.

Rośnie stos na jej kolanach. Niestety, rośnie też stos książek między nią a dysponentem.

Są wśród nich oczywiście powieści dla dzieci i młodzieży. *Przygody Hucka Finna* i *Przygody Tomka Sawyera*; zarówno ona, jak i pan Lundbohm wolą tę pierwszą. *Wyspa skarbów* oraz *Doktor Jekyll i pan Hyde*, choć ta ostatnia nie nadaje się, rzecz jasna, dla dzieci, komentuje Eliną, a potem streszcza historię Kruszce, która aż drży, radośnie podekscytowana. Wówczas Eliną wygrzebuje z kufra *Frankensteina* Mary Shelley i zapowiada wieczorne czytanie na głos.

Hjalmar Lundbohm czyta głośno kilka fragmentów z powieści Jacka Londona *Zew krwi* i *Wilk morski*. Kim Kiplinga leży owinięty w lnianą ściereczkę razem z *Pieśniami ofiarnymi* indyjskiego poety i laureata literackiej Nagrody Nobla Rabindranatha Tagorego.

Proza angielska i niemiecka. Lagerlöf, Key oraz Strindberg.

Dysponent z Eliną podają sobie nawzajem książki. Zdarza się, że trzymają jednocześnie tę samą. Czasami ona pochyla się, by przeczytać tekst, który on właśnie śledzi. Mężczyzna pachnie mydłem.

Umył się przed wizytą, przelatuje Elinie przez głowę. Czy to konieczne, jeśli przychodzi się tylko po to, żeby poinformować gosposię o liczbie zaproszonych gości?

Kruszka parzy więcej kawy. Wyczarowuje odrobinę sera kawowego⁸ i odłupane z głowy cukru kawałki. Potem siorbią gorący i słodki napój, a na koniec wyławiają kawałki skrzypiącego między zębami sera.

Na samym dnie kufra leżą książki owinięte w szary papier, przewiązane sznurkiem.

– Dlatego że te tytuły nie są odpowiednie dla oczu wszystkich pracodawców – wyjaśnia Elina z podniesioną głową.

– Zobaczmy więc, ile wytrzyma ten pracodawca – mówi dysponent ze śmiechem i zaczyna otwierać paczuszki.

W pierwszej znajduje *Pennskaftet*⁹ Elin Wägner.

– Wägner i Key... – mówi Lundbohm.

– Tak – przyznaje Elina. – I Stella Kleve.

Obydwoje wiedzą, co myśli ta druga osoba. Nauczycielka sympatyzuje z pisarkami, które uważają, że miłość jest ważniejsza niż świadectwo ślubu.

I kupuje książki, dodaje w myślach dysponent. To dlatego ma kiepskie buty i znoszony płaszcz.

Ni stąd, ni zowąd ogarnia go pragnienie, by uzupełnić jej garderobę. Kupić jakąś ładną bluzkę. Najchętniej z koronkami.

W następnej paczuszce leży tomik poezji Gustafa Frödinga *Stänk och flikar*. To oczywiście, że zbiorek poezji jest obłożony szarym papierem. Poeta został przecież oskarżony za jeden ze swoich swawolnych wierszy.

Elina uwielbia Frödinga. Jak można uważać jego poezję za coś nieprzyzwoitego? Tę całą samotność, tęsknotę za miłością i bliskością? Ileż to razy, gdy siedziała samotnie w szkolnej izbie, ileż to razy znajdowała w nim pocieszenie? On był zawsze bardziej na dnie, zawsze bardziej wyobcowany.

– Nie powinien tak po prostu umrzeć – mówi Elina.

A Hjalmar Lundbohm przymyka oczy i zaczyna recytować:

Poszedłem w miasto, żeby pić
Od rana do wieczora, bez wytchnienia
Szukałem w wódce i dziewczętach ukojenia,
Bo jakżeż ciężko bez nich żyć.

Zapada cisza. Elna nie potrafi w pełni wyrazić swego zachwytu. Mężczyzna cytujący Frödinga! Z akuratną powściągliwością w głosie, bez nadmiaru emocji. Tekst mówił sam za siebie. Lundbohm zrobił krótką pauzę między „szukałem” i „w wódce”; można było odnieść wrażenie, że oto tworzy poezję, że szuka odpowiednich słów, że szuka tego wszystkiego, czego i ona poszukuje. Czegoś, co złagodzi ogarniającą ją niekiedy gorączkę, uśmierzy niepokój, ukoi samotność.

Dysponent siedzi nieruchomo, z przymkniętymi oczyma, jak we śnie.

Powinnam go pocałować, myśli nauczycielka, zdumiona siłą tego pragnienia.

Momentalnie przywołuje się do porządku. Przecież dopiero co go spotkała. Jest o wiele starszy. I gruby.

Ale kiedy tak patrzy na jego ciężkie, półprzymknięte powieki, na usta wykrzywione lekkim bólem, gdy miękkim głosem wyraża słowami poety własną tęsknotę... Wtenczas widzi w nim młodego mężczyznę, ba, młodego chłopca! Chce go poznać. W każdym okresie życia. Chce wiedzieć wszystko. Będzie go całować. Zawładnie nim.

– Boże drogi – odzywa się Kruszka. – „Szukałem w wódce i dziewczętach ukojenia”. To brzmi jak mój Johan Albin. Zanim mnie spotkał. Teraz nie pije. Ale wiecie co, moi państwo? Ja też mam książki.

Wyciąga ze skrzyni swój wkład w domową biblioteczkę.

Hjalmar Lundbohm budzi się do życia i parska zadowolony, czytając takie tytuły, jak *Za spuszczonej roletami* czy *Słodczy grzechu*.

Zakłada binokle, otwiera jedną z opowieści na chybił trafił i zaczyna czytać.

– „Leopold powoli objął ją ramieniem i patrzył, jak biała róża setkami płatków spływa po jej szyi. Najmilejsza moja, szepnął i omdlewającym z tęsknoty spojrzeniem wpił się w jej podniesione oczy. A potem złożył na jej ustach namiętny i gorący pocałunek”.

Teraz Kruszka przymyka powieki i słucha z nabożeństwem, niczym w kościele.

– Cudowne! – wybucha, gdy przebrzmiewają ostatnie słowa.

Lundbohm uśmiecha się, rozbawiony.

– Ach tak, pan dysponent śmieje się z powieści dla pań i kucharek? To mam jeszcze sporo innych.

Rozpakowuje z szarego papieru kilka paczuszek z książkami po dwadzieścia pięć öre i droższymi, za koronę. Są tam powieści detektywistyczne o Sherlocku Holmesie i Nicku Carterze oraz, oczywiście, rodzime historie pana Dusego, który stworzył detektywa Leo Carringa. Są powieści awanturnicze, romanse rozgrywające się na dzikiej Północy, są opowiadania o tajemniczych zjawiskach i powieści miłosne autorstwa poczytnej Jenny Brun.

Powietrze gęstnieje od balów, spadków, otruc cyjankiem, ubogich wieśniaczek wyrastających na wykwintne damy, sobowtórów, palarni opium, poszukiwaczy złota, piratów, świętokradców, zdradzonych kochanków, zakazanych miłości, zniweczonych nadziei, szpiegów, zazdrości, wyrzutów sumienia, fabrykantek aniołków, oszustw, zemst, szejków na pustyni, uwodzicieli, tajemniczych nieznajomych, niewinnie skazanych, hipnotyzerów, pościgów automobilowych, niedźwiedzi polarnych, tygrysów pożerających ludzi, czarujących lekarzy, przestępców bez sumienia, bezludnych wysp na Oceanie Spokojnym, ekspedycji na biegun północny, niebezpieczeństw, rozpaczy i szczęśliwych zakończeń.

Podziwiają stylowe okładki i czytają zamieszczone na nich opisy.

– Ileż tu nieobyčajnej literatury! – komentuje dysponent, uśmiechając się do Eliny.

Nauczycielka schyla głowę i przyznaje, że jest bezpowrotnie stracona.

Wtedy Kruszka głośno ziewa. Hjalmar Lundbohm podrywa się na równe nogi, jakby na sygnał trąbki.

– Wkrótce dokonam inspekcji reszty książek – zapowiada z udawaną powagą, wskazując na paczuszki leżące na dnie kufra Eliny.

Za oknem zaczyna padać gęsty śnieg.

– Znowu! – wzdycha Kruszka.

Mężczyzna żegna się i wychodzi. Kobiety ścielą rozsuwaną ławę kuchenną, wkładają koszule nocne i padają, zmęczone.

– To ci dopiero – mruczy Kruszka do ucha Eliny. – Potrafisz i się pośmiać, i posprzątać! Spadłaś mi z nieba.

Zamykają oczy i momentalnie zasypiają.

Hjalmar Lundbohm wędruje do domu, osypany śniegiem. Dokoła ani żywej duszy. Czuje się osobliwie radosny. Od dawna nie bawił się tak dobrze. W towarzystwie własnej gosposi i nowej nauczycielki.

Wypowiada na głos jej imię. Jakież to dziecinne! Ledwie słyhać. Tańczące płatki śniegu pochłaniają każdy dźwięk.

– Elina – mówi.

REBEKA MARTINSSON zapukała do drzwi Kristera Erikssona. Mieszkał w bejcowanej na brązowo, czteropokojowej willi przy Hjortvägen. To szlachetnie z jego strony, że chce opiekować się Marcusem. Ciekawe, jak mu idzie. Z głębi domu dochodziło chóralne szczekanie.

Weszła do środka i przykucnęła w przedpokoju, żeby przywitać się z psami. Tintin stała w całym majestacie na czterech łapach i z godnością pozwalała na pieśczoły. Jednocześnie obnażyła lekko zęby, przypominając młodszemu Royowi, by czekał na swoją kolej. Smarkacz w jej oczach był tylko gówniarzem, na którego nie warto zwracać uwagi; maluch wił się więc wokół Rebeki i skomląc, od czasu do czasu usiłował polizać jej twarz. Jego pani, jego piękna pani, dlaczego nie było jej tak długo? Vera przybiegła z szybkim „hej!” i równie szybko wróciła do kuchni. Rebeka podążyła za nią. Krister stał przy piecu i smażył zrzynki reniferowe, aż przyskało z patelni.

Marcus podszedł do niej na czworakach.

Miał na sobie koszulkę z wyraźnymi zagięciami.

Nowo kupiona, pomyślała Rebeka.

Jasne włosy zasłaniały chłopcu oczy. Chudziutkie nogi i ręce.

Z dziećmi jest tak ciężko, uświadomiła sobie. Dorosłego zapytałabym, jak się czuje. Czy mogłabym w czymś pomóc. Złożyłabym kondolencje. Ale co się robi ze skrzatem, który przychodzi do człowieka na czworakach?

– Cześć, Marcus! – odezwała się w końcu.

W odpowiedzi chłopiec zaszczekał ostrzegawczo.

– Coś takiego! – Rebeka zwróciła się do Kristera ze śmiechem. – Sprawilesz sobie nowego psa?

– Jasne! – odpowiedział wesoło policjant. – To dziki pies, którego Vera znalazła w lesie. Czy nie tak?

– Hau! – odparł Marcus i skinął głową.

– Ale jeszcze nie ma imienia – mówił dalej Krister. – Jak myślisz?

Rebeka podrapała chłopca po głowie i pogłaskała po plecach.

Co za szczęście, pomyślała. Akurat na psach się znam.

Chłopiec porazkował do salonu i wrócił z piłeczką tenisową. Ponieważ nie mieściła mu się w zębach, podtrzymał ją jedną ręką przy ustach.

– Śliczny piesek. Aport!

Rzuciła piłeczkę. Smarkacz i Marcus natychmiast za nią pobiegli.

Zgodziła się zostać na obiedzie. Zrzynki reniferowe z surową brzosznicą, sos i ziemniaki piure. Marcus jadł z miski na podłodze. Vera czekała cierpliwie obok, z nadzieją, że zostaną jakieś resztki.

Po obiedzie chłopiec zniknął w ogrodzie otoczonym siatką. Krister nastawił kawę i czekając, aż perkolator przestanie bulgotać, zabrał się za zmywanie.

– Chętnie przebywa na dworze, w budzie dla psa – powiedział. – Pomyślałem, że jeśli chce być psem, jeśli czuje się bezpiecznie w tej roli, to czemu nie?

– Też tak myślę. Jutro przyjedzie do nas policjantka z Umeå, specjalistka od przesłuchań dzieci. Może uda jej się przywrócić mu pamięć.

– A kto się nim zajmie? Postanowiliście już coś?

– Weźmie go kuzynka jego babci. Maja Larsson. Chwilowo mieszka w Kurravaarze, bo jej mama leży tu w szpitalu. Dam jej twój numer telefonu.

Krister skinął głową.

– Może zostać tutaj. Jeden pies mniej lub więcej... Ale, ale, słyszałem o von Poście.

Rebeka rozgniotła paznokciami kilka okruchów chleba leżących na stole.

– Jestem wyłączona – powiedziała. – Alf Björmfot oddał dochodzenie von Postowi.

– Coś takiego! Czemu?

– Twierdzi, że z powodu ryzyka stronnictwa, bo ofiara mieszkała w tej samej wsi co ja. Ale ja myślę, że von Post po prostu ma chrapkę na tę sprawę

i chce ją przejąć. I że Alf tylko...

Zakończyła zdanie wzruszeniem ramion.

– Rozmawiałaś z nim?

– Bardzo krótko.

Poczekala, aż Krister postawi przed nią kubek.

– Nazwałam go dupodajcem.

Policjant wybuchnął śmiechem.

– Świetnie. Że nie dałaś się ponieść emocjom.

Rebeka ze śmiechem dmuchała na gorącą kawę.

– Nie można tego brać do siebie – wyjaśniła łagodnym głosem. – Obrysowałam zachowanie Björnfota serduszkciem i próbowałam zrozumieć mechanizm tego zachowania z jego punktu widzenia.

– Z punktu widzenia dupodajca.

Krister spojrzał na Rebekę. Wprawił ją w dobry nastrój. Chciał to robić zawsze. Po łobuzersku wyciągać ją z chandry. Uśmiechała się z otwartymi ustami. Widział jej język. Czerwone wargi. Bez ostrzeżenia w jego głowie pojawiły się takie obrazy... Odwrócił się od stołu, znów zaczął zmywać. Czy ona cały czas musi być w ruchu? A to potrzasa głową. A to unosi barki, aż pod bluzką poruszają się piersi.

– Nie wiem, co mnie napadło – przyznała. – Byłam po prostu wściekła. I wszystko poszło tak szybko. A teraz...

Znów wzruszyła ramionami. Smutna i zmęczona.

– Wcale ci się nie dziwię – odparł Krister. – Miałaś prawo poczuć się dotknięta i wkurzona, bo zostałaś źle potraktowana.

– Tak. W każdym razie dopóki będą prowadzić śledztwo, nie zamierzam się pokazywać w pracy. Wykorzystam cały zaległy urlop.

Wypiła kilka łyków kawy i zastukała paznokciem w kubek.

– Jak myślisz, co się wydarzyło? – spytała.

– Nie wiem – odparł cicho, jakby z obawy, że Marcus go usłyszy, choć przecież nie było go w domu. – Klucie w takim zapamiętaniu... Może to sąsiad, w którym coś pękło. Sol Britt była outsiderką. Ludzie obnosili ją na językach. Łatwiej wtedy paść ofiarą szaleńca. Może to właśnie taki wariat

mordujący celebrytę albo kobietę, którą miejscowi nazywają kurwą?

– Wina – wymamrotała Rebeka. – Jeżeli każdy mieszkaniec wsi siedzi przy stole w kuchni i nazywa Sol Britt Uusitalo kurwą. Wytyka palcem. A później nagle ktoś popada w psychozę. I zakłuwa kobietę na śmierć. Kto ponosi za to winę? Cała wieś? Ja? Dlatego że tam mieszkam, ale postanowiłam być głucha i ślepa?

Krister nie odpowiedział. Rebeka utkwiała oczy w dnie kubka, jakby chciała wyczytać z niego prawdę. Nagle drgnęła. Przypomniała sobie, że obiecała Sivvingowi zrobić zakupy, kurza dupa. Rozpogodziła się i podziękowała za obiad.

Potem zniknęła. Wzięła ze sobą Smarkacza, Verę zaś zostawiła, ze względu na Marcusa.

Krister stał w kuchni. Z duszą wywróconą do góry nogami. Jak zawsze, kiedy Rebeka wpadała w jego codzienność, by zaraz z niej wypaść. Zastanawiał się, czy dziki pies ma ochotę na deser. Lody?

ANNA MARIA MELLA siedziała przy stole w kuchni i przeżuwała zimny pieczony naleśnik. Trzymała go jak kanapkę, zabrakło jej sił, żeby go podgrzać w mikrofalówce. Sztuczce leżały obok talerza, nietknięte. Robert z dziećmi objadali się cały dzień u jego siostry. Mogła więc w spokoju zebrać myśli.

Pierwsza myśl: chujowo.

Oparła łokcie o stół. Dżem z brusznicy skapnął na ceratę. Zebrała go i oblizwała palec.

Powinna była dzisiaj powiedzieć von Postowi, żeby poszedł w diabły? Powinna być lojalna wobec Rebeki?

Uświadomiła sobie, że nie ma się do kogo zwrócić.

Robert nie wchodził w rachubę. Dokładnie wiedziała, co powie: „Chwileczkę, przecież to nie ty wyłączyłaś Rebekę z dochodzenia. Dlaczego miałabyś rezygnować z tej sprawy, tylko dlatego że wymieniono prokuratora? Musisz robić swoją robotę. Nie rozumiem, w czym problem”.

Niektóre kobiety potrafiły rozmawiać ze swoimi matkami. Anna Maria nigdy tego nie doświadczyła. Rodzice mieszkali w dzielnicy Lombolo; spotykała się z nimi może raz w miesiącu. Jenny i Pettera nie mogła zmusić

do rodzinnych wizyt, coraz rzadziej widywali babcię i dziadka. Zresztą matka nie była szczególnie zainteresowana wnukami. Lubiła niemowlęta, grzeczne i łatwe w obsłudze. Starsze dzieci zaś robiły dużo hałasu, biegały i krzyczały. Zwłaszcza dzieci Anny Marii. Nie to co pociechy jej brata, mieszkającego w Piteå. Przy każdej okazji matka wspominała o jego dzieciach. Jak dobrze im szło w szkole, jakie są poukładane, spokojne i mądre. A ojciec Anny Marii...

Westchnęła. Tato chodził na spacer i sprawdzał pogodę. To było jego życie. Dlaczego rodzice sprzedali willę? Kiedy w niej mieszkali, ojciec mógł przynajmniej dłużyć trochę przy domu, zajmować się ogrodem. A teraz tylko robił swoje nieskończone rundy wokół kwartału. Z pewnością byłby niemiły dotknięty, gdyby zaczęła mu opowiadać o kłopotach w pracy.

Nie mam żadnej koleżanki, pomyślała, wyjmując czyste talerze ze zmywarki.

Ale czy to naprawdę moja wina? Pomachała widelcem w powietrzu, zanim włożyła go do szuflady. Pracuję na cały etat, mam czwórkę dzieci. Skąd brać czas na przyjaciółki? Albo siły? A kiedy już od wielkiego dzwonu umawiam się z kimś na piwo albo na wspólny trening, wtedy, jak amen w pacierzu, dzieciaki się rozchorowują. A ludzie w końcu tracą cierpliwość. Znajdują kogoś innego, z kim mogą pójść do kina.

Zamknęła zmywarkę i wyciągnęła ze zlewu ścierkę, żeby wytrzeć blaty.

Kuchnia wyglądała teraz niczego sobie. Wprawdzie ścierka cuchnęła starą pieluchą, ale w zasięgu wzroku nie było ani niepozmywanych naczyń, ani innych widocznych siedlisk brudu. Gdyby rodzina jeździła częściej w odwiedziny do krewnych, pomyślała, mogłabym siedzieć sobie w domu, w którym panuje ład i porządek.

Wtedy do kuchni weszła Jenny. Nalała wody do szklanki, wzięła jabłko i oparła się o szafkę.

– Jak ci minął dzień? – zapytała Anna Maria.

– Dobrze – odpowiedziała Jenny lekkim tonem, sygnalizując, że to nie pora na rozmowę.

Mogłabym się poradzić córki, przemknęło policjantce przez głowę. Gdybym miała odwagę.

Jenny prawdopodobnie poczułaby się rozczarowana. Powiedziałaby, że mama oczywiście powinna stanąć po stronie koleżanki, jeżeli uważa, że ta została potraktowana per noga.

Jest taka młoda, broniała się w duchu Anna Maria. Wszystko jest dla niej białe albo czarne. Albo po prostu ma rację. Przypuszczalnie ma rację.

Jenny spojrzała uważnie na mamę.

– Jak się masz, mamusiu? Louise napisała na Facebooku, że widziała cię w telewizji.

Bez uprzedzenia otoczyła Annę Marię ramionami. Jabłko w jednej ręce, szklanka z wodą w drugiej.

– Widzę, że potrzebujesz się do kogoś przytulić – powiedziała z twarzą wciśniętą w bark mamy.

Anna Maria znieruchomiała. Trzymała cuchnącą ścierkę tak daleko od siebie, jak to tylko możliwe, nie chciała jej wonią zmusić córki do rejterady.

Życie biegło tak potwornie szybko. Sprinter z niego i prześmiewca.

Przecież jeszcze nie tak dawno Jenny leżała w jej ramionach. Ssała jej pierś. A kim jest ta młoda, długonoga, umalowana kobieta?

Zatrzymaj czas, proszę, pomyślała, zamykając oczy.

Ale chwila już minęła. W jej kieszeni zadzwonił telefon. Jenny wypuściła mamę z objęć i wymknęła się z kuchni.

– Telefon Sol Britt Uusitalo – powiedział bez wstępów Fred Olsson.

Anna Maria nie mogła się pozbyć wrażenia, że kolega mówi z jedzeniem w ustach.

– Przejrzałem billingi. Dotarłem również do skasowanych SMS-ów. Myślę, że cię to zainteresuje.

MIASTO CZERNIAŁO na tle grafitowego nieba. Potężne górskie tarasy usypane ze skały płonnej. Szkieletowa wieża ratusza. Kościół wzorowany na tradycyjnym namiocie Saamów.

U drzwi Kristera Erikssona zabręczał dzwonek.

– Maja Larsson – przedstawiła się nieznajoma, wyciągając rękę.

Policjant odpowiedział uściskiem dłoni.

– Jestem kuzynką Sol Britt Uusitalo – wyjaśniła. – Przyszłam po Marcusa.

Była piękną kobietą. Koło sześćdziesiątki, zgadywał. Włosy splecione w

tysiąc srebrnych warkoczyków.

Zauważył, że jego wygląd nie wywarł na niej wrażenia. Niektórzy ludzie w trakcie rozmowy patrzyli mu intensywnie w oczy, żeby nie ześlizgnąć się wzrokiem na poparzoną skórę lub mysie uszy. Ale gdy tylko się odwracał albo kiedy był zajęty czymś innym, nie mogli oderwać od niego spojrzenia.

Maja Larsson patrzyła na niego jak siostra albo jak ludzie znający go od tak dawna, że przestali zwracać uwagę na jego zniekształconą twarz.

– Zje pani coś? – spytał, kiedy weszli do kuchni. – Zostało mi trochę z obiadu, mogę podgrzać w mikrofalówce.

Przystąpiła na posiłek, ale jadła niemrawo. Sprawiała wrażenie zmęczonej. Przez moment myślał, że kobieta za chwilę zaśnie przy stole.

Mrugała oczami powoli, jak dziecko.

– Słyszałem, że ma pani chorą matkę. Jeżeli pani chce, mogę się zaopiekować chłopcem.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Możemy się podzielić opieką – zaproponowała.

Po obiedzie poszli odwiedzić Marcusa. Zrobiło się już ciemno, chłopiec miał więc ze sobą odpowiednie wyposażenie: koce, latarkę kieszonkową i komiksy. Vera też leżała w budzie. Kiedy Krister poprosił chłopca, żeby wyszedł, usłyszeli tylko intensywne szczekanie i nie był to głos suki.

– Jest teraz dzikim psem – wyjaśnił policjant.

– Czy jest groźny?

– Nie. Myślę, że jest bardzo grzeczny.

Jakkolwiek próbowali go zwabić, nie chciał opuścić budy. W odpowiedzi na ich zachęty pomrukiwał i warczał.

– On mnie przecież nie zna – powiedziała cicho Maja. – Tutaj czuje się bezpieczny. Niewykluczone, że widział, jak Sol Britt...

– Może tutaj zostać – szepnął Krister.

– Na pewno? Dziękuję.

Głośno dodała:

– Nawet jeśli ten dziki pies jest bardzo grzeczny, to i tak nie mam odwagi wziąć go dzisiaj ze sobą. A jak przyjdę jutro, to może pozwoli się pogłaskać?

– Co na to dziki pies? – spytał Krister. – Zgadza się?

– Hau! – nadeszła odpowiedź z budy.

Maja podziękowała za obiad. Odpowiedział, że nie ma za co; przecież podzielił się tym, co zostało. Rebeka nie zjadła dużo.

Uśmiechnęła się przelotnie. To kobieta, która potrafi człowieka przejrzeć, pomyślał, kiedy odjechała.

Poczuł się trochę zdemaskowany. Od razu zgadła, że z przyjemnością wspomniał o Rebecce. Że tu była.

FRED OLSSON usiadł na krześle dla petenta w gabinecie Anny Marii i wręczył wydruki prokuratorowi oraz szefowej. Von Post przysiadł na skraju biurka.

– To są skasowane SMS-y, które udało mi się odzyskać z telefonu Sol Britt Uusitalo. Zazaczyłem te, które wydały mi się interesujące. Może da się wydobyć jeszcze więcej, ale wtedy musimy wysłać telefon do Ibas.

– Co to jest Ibas? – zapytała Anna Maria, przesuwając swoje krzesło, by zobaczyć Freda. Carl von Post zasłaniał jej widok.

– Firma specjalizująca się w odzyskiwaniu danych. W czasie wojny w Iraku kilku chłopaków przestrzeliło twardy dysk. Trzy kule z AK-5, na wylot. Jankesi przesłali dysk do Ibas i uratowali dziewięćdziesiąt pięć procent zawartości.

– Wow!

– Chociaż nie było tam nic godnego uwagi. Coś w rodzaju symulatora lotu. Raczej niewarte trzystu tysięcy, bo tyle musieli zabulić.

– Dobrze – wtrącił Carl von Post. – Świetnie, że mamy w grupie kogoś, kto jest za pan brat z technologią informacyjną. Nie myślałeś o tym, żeby starać się o pracę w SKL¹⁰ jako informatyk śledczy?

Fred pochwycił porozumiewawcze spojrzenie Anny Marii i odpowiedział takim samym. Zaraz potem utkwiał wzrok w dokumentach. Nie odezwał się.

Gdyby człowiek potrafił lepiej udawać, pomyślała Anna Maria. Robić dobrą minę do złej gry, zamiast wrogo milczeć... Wówczas już dawno siedziałby w głównym zarządzie policji. Albo przynajmniej zaszedł do Luleå.

„No to przyjdź, skoro tęsknisz”, napisała do kogoś Sol Britt. „Marcus zasnął”. „Nie da się. Jest Maja”. „Mhm, możesz to na mnie wypróbować”. „Ja też”. „Całuję, dobranoc”. Uwagę Anny Marii zwróciły cztery wiadomości przychodzące. „Można wpaść na moment?” „Tęsknię! Sama?” „Ona oszalała, mogę zajrzeć?” „Bzykanie?”

– A więc miała faceta. Kto przysyłał te SMS-y? – zapytała Anna Maria.

Fred wzruszył ramionami.

– Numer Telii. Sprawdziłem. Na kartę i niezarejestrowany, więc...

Ponownie wzruszył ramionami.

– Chociaż oczywiście... – mówił dalej – można sprawdzić, w zasięgu jakiej stacji bazowej znajdował się mężczyzna, kiedy wysyłał te wiadomości. Możemy go namierzyć z dokładnością do dwóch kilometrów. Jeżeli SMS został wysłany z Lombolo wieczorem, to możemy przypuszczać, że koleś tam mieszka. Jeżeli z kopalni, w dzień – to wychodzimy z założenia, że tam pracuje.

– Świetnie! – powiedział von Post. – Dobra robota!

– I o ile się nie mylę – kontynuował Fred, nie spuszczać wzroku z Anny Marii – to Telia dostarcza odsprzedawcom karty *prepaid* w całych seriach. Powinniśmy więc dotrzeć do miejsca, w którym sprzedano kartę, i dowiedzieć się, kiedy ją aktywowano.

– Ktoś może coś pamiętać – powiedziała Anna Maria, potakując z uznaniem.

Von Post skinął głową.

– A ten?

– policjantka wskazała na jeden z SMS-wychodzących. – Wysłany przedwczoraj. Do kuzynki, Mai Larsson.

„Muszę z nim zerwać, dłużej tak się nie da”, brzmiała wiadomość.

Von Post podniósł się zza biurka.

– Martinsson rozmawiała z Mają Larsson, prawda?

– Owszem – potwierdziła Anna Maria.

– I nie dowiedziała się o kochanku?! Ani o tym, że Sol Britt najwyraźniej z nim zerwała! Co one tam, kurwa, robiły? Piły kawę?

Z pewnością, pomyślała smętnie Anna Maria. Boże, ileż się tej kawy pije...

– Jedziemy do niej! – zarządził prokurator. – Natychmiast!

Minęło pół sekundy, zanim Anna Maria zrozumiała, że von Post ma na

myśli Maję Larsson, a nie Rebekeę Martinsson.

– Kogo chcesz tam posłać? – spytała.

– Chcę z nią porozmawiać osobiście. Ale nie mam nic przeciwko waszej obecności. Pojedziemy wszyscy razem.

Anna Maria wstała. Minęła jedenasta wieczorem. Maja Larsson prawdopodobnie już się położyła. Wyrwanie ludzi z łóżek wzbudzało w nich strach, czasami agresję. Policjant stawał się wrogiem.

Ale Sol Britt Uusitalo była związana z jakimś mężczyzną. A Maja Larsson o tym wiedziała.

Zawsze ktoś, kogo znają, pomyślała Anna Maria, ogarnięta nagłym przygnębieniem. Bliski mężczyzna. Ktoś, w kim są idiotycznie zakochane.

Fred Olsson spojrział na nią rozbieganym wzrokiem.

– Muszę z wami jechać? – spytał.

DRUGIEGO DNIA w Kirunie Elina Pettersson wkłada najładniejszą bluzkę, wmawiając sobie, że to ze względu na swój pierwszy dzień w szkole. Ma spotkać uczniów i pozostałe dwie nauczycielki.

Ale kiedy szczypie się w policzki, by stanąć w pasach, kiedy przygryza wargi, żeby poczerwieniały, myśli o panu Lundbohmiu.

A on się nie pokazuje. Ani w szkole, ani wieczorem u niej w domu, na zapowiedzianą inspekcję reszty książek w szarym papierze.

Kolejnego dnia też się nie pojawia. Następnego również.

Mijają dwa tygodnie.

Elina nie może przestać o nim myśleć. Nakazuje sobie wyrzucić go z pamięci, ale to niewiele pomaga.

Myśli o nim, kiedy czyta dzieciom *Przygody Hucka Finna*, a te gromko się śmieją, albo kiedy oczarowane siedzą z rozdziawionymi ustami, słuchając, jak opowiada im o zaginionej ekspedycji balonowej inżyniera Andrégo. O, gdyby teraz wkroczył do salki lekcyjnej, powiedział: „Nie, nie, proszę sobie nie przeszkadzać!”, zachęcił ją do zakończenia opowieści, usiadł na chwilę z dziećmi...

Myśli o nim, kiedy w śniegu oświetlonym słońcem ciągnie się za nią ogon

przystojnych, młodych robotników, którzy chcą ją zaprosić na kawę i nosić jej książki. Powinien wtedy nadejść z przeciwnej strony i przekonać się, że nauczycielka, doprawdy, nie musi spędzać wieczorów sama. Jeśli tak sądził!

Myśli o nim o zmroku, kiedy gasząc elektryczną lampę, czuje ciężący na sercu kamień. Spanie z Kruszką to prawdziwe utrapienie, mimo że za dnia tak im ze sobą dobrze. Trawiona pragnieniem, nie może zasnąć. Każdy ciepły oddech przyjaciółki to przypomnienie, to pukanie do drzwi jej pożądania i tęsknoty. Za nim.

Usiłuje koncentrować się na pracy. Dzieci tutaj też cierpią nędzę.

Ellen, Ellen, wzdycha Elina do swojej Ellen Key. Kiedyż te wszystkie maluchy zaznają lepszego losu?

W Kirunie przynajmniej mają na nogach buty, żeby mogły chodzić do szkoły. O to dba komitet pomocy ubogim. W szkolnej salce unosi się wprawdzie zapach brudu, wilgotnej wełny i przemoczonych botków z reniferowej skóry, ale nigdy nie drażni nosa woń obory. Okno otwiera się bez trudu. Kiedy świeci słońce, zawsze można wpuścić do środka trochę świeżego powietrza.

Elina i Kruszka znajdują czterech współlokatorów. Każdego ranka pieką chleb, który później sprzedają górnikom. Kruszka nigdy nie sprawia wrażenia zmęczonej. To ona budzi Elinę, podając jej czerpak z kawą. Wcześniej zdążyła zagnieść ciasto.

– Jeszcze nie minęła piąta, a już jesteśmy bogatsze o dziesięć koron – oznajmia.

Siedzą przez chwilę na skraju łóżka, moczą w kawie skibki wczorajszego chleba, rozmawiają.

Elina stara się nie wykazywać zbyt dużego zainteresowania zajęciami przyjaciółki, a mimo to każdego dnia dowiaduje się, co dysponent jadł na obiad i jakich przyjmował gości. Na szczęście wizyty składają mu prawie wyłącznie mężczyźni.

Czy on naprawdę nic nie czuł? – zastanawia się. Kiedy ich ręce się dotykały. Czy tylko przez nią przepływał ten prąd, wibrujący i ciepły?

Miłość jest jak pętla. Początkowo luźna. Później zaś im dalej on odchodzi, tym mocniej zaciskający się wokół szyi powróż czuje ona.

Gdyby padł przed nią plackiem. Gdyby uparcie starał się o jej względy. Wówczas może nie myślałaby o nim każdej minuty.

Łotr spod ciemnej gwiazdy! – myśli rozzłoszczona. Taki, jakich wielu.

I właśnie wtedy, po dwóch tygodniach od pamiętnego książkowego wieczoru, pojawia się w drzwiach jej klasy. Uczniowie zdążyli pójść do domu. Elina nie może się nadziwić.

– No proszę, pan dysponent! – wykrzykuje i przystraja się w lekki uśmiech.

Uśmiech odpowiedni dla naczelnika, przewodniczącego komisji szkolnej, rektora lub zarządcy kopalni.

Ale już po chwili milknie, bo serce tłucze się jej w piersi jak szalone, choć Elina ostro nakazuje mu spokój. Lundbohm trzyma pod pachą paczuszkę w szarym papierze.

– Mam dla pani prezent – mówi, wręczając jej zawiniątko.

– Dziękuję.

I nagle Elina w nosie ma graną przez siebie obojętność. Spuszcza serce z uwięzi, pozwala mu ruszyć z kopyta. Mruga zuchwale do mężczyzny.

– Czy to aby bezpiecznie otwierać prezenty w szkole?

– Stanowczo bym odradzał – mówi Lundbohm, uśmiechając się jak chłopiec. – Może jednak panienka zechce wypić lampkę porto u mnie w domu i w spokoju otworzyć paczuszkę?

Nauczycielka dziękuje za zaproszenie. Ramię w ramię idą w kierunku kopalni. Za każdym razem, kiedy zdarza im się dotknąć, Elina drży. To prawie nie do wytrzymania.

Dysponent mieszka w prostym domu z bali, z dosyć nową przybudówką.

– Budowla może nazbyt bezpretensjonalna – tłumaczy. – Ale takie było moje życzenie. Chciałem, by harmonizowała z tutejszą przyrodą. I z mieszkaniem robotników.

Tak, Elina już trochę o nim wie. O tej bezpretensjonalności. Słyszała o niej w mieście. Jak dysponent chodzi po ulicach w czerwonej robociarskiej koszuli i jak przyjeżdżający z wizytą dostojni goście biorą go za kogoś z ludu. Jak przebywa w towarzystwie Lapończyków i jak w kawiarenkach nie stroni od rozmów z mieszkańcami Kiruny. Słyszała też, że ma ogromne serce. Ale wie również, że jego dom przypomina zagrodę Andersa Zorna i domostwo Carla Larssona. Wszak obaj artyści służyli mu radą przy rozbudowie.

A więc tak wygląda ta jego bezpretensjonalność, myśli Elina.

Hjalmar Lundbohm jest zwykłym snobem, choć usilnie stwarza pozory, że

nie dba o powierzchowność. Elina właśnie takiego go chce. Owa słabość charakteru czyni go bardziej ludzkim, a ją przepęlnia czułością. Któż bowiem kocha doskonałość? Nie, miłość chce się troszczyć, a troska wymaga ludzkich wad, potrzebuje zranień i kruchości. Miłość chce leczyć. Doskonałość nie wymaga leczenia. Doskonałość nie może być kochana, a jedynie wielbiona.

Dysponent prosi nauczycielkę do gabinetu. Na kominku trzaska ogień. Na stoliku stoi półmisek z mięsivem – wędzony renifer i pierś pardwy. To osobliwe uczucie, wszak jedzenie zostało przygotowane i wniesione tutaj przez Kruszkę lub którąś z młodszych służących.

W trakcie posiłku dysponent wypytuje nauczycielkę o pierwsze wrażenie z pobytu na lapońskiej ziemi.

Potem przychodzi pora na rozpakowanie prezentu. Elina rozplątuje wstążeczkę, rozwija szary papier i w końcu trzyma w rękach *Die Traumdeutung* Zygmunta Freuda.

Tak, słyszała o tej książce. Nasze marzenia senne to nie przesłanie od przodków lub bogów, tylko skrywane, zakazane życzenia.

Autor ma wielu entuzjastów, o tym też wie. Ale być może jeszcze więcej przeciwników, którzy uważają go jedynie za lubieżnego Żyda.

Zakazane życzenia traktują o seksualności. Elina nie ma odwagi otworzyć książki w obecności Lundbohma.

– Dziękuję – mówi tylko. – Skąd pan wiedział, że znam niemiecki?

– Widziałem Goethego w pani kufrze.

No tak, rzeczywiście. Robi jej się gorąco. Może to ciepło z kominka, myśli. Wino?

Wybucha śmiechem. Dziękuję ponownie. I pod wpływem nagłego impulsu całuje okładkę.

– No proszę. Skrywane życzenie – mamrocze mężczyzna, patrząc na nią spod półprzymkniętych powiek.

Elina odkłada książkę na biurko.

Muszę to zrobić JA, myśli zuchwale.

Podchodzi do niego.

Jestem zbyt młoda, zbyt ładna. On nigdy się nie odważy.

I zarzuca mu ramiona na szyję, całuje go, przywiera do niego.

Mężczyzna stoi nieruchomo przez całą sekundę, Elina zdążyła pomyśleć: Boże drogi, pomyliłam się, on tego nie chce.

Nagle czuje obejmujące ją ramiona. Jego język w ustach. Oddychają ciężko, już spoceni.

Przepełniona radością, odsuwa go na moment od siebie, prychnie śmiechem i śmiejąc się, czuje, że równie dobrze mogłaby zapłakać. Ponieważ on jej pragnie. Ponieważ oboje chcą tego samego. A wszystko jest takie piękne i prawe.

Rozbierają się nawzajem, albo raczej odpinają guziki i sprzączki. Żeby spełniło się to, co ma się spełnić. Rozsupłują tasiemki, uwalniają klamry. Halki w górę, spodnie w dół.

Hjalmar pieści palcami jej łono. Elina siedzi na skraju biurka i w jakimś odległym zakamarku mózgu odczytuje myśl, że nie może poplamić spódnicy atramentem, bo nie stać jej na nową.

Ale później już nie myśli. Czuje, jak Hjalmar w nią wchodzi; wytrwalej, niż przypuszczała.

Cały czas patrzy jej w oczy, nie spuszcza z niej wzroku, to się dzieje naprawdę. To jest prawdziwa miłość.

Jakież on umiejętny. Tak bardzo, że później, kiedy z wdzięcznością opiera czoło o jej ramię, ona odsuwa od siebie pytanie, gdzie się tego wszystkiego nauczył. I od kogo.

– A WIĘC NIE IDZIESZ jutro do pracy?

Sivving rozłożył na stole stare gazety i wręczył Rebecce nylonową pończochę oraz tłusty impregnat do skór. Kiedy przyszła do niego z zakupami, zmusił ją, żeby wróciła do domu i przyniosła buty zimowe.

– Jeżeli nie zakonserwowałaś ich wiosną, to teraz najwyższa pora – oznajmił, kiedy próbowała odmówić. – Lada chwila może spaść śnieg. Choćby jutro. Nie ma przeprosić!

Pobiegła więc po swoje sznurowane trzewiki i kozaczki Prady. Najchętniej położyłaby się na sofie przed telewizorem. W samotności.

Teraz jednak siedziała z sąsiadem w jego kotłowni przy niewielkim stole z laminowanym blatem i czyściła buty.

– Nie idę – odpowiedziała, polerując cholewkę nylonową pończochą. – Niech sobie radzą beze mnie. Alf Björnfort albo von Post przejmą moje rozprawy.

Bella leżała na plecach na ławie kuchennej. Rozłożone łapy, uszy wywinięte na lewą stronę.

Smarkacz pożyczył od niej róg łośia i leżąc u nóg Rebeki, zawzięcie go gryzł. Poroże chrzęściło i chrupotało mu w pysku. Twarde. Ale cudowne. Od czasu do czasu pies robił przerwę i z lubością kładł głowę w zagłębieniu łopaty, jak na poduszce.

– Świetnie – odparł Sivving i podniósł się ciężko, żeby poszukać kleju, który by się nadawał do podklejenia podeszwy wypucowanego buta. Trzewik rozdziawiał czub jak paszczę. – W takim razie możesz mi pomóc wnieść drewno.

Rebeka skinęła głową. Na wiosnę ułożyli świeże szczapy w piękną okrągłą kopę, żeby przez lato wyschły na dworze. Teraz owe trzy metry sześcienne drewna trzeba było ułożyć w drewnutni. Rebeka nie miała nic przeciwko temu, ba, cieszyła się na czekający ją wysiłek. Na to wieczorne uczucie zmęczenia, na pobolewające ramiona i plecy.

– Jadłaś obiad?

– Zjadłam u Kristera.

Sivvingowi nie udało się ukryć radości, choć ogromnie się starał.

– A może on też chciałby pomóc w przenoszeniu drewna? – spytał lekkim tonem.

Chciałby z pewnością, pomyślała.

W pewnym sensie Krister i Sivving bawili się z nią w rodzinę. Sąsiad potrzebował pomocy to przy tym, to przy tamtym. Często gęsto pojawiał się u niego Krister, żeby wymienić kran w kuchni, odgarnąć śnieg, pomajstrować przy komputerze. Później częstowali ją obiadem. Albo prosili o zajęcie się psami, ponieważ musieli jechać do miasta po wentyle, jakiś superklej i Bóg wie co jeszcze. Jak gdyby Sivving był jej ojcem.

Nie przejmowała się tym. Niech się bawią. Måns oczywiście nie piał z zachwytem. Kiedy dzwonił, a sąsiad i policjant byli w pobliżu, rozmawiała z nim na uboczu. Czasami mówiła: Sivving i ja robimy to czy tamto. Nie wspominała o Kristerze. Måns to wyczuwał. Pytał: „A policjant kosmita? Nie ma go tam?”.

Dlaczego się nie przyznawała? Nie miała przecież nic do ukrycia.

A jeżeli już, to niewiele. Niekiedy myślała o jego dłoniach. O wysportowanej sylwetce. O tym, że wprawia ją w dobry nastrój.

Uświadomiła sobie, że zostawiła komórkę w samochodzie. A jeśli Måns próbował dzwonić? Powinna po nią pójść. Ale nie poszła. Wcześniej nigdy o niej nie zapominała. Brała ją ze sobą nawet do toalety. Nieustannie czekała, aż zadzwoni.

– Jak tam Marcus? – zapytał Sivving.

– Nie wiem. Cały czas udawał psa. Jakby w ogóle nie przejął się tym, co się stało.

– *Poika riep* – westchnął starzec. – Biedny chłopiec. Pomarli mu i ojciec, i babcia. Został sam na świecie. Co za fatum ciąży na tej rodzinie.

– Prawda? – odparła Rebeka, czując, jak w jej wnętrzu coś się poruszyło.

Jak zaskroniec rozcinający tafłę nieruchomej wody.

– Do tego ojciec Sol Britt, rozszarpany przez niedźwiedzia...

– Tak, ci myśliwi musieli przeżyć niezły szok, kiedy znaleźli szczątki Fransa Uusitalo w niedźwiedzim żołądku.

Nie wierz w przypadki, pomyślała.

Kiedy pracowała w Sztokholmie jako notariusz, spotkała policjanta, który powtarzał to jak mantrę. Już nie żył. Ale przykazanie wbiło się Rebecie w pamięć. Nie wierz w przypadki.

Jeżeli cała rodzina zostaje zgładzona...

Chociaż staruszek został rozszarpany przez niedźwiedzia, sprecyzowała. Nie zamordowany.

Myśl jednak nie dawała jej spokoju. Trochę za dużo śmiertelnych wypadków w jednej rodzinie.

Sivving przyglądał się błyszczącemu trzewikowi z uczuciem zadowolenia, jakiego może dostarczyć tylko solidnie wykonana robota.

– Moja mama twierdziła, że ojcem Fransa Uusitalo był Hjalmar Lundbohm – powiedział.

Rebeka przerwała pucowanie.

– Co ty powiesz?! Zarządca kopalni? Z tą nauczycielką, którą

zamordowano?

– Tak – odparł na wdechu. – Mama mówiła też, że zdaniem wielu dysponent był na dobrej drodze do ożenku, kiedy ich miłość sięgała zenitu. Ale nic z tego nie wyszło.

– Bo ktoś ją zamordował.

– No... albo dlatego, że ze sobą zerwali. Nie wiem. O tym się raczej nie mówiło. Mama niby coś mi tam opowiedziała, ale zaraz potem ugryzła się w język. Sol Britt wiedziała, ale też nigdy nie wracała do tego tematu. Z wyjątkiem pewnego razu, kiedy była... no, nie do końca trzeźwa i wkurzona na wszystkich mężczyzn w ogóle, a na jednego w szczególności. Kurza twarz, musiałem wtedy uważać, żeby nie oberwać. Próbowałem jej wyjaśnić, że kiedy to się stało, nie było mnie jeszcze na świecie.

Rebeka zobaczyła przed sobą Hjalmara Lundbohma. Portrety człowieka, który wybudował Kirunę i zarządzał spółką kopalnianą od 1900 do 1920 roku, pokazywały zawsze dość tęgiego mężczyznę o ciężkich, opadających powiekach. Żaden z niego przystojniak.

– Nigdy się nie ożenił? – spytała.

– Do końca życia pozostał kawalerem. Ale nie dlatego, że miał coś przeciwko kobietom. Przynajmniej z tego, co słyszałem.

Sivving spojrzał na Rebeke.

– Teraz wypijemy po maluszku na dobranoc. A potem marsz do łóżka! Jutro będziesz przenosiła drewno. Nie zapomnij.

Obiecała, że nie zapomni.

ZIMA DAJE za wygraną. Hjalmar Lundbohm i nauczycielka Elina Pettersson zakochują się w sobie bez pamięci.

Przedwiosenny śnieg wzdycha i kapie. Sople są długie jak iglice na wieżach kościelnych. Ulice pokrywa błoto i lodowata maź. Drzewa drżą z tęsknoty. W lesie śnieg jest jeszcze głęboki na metr, ale słońce mocno już przygrzewa. Teraz przez jakiś czas nikt nie będzie marznąć. Wkrótce nastanie zbawienna wiosna.

Kochają się jak wariaci. Wyznają sobie nawzajem, że nigdy wcześniej nie żywili takich uczuć. Przekonani, że nikt nigdy czegoś takiego nie przeżywał.

Mówią o sobie: bliźniacze dusze. Porównują swoje ręce i nie mogą się nadziwić, jak bardzo są podobne.

– Jak u siostry i brata – powtarzają, przykładając dłoń do dłoni.

Chcieliby zostać w sypialni dysponenta całą wieczność.

– Przekręcę klucz i połknę go – proponuje Hjalmar, kiedy Elina wstaje o świcie, żeby wymknąć się od kochanka.

I jak wszyscy szaleńcy, zapominają o ostrożności.

Dysponent wysłała do szkoły gońca z liścikiem.

Chłopiec puka do drzwi salki lekcyjnej. Przekazuje kopertę.

Elinie nie starcza cierpliwości. Czyta cicho w obecności uczniów; czuje, jak pąsowieją jej policzki.

„Panno moja – napisał. – Z polecenia medyka wypełniłem gatki śniegiem. Raczej nie pomogło”.

Nauczycielka odpisuje na poczekaniu.

„Dysponencie Lundbohmię, prowadzę lekcje na stojąco. Dłużej tak być nie może”.

Jeśli to komuś wpadnie w ręce, pomyśli, że brakuje mi krzeseł, przychodzi jej do głowy.

W maju noce są jasne. Elina i Hjalmar leżą obok siebie i rozmawiają. Kochają się i rozmawiają. Kochają się raz jeszcze. Elina może z nim rozmawiać o wszystkim. Wszystko go interesuje. Jest ciekawy i wykształcony.

– Opowiedz mi o czymś – prosi go niekiedy. – O czymkolwiek.

A po śniegu w białą noc przemykają pardwy i upiornie się śmieją. Sóweczki i sowy jarzębate wtórują im pohukiwaniem. Lis polarny płacze jak dziecko, nasłuchując nornic pod szrenią.

Kochankowie schodzą czasem do kuchni i zjadają resztki: pierś pardwy, golca, filet z renifera z sosem i galaretką, salceson, chleb z białej mąki. Piją mleko prosto od krowy albo piwo. Miłość wzmacnia apetyt.

Mieszkańcy Kiruny widują dysponenta mało kiedy. Nieustannie jeździ po świecie. Najczęściej do Sztokholmu. Ale też za granicę. Do Niemiec, Ameryki i Kanady.

Nigdy na przykład nie bywa w Kirunie latem. Nie przeszkadza mu śnieg,

który może tu spaść nawet pod koniec czerwca. Gorzej z komarami i meszkami, to dopiero krwiożercze stworzenia.

Ku zdziwieniu mieszkańców lato 1914 roku dysponent spędza w górniczej osadzie. Ludzie tłumaczą to wojną. 28 czerwca arcyksiążę Franciszek Ferdynand i jego żona giną z ręki zamachowca na jednej z ulic Sarajewa. Kolejne państwa, jedno po drugim, przyłączają się do konfliktu. Dla kopalni w Kirunie wojna oznacza biznes. Król Laponii jest w wyśmienitym humorze.

Nie dlatego jednak, że zbija majątek. Hjalmar Lundbohm kocha. To dlatego.

REBEKA MARTINSSON wracała do domu w ciemności. Myślała o tym, co Sivving powiedział o rodzinie Sol Britt. Ojciec rozszarpany i pożarty przez niedźwiedzia. Syn potrącony przez samochód. Babka, nauczycielka, która żyła w nieformalnym związku z samym Hjalmarem Lundbohmem – zamordowana. A Sol Britt zadżgana na śmierć widłami.

Wyjęła telefon z samochodu. Nieodebrane połączenie od Månsa. Zostawił wiadomość. „Cześć, to ja. Zadzwoń, jeśli masz czas”.

Nic więcej.

Co to znaczy: Zadzwoń, jeśli masz czas? – pomyślała. Przepeliła ją mieszanina złości i poczucia winy. Jednocześnie chciała odeprzeć zawarty w SMS-ie zarzut, choć Måns z pewnością zaprzeczyłby, że ma do niej jakieś pretensje.

Mogłaby napisać całą rozprawkę o tej wiadomości.

Jakby mi chciał oddać, doszła do wniosku, wspinając się po schodach.

Smarkacz wbiegł przed nią. Machał ogonem, czekając przed drzwiami do mieszkania na piętrze. Wyczekiwał wejścia do środka równie radośnie i niecierpliwie, jak wyjścia na zewnątrz.

Ale oddać za co? – nie przestawała rozważać, wsłuchana w trzask płonącej kory, rozpalala ogień w sypialnianym piecu.

Wyszczotkowała zęby i zmyła makijaż. Smarkacz zdążył się położyć w jej łóżku.

Bo nie zadzwoniła. Bo nie odebrała telefonu. Powinna teraz wybrać jego numer. Ale nie chciała. „Jeśli masz czas” zabiło w niej radość.

Kurza dupa! – zaklęła w duchu. Dlaczego nie może po prostu napisać:

„Tęsknię za tobą”?

Wystukała SMS-a: „Padam, praca cały dzień, lulu, dn”.

Po chwili zmieniła „dn” na „dobranoc”. Zawahała się, czy dodać „kocham cię”. Nie dodała. Wysłała wiadomość, wyłączyła komórkę i wyciągnęła wtyczkę telefonu stacjonarnego.

Nie nastawiła budzika. Jutro nie musiała iść do pracy.

Przeniosła się myślami do Carla von Posta i swojego zwierzchnika Alfa Björnfoto. Niepojawienie się na jutrzejszych posiedzeniach to odmowa świadczenia pracy.

A niech ich szlag trafi, pomyślała rozzłoszczona.

Zamknęła oczy, ale sen nie nadchodził. Smarkaczowi zrobiło się za gorąco, zeskoczył z łóżka i położył się pod stołem w kuchni.

Rodzina Sol Britt. Trochę za dużo tych wypadków i nieszczęść.

Wyciągnęła rękę po telefon komórkowy, włączyła go i zadzwoniła do Sivvinga.

– Jak to było z tą ucieczką z miejsca wypadku? – zapytała.

– Co? – wymamrotał zaspany sąsiad. – Czy coś się stało?

– Syn Sol Britt. Ucieczka z miejsca wypadku. Jak do tego doszło?

– Boże! Która godzina? Nie wiadomo. Mówiłem ci już, że nie złapano sprawcy. Swoją drogą, co to za człowiek... Zostawił umierającego chłopaka na skraju szosy, no! Minęło trochę czasu, zanim go zauważono. Siła uderzenia musiała być dość duża, bo wylądował w krzakach.

Nie wierz w przypadki, znów przemknęło Rebecce przez głowę.

– Słuchaj, dziewczyno – powiedział Sivving szorstko. – Zastanowisz się nad tym jutro, dobrze? Dobranoc!

Jeszcze do niej nie dotarło, że sąsiad zakończył rozmowę, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała machinalnie.

To był Måns.

– Cześć – powiedziała miękkiem głosem. Irytacja ustąpiła jak ręką odjął.

– Cześć – odpowiedział.

Jego głos to pluszowe misie, ciepłe koce, filiżanka herbaty i masaż stóp.

Przez chwilę milczeli.

Kto miał zacząć? Wkradła się między nich ostrożność, ba, rezerwa na granicy skąpstwa. „No, ja na pewno nie!” „Dlaczego właśnie ja muszę...” A może też obawa przed nieodwzajemnionym uczuciem?

Tym razem hojny okazał się Måns.

– Jak się czuje moje kochaniatko? Śledziłem z uwagą wiadomości. Nie znałaś tej kobiety?

Żadnych pretensji, że nie zadzwoniła. Tylko troska.

– Nie, ale miałam... interesujący dzień. Nie wiem, od czego zacząć.

– Opowiedz tatusiowi.

– Ee – odparła z udawaną niechęcią, jak zwykle.

A potem opowiedziała. O morderstwie, o wyłączeniu z dochodzenia, o kłótni z Alfem Björnfortem.

Roześmiał się, gdy zrelacjonowała wymianę zdań ze swoim szefem.

– Moja zuch dziewczyna!

Nie powiedział, że takie akta z biurka prokuratora rejonowego w północnej Norlandii to tylko o kant dupy potłuc. Nie powiedział nic.

Rebeka zmiękła. Wiedziała, że gdyby nie rzuciła pracy u Månsa, w firmie Meijer & Ditzinger, jednej z największych kancelarii adwokackich w kraju, zarabiałaby trzy razy więcej niż teraz. Wiedziała, że w jego mniemaniu marnuje swój talent jako prokurator w dzikiej głuszy, że równie dobrze mogłaby zostać kasjerką w markecie i że powinna wrócić do Sztokholmu. Wiedziała. Dlatego też była mu wdzięczna, że wyjątkowo to wszystko przemilczał.

– No to świetnie – powiedział najseksowniej, jak potrafił. – W takim razie możesz tu przyjechać i czekać na mnie w łóżku, kiedy będę wracał z pracy... Nareszcie w naszym związku zapanuje ład i porządek. I wiesz co? Wezmę urlop, moglibyśmy gdzieś pojechać. Karaiby? RPA? Mam znajomego, który sprzedaje zajebiste podróże tematyczne do Chin i Indii, mogę z nim porozmawiać. Chcesz?

– Jasne, porozmawiaj – odparła.

Nie miała ochoty na żadną podróż. Ale nie chciała się wdawać w kolejną kłótnię. Jedna awantura dziennie w zupełności jej wystarczała.

Znała Månsa. W gorącej wodzie kąpany. Podróż na Karaiby mógł zamówić, rozmawiając z nią przez telefon. Zachęta do rozmowy z kolegą była grą na

zwłokę. Poczowała, jak coś ją ściska w dołku. Będzie musiała się spakować. W przeciwnym razie: ahoy, kapitanie, burda na horyzoncie! Jeszcze przed chwilą tak miło było usłyszeć jego głos, a teraz ni stąd, ni zowąd poczuła się zapędzona w kozi róg.

– Kocham cię – wyznała bez przekonania. – Tylko że teraz muszę iść spać.

Ależ mam niepokładane w głowie! – pomyślała. Ciągle miotam się między miłością a ucieczką. Jak on to wytrzymuje?

– Dobranoc! – powiedział. Zupełnie innym tonem.

Nie potwierdził, że ją kocha. Niemal słyszała, jak Måns myśli: „No, ja na pewno nie!”. „Dlaczego właśnie ja muszę...”

Rozłączyli się.

Måns Wenngren zakończył rozmowę z Rebeką. Nie czuł się zmęczony, wręcz przeciwnie, roznosiło go. Gdyby tylko miał z kim, poszedłby do Riche na martini z wódką.

Żałował, że do niej zadzwonił.

Ciekawe, dlaczego mi tak na niej zależy? Przecież kiedy próbuję ją kochać, to tak jakbym ściskał piasek w garści.

Co za cholerna dziewczyna! – pomyślał, przeglądając się w lustrze.

Przystojny *topdog*? Stary dziadyga? Wyskoczy na kieliszek do Riche. Usiądzie sobie w barze i nasyci wzrok pięknymi kobietami. Nie będzie, kurde, tkwił przed telewizorem i samotnie oglądał *Mad Men*.

Rebeka spojrzała zniechęcona na wyświetlacz.

Dosyć ma dzień swojej biedy, stało w Piśmie.

Telefon wydał lekki brzdęk. Pomyślała, że to SMS od Månsa. Okazało się, że od Kristera. „Dziki pies, Roy i – uwaga, uwaga! – Vera szaleją po domu, aż wióry lecą. Tintin proponuje, żeby ich oddać do schroniska. Miejmy nadzieję, że dziki pies wkrótce się udomowi”.

Przygnębienie uleciało z jej duszy.

Oczami wyobraźni zobaczyła, jak Vera, Marcus i Roy uganiają się za sobą wokół stołu w salonie, podczas gdy Tintin siedzi w kuchni i z wyrzutem patrzy na Kristera.

Marcus miał się dobrze. Krister był dobrym człowiekiem. Miłym, usłużnym i...

Zasnęła z telefonem w ręce.

PROKURATOR CARL VON POST oraz policjanci Anna Maria Mella, Sven Erik Stålnacke, Fred Olsson i Tommy Rantakyrö ruszyli do Kurravaary na przesłuchanie Mai Larsson.

Von Post wyjaśnił, dlaczego muszą jechać w pięcioro. Absolutnie nie po to, by wzbudzić strach. Ale niech pani Larsson sobie nie wyobraża, że tym razem będzie ich mogła zwieść kłamstwem czy milczeniem. Dlatego jadą w tak liczonym składzie i dlatego złożą jej wizytę w domu.

Gówny prawda, pomyślała Anna Maria. Chce kobietę zastraszyć i uwielbia popisywać się przed innymi. To ekstrakt najbardziej dominujących cech jego charakteru. Skończony szuja.

Taki, co to przypisuje sobie zasługi kolegów. Zmienny jak chorągiewka na wietrze, byle tylko ocalić skórę. Jego komplementy zawsze budzą podejrzenia, ponieważ nigdy nikogo nie chwali bezinteresownie. Oczywiście jest przekonany o swoich niezrównanych kompetencjach społecznych.

Nauczył się imion jej dzieci i zawsze ją pytał, co u nich słyhać. Nie cierpiała zaspokajać jego udawanej ciekawości. Czuła się niemal jak dziwka, opowiadając mu o treningach Jenny czy szkolnych postępach Pettera.

Teraz jednak postanowił wykorzystać piętnastokilometrową podróż do Kurravaary na błyskawiczne szkolenie z zakresu techniki przesłuchań.

– Zaskarbienie sobie zaufania świadka to rzecz pierwszorzędnej wagi. Przesłuchiwany musi polegać na przesłuchującym.

Coś takiego! – pomyślała Anna Maria.

– Osoba, która przeprowadza przesłuchanie, powinna zwracać uwagę na wszystko, na przykład na mowę ciała.

Ktoś na tylnym siedzeniu mruknął. Sven Erik wyczyścił nos.

– Luźna rozmowa. Do tego zmierzamy. W tym kierunku pracujemy. Nie stawiamy żadnych bezpośrednich pytań. Zachowujemy swobodę. Doświadczony przesłuchujący może w ten sposób... w ten sposób dowie się wszystkiego.

Fred zaczął się krztusić.

Dzięki ci, Jezusie najmilejszy, że w samochodzie jest tak ciemno,

powiedziała Anna Maria w duchu, a na głos tylko coś mruknęła.

Maja Larsson przywitała ich z naręczem brudnej bielizny. Tysiąc srebrnych warkoczyków spływało na jej ramiona.

Piękna, aż człowieka skręca, pomyślała Anna Maria, za którą nigdy – mimo że przeżyła niemal pół wieku – nie obejrzał się żaden mężczyzna.

I zupełnie nieporuszona obecnością prokuratora oraz jego świty.

– Czy to zajmie dużo czasu? – spytała zmęczonym głosem. – Mogę nastawić pranie?

– No, jakby... – zaczął von Post.

Kobieta zdążyła obrócić się na pięcie i zniknąć w łazience. Po chwili zaczęły dochodzić stamtąd odgłosy wirującego bębna i lejącej się wody.

Anna Maria dostrzegła irytację na twarzy von Posta, gdy – podobnie jak koledzy – zdejmowała trzewiki. Prokurator wszedł w butach.

Bo w skarpetach chodzą tylko wieśniacy, pomyślała komisarz. Bo jaśniepaństwo mają służbę, która po nich sprząta.

– Örjan! – krzyknęła Maja Larsson, zwracając się ku schodom. – Przyszła policja.

Na piętrze ukazał się mężczyzna koło sześćdziesiątki. Anna Maria widziała tylko jego czuprynę. I to jaką! Mężczyzna przyglądał się stojącym w przedpokoju.

– A coś ty, kurde, zrobiła? Obrabowałeś bank centralny?

Kobieta nieznacznie wzruszyła ramionami.

Właśnie w tym momencie szlag trafił i zaufanie, i otwartą rozmowę, stwierdziła w duchu Anna Maria, chcąc ze wstydu zapaść się pod ziemię.

Powłócząc nogami, ruszyła za prokuratorem do kuchni. Koledzy poruszali się równie ślamazarnie. Wszyscy próbowali zostać na końcu, z nadzieją, że w środku zabraknie miejsca. Jak krnąbrni uczniacy.

W kuchni spojrzeli po sobie. Carl von Post i Maja Larsson usiedli po przeciwległych stronach magnetofonu, który prokurator położył na stole.

No, przecież nie mogę usiąść obok, pomyślała komisarz Mella. Byłabym za blisko. Co za maleńka kuchnia! W końcu postanowiła dołączyć do kolegów ustawionych w szeregu wzdłuż blatu ze zlewozmywakiem. Przystępowali z nogi na nogę, pochrząkiwali i przyglądali się frędzłom dywanika, nie

wiedząc, co zrobić z rękami.

– Pani Majo Larsson – zaczął Carl von Post pewnym głosem. – W trakcie rozmowy z Rebeką Martinsson nie wspomniała pani o tym, że pani kuzynka, Sol Britt, miała partnera. Może pani teraz o tym opowiedzieć?

Maja Larsson siedziała bez słowa kilka sekund, długich jak wieczność. Potem wyciągnęła papierosa, zapaliła go i dwa razy się zaciągnęła. W końcu przerwała milczenie.

– Sądziłam, że to Rebeka Martinsson prowadzi postępowanie przygotowawcze.

– Już nie prowadzi. A ja sądziłem, że pani chce z nami współpracować. Pani kuzynka została zamordowana. To trochę dziwne, ale wygląda na to, że nie zamierza pani pomóc policji.

Boże, pomóż nam wszystkim! – poprosiła w myślach Anna Maria.

– Młodo pan wygląda – powiedziała Maja Larsson. – Ile pan ma lat?

– Czterdzieści pięć. Usiłujemy tylko wykonywać swoją pracę, proszę nas zrozumieć.

Von Post pochylił się do przodu i przesunął rękę na drugą stronę stołu. Kobieta odchyliła się do tyłu.

– Z kim była w związku?

– Wygląda pan młodziej. O wiele młodziej.

Maja zataczała głową niewielkie ósemki, dokładnie studiując twarz prokuratora.

– Nie poddał się pan żadnej operacji, ale stosuje pan zabiegi Restylane, prawda?

Von Post cofnął rękę. Spojrzał nerwowo w bok, na stojących w szeregu policjantów.

– Nie, to nieprawda, ale...

– Nie ma w tym nic złego. Że człowiek dba o swój wygląd. Dlaczego mężczyzna nie mógłby... Szczególnie jeśli mu zależy, żeby dobrze wypaść w mediach. Ma pan cholernie ładne paznokcie. Gdyby mnie było stać, też bym sobie robiła manicure w salonie piękności.

Von Post otworzył usta i zaraz je zamknął. W końcu zapytał:

– Dlaczego pani kłamała?

– A kłamałam?

– Nie powiedziała pani, że Sol Britt miała kochanka. Bo Rebeka Martinsson chyba panią o to zapytała?

Anna Maria wzięła głęboki oddech. Właśnie dotarło do niej, o co temu dupkowi chodzi. Chce, aby Maja Larsson potwierdziła, że nikt jej nie pytał o żadnego kochanka. Chce mieć niedopatrzenie Rebeki czarno na białym. Nagle zrozumiała, dlaczego von Postowi tak bardzo zależało na nagraniu przesłuchania. Chce je spisać, wydrukować i włączyć do akt, żeby każdy mógł przeczytać o tym, jak Rebeka spaprała sprawę.

Maja Larsson milczała.

– Fuj – powiedziała w końcu.

Carl von Post uniósł pytająco brwi.

– Kierują panem dość niskie pobudki, prawda? Moja kuzynka nie żyje. Została zadżgana na śmierć. A pan chce zostać celebrytą i przy okazji udupić koleżankę. Nie może się pan doczekać, kiedy powiem...

Zerknęła na Annę Marię i jej kolegów.

– Jak mu się udało wymanewrować Martinsson z dochodzenia? Chętnie bym się dowiedziała.

Nikt nie odpowiedział. Von Post rozparł się na krześle i skrzyżował ręce na piersi. Jakby sygnalizując, że nie da się sprowokować. Że ma mnóstwo czasu. Że jeśli zajdzie taka potrzeba, może tu siedzieć do wschodu słońca.

– No i te kosztowne ubrania. Już same buty, którymi ma pan czelność deptać po dywanie utkanym przez moją mamę, chyba przekraczają możliwości finansowe prokuratora. A więc ma pan żonę, która zarabia lepiej od pana. Trudno to zaakceptować, rozumiem. Przynajmniej takim ludziom jak pan. Zgaduję, że albo ją pan bije, albo posuwa jakąś koleżankę z pracy, tylko dlatego że nienawidzi pan swojej ślubnej i że życie jest takie niesprawiedliwe.

Ciszę, która zapadła w kuchni, mąciło jedynie dudniące tykanie zegara. Wszyscy wiedzieli, że żona prokuratora pracuje w banku i zarabia o wiele więcej od męża. Tajemnicą poliszynela było też to, że von Post chętnie zaciągał do łóżka młode aplikantki, notariuszki, a nawet świadków. Fred przyglądał się badawczo swoim paznokciom. Sven Erik przesunął dłonią po włosach.

Głos Mai Larsson nabrał ostrości brzytwy.

– Mogę się założyć, że pański ojciec miał podobną profesję. Tylko że

zaszedł trochę dalej niż pan. Był prawnikiem, zgadza się? A może ordynatorem.

Prokuratorowi pobierał czubek nosa. Jego ojciec był sędzią Sądu Najwyższego.

– Odmawia pani odpowiedzi na moje pytanie?

– Nie wiem, z kim była związana, okej? Nie znałyśmy się zbyt dobrze. Wiem, że kogoś miała.

– Wysłała do pani SMS-a...

– Tak, napisała, że z nim zerwie. Nie wspomniałam o tym, fakt. Ludzie tyle o niej gadali. Ale nic więcej nie wiem. Rozzłościłam pana tak bardzo, że zamierza mnie pan zatrzymać?

– Wcale mnie pani nie rozzłościła – oznajmił von Post, cedząc słowa.

– Skoro nie, to może już sobie pójdziecie i zostawicie mnie w spokoju. Jutro chcę podać śniadanie swojej umierającej mamie. Ma trudności z przełykaniem. Posiłki trwają wiecznie, a personel nie ma tyle czasu.

Nie mieli szans wcisnąć się do samochodu wystarczająco szybko. Ledwo opuścili podwórze, Sven Erik krzyknął:

– No nie, w mordę! Zatrzymaj auto. Sraczka mnie chwyta. Kurde, nie wytrzymam! Zatrzymaj się, bo narobię na siedzenie.

Ruszył w te pędy do domu.

Koledzy zobaczyli w lusterku wstecznym, jak Maja Larsson ponownie otwiera drzwi. Minęło trochę czasu, zanim odsunęła się na bok i wpuściła komisarza do środka.

Sven Erik usiadł na klapie sedesu. Wcale nie musiał iść za potrzebą. Po dwóch minutach spuścił wodę. Później nacisnął spłuczkę jeszcze raz. Umył ręce i wyszedł z łazienki. Maja Larsson siedziała w kuchni ze swoim partnerem. Stålnacke skinął w stronę mężczyzny i zwracając się do Mai, powiedział:

– We wszystkim miała pani rację.

Poruszyła głową na znak, że jej to nie obchodzi. Zgniotła niedopałek o wewnętrzną stronę wieczka słoika, wrzuciła go do środka i nałożyła pokrywkę.

– Von Post odsunął Rebeke od dochodzenia. A my gównem możemy zrobić. W każdym razie chciałbym panią przeprosić za ten cały...

Wskazał gestem kuchnię.

– I proszę mi wierzyć, że naprawdę chcemy znaleźć sprawcę.

Drgnęły jej mięśnie wokół ust i błyskawicznie odwróciła twarz.

– Dziękuję, że pozwoliła mi pani skorzystać z toalety. Starość nie radość, kurde. Najpierw człowiek nie może przez cały tydzień, a później, no... Dobrze, już idę.

– Niech pan poczeka.

Ciągle z odwróconą twarzą, mówiła dalej:

– Spotykała się z jakimś tutejszym facetem, żonatym. Wie pan, czasami trzeba być ostrożnym, kiedy się rozmawia z policją. Nagle dzieciaki w okolicy zaczynają rzucać kamieniami właśnie w twoje okna. Pewnie pan myśli, że nędzna ze mnie kreatura. Ale jakie to ma znaczenie, z kim sypiała? Nie żyje. I nikt jej nie przywróci życia. A do tego ten cholerny pajac, który na jej śmierci chce zrobić karierę. Czy w gazetach też napiszą, z kim chodziła do łóżka? Skurwiele!

– Kim jest ten mężczyzna?

– Nie wiem. Wiem tylko tyle, że pracuje w mieście, mieszka w tej wsi, ma żonę i dzieci.

– Ależ ci to, cholera, zajęło dużo czasu – odezwał się Tommy Rantakyrö, kiedy Sven Erik w końcu wsiadł do samochodu.

– No, zajęło – odparł komisarz, mocując się z pasem bezpieczeństwa. – Ale wydałem na świat trzykilowego malucha. Rany boskie! Najpierw totalny zastój w systemie, przez tydzień. I nagle: fru! Właśnie teraz. Takim szczęśliwym, że mógłbym tego nicponia jakoś ochrzcić.

Carl von Post ruszył z piskiem opon. Tryskający spod kół żwir uderzył o podwozie.

Anna Maria zerknęła na Svena Erika. Spotkał jej wzrok i prawie niezauważalnie skinął głową.

KRISTER ERIKSSON stał w kuchni. W ręce trzymał pudełeczko snusu.

– Rzucam – oznajmił siłom uniwersum. – Koniec z nałogiem.

Wrzucił plastikowe opakowanie do kosza. Zdecydowanym ruchem związał

worek ze śmieciami i wyniósł go do pojemnika na odpady, stojącego przy wiacie garażowej.

W domu Marcus nie mógł się uspokoić. Biegał na czworakach z psami, bawił się bez wytchnienia. Krister w to nie ingerował. Wiedział, że demony strachu przychodzą wieczorem, kiedy dziecko leży w łóżku i nie może zasnąć. Z dorosłymi bywa podobnie. A jutro rano chłopiec będzie mógł spać do woli.

Dopiero po jedenastej dziki pies przyczłapał do Kristera i powiedział, że jest zmęczony.

Umyli zęby, mimo że pozostałe psy nie musiały. Ale później chłopiec absolutnie nie chciał wejść do łóżka i przykryć się kołdrą.

– Dziki pies chce spać w budzie – wyjaśnił.

Krister rozbił więc namiot na podwórzu.

Później siedzieli razem w budzie przy świetle latarki kieszonkowej. Vera, Tintin i Roy tłoczyli się wokół nich. Psy były niesłychanie zadowolone z towarzystwa. A także ze skór reniferowych, które Krister rozłożył na podłodze. W powietrzu unosił się bezpieczny zapach psów zmieszany z cierpką wonią reniferowych futrzaków.

Krister czytał na głos *Małego Księcia*, oświetlając latarką ilustracje.

– Mały Książę spotkał lisa – wyjaśnił Krister. – Tak jak ja spotkałem ciebie, dziki psie. Lis powiedział: „Życie jest jednostajne. Ja poluję na kury, ludzie polują na mnie. Wszystkie kury są do siebie podobne i wszyscy ludzie są do siebie podobni. To mnie trochę nudzi. Lecz jeślibyś mnie oswoił, moje życie nabrałoby blasku. Z daleka będę rozpoznawał twoje kroki – tak różne od innych. Na dźwięk cudzych kroków chowam się pod ziemię. Twoje kroki wywabią mnie z jamy jak dźwięki muzyki”¹¹.

– Mogę zobaczyć lisa? – spytał Marcus.

Krister przewrócił kartkę. Chłopiec przyłożył palec do obrazka z lisem.

– Czytaj dalej – poprosił.

„Widzisz tam łany zboża? Nie jem chleba. Dla mnie zboże jest nieużyteczne. Łany zboża nic mi nie mówią. To smutne! Lecz ty masz złociste włosy”.

– A ty w ogóle nie masz włosów – przerwał Marcus.

– To prawda, ale ty masz – odparł Krister i uwolnił rękę, żeby pogłaskać

chłopca po jasnej czuprynie.

Nie przywiązuje się, upomniał ostro swe serce, podczas gdy dłoń gładziła miękkie włosy dziecka. Zaczął czytać dalej.

„Lecz ty masz złociste włosy. Jeśli mnie oswoisz, to będzie cudownie. Zboże, które jest złociste, będzie mi przypominało ciebie. I będę kochać szum wiatru w zbożu...”

Marcus jeszcze raz przyjrzał się ilustracji lisa. Później przekartkowali książkę do tego miejsca, w którym Krister skończył czytać:

„Lis zamilkł i długo przypatrywał się Małemu Księżu.

– Proszę cię... oswoj mnie – powiedział.

– Bardzo chętnie – odpowiedział Mały Książę – lecz nie mam dużo czasu. Muszę znaleźć przyjaciół i nauczyć się wielu rzeczy.

– Poznaje się tylko to, co się oswoi – powiedział lis. – Ludzie mają zbyt mało czasu, aby cokolwiek poznać. Kupują w sklepach rzeczy gotowe. A ponieważ nie ma magazynów z przyjaciółmi, więc ludzie nie mają przyjaciół. Jeśli chcesz mieć przyjaciela, oswoj mnie!”

Krister czuł ciężar chłopca u swojego boku.

– Śpisz? – zapytał.

– Nie – odpowiedział Marcus sennym głosem. – Czytaj dalej. Dziki pies chce słuchać o lisie.

– „Jak się to robi? – spytał Mały Książę.

– Trzeba być bardzo cierpliwym. Na początku siądziesz w pewnej odległości ode mnie, ot, tak, na trawie. Będę spoglądać na ciebie kątem oka, a ty nic nie powiesz. Mowa jest źródłem nieporozumień. Lecz każdego dnia będziesz mógł siadać trochę bliżej...”

Marcus zasnął. Oddychał głęboko. Kiedy Krister ostrożnie położył go i zasunął zamek śpiwora, chłopiec wymamrotał:

– A potem?

– Potem lis zdradzi Małemu Księżu tajemnicę – szepnął Krister. – Ale o tym przeczytamy jutro. Będę spał w namiocie obok ciebie. Vera zostanie z tobą. Przyjdź do mnie, jeśli się obudzisz w nocy, dobrze?

– Dobrze – odpowiedział Marcus w półśnie. – Dziki pies jest jak lis.

Policjant zastygł w bezruchu, patrząc, jak chłopiec zapada w sen. Później

wyczołgał się z budy. Mróz pełzał w trawie. Noc była gwiazdzista i czarna.
Nie, mój przyjacielu, pomyślał Krister. To ja jestem lisem.

PONIEDZIAŁEK, 24 PAŹDZIERNIKA

ZŁOŚĆ, KTÓRA ROZPANOSZYŁA się w snach Rebeki Martinsson, w końcu ją obudziła. Zegarek w komórce wskazywał piątą. Wcześniej, ale w każdym razie nie w środku nocy.

Przecież mogę wstać, kiedy mam ochotę, pomyślała. A później zdrzemnąć się w ciągu dnia. Nie idę do pracy. Niech spadają na drzewo.

Jej szef, Alf Björnfort, najzwyczajniej w świecie odebrał jej dochodzenie i przekazał von Postowi.

Cóż on sobie wyobrażał? Że ona się tylko uśmiechnie, w skrytości ducha wylizze rany i posłusznie zajmie się jego pieprzoną sprawą podatkową? Naprawdę uważa ją za tak głupią?

Nigdy już tam nie wrócę, obiecała sobie.

Smarkacz lulał w nogach łóżka. Przebudzony jej ruchami, zamachał ogonem. On nigdy nie budził się w złym humorze. Rebeka pomyślała, że równie dobrze może wstać i napalić w piecu.

Pies podbiegł do drzwi, sygnalizując, że chce siku.

– Dobrze, dobrze – powiedziała, wskakując w buty.

Na dworze było ciemno w ten charakterystyczny dla późnej jesieni sposób, nim spadnie pierwszy śnieg. Butwiejąca czerń wsysała bladą poświatę księżyca i światła wiejskich domostw, w których ludzie żyli swoim życiem i gdzie wszystko toczyło się utartym torem, mimo najnowszych zdarzeń. Trochę dalej płynęła rzeka, cicha i jesiennie senna. Wszystkie łodzie i pomosty wyciągnięte na brzeg; lada noc woda zetnie się lodem.

Smarkacz rozpląnął się w ciemności. Rebeka stała w mdłym świetle lampy nad gankiem. Czuła się podekscytowana i niespokojna, miała ochotę na papierosa.

Powiedz mi, co mam zrobić, poprosiła. Gdzie się podziać? Nagle usłyszała szczekanie. Mieszanie ujadania i warczenia. Strach, chęć walki, ostrzeżenie. Słyszała, jak pies rzuca się to w jedną, to w drugą stronę. I nagle głos:

– Halo, pani Rebeko! To ja, Maja.

Przy ścianie obory rozbłysła latarka kieszonkowa.

– Dobrze już, dobrze, piesku. Wystraszyłeś się? Nie jestem groźna.

Smarkacz, ciągle w ruchu, przestał szczekać dopiero na wezwanie Rebeki. Podbiegł do niej i razem ruszyli w stronę światła. Z głębi gardła psa wydobywał się drżący pomruk. Ludzie, którzy po ciemku wdzierali się na jego teren, nie byli godni zaufania.

– To ja – powtórzyła Maja Larsson i oświetliła latarką własną twarz, upiornie białą, z intensywnymi cieniami wokół oczu.

Po chwili snop światła padł na leżące na ziemi niedopałki. Zapach zimnego dymu zmieszał się z wonią jesiennego, organicznego rozkładu.

Jak długo tutaj stała? – zastanawiała się Rebeka.

– Przepraszam – dodała Maja. – Nie miałam zamiaru pani wystraszyć.

Przywitała się z psem i pozwoliła mu polizać swoje dłonie.

– Czy to moja wina? Że odsunięto panią od dochodzenia?

Rebeka potrząsnęła głową. Po chwili uświadomiła sobie, że przecież jej nie widać.

– Nie – odparła.

Maja zgasiła latarkę, włożyła ją do kieszeni i zapaliła papierosa.

– Myślałam o pani – powiedziała.

Jej głos był przyjemny dla ucha, głęboki i lekko zachrypnięty. Prawdziwie nocny. Komponował się z ciemnością.

Rebeka puściła Smarkacza luzem. Słyszała, jak szasta się to tu, to tam.

– Myślałam też o pani mamie. Ona mnie nieustannie nachodzi. Właśnie mi się śniła. Czułam, że muszę tutaj przyjść i poczekać, aż pani się obudzi. Pomyślałam, że z pewnością wypuszcza pani rano psy. Przepraszam, że nie

powiedziałam nic o kochanku Sol Britt. Nie wiem, kim on jest. Chociaż, oczywiście, powinnam była o nim wspomnieć. Myślę, że nie chciałam, żeby mnie w to wszystko wmieszano.

– To nie ma znaczenia. I tak by mnie wyłączono ze śledztwa.

– Ten prokurator to kawał łajdaka. Gównu go obchodzi, kto zabił Sol Britt, chce tylko...

– Tak.

– Pani mama...

– Wie pani co? – przerwała jej Rebeka zbolalym głosem. – Rozumiem, że nie ma pani złych zamiarów, ale nie chcę o niej słuchać.

Nie była w stanie mówić dalej. Coś dławiło ją w gardle.

O co tutaj chodzi? – zdziwiła się.

– Jeśli pozwoli mi pani opowiedzieć... – nie zraziła się Maja Larsson. – Proszę o pięć minut, później dam pani spokój. Może wtedy ona też przestanie mnie dręczyć.

Rebeka stała bez słowa.

– Pani mama... Wiem, co o niej mówią we wsi. Wpadła tutaj jak burza, piękna, umalowana i z miasta. Związała się z pani ojcem. Później jej się znudził. Wzięła panią ze sobą i wróciła do Kiruny. Ludzie mówią, że właśnie dlatego się rozpił; pewnie o tym też pani słyszała. Później pojechała na Wyspy Alandzkie za swoim nowym ukochanym, a panią tutaj zostawiła. Urodziło im się dziecko, wkrótce potem zginęła w samochodzie.

– Nie – zaprotestowała Rebeka zachrypłym głosem. – Potrąciła ją ciężarówka... Nie siedziała za kierownicą... Wtargnęła na jezdnię i...

– Tak. Razem z pani bratem. Miała go w wózku.

– Chociaż nigdy nie zdążyłam go spotkać, więc...

– Powiem tak: pani ojciec, zanim spotkał pani mamę... Ludzie mówią, że był zbyt uczynny i posłuszny. Ale tak naprawdę był zbyt słaby. A to dość istotna różnica. Na przykład kiedy pracował dla pewnego właściciela firmy przewozowej w Gällivare. W dniu wypłaty, na budowie, którą obsługiwali, koledzy otwierali mu kontener z narzędziami i mógł sobie wybrać, na co miał ochotę, zamiast pieniędzy. Rozumie pani, to przecież nawet nie były ich rzeczy, Mikko o tym wiedział. Umożliwiali mu kradzież, stali obok i się przypatrywali. Kurde, jakie to było dla niego upokarzające! Ale nie umiał się

postawić. Innym razem wcisnęli mu jakiś wrak auta, który miał być wart kupę szmalu; wystarczyło tylko zrobić to i dokręcić tamto. Pani tato nie był dobry w te klocki; na podwórzu stały i rdzewiały dwa wiekowe Citroeny. Jego matka, czyli pani babcia, oczywiście psioczyła, ale należała do tych kobiet, które silne są tylko w domu. Po drugiej stronie płotu nie mogła niczego przeforsować. Właściciel firmy płacił też Mikkowi w oleju napędowym. Sam odpisywał sobie koszty paliwa, ale pani ojcu liczył po cenie rynkowej. Składki na ubezpieczenie i punkty do emerytury? A gdzie tam!

Maja odpaliła nowego papierosa od poprzedniego. Smarkacz kopał jak szalony w ziemi, tuż przy ścianie obory; słychać było, jak popiskuje z podniecenia. Prawdopodobnie wyczuł nornicę, która z pewnością zdążyła się ukryć setki mil dalej. Ale zapach był świeży i przemożny.

– A kiedy wszedł do spółki ze Svenem Vajstedtem... – mówiła dalej kobieta. – Sven miał koparkę. Pani ojciec wziął pożyczkę i kupił wywrotkę. Sven był mocny w gębie i wiedział, jak się dobrze sprzedać. Koszty dzielił cholernie sprawiedliwie, ale gdy przychodziło do podziału zysków, jakimś dziwnym trafem większość zostawała w jego kieszeni. Pani mama położyła temu kres. Wyciągnęła zarówno męża, jak i wywrotkę z firmy Svena i namówiła Mikka do pracy na własny rachunek. Wystawiała faktury i nie akceptowała żadnej innej zapłaty niż w żywej gotówce. Załatwiała mu zlecenia, choć firma de facto należała do niego i jego matki. Pieniądze zostawały w gospodarstwie. Wtedy też pojawiły się pierwsze podróże czarterowe. Pani mama chciała, żeby się dokądś wybrali. Ale napotkała totalny opór. Jechać za granicę? A czemu to miałyby służyć?

Rebeka stała sztywna, bez słowa. Maja się zaśmiała.

– Lubiła tańczyć. Pani rodzice spotkali się zresztą na jakiejś potańcówce. Ale później przestał z nią chodzić na dancingi. I to nieprawda, że zaczął pić, kiedy go rzuciła. Już wcześniej zbyt często zaglądał do kieliszka.

– Nie wiem, czego pani ode mnie chce – odezwała się Rebeka; gardło miała ściśnięte.

Smarkacz podbiegł do kobiet i z głębokim westchnieniem usiadł obok swojej pani.

Marzyło mu się śniadanie.

Maja zgmiotła stopą niedopałek.

– Chciałam pani tylko trochę opowiedzieć. Siedzę sama z umierającą matką. Czasami wolałabym, żeby to się jak najszybciej skończyło. Żebym mogła

uwolnić się od Kurravaary. I od niej. Człowiek ma prawo się wkurzyć. Wiem, że pani nie brakuje powodów do gniewu. Tylko że... życie mija tak cholernie szybko. Do widzenia!

Ruszyła przed siebie niczym kłępa. Zniknęła w ciemności. Rebeka nie zdążyła odpowiedzieć. Albo raczej nie potrafiła. Głos ugrzął jej w gardle.

O co tutaj chodzi? – znów zadała sobie pytanie. Przecież te rzeczy mam już przepracowane.

Chyba mi odbiło, pomyślała, wchodząc do środka. Dlaczego się tutaj przeprowadziłam?

W tym domu nieustannie widziała ojca. Jak przytrzymując się framugi, ściąga buty. Mama siedzi przy stole w kuchni, pochylona nad kolorowym czasopismem. Babcia pospiesznie przecina podwórze, zawsze gotowa kogoś nakarmić: dziecko, zwierzątko, mężczyznę, którzy akurat zrobili sobie przerwę w pracy, sąsiada, który wyraził ochotę na kawę.

Gdyby ktoś mógł mnie teraz przytulić, zapragnęła. Aż to wszystko minie.

Może powinna zadzwonić do Månsa? Nie. Nie potrafiła przecież wydusić z siebie ani słowa. Miała zadzwonić tylko po to, żeby zacząć mu szlochać do ucha?

To i tak nic nie da, stwierdziła. On sobie ze mną nie radzi. A wszystkie inne ważne osoby nie żyją.

Wzięła telefon do ręki. Dostała wiadomość. Od Kristera.

„Zadzwoń, gdy tylko to przeczytasz. Chodzi o Marcusa”.

W SOBOTĘ ÓSMEGO SIERPNIA 1914 roku dysponent Lundbohm wyprawia przyjęcie rakowe. Skorupiaki zakupione w hali targowej na Östermalmie przetransportowano ze Sztokholmu w drewnianych skrzyniach wypełnionych lodem i trocinami. Kruszka odnajduje w książce kucharskiej rozdział o gotowaniu raków, ze zgrozą wrzuca żyjątka do wrzątku w ogromnym miedzianym saganie i patrzy, jak wplątane w koper, czerwienieją i umierają diabelską śmiercią. Układa je później na wielkich półmiskach z pokruszonym lodem.

Elina znalazła się w gronie zaproszonych osób. Z tej okazji w firmie

wysyłkowej zamówiła długi naszyjnik oraz aksamitną kokardę pod kołnierzyk.

Dysponent rozesłał zaproszenia osobom ważnym dla górniczej osady. Pragnie podkreślić znaczenie ich wysiłków i zachęcić do dalszej pracy. Kiedy wygłasza mowę powitalną, nazywa ich przyjaciółmi. Niespełna tydzień wcześniej Jego Królewska Wysokość podjął decyzję o zachowaniu przez Szwecję całkowitej neutralności, ludzie zatem nie zbierają się już wieczorami na ulicach, nie żądają faktów i wiadomości. Ustają plotki. Wojna będzie krótkotrwała; wszyscy rozsądni ludzie są tego zdania. A Kiruna, ba, cała neutralna Szwecja, mówi dysponent, może z tego konfliktu wyciągnąć korzyści. Tak jak w czasie wojny krymskiej.

Trzydzieścioro gości ciśnie się przy stole w jadalni. Są tutaj przewodniczący komisji oświatowej oraz zarządu do spraw opieki nad biednymi. Kierownik północnego odcinka kolei dyskutuje z aptekarzem o bezsensownym wykupywaniu towarów spożywczych; ludzie rzucili się na żywność soloną i wędzoną, konserwy i makaron. I mąkę. Przede wszystkim na mąkę. Nawet podczas fali strajków przed pięciu laty nie widywało się takiego szaleństwa.

Naczelnik policji Björnfort siedzi obok zachmurzonej żony, w której cicha nienawiść do Kiruny narasta niczym nowotwór. Elina próbuje z nią rozmawiać, dość szybko jednak rezygnuje.

Mężczyzna pełniący obowiązki posterunkowego, znany z apetytu na kobiety, przez cały wieczór zabawia nauczycielkę i dokarmia skorupami raków swojego psa, który podczas deseru zwraca ich nadmiar na leżącą na podłodze skórę niedźwiedzia.

Lapończyk Johan Tuuri zapewnia ze śmiechem, że nigdy nie jadł czegoś podobnego, i wymachując szczypcami, odgrywa przedstawienie o dwóch swarliwych rakach.

Miejscowy pastor nigdy nie wylewa za kołnierz i zawsze wychyla do dna, podczas gdy kapelan budowniczych kolei wymawia się niedyspozycją żołądka i poprzestaje na piwie.

Lekarz okręgowy wygląda na przepracowanego i grozi zaśnięciem na siedząco, lecz po piątym kieliszku powstaje z umarłych i okazuje się niezrównanym pieśniarzem.

Inżynierowie górniczy nie potrafią rozmawiać o niczym innym, jak tylko o kopalni; jak gdyby w miarę picia coraz bardziej tracili głowy dla czarnego złota.

Przy stole siedzi również kilku kupców i właściciele firm przewozowych.

W trakcie przyjęcia przygrywa lokalna orkiestra, której członkowie przed każdym nowym brzękliwym występem dostają w kuchni po setce wódki.

Nadsztygar Fasth, prawa ręka Hjalmara Lundbohma, wygłasza mowę na cześć dysponenta. Papierowy kapelusik¹² zsunął mu się na kark, a kolorowy śliniak trafił między skorupy, które pozostały po rakach.

Przysadzisty z niego mężczyzna. Tłuste jedzenie i mocne trunki uformowały zarówno sylwetkę, jak i usposobienie. Nigdy się nie uśmiecha. Jego głowa i tułów to mniejsza kula na większej. Obce mu są melancholia żony policjanta i znużenie lekarza. Nie, nadsztygar jest srogi jak trzaskający, siarczysty, nieubłagany mróz w środku zimy. Twardy jak żelazo w skale. W skrytości ducha uważa dysponenta i naczelnika policji za mięczaków. On nigdy nie ma problemu z trzymaniem ludzi w szachu. Nie waha się eksmitować, zwalniać, odprawiać, pozbawiać pracy, wyrzucać, przeprowadzać egzekucje. Strach w oczach biedaków nie wzbudza w nim żadnych emocji.

Mimo swej postury jest zadziwiająco silny. Niewielu potrafi go pokonać w siłowaniu na ręce, z obecnych tutaj – jedynie Björnfort i posterunkowy.

Posapując i dysząc, wygłasza mowę na cześć zwierzchnika, choć w zgorzkniałej duszy raz po raz pojawia się myśl, że gdyby nie on, dysponenta w ogóle by tutaj nie było.

Cholerny tak zwany przyjaciel ludzi, który najchętniej przebywa w towarzystwie pacykarzy, perwersyjnych kutasów i babochłopów, takich jak Lagerlöf i Key, szlag by ich wszystkich!

I jeszcze te podróże! Dysponent jeździ sobie po świecie i doskonali się zawodowo, ale to Fasth musi dopilnować, żeby w Kirunie wszystko funkcjonowało jak należy, żeby trzymani krótko górnicy wiedzieli, gdzie jest ich miejsce. Żeby ruda żelaza opuszczała kopalnię na czas.

A ta panna nauczycielka po drugiej stronie stołu... Nie przestając mówić, nadsztygar ślizga się wzrokiem po jej piersiach i talii. Słodka cipka, bez wątpienia. Zepsuta ideami, niestety. Choć te powybijałyby jej z głowy, gdyby tylko miał okazję. Już wcześniej dostrzegł, jak pannica z dysponentem wymieniają spojrzenia. A więc to tak. Ciekawe, co ona w nim widzi. Pieniądze, oczywiście. Jutro sprawdzi, ile ta mała zarabia.

Młodsze służące sprzątają ze stołu, a później Kruszka podaje na deser ciepłą szarlotkę z bitą śmietaną. Jabłka nie rosną tak daleko na północy kraju, one też zostały przetransportowane z południa w drewnianych skrzyniach, każde

starannie owinięte w gazetowy papier.

Już od progu Kruszka widzi, jak nadsztygar Fasth patrzy na Elinę. Zamglone spojrzenie, półprzymknięte powieki, otwarte usta. W środku zaś czai się coś drapieżnego. Jak szczupak w szuwarach, zawsze gotów do ataku.

Podając ciasto, Kruszka szepce przyjaciółce do ucha:

– Znajdź jakiś pretekst i przyjdź do kuchni.

Chce nakłonić Elinę, żeby natychmiast poszła do domu. Na nadsztygarze nie można polegać. Zwłaszcza gdy jest napity, tak jak teraz. To mężczyzna niebezpieczny dla kobiet.

Ale Elina nie pojawia się w kuchni. Alkohol sprawia, że jest radośnie rozmowna. Może nawet nie dosłyszała Kruszki, bo towarzystwo zrobiło się dość hałaśliwe.

Kiedy przychodzi pora na koniak w salonie, większość pań udaje się do domu. Elina zostaje. Fasth nie mówi żonie nawet „dobranoc”, kiedy ta – żegnając się z gospodarzem – dziękuje za miły wieczór. A żona nie zadaje sobie trudu, by go ze sobą zabrać. Może wręcz się cieszy, że uniknie jego towarzystwa. Może czuje ulgę, podejrzewając, iż małżonek da upust męskim żądom między kolanami innej kobiety.

Kruszka zmywa i biega ze ścierkami jak szalona, żeby tylko zdążyć z robotą, nim ostatni goście opuszczą dom dysponenta.

Ale kiedy Elina zbiera się do wyjścia, kiedy w przedpokoju razem z innymi dziękuje gospodarzowi za wspaniały wieczór, Kruszka nie jest jeszcze gotowa. Musi pozbierać i pozmywać lampki do koniakowi, musi odstawić półmiski z pralinkami.

Kątem oka widzi, jak nadsztygar Fasth ujmuje Elinę pod rękę i zapewnia dysponenta, że osobiście dopilnuje, aby panna Pettersson bezpiecznie dotarła do domu.

Za drzwiami bierze ją władczo za ramię i rusza szybko przed siebie, nie oglądając się na pozostałych gości.

Elina czuje się nieswojo. Z ramieniem uwięzionym jak w imadle biegnie truchtem obok mężczyzny, który zupełnie nie zwraca na nią uwagi. Nawet wtedy, kiedy ona się potyka.

Uświadamia sobie, że białe noce już się skończyły, a ona jest zdana na cuchnącego wódką jegomościa, który nią niemal powłóczy.

Kiedy mijają magazyn Silverbranda przy Iggesundsgatan, nadsztygar nagle

zaciąga ją na podwórze. A tam ciemno jak w składzie węgla. Mdłe światło księżycyca pada na beczki i wózki ręczne, na zaprzęg i puste skrzynie.

Fasth przyciska ją do ściany drewnutni.

– No, moja mała – postępuje, kiedy Elina próbuje się wyrwać – nie bądź uciążliwa...

Chwyta ją mocno za pierś.

– Niech nie udaje. Przecież dopuszcza do siebie Lundbohma... i pewnie masę innych.

Jego mlaskające wargi ślinią jej twarz. Dłoń na piersi zaciska się coraz mocniej. Elina czuje napierające na nią ciało.

– Jak raz posmakuje prawdziwego mężczyzny, to nie będzie chciała żadnego innego.

Przytrzymując ją za brodę, przywiera ustami do jej ust, wciska w nie swój tłusty język.

Wtedy nauczycielka kąsa jego wargę. Smak krwi eksploduje na jej podniebieniu.

Nadsztygar bluzga przekleństwami i przykłada do ust rękę, która przed chwilą ugniatała kobiecą pierś.

Elina nabiera powietrza i krzyczy tak głośno, jak potrafi:

– Puść mnie!

Krzyczy tak donośnie, że śpiący w okolicy ludzie z pewnością się budzą.

Krzyk niespodziewanie dodaje jej sił. Udaje jej się odepchnąć napastnika.

Nadsztygar nie jest trzeźwy i być może dzięki temu Elina zdąży uciec, zanim on odzyska równowagę.

Wybiega z podwórza jak ścigana lisica. Dopada ją tylko jego głos.

– Kurwaaa!

KRISTER ERIKSSON obudził się wcześnie. W namiocie było chłodno. Dzięki pies Marcus dostał jego śpiwór zimowy, on sam zaś spał w o wiele lżejszym, przeznaczonym na letnie wyprawy. Tintin leżała obok. Czując, jak pan się przeciąga, otworzyła oczy i liznęła go po twarzy. Jezus Maria, jak

zimno! Dłużej się nie da, trzeba wstawać.

A jaką miał ochotę na snus!

Roy leżał w nogach, też już nie spał. Przez chwilę dwa psy kotłowały się w namiocie, by za chwilę wybiec na poranne siku.

Krister wystawił głowę na zewnątrz i stwierdził, że na szczęście nie spadł jeszcze pierwszy śnieg. Wyczołgał się, stanął na nogach i zajrzał do budy. Roy i Tintin węszyli wokół domu.

Buda była prostą, nieogrzewaną budowlą, zbitą w ciągu jednego dnia z desek. Wejście zasłaniały trzy zachodzące na siebie płachty plastiku. Nie izolowały od chłodu, ale przynajmniej chroniły od wiatru. A psy mogły swobodnie wchodzić i wychodzić.

Odsunął zasłonkę. Marcus spał w najlepsze, obok leżała Vera. Chyba nie było mu zimno. Pod sobą miał futrzak z renifera, a na śpiworze dodatkowy koc.

Vera momentalnie się obudziła i wyszła na podwórze.

– Nie ma rady – oznajmił psom Krister.

Podszedł do pojemnika na odpadki, otworzył go i wyłowił wczorajszy worek ze śmieciami. Zwierzęta, zaciekawione, zebrały się wokół niego.

– Wiem – powiedział głośno, rozplątując supeł. – Wstyd i żenada – dodał, wyłuskując średnio czyste pudełko ze snusem.

Psy podążyły za nim do domu na śniadanie. Krister włożył cudowną porcję snusu pod wargę i zaparzył poranną kawę, choć była dopiero za kwadrans piąta.

Z nadzieją, że Marcus lubi moroszeki, wyciągnął z zamrażarki część tegorocznych zbiorów. Na wszelki wypadek wyjął też opakowanie czarnych jagód. Jeśli na obiad przygotowuje pieczony naleśnik, powinien podać jakieś konfitury. Zapyta Sivvinga i Rebeke, czy nie zechcą zjeść razem z nimi.

Zakładając, że dzisiaj też chłopiec u niego zostanie, dodał w myślach.

Zrobił poranną gimnastykę: unoszenie tułowia, brzuszki, pompki i przysiady. Później zapłacił rachunki i odkurzył cały dom. Odkurzał codziennie, ponieważ psy zostawiały wszędzie mnóstwo sierści.

Vera usiadła przy drzwiach i zaczęła je drapać; chciała wyjść. Policjant spojrział na zegarek; w zasadzie chłopiec powinien spać tak długo, jak zechce. Suka z pewnością wyrwie go teraz ze snu. Takie przebudzenie chyba byłoby

jednak dla niego najmilsze.

Na sofie w salonie leżeli Tintin i Roy. Chwilowo nie zamierzali nigdzie wychodzić.

Vera uderzała ogonem o podłogę i patrzyła na policjanta mądrymi ślepiami. Miał wrażenie, że ona rozumie. Że w jakiś sposób wie, co chłopiec przeszedł, ponieważ sama była świadkiem śmierci swego pana. Że pomoże Marcusowi wyleczyć rany.

– Bardzo potrzebuję twojej pomocy – zapewnił ją Krister i otworzył drzwi.

Podszedł do okna w kuchni, skąd miał widok na budę. Vera wybiegła z za węgła i ruszyła prosto do śpiącego chłopca.

Przed wejściem zatrzymała się jak wryta.

Dlaczego nie wchodzi do środka? – zdziwił się Krister.

Vera zaszczekała. Przejmująco i z domieszką niepokoju. Potem wcisnęła głowę przez otwór, ale natychmiast się cofnęła. Zaszczekała ponownie.

Co się z nią dzieje? Krister wybiegł z domu w skarpetach. Padł na kolana przed wejściem do budy i odgarnął plastikową zasłonę.

W środku spał Marcus. Ale zaraz przy wejściu płonął solidny znicz.

Żołądek policjanta ścisnął się ze strachu. Ogień! Skąd?

Krister bez wahania wziął znicz do ręki, położył go do góry dnem na trawie; płomień zgasł z lekkim sykiem. Zaraz potem wyciągnął chłopca z budy, ze śpiworem i całą resztą.

Potrząsał nim, wołając:

– Marcus! Marcus, obudź się!

Myśli kłębiły mu się w głowie. Boże jedyny, gdyby chłopiec poruszył się we śnie, gdyby śpiwór zajął się od ognia...

Zabrakło mu sił na dokończenie wyliczanki. Sam kiedyś stanął w płomieniach. Był wtedy zaledwie kilka lat starszy od Marcusa.

Dlaczego chłopiec nie reaguje? Płonące świece w niewielkich pomieszczeniach to śmiertelna pułapka. Wiedział o tym. Co roku niedoświadczeni turyści umierali właśnie z tego powodu. Zapalali świece w przyczepie kempingowej, korzystali z jednorazowego grilla w maleńkim namiocie i już nigdy się nie budzili, zatruci czadem.

– Marcus!

Chłopiec leżał bezwładnie w jego ramionach. Wtem otworzył oczy i spojrzał niemo na Kristera, który w poczuciu ulgiomal nie wybuchnął płaczem.

Vera radośnie polizała Marcusa na dzień dobry, chłopiec bez powodzenia próbował odwzajemnić podobne powitanie.

– W psiej budzie nie wolno palić ani świec, ani zniczy – powiedział Krister z powagą. – Może wybuchnąć pożar! Może zabraknąć powietrza! Gdzie go znalazłeś?

Marcus spojrzał pytająco na policjanta.

– Hau?

– Skąd go wziąłeś?

Krister podniósł z ziemi zgaszony znicz i pokazał chłopcu.

Ten pokręcił głową.

Krister poczuł, jak przechodzą go ciarki. Rozejrzał się dokoła.

W tej samej chwili jakby znikąd pojawił się młody mężczyzna. Włosy upięte w kok na czubku głowy, na nosie okulary zainspirowane modą lat sześćdziesiątych. Biała koszula i stanowczo za cienka kurtka. Zaraz za nim biegła truchtem równie młoda kobieta w bluzie z kapturem i workowatych džinsach. Wyglądają na takich, którzy okupują domy i obrzucają kamieniami policję konną, pomyślał Krister. Instynktownie przytulił Marcusa. Podniósł się, postawił chłopca na nogi, ciągle w śpiworze.

– Panie Eriksson! – zawołał młodzieniec. – Dlaczego Marcus śpi w psiej budzie? Czy dlatego, że zagraża bezpieczeństwu? Zabrakło panu odwagi, żeby pozwolić mu spać w domu?

– Co?

Kobieta zrobiła serię zdjęć.

Dziennikarze.

– Proszę nie wchodzić na moją posiadłość! – odkrzyknął Krister, odwracając twarz chłopca do siebie.

Młodzi ludzie zatrzymali się przy skrzynce na listy. Znali swoje prawa. Widok policjanta kosmity nie był wystarczająco straszny, by zmusić ich do ucieczki. Kobieta nieustannie fotografowała, mężczyzna zaś rzucał kolejne pytania.

– Czy jest niebezpieczny? Sądzi pan, że zabił swoją babcię? Czy to prawda,

że dzisiaj zostanie przebadany przez psychiatrę sądowego?

Krister trząśł się z powstrzymywanej wściekłości.

– Czy wyście oszaleli?! Proszę natychmiast stąd odejść!

Wziął chłopca na ręce. Zawołał Verę, która beztrąsko biegła wokół przybyłych.

– Do nogi! Do nogi, mówię!

Że też Rebeka nie mogła jej nauczyć podstawowych komend.

Marcus szarpał się w objęciach, wołał iść sam. Na odchodne zdążył jeszcze obszczekać dziennikarzy.

– Hau! – ujadał. – Hau, hau, hau!

Carl von Post spał bardzo niespokojnie. Śniło mu się, że dusi żonę stalową linką. Jej twarz była sina i napuchnięta jak balon, który za chwilę ma pęknąć. Spod wrzynającej się w szyję linki sączyła się krew. Prokurator zerwał się ze snu, niepewny, czy krzyczał, czy słyszeli go sąsiedzi.

Nie mógł zrozumieć, skąd ten osobliwy sen. Musiał zjeść coś ciężkostrawnego. A może łapała go jakaś choroba? W każdym razie na pewno nie miało to związku z kuzynką zmarłej, Mają Larsson, i z tym, co powiedziała o jego ojcu i żonie. Wykluczone. Maja Larsson była kompletnie nieważną osobą.

Von Post stał teraz w drzwiach gabinetu Rebeki Martinsson. Alf Björnfort siedział za biurkiem, na którym leżały rozłożone akta dzisiejszych spraw karnych. Dziesięć prostych posiedzeń, jedno po drugim, każde obliczone na jakieś pół godziny.

Cudownie, pomyślał von Post, czując, jak nieprzyjemne wspomnienie snu odpływa w niepamięć.

Rebeka Martinsson zareagowała lepiej, albo – mówiąc poprawnie – gorzej, niż mogło mu się zamarzyć. Urządziła szefowi scenę jak rozhisteryzowana baba, pokłóciła się z nim i odmówiła przyjścia do pracy.

W rezultacie on dostał dochodzenie, a ona wygrała casting do roli histeryczki i świni, na której nie można polegać. Musiał się powstrzymać, żeby nie zacząć podśpiewywać i rozdawać uśmiechów. Nie, nie. Tutaj potrzebna jest zatroskana mina.

– Dużo tego? – spytał szefa wyważonym tonem.

Björnfort rzucił mu poirytowane spojrzenie.

– Cholerny niefart, że potraktowała to tak bardzo osobiście – perorował von Post, czując, jak ogarnia go dziecięca, bożonarodzeniowa radość. – To przecież szaleństwo, żebyś musiał przyjeżdżać tutaj z Luleå, zostawiać tam wszystko...

Alf przerwał mu machnięciem ręki.

– E tam. Każdy głupi dałby radę. Martinsson, kurde, wszystko przygotowała i zapięła na ostatni guzik. Napisała konspekt, listę pytań, a nawet szkic przemówienia końcowego. Wystarczy tylko odczytać.

Maszynaria von Posta zazgrzytała. Bożonarodzeniowa muzyka nagle ucichła. Powinien był oczywiście przejrzeć jej papiery i wrzucić ten cholerny konspekt do niszczarki. Zrobić bałagan w aktach.

– Uważam, że to cholerna chryja – powiedział z emfazą. – To przecież odmowa świadczenia pracy i podstawa do wymówienia. Ktoś inny dostałby ostrzeżenie.

Pogratulował sobie, że w tak elegancki sposób zasugerował szefowi, co o tym myśli. Nieudzielenie Rebecce ostrzeżenia mogło być odebrane jako faworyzowanie. A wypowiedzenie pracy musi być poprzedzone ostrzeżeniem. Nie żeby Björnfort kiedykolwiek ją zwolnił, to człowiek szalony. Zresztą zwolnienie nie byłoby potrzebne. Ostrzeżenie będzie dla niej wystarczającym powodem do złożenia rezygnacji, mógłby niemal przysiąc.

– Udzieliłem jej urlopu – powiedział sucho Alf. – I jeżeli chodzi o mnie, będę wdzięczny, jeśli mi wybaczy i nie odejdzie na własną prośbę. W Meijer & Ditzinger byłiby oczywiście przeszczęśliwi. Zaproponowałiby jej współudział, gdyby do nich wróciła.

Szef wygląda blado, pomyślał von Post. Niezdrowo. Chorobliwie.

– Daj mi znać, gdybym mógł ci jakoś pomóc – powiedział i się uśmiechnął.

W tym momencie w korytarzu pojawili się Fred Olsson i Anna Maria Mella; ożywni, z zaróżowionymi policzkami.

Na widok von Posta umilkli.

Prokurator przywołał ich do siebie skinieniem ręki.

- Jeszcze chwila i będziemy go mieli – oznajmił Fred, wręczając von Postowi wydruk. Policjanci pozdrowili Alfa Björnforta. Nieszczerólnie serdecznie. Anna Maria prześwidrowała go nieprzyjaznym spojrzeniem. Björnfort odpowiedział zakłopotanym.

– Przejrzałem SMS-y od tajemniczego przyjaciela Sol Britt Uusitalo – powiedział Fred. – Ostatnia karta *prepaid* została aktywowana dwa tygodnie temu. SMS-y wysłane za dnia pochodzą ze stacji bazowej w Kirunie, a wysłane wieczorem – ze stacji w Kurravaarze. W sobotę jeden SMS został wysłany z Abisko.

– Zamordowano ją w nocy z soboty na niedzielę – przypomniał von Post.

– Ale można stamtąd dojechać w ciągu godziny.

– Maja Larsson powiedziała Svenowi Erikowi, że Sol Britt miała romans z mężczyzną, który z żoną i dziećmi mieszka w Kurravaarze – odezwała się Anna Maria, unikając wzroku von Posta. – Mogę porozmawiać z sąsiadem Rebeki, Sivvingiem. On zna ludzi we wsi. Może ktoś będzie pasował. Żonaty, dzieciaty, domek albo coś w tym rodzaju w okolicy Abisko.

– Jasne, porozmawiaj z nim od razu – zachęcił Alf Björnfort.

Uśmiechnął się do niej niepewnie. Mella obróciła się na pięcie, odeszła na bok i wyjęła z kieszeni telefon.

Odrobina napięcia nigdy nie zaszkodzi, pomyślał von Post nie bez zadowolenia. Gdyby tak i nasza karlica dostała histerycznego ataku, to by dopiero był przyjemny widok!

Björnfort zwrócił się do Freda Olssona.

– Nie udało ci się sprawdzić, gdzie tę kartę sprzedano?

– Owszem. BW Jour Livs.

– Przejdź się tam i zapytaj, czy jakiś mieszkaniec Kurravaary nie ma w zwyczaju kupować w kasie kart telefonicznych – zaproponował Björnfort.

Podniósł się z krzesła i włożył marynarkę, gotów do przejęcia posiedzeń Rebeki, gotów do boju z obywatelami, którzy oddawali mocz w miejscu publicznym, jeździli na motorowerze bez kasku, kradli w sklepach, prowadzili samochód nietrzeźwi albo pędzili bimber.

– Ludzie się tu pilnują nawzajem i sporo o sobie wiedzą – powiedział.

Umilkli. Z korytarza dochodziły powtarzane przez Annę Marię: „tak”, „mhm” oraz „dziękuję, ale teraz muszę...”. Ostatnią frazę wypowiedziała kilkakrotnie, zanim udało jej się zakończyć rozmowę.

Kiedy wróciła do gabinetu, patrzyło na nią wyczekująco kilka par oczu.

Do rzeczy, pomyślał von Post.

– Jocke Häggroth – powiedziała. – Nie znam. Zwykły gość, zdaniem Sivvinga. Żona, dwoje dzieci w wieku szkolnym. Pracuje jako spawacz w Nybergs Mekaniska. Sivving jest niemal pewien, że brat Häggrotha ma domek letniskowy nad jeziorem, niedaleko Abisko. Poza tym znał dwóch innych mężczyzn, którzy mają tam arki rybackie. Też dzieciaci, tyle że dzieci są już dorosłe. Zapisałam nazwiska. Tore Mäki i Sam Wahlund.

– Chociaż o tej porze roku arki stoją chyba na lądzie? – wtrącił von Post.

– Weźcie zdjęcia paszportowe wszystkich trzech i jedźcie do BW – zaproponował Björnfot. – Może w sklepie rozpoznają któregoś z nich. Jeśli tak, to przywieźcie koleśka na przesłuchanie.

Anna Maria skinęła głową.

– Mamy go – mruknęła pod nosem. – Szybko nam poszło.

Prawie za szybko, pomyślał von Post. Tak czy owak: hurra!

Mógłby zwołać konferencję prasową już na popołudnie. Wkroczyć do sali, usiąść. Wstęp jest ważny. „Przejąłem dochodzenie wczoraj i poprowadziłem je efektywnie, co dało dobre wyniki”. Nie, może nie: „co dało dobre wyniki”. Raczej: „to daje dobre wyniki”. Bardziej cięte.

Miał nadzieję, że sprawcą jest ojciec małych dzieci. Gazety lubią takie rzeczy. Będą mocne nagłówki.

Zadzwoił telefon Anny Marii. Na wyświetlaczu zobaczyła: Krister Eriksson.

– Tak... Tak... Co ty, kurwa, mówisz?

– Dzieci? – szepnął Alf Björnfot do von Posta i Freda Olssona.

Mężczyźni milczeli.

Policjantka zakończyła rozmowę. Z telefonem w ręce popatrzyła niemo na Björnfota.

– Krister Eriksson – odezwała się w końcu – mówi, że ktoś próbował zabić Marcusa.

– REBEKA MARTINSSON powiedziała w każdym razie, że muszę z tobą porozmawiać.

Krister Eriksson przyszedł na komendę. Na korytarzu Marcus bawił się z

Verą w dzikiego psa. W gabinecie komisarz Melli rozmawiali cicho Anna Maria, Krister Eriksson i Carl von Post.

– Nie rozumiem, po co w ogóle zadzwoniłeś do Rebeki Martinsson – fuknął prokurator.

– Tutaj jest znicz – powiedział Krister, podając mu papierową torebkę. – Pomyślałem, że odciski palców...

– To przecież równie dobrze mógł być chłopiec. To on mógł przynieść i zapalić znicz – przerwał mu von Post.

Niechętnie przyjął torebkę.

– Nie mam w domu żadnych zniczy. Skąd zatem by go wziął? I gdzie się podziały zapalniczki? Ktoś umieścił znicz w budzie, kiedy byłem w domu.

– To też znakomity pomysł... pozwolić małemu spać w budzie – skomentował kwaśno prokurator. – Za pół godziny napiszą o tym w gazetach. „Policja w Kirunie przechowuje traumatyzowane dziecko w budzie dla psa”.

Krister milczał.

– To znaczy, że chłopiec coś zobaczył – odezwała się Anna Maria i wzięła papierową torebkę od prokuratora. – No bo dlaczego ktoś chciałby go zabić? To jest ważne. O trzynastej dwadzieścia mam odebrać z lotniska koleżankę z Umeå, specjalistkę od przesłuchań małoletnich.

– Wspaniale – odparł von Post, wycierając dłoń o nogawkę spodni. – Zajmiesz się nim do tego czasu?

Spojrzał na Kristera i machnął ręką w kierunku korytarza, w którym Marcus z wywieszonym językiem przed chwilą zataczał kółka.

Policjant skinął głową i wyszedł z gabinetu. Marcus i Vera zniknęli z pola widzenia. Tknięty lekkim niepokojem, przyspieszył kroku. Znalazł chłopca pod biurkiem w jednym z pustych pokoi. Vera rozciągnęła się obok, na dywanie.

Krister przykucnął.

– Tu jesteś – powiedział miękko. – Jak się masz?

Marcus nie odpowiedział. Nie patrzył mu w oczy.

– Jak się ma dziki pies? – spróbował ponownie. – Może jest głodny? Albo chce mu się pić?

– Dzikie psy bardzo się boi – odezwał się Marcus cichym głosem. – Dlatego

się schował.

– Oj – szepnął Krister, prosząc bogów o mądrość i rozwagę. – Dlaczego tak się boi?

– Wszyscy w jego psiej rodzinie nie żyją. Przyszli myśliwi i zaczęli na nich polować, i strzelali, i kopali doły, gdzie nabijali ich na pale, i zrobili też inne zasadzki, oni...

– Tak?

Marcus umilkł.

– Okej – odezwał się po chwili policjant. – Czy jest jakieś miejsce, w którym dziki pies czuje się bezpiecznie?

Chłopiec skinął głową.

– Z tobą i z Verą nie boi się tak bardzo.

– Co za szczęście, że akurat tu jestem – szepnął Krister i przysunął się bliżej do chłopca. – Myślisz, że dziki pies odważy się wpaść mi w objęcia?

Marcus wyciągnął ku niemu ramiona.

I co począć? – pomyślał policjant, biorąc chłopca na ręce. Poczuł na karku splecione szczupłe rączki. Podniósł się.

I co począć z takim małym człowieczkiem, któremu umarli wszyscy dorośli? Odsunął od siebie złość na matkę chłopca, która nie chciała się nim zająć. Nic o niej nie wiem, upomniał się w myśli. Mój gniew w niczym tu nie pomoże.

Usiadł na krześle z chłopcem na kolanach. Momentalnie poczuł, jak przemakają mu spodnie. Pod biurkiem na dywanie widniała spora plama.

– Przepraszam – powiedział Marcus.

– Nic nie szkodzi – odparł Krister i przełknął ślinę. – Takie rzeczy się zdarzają, kolego. Możesz się o mnie oprzeć, jeśli chcesz. Posiedzimy tu chwileczkę. A później pojedziemy po czyste ubranie. Mogę cię zanieść do auta, jeśli chcesz.

Przyłożył policzek do włosów chłopca.

Nie musisz się bać, piesku, pomyślał. Obiecuję.

– Jesteś silny, możesz mnie zanieść – szepnął Marcus. – Myśliwi mnie wtedy nie zobaczą.

– Tak, nie zobaczą cię wcale a wcale.

Krister czuł, jak mętnieje mu wzrok.

– Obiecuję ci. Nie musisz się bać. Bo ja jestem bardzo silny.

REBEKA MARTINSSON siedziała w kuchni przy stole i bazgrała po kopercie ze stosu nieposortowanej poczty. Skończyła rozmawiać przez telefon z Kristerem. Policjant był przekonany, że to nie Marcus przyniósł i zapalił znicz.

– Wiesz dlaczego? – spytał. – Oczywiście: bo gdzie niby miał znaleźć znicz i zapalki? Ale przede wszystkim: gdy zasnął, otuliłem go dodatkowym kocem. Kiedy takie małe skrzaty leżą w śpiworze, nie potrafią same nałożyć na siebie koca, nie w ten sposób. A gdy wyciągałem Marcusa z budy, ciągle był dokładnie opatulony.

Nie wierz w przypadki, pomyślała Rebeka. To mogłoby wyglądać na nieszczęśliwy wypadek. Jeszcze jeden nieszczęśliwy wypadek.

Narysowała na kopercie kółka, wpisała w nie imiona, dorysowała krzyże przy imionach zmarłych.

Hjalmar Lundbohm był dziadkiem Sol Britt. Jej babcia, nauczycielka, została zamordowana. Kilka miesięcy temu ojca Sol Britt rozszarpał niedźwiedź. Ona sama padła z ręki mordercy. Jej syn zginął, potrącony przez samochód, trzy lata temu. Sprawca uciekł. A teraz wygląda na to, że ktoś usiłował zabić jej wnuka, Marcusa.

Wniosek nasuwał się sam: morderca Sol Britt wiedział, że chłopiec coś zobaczył. Coś, czego im jeszcze nie powiedział, ale co mogło się roznieść. Wypadek syna i śmierć ojca Sol Britt nie miały z tym nic wspólnego. Bo właściwie dlaczego miałyby mieć?

Ludzie umierają, pomyślała. Wszyscy prędzej czy później umrą.

Położyła palec na kółku z imieniem syna Sol Britt.

Przyjrę się tej ucieczce z miejsca wypadku, postanowiła. Przecież i tak nie mam nic innego do roboty.

JEST PAŹDZIERNIK 1914 ROKU. Wojna pochłania żelazo i stal. Jesienny chłód zmraza góry. Liście sękaty brzozy zamieniają się w złote monety, a

torfowiska płoną czerwienią.

Kiedy dzień w szkole dobiega końca, Elina spieszy do domu Hjalmara Lundbohma. Długo go nie było w Kirunie, dziś właśnie wrócił z podróży. Nauczycielka powstrzymuje się, żeby nie zacząć biec.

Tak bardzo tęskniła! A on nawet nie napisał.

Serce ludzkie to osobliwa rzecz, przechodzi jej przez głowę.

I nagle uświadamia sobie, że zapomniała zabrać z klasy kaftana. Ależ ze mnie roztrzepana trzpiotka, uśmiecha się pod nosem.

Dwa serca szukają miłości. Znajdują ją. Zatracają się w niej. Kochają i niemal ulegają zagładzie. Nasuwa się przypuszczenie, z którym Elina nie potrafi sobie dać rady. Że Hjalmar znalazł inną. Że przejadła mu się jej miłość. Że poszedł spać, a po przebudzeniu ruszył na poszukiwanie czegoś innego.

To wcale nie musi być prawda, próbuje przekonać siebie samą. Jest przecież tyle innych wytłumaczeń.

Cały świat się zbroi. Dysponent Lundbohm eksportuje rudę żelaza do USA i Kanady. Oraz oczywiście do największego producenta broni w Europie, koncernu Kruppa w Niemczech. Szwecja jest neutralna i prowadzi handel ze wszystkimi, którzy płacą. Hjalmar z pewnością bardzo ciężko pracuje. Nie było go w domu od czternastego sierpnia.

Tamtego dnia przez cały dzień były kościelne dzwony, tak jak we wszystkich innych miastach Szwecji. Manifestacja na rzecz wojny, manifestacja gotowości w razie ewentualnego ataku. Od rana do wieczora wyły również syreny w kopalni. Kilku rekrutów wsiadało do pociągu jednocześnie z Lundbohmem. Płacz kobiet i dzieci mieszał się z uderzeniami dzwonów i buczeniem syren. Elina poszła na stację, żeby się pożegnać z Hjalmarem. Był w świetnym nastroju. Powiedział, że dość długo zabawi w podróży. Ujrawszy jednak jej spojrzenie, obiecał pisać. Obiecał.

Nie napisał ani słowa. Najpierw myślała, rany Julek, przecież nic w tym dziwnego. Niektórzy już teraz nazywają tę wojnę światową. Później myślała, że jeżeli za nią tęskni, jeżeli ją kocha, to trudno mu będzie milczeć. Że będzie pisał nocą, zamiast spać. Potem odesłała go do diabła. Co on sobie myśli! I dlaczego ona miałaby...? Są przecież inni. Niemal codziennie pod drzwiami mieszkania leżą liściki od rozmaitych zalotników, którzy chcieliby ją zaprosić na kawę lub zabrać na przechadzkę. Kiedy Hjalmar następnym razem przyjedzie do Kiruny, będzie spacerowała pod ramię z innym mężczyzną. A

gdyby nalegał na spotkanie, odpowie mu, że jest zajęta lekcjami. Niech sobie siedzi i czeka.

Próbuje przestać o nim myśleć, chodzi na zebrania różnych organizacji, zatapia się w czytaniu. Kruszką często ją prosi, żeby czytała na głos. „Usiądź i czytaj, to ja pozmywam”, mówi. Była nawet z Kruszką w klubie służących i na kilku spotkaniach Armii Zbawienia, posłuchać muzyki smyczkowej.

Kruszka cieszy się z towarzystwa przyjaciółki. Bo wprawdzie narzeczony ją uwielbia, ale za nic nie chce z nią pójść do klubu czy kościoła. Tędy przebiega granica mojej tolerancji, mówi Johan Albin.

Ale wszystkie zamysły Eliny na nic się nie zdały. Biegnie teraz bez kaftana.

Tak jak w Piśmie Świętym. Tak jak kobieta z Pieśni nad Pieśniami. Ta, która błąka się po mieście w poszukiwaniu oblubieńca, choć strażnicy miejscy biją ją i ranią. „Wstanę, po mieście chodzić będę, wśród ulic i placów, szukać będę ukochanego mej duszy”. Raz po raz powtarza: „Bo chora jestem z miłości”.

Taka jest ta miłość. Jak choroba we krwi.

W pobliżu domu kochanka Elina zwalnia kroku. Czuje, jak na widok Hjalmara przeszywa ją prąd. Niczym u czatującego pstrąga, gwałtowne drżenie rozchodzi się po całym ciele. To owa zdradliwa miłość, mieszkająca w jej duszy, to ona tak pulsuje. Po chwili Elinę przenika kolejny dreszcz, tym razem strachu. Oto bowiem dostrzega nadsztygara, który rozmawia z dysponentem. Nie widziała go od sierpniowego przyjęcia. Opowiedziała wtedy o nim Kruszcze, ta zaś ją ostrzegła: „Trzymaj się od tego mężczyzny z daleka. Mówię ci, to groźny typ”. Obok stoi kierownik ochronki, zwany Johanssonem od dzieci, i czeka na swą kolej, by zamienić słowo z panem Lundbohmem.

Fasth dostrzega nauczycielkę pierwszy; Hjalmar ciągle stoi odwrócony do niej plecami. Elina idzie przed siebie tak spokojnie, jak tylko potrafi, i mijając rozmawiających, pozdrawia ich lekkim skinieniem głowy.

Lundbohm wykrzykuje: „Panna Pettersson!” i wszyscy trzej uchylają kapeluszy; no, oprócz Johanssona od dzieci, który ciut niezdarnie miętosi czapkę z szarej wełny. Ale Elina już tego nie widzi. A jej biedne serce tłucze się w piersi i z miłości, i ze strachu.

Teraz musi się pilnować, by stamtąd nie uciec.

Nie biegnij, nakazuje ciało, czując na nim spojrzenia mężczyzn. Nie biegnij. Nie biegnij!

Nadsztygar przesuwając spojrzenie z Eliny na Hjalmara. Takie buty! Nauczycielka paraduje jak ładacznica bez płaszcza, by pokazać cienką talię i okazałe piersi. I tę burzę jasnych włosów. A Lundbohm tylko... czeka, aż Fasth znów zacznie mówić. Czyżby ich romansik przeszedł do historii? Zatem droga otwarta! Kiedy wilk i niedźwiedź najedzą się do syta, przychodzi kolej kruka i lisa.

Biegnij, króliczku, myśli nadsztygar i omiata wzrokiem kobiece krągłości. Biegnij, biegnij.

Wieczorem przychodzi do nauczycielki posłaniec z biletem.

„Moja najukochańsza Elino. Mignęłaś tak szybko, że nawet nie zdążyłem Cię pozdrowić. Może to wojna mi Ciebie odebrała. Może Twoje uczucia ochłodziły i może nawet znalazłaś kogoś innego. Jeśli tak się stało, mimo wszystko chciałbym pozostać Twoim przyjacielem i jako przyjaciel pragnę zaprosić Cię dziś na kolację. Możesz? Chcesz? Twój H.”

Elina widzi tylko nagłówek. Czyta słowo „najukochańsza” raz po raz. A potem biegnie do Hjalmara. Zaprawdę, chora jest z miłości. Spieszą do łóżka jeszcze przed deserem.

Nie pyta go: kochasz mnie? Masz dla mnie sympatię? Co właściwie z nami będzie?

Patrzy na niego. Hjalmar zasypia, jakby ktoś go zdzielił w głowę. Gdyby przynajmniej odrobinę z nią porozmawiał, tak jak kiedyś. Gdyby szepnął, że ją kocha, a później zasnął w jej ramionach jak dziecko. Nie. Odwraca się na plecy, raz, dwa i już śpi. Elina wstaje i myje podbrzusze. Wraca do łóżka. Długo patrzy na dysponenta. O śnie może tylko pomarzyć.

Myśli zgrzytają jak żwir. Z każdym oddechem więcej tego żwiru. Wkrótce Elina zamieni się w szare usypisko skały płonnej. Przekonana, że Hjalmar jej nie kocha. Że ona nic dla niego nie znaczy.

W końcu ubiera się i wraca do domu w środku nocy. Dysponent cały czas śpi.

Mróz skuwa jezioro Luossajärvi. Skorupa lodu szybko grubieje zimną nocą. Narastając, pęka z łoskotem. Saamowie nazywają to zjawisko *jåmidit*; kiedy lód śpiewa i ryczy, choć nikt po nim nie stąpa.

Przez całą drogę Elina słyszy jego wycie. Lód bez przerwy płacze, zawodzi i pęka.

– DOŚĆ PEWNA – powtórzyła Marianne Aspehult w BW Jour Livs, wskazując na zdjęcie paszportowe Jockego Häggrotha. – Albo nawet całkiem pewna. Tak, czasami robi tutaj zakupy. Choć nie pamiętam, czy kupował jakąś kartę do telefonu.

Anna Maria rozejrzała się po lokalu. Szalenie przytulny, podsumowała. Nigdy wcześniej nie postawiła tu stopy, choć sklep istniał od zawsze.

Sprzedawczyni patrzyła na fotografie dwóch mężczyzn, o których Sivving wiedział, że w pobliżu Abisko mają arki rybackie.

– Możliwe, że oni też do nas zachodzą, chociaż akurat ich sobie nie przypominam. Myślę, że... nie.

Anna Maria skinęła głową.

– Dziękuję – powiedziała.

– Jeśli można zapytać... Czy to ma coś wspólnego z morderstwem w Kurravaarze?

Komisarz Mella pokręciła przepaszajaco głową.

– Rozumiem – odparła Marianne Aspehult. – Może weźmie pani trochę cukierków? Albo popołudniówkę?

Ludzie są tacy mili, pomyślała policjantka, wychodząc ze sklepu. Pomocni i życzliwi. Zdecydowana większość nie zajmuje się zabijaniem bliźnich.

Później zadzwoniła do von Posta. Nadeszła pora na zatrzymanie i przesłuchanie Jockego Häggrotha.

REBEKA MARTINSSON pojechała do Jukkasjärvi. Matti, syn Sol Britt, pracował w warsztacie obsługującym Hotel Lodowy.

Tutaj przycinano bloki lodu służące za budulec, zaopatrywano rzeźbiarzy w surowiec i specjalnymi maszynami grawerowano zaprojektowane przez nich wzory. Z lodu wytwarzano szklanki, talerze i mnóstwo innych przedmiotów z myślą o hotelu, który wkrótce miał tutaj stanąć.

Pomieszczenie wyglądało jak każdy inny warsztat; takie same tarcze pilarskie i wiertła, takie same dźwięki. Różniły się jedynie temperaturą.

Powinnam była wziąć kurtkę puchową, pomyślała Rebeka.

Zapytała o Hannesa Karlssona. To on znalazł Mattiego Uusitalo potrąconego przez samochód. Ze skąpej dokumentacji dochodzenia wynikało, że byli kolegami z pracy.

Karlsson pracował przy niewielkiej pilarce. Obrabiając pięciocentymetrowe kawałki lodu, nadawał im wygląd kryształów.

Na widok Rebeki wyłączył maszynę, zdjął okulary i nauszniki ochronne.

– To części kryształowego żyrandola – powiedział. – Z lodu, który mamy na składzie, robimy luźne elementy. Później rzeźbiarze i architekci wewnątrz dopracują szczegóły. Teraz tylko czekamy na zimę, żeby zacząć budowę. A kiedy hotel będzie gotowy, pewnie jak zwykle pojedę do Björkliden i zatrudnię się tam w sezonie narciarskim.

Mężczyzna miał krótko przystrzyżoną czarną brodę i resztki opalenizny na twarzy. Mimo dość nikłej postury wyglądał na silnego człowieka. Przyglądał się Rebecce z nieukrywanym zainteresowaniem.

Facet żądny wrażeń, pomyślała. Jeden z tych, którzy prowadzą psie zaprzęgi i pływają kajakiem w bystrzynach. Niespokojna dusza.

– Możemy zmienić lokal – zaproponował i kiwnął głową na znak, że widzi, jak Rebeka marznie. – Za chwilę i tak będę miał przerwę.

– Co za cholerna tragedia – powiedział, kiedy usiedli w pokoju dla personelu, każde z kubkiem kawy. – Minęły trzy lata, odkąd Mattiego zabili w wypadku. Marcus miał wtedy cztery. Gdyby nie Sol Britt... A teraz... cholerna tragedia! Co z chłopcem?

– Nie wiem, co o nim sądzić – odparła Rebeka i upiła łyk kawy. – Zajął się nim jeden z policjantów. Matti i pan byliście kolegami, prawda?

– Zgadza się.

– Czy mógłby pan opowiedzieć o... No, kiedy Matti... To pan go znalazł, prawda?

– Ee... oczywiście. Myślałem, że pani prowadzi śledztwo w sprawie Sol Britt.

Rebeka cierpliwie czekała.

– Cóż mogę powiedzieć? Zginął podczas joggingu. Trzy razy w tygodniu biegał z Kurry do miasta. Brał u mnie prysznic, przebierał się, mieszkałem wtedy w mieście, a potem jechaliśmy razem do Jukkas. Po południu, też ode mnie, ruszał biegiem do domu.

– Czy to zawsze były te same dni tygodnia?

– Yes! Poniedziałek, czwartek i piątek.

Rebeka skinęła zachęcająco głową.

– Cóż mogę powiedzieć? – spytał ponownie. – To był czwartek. Mieliśmy zamówienie z baru polarnego w Kopenhadze, człowiek nie chciał się spóźnić, zacząłem się niecierpliwić, zadzwoniłem. Odebrała Sol Britt i od razu się zaniepokoiła, bo Matti wyszedł z domu o zwykłej porze i powinien już być na miejscu. Zadzwoniłem do pracy, uprzedziłem, że przyjdę trochę później, i pojechałem do Kurravaary. Ani śladu. Zawróciłem i dopiero wtedy go dostrzegłem, bo leżał właśnie po tej stronie. W krzakach. To było na przedleciu, liście jeszcze porządnie nie urosły, parę tygodni później już bym go nie zobaczył. Przeleciał spory kawałek. Dlaczego pani o to pyta?

– Nie wiem. Coś mnie w środku męczy... – Rebeka wysiliła się na uśmiech.
– Ale może tylko zjadłam coś ciężkostrawnego.

– W takim razie chyba zjadłem to samo. Bo wie pani... Według mnie ta cała historia jest bardzo dziwna. Na zupełnie prostej drodze. W biały dzień. Matti miał kamizelkę odblaskową. No ale wiadomo. Są opijusy, są ludzie na prochach i tacy, co zasypiają za kierownicą. Zapytałem nawet wtedy policję, czy nie będą sprawdzać samochodów w Kurravaarze. No, bo rozumie pani, jak to jest na wsi. Człowiek doskonale wie, którym staruszkom powinno się odebrać prawo jazdy. Poruszają się tacy po drogach na wpół ślepi i na wpół śpiący. A ludzi, którzy jeżdżą do miasta tak wcześnie rano, o wpół do siódmej, przecież też nie ma wielu. „Sprawdźcie tylko przód”, powiedziałem. Ileż tych samochodów mogło być? Ale nie sprawdzili. „Jeśli będziemy mieli podejrzanego”, odpowiedzieli. A potem: umorzenie. Ucieczka z miejsca wypadku.

Wstał i przyniósł więcej kawy.

– No więc sam zacząłem węszyć w Kurravaarze. Tak naprawdę byłem w szoku po tym, jak go znalazłem, tylko że wtedy tego nie rozumiałem. Goran dał mi parę dni wolnego, powiedział, że nie muszę iść na zwolnienie lekarskie. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci. Martwiliśmy się o chłopca. Każdy wiedział, że Sol Britt...

Podniósł do ust wyimaginowany kieliszek.

– Myśleliśmy, że nie będzie mogła się zająć Marcusem. Wiedzieliśmy, że matka chłopca jest nim średnio zainteresowana. Matti miał z nią niezłe przejścia. Uważał, że powinna widywać się z synem, choćby przez tydzień w

wakacje. Ale gdzie tam! Kompletnie się od niego odcięła. Od własnego, kurde, dziecka! Ale Sol Britt wzięła się w garść. Że też jej się to udało. Kiedy pogadałem z policją i zrozumiałem, że nie mają zamiaru się przemęczać... No to wsiadłem w samochód i objechałem Kurravaarę. Najpierw wypytałem znajomego, który tam mieszka, o tych, co zaczynają pracę wcześniej rano, i o takich, co jeżdżą, choć nie powinni. Sprawdziłem chyba z dziesięć samochodów. Szukałem wgniecenia karoserii albo podejrzenie czystego auta...

– I co?

– I nic. Nie wiem, widocznie potrzebowałem tego prywatnego śledztwa, żeby odzyskać spokój.

Rebeka nie odpowiedziała. Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

A jeżeli to nie był wypadek? – założyła. Wszyscy wiedzieli, że Matti przebiegał tę trasę trzy razy w tygodniu. Gdybym chciała go zabić, załatwiłabym go właśnie w ten sposób. Uniknęłabym dociekliwych policjantów. Jeśli wszyscy sądzą, że chodzi o ucieczkę z miejsca wypadku, to na dochodzenie nie przeznaczają się zbyt wiele środków.

– Halo! – odezwał się w końcu Hannes i pomachał ręką przed oczami Rebeki. – Odleciała pani w kosmos?

Uśmiechnął się.

– Tak – odwzajemniła uśmiech. – Dziękuję, że poświęcił mi pan czas. I dziękuję za kawę.

– Rozjaśniło się pani w głowie?

– Nie wiem – odpowiedziała, wzruszając ramionami. Wstała. – Wie pani, że Matti był spokrewniony z Hjalmarem Lundbohmem? – spytał, jakby chcąc podtrzymać jej zainteresowanie. – Lundbohm był jego pradziadkiem.

– Tak, słyszałam. A nauczycielka, z którą Lundbohm miał dziecko, czyli prababcia Mattiego, została zamordowana.

– No proszę, o tym nie miałem pojęcia. Pomyślałem... W piątek w zajeździe będzie impreza z kiszonym śledziem. Personel i znajomi. Zagra dobra kapela. Przyjdzie pani?

– Nie mogę – Rebeka uśmiechnęła się przepaszająco. – W piątek przyjeżdża mój chłopak.

A jeśli będę miała pecha, to faktycznie przyjedzie, pomyślała.

Wsiadła do samochodu i zaczęła przerzucać stacje radiowe. Usłyszawszy *While My Guitar Gently Weeps* Beatlesów, przestała szukać. Już wyciągnęła rękę, żeby nastawić głośniej, kiedy zadzwoniła komórka. Anna Maria Mella. Rebeka ściszyła więc radio i odebrała telefon.

– Chyba go mamy – powiedziała odrobinę zdyszana policjantka. – Gościa, który romansował z Sol Britt Uusitalo. Chcę, żebyś wiedziała. Właśnie do niego jedziemy, żeby przeszukać mieszkanie i tak dalej.

– Dobrze – odparła Rebeka.

Zdziwiła się, jak nieprzyjaźnie zabrzmiało to słowo.

To przecież nie jej wina, upomniała się w myślach.

– Jak go znaleźliście? – spytała, głównie po to, by wykazać dobrą wolę.

– Dotarliśmy do miejsca, w którym kupił kartę *prepaid*. Sprawdziliśmy, że za dnia korzystał z niej w mieście, a wieczorami w Kurravaarze.

– Mieszkaniec Kurry – stwierdziła Rebeka.

– Zgadłaś. Jocke Häggroth. Czy to ktoś, kogo...

– Nie! W gruncie rzeczy nikogo tu nie znam.

Zapadła cisza. Obie kobiety postanowiły pohamować złość. Obie też rozważały słowo „przepraszam”, lecz żadna go nie wypowiedziała.

– Chcieliśmy go zgarnąć od razu – odezwała się po chwili policjantka. – Ale kiedy Sven Erik zadzwonił do niego do pracy, okazało się, że jest w domu, chory.

– Chory, jasne. Pewnie leży zdjęty panicznym lękiem.

– Przypuszczalnie tak. No ale teraz go przyskrzynimy.

– Powodzenia! – powiedziała Rebeka. – I jeszcze jedno... lepiej, żebyś to usłyszała ode mnie niż od kogoś innego. Wzięłam pod lupę tę ucieczkę z miejsca wypadku. No, wiesz, wypadku, w którym zginął syn Sol Britt.

– Okej...

Może chciała jeszcze coś dodać, ale głos zawisł w powietrzu.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś – odezwała się w końcu Rebeka.

– No coś ty... Przecież to nic takiego.

While My Guitar Gently Weeps wybrzmiało w radiu. Mimo wszystko, mimo wszystko, mimo wszystko, pomyślała Rebeka. Nie zaszkodzi, że mam

zajęcie.

Popatrzyła na przygarbione brzozy, na ich rozcapierzone ramiona. W tle błękit. Tu i ówdzie wisały jeszcze nieliczne żółte i czerwonawe liście. Stada czarnych ptaków wznosiły się ku niebu.

Rebeka wybrała numer medyka sądowego Pohjanena.

FORD ESCORT Anny Marii pruł szosą jak kulka flippera. W samochodzie oprócz niej siedzieli Sven Erik Stålnacke, Fred Olsson i Tommy Rantakyrö. Jechali do Jockego Häggrotha, który mieszkał pod Kurravaara, w Lähenperä.

Mężczyźni patrzyli po sobie. Ależ ona, kurde, ostro prowadzi.

– Coś może nadjechać z naprzeciwka – zauważył Sven Erik.

Anna Maria zdawała się nie słyszeć.

– A jak tam z dziećmiakami? – spytał Tommy.

Czy ta kobieta nie ma instynktu macierzyńskiego? Kto się zajmie jej młodymi, jeśli roztrzaska się na drodze?

Prokurator Carl von Post został w tyle w swoim nowiusieńkim mercedesie GLK.

– Sześć i dziesięć lat – odparła, przekonana, że koledze chodzi o dzieci podejrzanego. – Häggroth jest piętnaście lat młodszy od Sol Britt, ale to przecież niczemu nie przeszkadza. Co to się z ludźmi porobiło?

Żaden z kolegów nie odpowiedział. Próbowali trzymać się prosto na zakrętach; głównie to zajmowało ich uwagę.

– Najzwyczajniej w świecie nie miałabym czasu na jakiś skok w bok – mówiła dalej, wjeżdżając ostro na żwirową drogę. – Ja się cieszę, jak mi się raz na jakiś czas uda z własnym chłopem...

Koledzy instynktownie przycisnęli stopy do podłogi, na próżno próbując hamować.

Czerwonobrunatny dom był z bali, ocieplony elewacją z desek. W pobliskiej podłużnej budowli mieściły się obora i stodoła. Nad brzegiem rzeki stała drewniana kuźnia.

Gospodarstwo w rodzinie Häggrothów przechodziło z pokolenia na pokolenie, ale kiedy rodzice zmarli, Jocke z żoną postanowili wyciąć las i

sprzedać ziemię pod zabudowę.

Pieniądzy tam nie brakuje, mówiono we wsi.

Otworzyła żona. Ufarbowane na blond włosy z ciemnymi odrostami, związane w kucyk. Spodnie od dresu, intensywny makijaż oczu. Spod obszernego T-shirtu z każdej strony wyłaniały się nieostre tatuaże: róże, jaszczurki, znaki plemienne i runy.

– Jocke jest chory – oznajmiła i przez ramię Anny Marii spojrzała na trzech mężczyzn, którzy na odrobinę sztywnych nogach wydostawali się z samochodu. – Czego chcecie?

Von Post wjechał na podwórze i zaparkował spory kawałek od policjantki. Wysiadł, wygładził swój długi płaszcz i strzepnął niewidoczny pyłek z kaszmirowego szalika.

– Musi do nas wyjść – odparła Anna Maria. – Zresztą pani też. Proszę coś na siebie zarzucić i włożyć buty, ponieważ zaraz zaczniemy przeszukiwać dom.

– A dajże pani spokój! Myślisz, że kim ty jesteś, kobieto?

Zerwała jednak z wieszaka najbliższą kurtkę. Wkładając trzewiki, zawołała męża.

Mężczyzna wyglądał, jakby wstał z grobu. Błada twarz, parodniowy zarost i zaczerwienione oczy. Sine cienie pod oczami. Nie skomentował obecności policjantów w cywilu. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego.

– Pan pozwoli z nami – zwróciła się do niego komisarz Mella. – Czy ktoś jeszcze jest w domu?

– Nie – odpowiedziała żona.

Przeskakiwała spojrzeniem między osobami, które rozchodziły się po podwórzu. Tommy ruszył w kierunku stodoły, Fred zniknął w garażu.

– Dzieci są w szkole. Czy ktoś może nam powiedzieć, co tu się, kurwa, dzieje?

– Pani mąż miał romans z Sol Britt Uusitalo – wyjaśnił von Post. – A teraz chcemy, żeby pojechał z nami na komendę i odpowiedział na parę pytań. Zamierzamy też przeszukać państwa posiadłość.

Kobieta zareagowała pustym śmiechem.

– A cóż to za brednie? Pan kłamie! – krzyknęła.

Odwróciła się do męża.

– Powiedz, że to kłamstwo.

Jocke Häggroth spuścił wzrok.

– Chce pan włożyć kurtkę? – zapytała Anna Maria.

Szlag by trafił von Posta! Po jaką cholere to powiedział?

– No, powiedz, że kłamią! – krzyknęła przeraźliwie żona.

Przez kilka potwornych sekund panowała cisza. Po chwili kobieta uderzyła męża w pierś.

– Spójrz mi w oczy, skurwielu! I powiedz, że to kłamstwo. No, powiedz coś!

Mężczyzna podniósł rękę, by osłonić głowę.

– Chcę włożyć buty – odezwał się.

Żona patrzyła na niego z obrzydzeniem. Zasłoniła dłonią usta.

– Zaraz się porzygam. Ty ohydo. Z tą... babą. Ja pierdolę... To nie może być prawda.

Anna Maria sięgnęła po pierwszą lepszą parę męskich butów w sieni i postawiła je przed Häggrothem.

Jocke wsunął w nie stopy i ostrożnie zszedł z ganku. Anna Maria stała w pogotowiu, gdyby nagle się przewrócił.

– Przepraszam – powiedział, nie odwracając się.

Kobieta odepchnęła stojące na ganku krzesło.

– Przepraszam?! – wrzasnęła. – Przepraszam?!

Chwyciła odwróconą do góry dnem doniczkę, która służyła jako popielniczka, i cisnęła nią w oddalającego się męża.

Mężczyzna się potknął, zrobił krok w przód, by nie stracić równowagi. Sven Erik położył mu rękę na plecach i poprowadził go do samochodu.

– Niech się pani uspokoi – powiedziała Anna Maria. – W przeciwnym razie będziemy zmuszeni...

– Uspokoi? – powtórzyła kobieta.

W paru szusach znalazła się przy mężu wsiadającym do forda. Sven Erik trzymał drzwi. Wywlekła go ze środka, rzuciła się na niego, zaczęła drapać po twarzy. Kiedy policjant złapał ją wpół, chwyciła męża za kurtkę.

Häggroth próbował zasłonić twarz przed ciosami.

– O, wy skurwysyny! – krzyczała na całe gardło, kiedy Anna Maria i Sven Erik wspólnym wysiłkiem odciągnęli ją od męża. – Zatłukę cię, kurwa... Puśćcie mnie! Puśćcie mnie!

– Spokojnie – zwrócił się do niej Sven Erik. – Jak się pani uspokoi, to panią puszczę. Wejdzie pani do domu i poczeka na dzieci, które niedługo przyjdą ze szkoły, dobrze?

Momentalnie ucichła. Jej ciało zmiękło w ich rękach.

– Da sobie pani na wstrzymanie? – spytała Anna Maria.

Kobieta skinęła głową.

Stała z opuszczonymi ramionami i dopiero kiedy policjantka wyciągnęła rękę, by zatrzasać drzwi za jej mężem, odezwała się:

– Już tutaj nie wrócisz. Słyszysz? Nigdy.

Nagle szybkim krokiem podeszła do mercedesa von Posta. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, dźwignęła stojące obok taczki, przytrzymała je nad głową i rzuciła w stronę pojazdu. Uderzyły z hukiem o karoserię.

Kobieta wtedy obróciła się na pięcie i ruszyła biegiem do lasu.

Pozwolili jej uciec. Von Post podniósł ręce. Powoli pochylił się nad samochodem i położył na nim dłonie, jakby go chciał uzdrowić. A później krzyknął tak przeraźliwie, że aż mu się załamał głos.

– Łapcie ją, do cholery! No już!

– Innym razem – odparł Sven Erik. – Masz świadków, nie ma problemu. A teraz przeszukamy dom.

Tommy Rantakyrö zagwizdał i pomachał ręką, żeby zwrócić na siebie uwagę kolegów. Kiedy spojrzeli na niego, wczółgał się pod stodołę. Po chwili wygramolił się z widłami.

Von Post oderwał ręce od samochodu i wyprostował plecy.

Serce Anny Marii zabiło mocniej. Trójzębne widły. Jak duże było prawdopodobieństwo...? Większość wideł w tych stronach miała dwa zęby.

To on. Złapaliśmy go.

Kiedy się odwróciła, napotkała wzrok Jockego Häggrotha. Mężczyzna patrzył na nią bez wyrazu. Po chwili przesunął spojrzenie na stojącego z widłami Tommy'ego.

Ty zimny draniu, pomyślała Anna Maria. Häggroth skrzyżował ręce na piersi, rozparł się wygodnie na siedzeniu i skierował wzrok prosto przed siebie.

REBEKA MARTINSSON siedziała z Larsem Pohjanenem na zmechaconej kanapie w pokoju dla personelu i paliła papierosa. Oddechy medyka sądowego były krótkie, urywane. Jak gdyby płuca wołały o więcej powietrza, ale nie potrafiły go wciągnąć do środka.

Co pewien czas Pohjanen zanosił się kaszlem. Przykładał wówczas do ust

wymiętą chustkę do nosa. Gdy atak się kończył, przyglądał się jej przez chwilę, po czym znów upychał ją do kieszeni.

– Dziękuję... – wychrypiał.

– To przecież twoje papierosy – odparła Rebeka.

– ...że dotrzymujesz mi towarzystwa – dokończył. – Już nikt ze mną nie pali. Uważają to za głęboko niemoralne.

Rebeka się zaśmiała.

– Palę z tobą, ponieważ chcę, żebyś mi wyświadczył przysługę.

Pohjanen zarechotał, zadowolony. Podał jej swój niedopałek. Rebeka wrzuciła go do popielniczki. Medyk usiadł wygodniej i założył okulary wiszące na sznureczku wokół szyi.

– A więc ten rozszarpany przez niedźwiedzia...

– Zjedzony przez niedźwiedzia. Frans Uusitalo.

– ...był ojcem Sol Britt Uusitalo, tak?

– Tak. W czerwcu zgłoszono jego zaginięcie. We wrześniu zastrzelono niedźwiedzia i w jego żołądku natrafiono na fragment ludzkiej ręki. Koło łowieckie skrzyknęło ludzi, żeby przeszukać okolicę. I znaleziono nieszczęśnika.

– Z pewnością był smacznym kąskiem na zaostrenie apetytu. Nie robiłem tej obdukcji, bobym pamiętał. Musiał się nią zająć któryś z kolegów w Umeå.

– Mhm. Dużo z Fransa nie zostało.

Oczy Pohjanena się zwęziły. Chusteczka znów ujrzała światło dzienne. Medyk odchrząknął flegmę.

– Chr. O co ci chodzi, Martinsson?

– Nie wiem. Mam tylko takie przeczucie... Zrobiono przecież sekcję zwłok i punktem wyjścia była albo śmierć naturalna, albo śmierć zadana przez niedźwiedzia. Tak czy owak, niedźwiedź go później pożarł... Chciałabym, żebyś przyjrzał się temu trochę... dokładniej.

– Przeczucie, mówisz? – mruknął Pohjanen.

Martinsson ma przeczucie, myślał Pohjanen. Phi! Chociaż kiedyś miała rację. Półtora roku temu śniła o topielicy. I nakłoniła go, żeby pobrał próbkę wody z płuc zmarłej. W ten sposób odkryli, że dziewczyna nie utonęła w rzece, w której ją znaleziono, i że to nie był nieszczęśliwy wypadek.

Przecucie, powtórzył w duchu i podniósł okulary na czoło, by już po sekundzie pozwolić im opaść na nos. Używamy tego słowa niechlujnie.

Ponad dziewięćdziesiąt procent ludzkiej inteligencji, kreatywności i umiejętności analitycznych spoczywa w podświadomości. I wszystko to, co ludzie nazywają przecuciem czy intuicją, często jest rezultatem procesu umysłowego, o którego istnieniu nie mają bladego pojęcia.

A Rebeka jest bystra, myślał dalej. Nawet we śnie.

– I chcesz, żebym to zrobił bez...

Zatoczył ręką koło dla zilustrowania formalności i innych działań urzędowych.

Rebeka potwierdziła, kiwając głową.

– Przecież nawet nie pracuję – powiedziała. – I niewykluczone, że jutro mnie wyleją.

W odpowiedzi usłyszała rżący śmiech.

– Słyszałem o tym – rzekł Pohjanen. – Wokół ciebie, Martinsson, zawsze rozgrywa się jakiś cholerny dramat. No, ale to niestety niewykonalne. Jeżeli nieszczęśnika znaleziono ponad dwa miesiące temu... to go albo pochowano, albo upieczono w grillu.

– Ale możesz zadzwonić do kolegi w Umeå, który zrobił obdukcję.

Rebeka podała mu swój telefon. Pohjanen prześwidrował komórkę wzrokiem.

– No tak, oczywiście. Zadzwonić trzeba od razu. Wy, dziewczyny z Kiruny, nie jesteście z gatunku tych cierpliwych, co? Dziwię się nawet, że Mella jeszcze nie przyszła, żeby mi wyrwać z rąk protokół obdukcji Sol Britt Uusitalo.

– Znaleźli gościa, który z nią romansował, i teraz są w drodze do Kurravaary, żeby go zabrać na przesłuchanie.

– A więc takie buty. Dobrze, zadzwonię. Chociaż młodszy koledzy rzadko doceniają, kiedy taki stary przyk jak ja pyta o ich pracę. Zaczynają się denerwować. Ale oczywiście zadzwonię. Jeśli ty zrobisz coś dla mnie.

– A co?

– Zaprosisz mnie na lunch.

– Nie ma sprawy. Gdzie chcesz zjeść?

– U ciebie w domu, rzecz jasna. Na mieście jem prawie codziennie. Chcę prawdziwej domowej kuchni. A ty przecież nie masz nic sensownego do roboty, prawda? Możesz zatem ugotować coś dobrego dla starego profanatora grobów.

Wziął telefon od Rebeki i obrócił go kilkakrotnie w dłoni.

– Czy to taki dotykowy? To wybierz mi numer.

– O której musisz wrócić? – spytała Rebeka.

Nie udało im się dotrzeć do lekarza, który zrobił obdukcję Fransa Uusitalo. Pohjanen zostawił numer telefonu Rebeki i dostał zapewnienie, że medyk sądowy z Umeå zadzwoni tak szybko, jak to tylko możliwe. Teraz jechali do Kurravaary.

– Yh... Jutro!

– No to mamy jasność.

Zaparkowała samochód przed domem pokrytym szarym eternitem.

Pohjanen wygramolił się na zewnątrz i oparty o maskę, zapalił papierosa.

– Ładnie mieszkasz – powiedział, patrząc z podziwem na Torneälven, połyskującą niebiesko jak klejnot w zimnym, jesiennym słońcu.

Rebeka weszła do domu. Wróciła po kilku minutach ze spinningiem na ramieniu i ze starym krzesłem pod pachą.

– Przestań ćmić i chodź – powiedziała. – Idziemy nad rzekę.

Na brzegu Rebeka rzuciła płaszcz na zmarzniętą trawę i założyła błystkę.

– Jeśli nic nie złowimy, to w zamrażarce mam zrzynki reniferowe.

– Gdybym był młodszy, tobym ci się oświadczył – odparł Pohjanen.

Klapnął ciężko na krzesło i zapalił kolejnego papierosa.

Przymknął powieki. Zwrócił twarz ku niskiemu słońcu, które różowym światłem kładło się na rzece i drzewach, i domach po drugiej stronie.

Rebeka przykryła mu nogi pledem. Smarkacz u jego stóp wzdychał, znudzony.

Pohjanen miał ze sobą dość zużytą reklamówkę z niezbędnym sprzętem. Spod zapasowego swetra, papierosów, teczek i papierów wyjął plastikową butelkę.

– Napijesz się? – zapytał Rebeke.

Uśmiechnęła się, zaskoczona.

– Co tam masz? Spirytus ze szpitala?

– Żebyś, kurde, wiedziała!

– Brr! – wykrzyknęła z emfazą.

– Żadne tam brr. Spróbuj.

Nawinęła żyłkę na kołowrotek i zniknęła w drewnitni. Wróciła z własną butelką po oranżadzie i dwoma plastikowymi czerpakami.

Pohjanen nie potrafił ukryć zachwytu.

– Do diabła, dziewczyno! – powiedział. – Przecież pracujesz w prokuraturze! Pędzisz w domu?

Pokręciła głową. Medyk nie zadawał więcej pytań. Nalali sobie po jednym.

Rebeka powiedziała, że spirytus lekarski nie jest taki zły. Pohjanen wyjaśnił, że tajemnica polega na rozcieńczeniu alkoholu wodą i wstawieniu mieszanki do myjki ultradźwiękowej. Zniszczone w ten sposób wiązania cząsteczek wody ułatwiają połączenie się z etanolem.

Wychyliwszy swój czerpak, lekarz pochwalił bimber Rebeki. Ta wyjaśniła, że ważne jest utrzymanie odpowiedniej temperatury, zarówno na płycie kuchennej, jak i w chłodnicy kolumny destylacyjnej.

Kiwając głową, Pohjanen wyciągnął rękę z czerpakiem po dolewkę.

Kiedy zadzwonił telefon, szałwik poruszył się po raz pierwszy. Podczas gdy Pohjanen rozmawiał z kolegą z Umeå, Rebeka wyciągnęła z wody trzy okonie i jednego pstrąga.

Nawet jeżeli medyk sądowy w Umeå poczuł się dotknięty pytaniami o przeprowadzoną przez siebie obdukcję, nie dał tego po sobie poznać. Podrzucił im natomiast kość.

Wypytywał go nie kto inny, jak Lars Pohjanen. Nie było chyba w Szwecji obducenta, który nie stanąłby na uszach, żeby mu udzielić pomocy.

– Oczywiście, bardzo dobrze go pamiętam – zaczął. – Proszę poczekać, sprawdzę tylko w komputerze... Pochowano go miesiąc temu. Ale mam jego kość, chce pan? No więc tak... Frans Uusitalo miał ponad dziewięćdziesiąt lat, ale był zdrowy jak ryba. Kiedy mieliśmy ustalać jego tożsamość, policja nie dotarła do żadnych zdjęć rentgenowskich, bo staruszek nigdy nie był w szpitalu. Od ponad dwudziestu lat nie miał własnych zębów, więc identyfikacja za pomocą dokumentacji stomatologicznej też raczej nie

wchodziła w grę. Odpiłowalem zatem część kości udowej do zbadania kodu DNA, ale była trochę uszkodzona, dziwnie to wyglądało. Włożyłem ją do zamrażarki, a do SKL wysłałem inny fragment.

– Co to było za uszkodzenie?

– Może zadane przez niedźwiedzia, nie wiem. Chce pan tę kość?

– Tak, chętnie. To miło z pana strony. Tylko... wie pan, nie musi pan tego nigdzie odnotowywać.

– Mhm, w ten sposób... Przypomniała mi się jeszcze jedna rzecz. Nie wiem, czy to pana zainteresuje, chodzi o koło łowieckie, które znalazło staruszka. Jakiś tydzień później jeden z tych świrusów znalazł w okolicy koszulę, która należała do zmarłego. Zadzwoił tutaj i zapytał, czy jej nie potrzebujemy. Powiedziałem, żeby poszedł z nią na policję. Policjantom z pewnością się przyda, pomyślałem, co za oferty niedorobione.

Pohjanen i kolega z Umeå roześmiali się głośno jak zuchwałe wrony na czubku sosny.

Rebeka się odwróciła, próbując utrzymać równowagę na śliskim kamieniu w swoich eleganckich kozaczkach. Smarkacz podniósł głowę i zaszczekał.

– No ale czy to nie dziwne? – Rebeka zwróciła się do medyka sądowego.

W ręce trzymała opróżniony do połowy czwarty albo piąty kieliszek spirytusu.

– Prawda, że to cholernie osobliwe? Te wszystkie śmiertelne wypadki w rodzinie?

Wypiła łyżeczek i wskazała kieliszkiem na piec.

– Tak właśnie gotuje się ziemniaki migdałowe¹³. Właśnie tak! Kładziesz je do zimnej wody, doprowadzasz do wrzenia, zdejmujesz garnek z płyty i czekasz pół godziny. Inaczej się rozgotują. Kruchutkie łobuzy!

Odłożyła kieliszek i przysłuchiwała się przez chwilę skwierczeniu masła w żeliwnej patelni. Po chwili włożyła do niej rybę.

– Jedyne, co jest dziwne – powiedział Pohjanen, a jego język nie do końca nadążał za głową – jedyne, co jest naprawdę dziwne, to fakt, że już dawno temu nie wyszłaś za mąż.

Kiwając energicznie głową, odcedziła ziemniaki. Później wmieszała sól, pieprz i odrobinę galaretki porzeczkowej do sosu ze smardzów. Pohjanen dowlókl się do lodówki. Wyjął z niej dwa piwa.

– Weźmiesz taksówkę – zaproponowała Rebeka. – Albo prześpisz się na sofie.

Usiedli naprzeciw siebie.

– Tylko że jak zostaniesz na noc, to musisz mi obiecać, że nie umrzesz.

Lekarz napełnił jej kieliszek. Wypili wprawdzie wszystek spirytus lekarski, ale butelka Rebeki ciągle była do połowy pełna. Pohjanen skinął głową.

– Ale ta koszula... – odezwał się, rozgniatając w sosie ziemniaka w mundurku.

Chrzanił obieranie, zresztą podobnie jak ona.

– Tej koszuli powinniśmy się przyjrzeć. Ciekawym, czy policja jeszcze ją gdzieś trzyma.

Ryba się skończyła. Podczas gdy Pohjanen ciągle jadł ziemniaki z sosem, Rebeka zebrała się w sobie, zadzwoniła do Sonii z centrali i zapytała o znaną w lesie koszulę. Kiedy po jakimś czasie Sonja oddzwoniła, obydwójce siedzieli przed kominkiem, każde ze swoją puszką piwa. Wódkę zostawili na stole.

– Płakałaś? – dociekała Sonja. – Masz taki dziwny głos.

– Nie, nie – zapewniła Rebeka. – Czuję się świetnie.

Pora zaparzyć mocną kawę, pomyślała.

Okazało się, że koszula została znaleziona nie przez członka koła łowieckiego, tylko przez mieszkańca Lainio zbierającego jagody. Po tym, jak we wrześniu zastrzelono niedźwiedzia i znaleziono Fransa Uusitalo, wielu ludzi kręciło się po lesie z czystej ciekawości. Jeden z nich, czyli właśnie ów zbieracz jagód, znalazł koszulę i skontaktował się z policją.

– Czy macie ją... mamy ją w magazynie? – spytała Rebeka.

– Nie. Nie chcieliśmy tej ohydnej koszuli, brr! Ale mam numer telefonu do mężczyzny, który chciał ją nam sprezentować. Wyślę ci SMS-em, dobrze?

– Super!

– Jesteś pewna, że nic ci nie dolega? Może jesteś przeziębiona?

Pohjanen i Rebeka zaczęli grać w papier, kamień, nożyce, żeby rozstrzygnąć, kto ma zadzwonić do zbieracza jagód. Ponieważ nie mogli dojść do porozumienia, czy wystawiają dłonie „na trzy” czy „po trzech”, zajęło im to trochę czasu. Czasami medyk pokazywał dłoń, jeszcze zanim

Rebeka zaczęła liczyć. Kiedy liczyła po fińsku, nie pokazywał wcale.

W końcu zadzwoniła Rebeka. Lekarz zaś zaczął rzucać Smarkaczowi piłeczkę tenisową. Dywaniki i krzesła fruwały na wszystkie strony.

– Człowiek chciał zobaczyć na własne oczy – przyznał się zbieracz. – A przy okazji zajrzałem na pobliskie torfowisko, żeby sprawdzić, czy nie ma tam żurawin. W zeszłym roku sprzedałem brusznicy i żurawiny za czternaście tysięcy.

Zamilkł. Dotarło do niego nagle, że rozmawia ze strażniczką prawa. Bo przecież nie uwzględnił tej kwoty w zeznaniu podatkowym. Wpadł jak śliwka w kompot.

– E tam – odparła Martinsson – dopóki nie zobaczę, to nie uwierzę. Chociaż, kurza dupa, to naprawdę imponujące! W dodatku znalazł pan koszulę, no nie?

– No – odparł mężczyzna, oddychając z ulgą.

Słowo daję, są na świecie weseli prokuratorzy, pomyślał.

– Zawsze noszę przy sobie woreczki na jagody, więc włożyłem koszulę do jednego z nich. Nie dotykałem, podniosłem ją z ziemi patykiem. Później zadzwoniłem na policję i zapytałem, czy jej nie chcą. Ale nie byli zainteresowani. Powiedzieli, żebym ją oddał medykowi sądowemu. No to zadzwoniłem do niego. Pani kochana, trudniej się było do niego dodzwonić niż do Telii! A on na to, że powinienem oddać koszulę policji. Jeśli chce pani poznać moje zdanie, to powiem tak: pieprzeni amatorzy.

Znów umilkł.

– Właśnie tak. I w pełni odpowiadam za swoje słowa – dodał buntowniczo.

– Ma ją pan jeszcze?

– No jasne, że mam – odpowiedział zrzędlwym tonem. – Albo policja, albo ten medyk ni stąd, ni zowąd przypomną sobie, że jednak chcieliby ją zobaczyć. I, kurde, nagle będę musiał ją skądś wytrzasnąć. Leży w torbce w garażu. Pani kochana, ten smród... Psy dostawały szału.

Rebeka stanęła na chybotałych nogach.

– Niech pan jej nie dotyka. Zaraz po nią przyjadę.

JAK BRONIĆ SIĘ przed mężczyznami? Nadsztygar Fasth jest jak

drapieżnik, jak wilk. Jedyne skuteczny sposób na wilka to trzymanie się razem. Samotna osoba stanowi łatwą zdobycz.

Od pewnego czasu Elina nie chodzi do szkoły sama. Sama z niej też nie wraca. Każdego dnia wyznacza chłopca lub dziewczynkę do towarzystwa, by Fasth nigdy nie zastał jej samej po lekcjach. Rankami czyni podobnie: któreś z dzieci przychodzi do niej, by w drodze do szkoły pomóc pani nieść podręczniki i zeszyty.

Pewnego dnia spotyka Fastha na schodach, przed drzwiami mieszkania. Jak długo tu na nią czekał? Otworzył list, który ktoś zostawił na ostatnim stopniu. Przeczytawszy bez najmniejszego zażenowania, wręcza go Elinie. Ta drżącą dłonią przyjmuje zapisaną kartkę papieru. Po charakterze pisma widzi, że wiadomość nie pochodzi od Hjalmara. Przebiega szybko wzrokiem treść. „Panno Pettersson, pani nie wie, kim jestem, ale...”

– Panno Pettersson – odzywa się Fasth. – Widzę, że trzeba ustawić się do pani w kolejce.

Potem zwraca się do ucznia stojącego u jej boku.

– Idź już do domu.

Ale Elina chwyta chłopca za rękę.

– Arvid nigdzie nie pójdzie – mówi. – Będzie... ćwiczył czytanie na głos.

I omija nadsztygara, nie wypuszczając ręki chłopca, który z pobladłą twarzą podąża za panią. Fasth zdąży jeszcze klepnąć ją w pupę i szepnąć za plecami:

– Prędzej czy później, panno Pettersson.

Świadomie przeciąga sylaby. Rozwleka słowo „panna” tak bardzo, aż nie znaczy ono nic więcej niż ładaczka i niezamężna.

– Pannnnna Pettersson!

PRZESŁUCHANIE JOCKEGO HÄGGROTHA rozpoczęło się 24 października o szesnastej piętnaście. Niebo za oknem zaciągnęło się chmurami. Zaczął padać śnieg. Ogromne płatki wirowały niespiesznie w niebieskim zmięczeniu.

Carl von Post i Anna Maria Mella siedzieli jedynie w charakterze świadków. Pytania zadawał Sven Erik Stålnacke.

– Pozwól mu wziąć to przesłuchanie – poprosił wcześniej prokuratora Alf Björnfor. – Sven Erik ma w sobie coś, co sprawia, że ludzie otwierają przed nim serca.

Stålnacke siedział teraz naprzeciw podejrzanego. Obaj w kraciastych koszulach. Policjant podrapał się po bujnych włosach.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał. – Możemy zacząć?

Jocke Häggroth nie odpowiedział. Z głębokim westchnieniem i językiem w kąciку ust Sven Erik włączył magnetofon, sprawdził baterie i zrobił próbne nagranie. Przesunął się odrobinę na krześle. Sapiąc i pomrukując, przechylił głowę w bok, żeby rozciągnąć jakiś sztywny mięsień.

Jakbym tu miała niedźwiedzia, pomyślała Anna Maria.

– Zaczniemy od początku – zachęcił. – Opowie nam pan? O sobie i Sol Britt. O tym, jak się spotkaliście.

Jocke Häggroth przyglądał się swoim dłoniom.

– To było wiosną. Pokłóciłem się z Jenny. Trochę wypłem. Nie za dużo, ale... No, poszedłem do niej do domu. Nie żebym ją jakoś specjalnie znał. Mówiłem jej „dzień dobry” na ulicy, to wszystko. Nie mogłem pójść do wspólnych znajomych, we wsi zaczęliby gadać. Nie mogłem wziąć samochodu, bo za dużo w siebie wlałem. Wybiegłem z domu i szedłem prosto przed siebie. Nie wiedziałem dokąd. Zacząłem marznąć, bo nie włożyłem kurtki. Nagle stałem przed jej domem. To był czysty przypadek.

Spojrzał na Svena Erika.

– Nie zabiłem jej.

Psiakrew, pomyślała Anna Maria.

– Po kolei – poprosił Sven Erik. – A co było później?

– Rozmawialiśmy tylko. Nic więcej. Chociaż pewnie coś tam próbowałem. Chodziły o niej słuchy.

– Jakie słuchy?

– Że sypia... z każdym, kto jej się nawinie. Ludzie... wygadują tyle bzdur.

Wydmuchnął powietrze. Oddychał łapczywie, jakby płucom ciągle było za mało.

– Aj – jęknął, łapiąc się za szczękę.

– A później? – drażył Sven Erik.

– Później? Nie... kurde, nie wiem, co później. Następnym razem... bzykaliśmy się. I tak... czasami się spotykaliśmy. Nic... szczególnego. Nie zabiłem jej. Nie... wiem... kto to zrobił.

Dyszał jak łoś. Trzymał się za szczękę. Krew odpłynęła mu z twarzy.

– Aj – jęknął ponownie. – Aj, kurde, aj!

Anna Maria i von Post wymienili między sobą spojrzenia. Sven Erik patrzył w skupieniu na Häggrotha.

– Jak się pan czuje?

– Niedobrze, kurde.

Przesunął ręką wzdłuż szyi i zatrzymał ją na piersi. Pochylił się do przodu.

– Spróbuj spokojnie oddychać, kolego – powiedział Sven Erik. – Gdzie cię boli?

– Tutaj.

Mężczyzna chwycił się za policzki i nos.

– O, mój brzuch!

Położył drugą rękę na stole, jakby chcąc się podeprzeć.

Potem spadł z krzesła. Prosto na twarz.

Anna Maria i von Post momentalnie stanęli na nogi.

– Coś ty, kurwa, zrobił? – krzyknął prokurator do Svena Erika.

Jocke był cały mokry od potu.

– Dzwońcie po karetkę! – rozkazał von Post. – On nie może umrzeć. Karetka! I to już! Przecież mamy go zaarrestować!

CARL VON POST szybkim krokiem przemierzał szpitalny korytarz. Był wściekły. Powinien był sam poprowadzić przesłuchanie. Wiedział, że powinien. Musi przestać słuchać innych. Przejąć kontrolę nad tą pieprzoną komendą!

Zerknął na Mellę, biegnącą za nim truchtem. Otwierał drzwi za drzwiami, przechodził przez nie i puszczał wahadłowe skrzydła przed nosem policjantki.

Jednostka karłów, myślał, spoglądając do tyłu. Specjalne środki podjęte

przeciw krasnalom i trollom.

– Kto ją zabija i pisze „kurwa” na ścianie? – krzyczał, raz po raz wciskając guzik, jakby mógł zmusić windę do pośpiechu. – Narzeczony albo kochanek! To pierwsza lekcja, jeśli chodzi o morderstwa kobiet. Zerwała z nim i Jocke Häggroth się wkurzył. Chlał tak długo, aż mu się mózg rozmiękczył, wziął widły i zrobił z kobietą porządek. Wrócił zygzakiem do swojej śmiesznej zagrody, wrzucił widły pod stodołę i poszedł spać. Taki był przebieg wydarzeń. Bardziej niż prawdopodobny. Przecież, kurwa, scenariusz jest zawsze taki sam!

Wysiedli z windy. Boże, jak on nienawidził szpitali! Wzdłuż ściany biegła poręcz. Pojedyncze krzesła pod zamkniętymi drzwiami. Puste łóżko na kółkach. Na ścianach coś w rodzaju dzieł sztuki, wiszących odrobinę wyżej niż plany ewakuacji w razie pożaru. Wypolerowana, zielona podłoga, w której przeglądały się jarzeniówki.

Zatrzymali się przed drzwiami oddziału intensywnej terapii. Prokurator nacisnął dzwonek i nie spuszczał z niego palca.

Teraz się boi, pomyślał, patrząc na Annę Marię. Teraz strach ścisną ją gdzieś w tym matczynym, galaretowatym brzuchu.

Jocke Häggroth to typowy maluczki morderca kobiet, nie ustawał w swoich rozważaniach von Post. Choć widły to, słowo daję, trochę nowatorskie rozwiązanie. Prawdziwy z niego pomysły Jocke-Dobromir! Zamiast trzasnąć babą o najbliższą ścianę, zatłuc młotkiem albo pokarbować nożem.

Nerwowe skurwiele. Zwłaszcza Sven Erik. Przecież ten wąsacz był bliski płaczu, gdy po Häggrotha przyjechała karetka pogotowia. Na dobrą sprawę miał powód do płaczu. Jeśli podejrzany umrze, to wujcio mors znajdzie się w cholernie nieciekawej sytuacji. Zresztą Mella też!

Von Post huśtał się na piętach, nie odrywając palca od dzwonka. Całe szczęście, że to nie na nim ciąży odpowiedzialność za tę katastrofę.

On sam, przez szacunek dla wieloletniego doświadczenia policjantów, był tylko pasywnym obserwatorem. Nie powiedział zasranego słowa!

W gruncie rzeczy dobrze się złożyło, że nie prowadził tego przesłuchania.

Ale jeśli Häggroth umrze, nie przyznawszy się do winy? Wtedy dochodzenie zostanie umorzone. Na policję rzuci się całe stado hien. Zakwestionują metody przesłuchań. Rozpowszechnią okoliczności zatrzymania na rozkładówkach.

Otoczony przez idiotów. Zwalczany. Przecież oni nie potrafili nawet powstrzymać żony Häggrotha. Jak mogli, do kurwy nędzy, pozwolić jej zniszczyć jego samochód i uciec do lasu? Jak to w ogóle było możliwe?

Lekarka zabroniła prokuratorowi i policjantce wstępu na salę, w której leżał pacjent. Stała przed zamkniętymi drzwiami niczym rosyjski funkcjonariusz straży granicznej. Przeciągnęła dłonią po krótkich, ciemnych włosach. Poprawiła na nosie spadające okulary lotnicze. Wyjaśniła, że Jocke Häggroth wprawdzie jest przytomny, ale najprawdopodobniej przeszedł zawał mięśnia sercowego. Powiedziała: morfina, spowolnienie akcji serca, tlen, beta-blokada, a na koniec oznajmiła, że pacjenta absolutnie nie wolno narażać na stres.

Lesba, stwierdził przygnębiony von Post. Nie pomoże zatem żaden uśmiech ani męski tembr głosu.

Dzielna dziewczyna, pomyślał też, kiedy wyjaśniła, że naturalnie słyszy, co prokurator do niej mówi. Pacjent jest podejrzany o brutalne zamordowanie kobiety. Ależ tak, zależy jej na ujęciu sprawcy, oczywiście; nie może jednak ryzykować życia pacjenta. Policja może podjąć przerwane przesłuchanie, kiedy stan pacjenta się ustabilizuje. Kiedy to nastąpi? Trudno powiedzieć.

Stała z dokumentacją lekarską pod pachą. Nie sięgała von Postowi do brody. Tytuł „lekarz stażysta” na jej identyfikatorze mignął prokuratorowi przed oczami niczym reflektor.

– Chcę rozmawiać z pani zwierzchnikiem – powiedział.

Ale to nic nie zmieniło. Szef, będący w Luleå, oznajmił prokuratorowi przez telefon, że nie widzi powodu, dla którego miałyby wąpić w opinię koleżanki o krytycznym stanie pacjenta.

Nie pozostało nic innego, jak wrócić na komendę. I jak tu, kurde, robić dobrą robotę, skoro inni cały czas rzucają człowiekowi kłody pod nogi?

Na komendzie los nie okazał się łaskawszy dla von Posta. Ściągnięta z Umeå komisarz policji, specjalizująca się ponoć w przesłuchiowaniu dzieci, spędziła dzień na marnowaniu pieniędzy podatników.

Była po cywilnemu. Dorodna kobieta, ubrana w len, na cebulkę, z siwymi włosami spiętymi drewnianą szpilką. Wokół szyi miała rzemień, zakończony dużym wisiosem ze srebra i drewna, co – jak przypuszczał von Post – miało w niej wyzwolić boginię.

Spojrząwszy na nią, prokurator poczuł, że jemu też przydałaby się odrobina tlenu w połączeniu z morfiną i beta-blokerami.

Tylko najlepsi dostawali się na prawo. Najlepsi z najlepszych zostawali prokuratorami i sędziami. Ale, kurwa, najwidoczniej każdy, pierwszy z brzegu mógł zostać policjantem.

– A więc nic nie widział? – spytał.

– Nic nie pamięta – odpowiedziała. – Myślę, że faktycznie zobaczył albo usłyszał coś potwornego. Wskazuje na to luka w jego opowieści. Dlaczego się obudził? Jak dostał się do domku w lesie? Dlaczego wyszedł przez okno?

– Znam te luki – odparł von Post, zachowując spokój. – Właśnie z powodu tych luk panią tutaj wezwaliśmy. Przecież chyba istnieją sposoby, żeby dotrzeć do zakamarków pamięci? Za pomocą hipnozy, może jeszcze inaczej. Czy nie na tym polega pani praca? Przyleciała tu pani samolotem na nasz koszt. Za co więc, kurde, zapłaciliśmy?

– Moim zadaniem była rozmowa z chłopcem. Porozmawiałam z nim. Tylko że Marcus w ogóle nie wspomina o nocy, w której dokonano morderstwa. Nie potrafi. Albo nie chce. Stanowczo odradzam hipnozę.

– Kiedy będziemy mogli go przesłuchać?

– Może go pan przesłuchiwać, ile się panu podoba. Ale jeżeli chce się pan dowiedzieć, co chłopiec widział, musi mu pan zapewnić poczucie bezpieczeństwa. Ten policjant, Krister Eriksson... Wiem, że Marcus jest teraz u niego i bawi się w psa. Eriksson powiedział mi, że przez jakiś czas może się nim zaopiekować. To wspaniale. Rozumiem, że chłopiec nie ma żadnej innej bliskiej osoby. Im bezpieczniej będzie się czuł, tym większe prawdopodobieństwo, że zacznie mówić. Choć oczywiście nie o wszystkim naraz. Może napomknąć o czymś od czasu do czasu. Nie w taki sposób, w jaki oczekujemy, i najczęściej nie wtedy, gdy rozmawiamy o samym wydarzeniu, ale wówczas, gdy zajmuje się czymś zupełnie innym.

– Cudownie! – wykrzyknął von Post. – Zapłaciliśmy za mądrą radę, żeby czekać. Wybornie! Wspaniale! Gdyby tak kiedyś ktoś potrafił dobrze wykonać robotę, za którą mu płacą. To by dopiero było fantastyczne!

Komisarz otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Rzuciła okiem na swój telefon.

– Pora na mnie – powiedziała, spoglądając na śnieg sypiący za oknem. – Lepiej wyjechać wcześniej; podróż na lotnisko może teraz zająć więcej czasu. Anna Maria Mella obiecała mnie odwiedzić.

Von Post nie odpowiedział. Bo i po co?

Dajcie mi normalnego człowieka, który zrozumie, co do niego mówię, poprosił w duchu.

– Ten wasz prokurator... – koleżanka z Umeå zwróciła się do Anny Marii, kiedy jechały na lotnisko. – Nieprzyjemny z niego typ.

– *Hänen ej ole ko pistää takaisin ja nussia uuesti* – odpowiedziała Anna Maria z zaciekłością.

– Nie znam fińskiego. Co to znaczy?

– Yy... No, że jest nieprzyjemnym typem. Boże, ile śniegu! Ciekawe, czy się utrzyma.

Wycieraczki pracowały na pełnych obrotach. Wirujące płatki odbijały światło reflektorów. Anna Maria miała przed sobą białą ścianę. Widziała tyle co nic.

PADA ŚNIEG. Jest 14 kwietnia 1915 roku. Śnieżynki sypią się z szarego, zimowego nieba. Hjalmar Lundbohm przyjmuje znamienitych gości. Przyjechali do niego z wizytą: Karin, żona Carla Larssona, małżeństwo Zornów, architekt Ferdinand Boberg z małżonką, rzeźbiarz Christan Eriksson oraz Ossian Elgström.

Słynny malarz nigdy nie był w Kirunie. Jego żona natomiast przyjeżdża tu niekiedy ze swymi przyjaciółmi ze świata literatury i sztuki. Wyprawa na północ to wyborna rozrywka.

Dysponent Lundbohm przygotował wyścigi zaprzęgów reniferowych. W lapońskich czapkach na głowach goście prowadzą teraz ackje¹⁴. Szkoda tylko, że aura nie dopisała. Gospodarz chciałby zaprezentować cudownie ośnieżoną Kirunę w przedwiosennym słońcu, ale nawet on nie ma wpływu na pogodę.

Impreza mimo wszystko jest udana. Renifery gnają środkiem ulicy, towarzystwo pokrzykuje i popędza zwierzęta.

Johan Tuuri oraz kilku innych Lapończyków biegną czasem obok, żeby renifery nie zboczyły z kursu.

Wygrywa Karin Larsson. Śmieje się do łez. Fotograf Borg Mesch uwiecznia ją na zdjęciu: zachwycającą, z przekrzywioną czapką i dumnym lapońskim chłopcem u boku. To on biegł na nartach przez całą drogę i dopingował

renifera, który należy do jego rodziny.

Anders Zorn wypadł z sań i otrzymuje wymyśloną ad hoc nagrodę dla Bałwana Dnia.

Wszyscy są rozgrzani do czerwoności, radośni i hałaśliwi. Gonią się i popychają. Każdy, kto wypadnie z udeptanej drogi, zapada się w śniegu po pas. Próbuje wojny na śnieżki, ale zbyt duży mróz nie pozwala na formowanie śniegowych kul. Zaczynają więc obrzucać się sypkim śniegiem i wkrótce wszyscy są biali od stóp do głów.

Zaprawdę, dysponent Lundbohm ma niejedyn powód do ukontentowania. W domu bezzwłocznie poczęstuje gości gorącym ponczem, a kiedy się przebiorą, zaprosi ich na lunch.

A mimo to coś go w duszy dręczy. Kołacze się w nim świadomość, że jednego dnia ci ludzie mają go za kompana, następnego zaś... niekoniecznie.

W gruncie rzeczy nie należy do ich środowiska. Zdaje sobie z tego sprawę. Wprawdzie jest u tych wszystkich rozbawionych osób mile widzianym gościem, rzadko jednak zapraszany na przyjęcia, które naprawdę się liczą.

Nie znalazł się na przykład wśród przebierańców na ostatnim balu sylwestrowym u Zornów. Nigdy też nie był pożądanym na wyspie Bullerö, gdzie latem artyści urządzają zabawy pod gołym niebem.

Spogląda na Karin Larsson, która właśnie bierze pod ramię Emmę Zorn, i przelatuje mu przez głowę myśl, że gdyby się ożenił z taką właśnie kobietą: towarzyską, artystycznie uzdolnioną, wesołą, słodką i z dobrej rodziny...

Właśnie wtedy dostrzega zbliżające się z naprzeciwka Elinę i Kruszkę.

Kiedy tak patrzy na nauczycielkę, pojmuje, że jej widok go przeraża. Co za ryzsztunek!

Dysponenta ogarnia wstyd. Z powodu jej wyglądu. Ale też z powodu własnego zachowania. Od dawna się z nią nie kontaktował. Miał pełne ręce roboty. Ze względu na wojnę ciągle był w rozjazdach. Gościł w USA, Kanadzie, ale też w zakładach Kruppa w Niemczech. Nie każdy – tak jak on – potrafi sobie radzić z podwójną lojalnością. Lundbohm troszczy się o to, by statki wiozące do USA rudę żelaza wracały załadowane solonym amerykańskim boczkiem dla kiruńskich górników. Daje odpór szwedzkiemu rządowi, kiedy ten próbuje konfiskować transporty zamorskiej żywności na potrzeby rezerwy sił zbrojnych. Z Eliną nie spędza dużo czasu. Owszem, spotyka się z nią, bawiąc w Kirunie. Nie poświęca jej jednak każdej wolnej chwili. Kilka wieczorów, kilka nocy, choć Bogiem a prawdą najbardziej

brakuje mu snu.

Kruszka i Elina były w lesie po drewno. Muszą wyzyskać każdą sposobność, zanim zrobi się ciepło, zanim rozmiękły śnieg na zimowej drodze uniemożliwi przejazd.

Mają na sobie najbiedniejsze i najgorsze ubrania. Elina pożyczyła od współlokatora zniszczoną skórzaną kurtkę, która jej sięga prawie do kolan. Chustkę na głowę zawiązała pod brodą jak jakaś babina. Sweter Kruszki jest tak znoszony, że niemal się rozpada.

Oproszone strużynami i wiórami spódnice na samym dole są sztywne i ciężkie od śniegu.

Obie kobiety ciągną sanie wyładowane drewnem.

Na widok gustownie ubranego towarzystwa Elina chce zapaść się pod ziemię.

Kruszka dyga.

– A kogóż to widzę? Dzień dobry, panno Kruszko! – wykrzykuje architekt Boberg, który ma fenomenalną pamięć do imion i twarzy. – Czy zatem znów możemy liczyć na fantastyczną poledwicę z renifera?

– Ach, więc zapadła panu w pamięć! – odpowiada z uśmiechem Kruszka.

Ona zupełnie nie przejmuje się swoim wyglądem. Tylko Elina umiera ze wstydu.

Choć Hjalmar nawet na nią nie spogląda.

Kruszka oznajmia, że dziś wieczorem goście muszą się obejść bez jej smakołyków.

– Bo dzisiaj mam wolne! – dodaje. – A pan dysponent zamówił personel i potrawy z najlepszej restauracji w stolicy, czeka więc państwa prawdziwie sztokholmski sznyt.

– Wygląda na to, że Kruszka ciężko pracuje, choć ma wolne – komentuje Boberg.

Kruszka wyjaśnia, że jak już szły do lasu po drewno, to nie tylko dla siebie, ale też dla paru sąsiadów. W ten oto sposób zarobią siedem koron.

Policzki Eliny płoną.

– Jestem zdruzgotany! – wykrzykuje z afektacją architekt. – Wszak nie zobaczę dziś wieczorem uroczej postaci Kruszki. Czyż naprawdę muszę się

posiłać sztokholmskim jadłem, gdy przyjechałem aż tutaj? A jeśli grzecznie poproszę, to przyjdzie Kruszka i zrobi na deser ciejący taniec¹⁵ z moroszką?

– Może pan prosić, aż Chrystus wróci na ziemię, mając dokoła siebie mnóstwo świadków, ale w taniec dziś wieczorem to ja pójdę z narzeczoną.

Wszyscy się śmieją, oprócz Eliny i Hjalmara, lecz nikt nie zwraca na nich uwagi.

– Żegnajcie, dziewczęta! – mówi Anders Zorn, który za kołnierzem ma wystarczająco dużo śniegu, by zacząć tęsknić za obiecany ponczem.

Towarzystwo idzie dalej. Karin Larsson i Emma Zorn machają dłońmi, jakby żegnały małe dzieci. Do uszu Eliny dociera jeszcze okrzyk pani Larsson: „Co za urocze stworzenie!”. Któryś z mężczyzn rzuca słowa komentarza, których już nie słychać; po chwili wszyscy wybuchają śmiechem.

Elina, targana wstydem i gniewem, nie oszczędza się teraz, ciągnąc sanie. Jest też zła na Kruszkę, choć nie potrafi wyjaśnić dlaczego.

Kiedy przyjaciółka pyta, o co chodzi, Elina odpowiada:

– Mógł mnie chociaż przedstawić.

– Jako kogo? – pyta Kruszka.

Nie osądza i nie komentuje, ale niekiedy myśli, że z Eliny to trochę niemądra gęś. Żeby zacząć romans z taką grubą rybą! Ona sama w każdym razie unikała mężczyzn ze zbyt wypchanym i ze zbyt cienkim portfelem. W końcu wybrała robotnika z tej samej warstwy społecznej, z której się wywodzi; akuratnego chłopaka stroniącego od wódki. Może z nim planować przyszłość. Dysponent jest w porządku, owszem, ale tylko jako pracodawca! Ale tutaj zanoszą się na płacz, Kruszka widzi to gołym okiem. Resztę drogi przyjaciółki przebywają w milczeniu. Wieczorem Kruszka wychodzi na tańce z Johanem Albinem, ale bawi się jakby bez przekonania.

Goście dysponenta odjeżdżają, ale Hjalmar Lundbohm nie kontaktuje się z Eliną.

Kruszka usiłuje wyciągnąć Elinę do baptystów i na wykład z frenologii w domu kultury, ale nauczycielka nie ma siły.

– Nie możesz tylko siedzieć w domu i czytać – tłumaczy Kruszka, zaniepokojona nie na żarty.

Cztery dni później przychodzi chłopiec z bilecikami od dysponenta. Hjalmar

nie wyraża chęci spotkania, pisze jedynie w pośpiechu, że znów musi wyjechać. Pisze, że tęskni. Nie używa żadnego ze swych miłosnych zdrobnień. Nie nazywa jej zajęczkiem, witrą¹⁶ ani swoją lisiczką. Tylko tęskni. Ale przecież gdyby tęsknił, chciałby się z nią zobaczyć. Jakże gorzko smakuje ta prawda!

I cóż z tego, że w Kirunie roi się od młodych mężczyzn? Elina jest stracona. Każdego dnia idzie do szkoły inna Elina. Ktoś inny rozmawia, rozdaje uśmiechy i zachowuje się dokładnie tak, jak zwykła to robić panna Pettersson.

Prawdziwa Elina czyta *Dziwne losy Jane Eyre* i *Wichrowe wzgórza*. Płacze, gdy tylko zostaje sama.

Hjalmar wraca do domu w maju. Znów wysyła bilecik. Ta sama śpiewka. Chce się z nią spotkać. Elina tysiące razy wyobrażała sobie, jak mu odmawia. Ale w jej piersi tłucze się zdradliwe serce. To ono wszczyna dyskusję. To jemu w jakiś sposób udaje się wykazać zasadność spotkania z dysponentem. Elina myje głowę. Talkuje się. Prasuje odświętną bluzkę.

Kiedy wpada mu w ramiona, przestaje istnieć dzień wczorajszy i jutrzejszy. Brak jej sił, by czymkolwiek się przejmować. Wystarczy bliskość jego ciała. On też jest nią nienasycony. Jak na samym początku.

– Gniewasz się na mnie? – pyta, kiedy ona leży mu na ramieniu.

Elina zaciąga się zapalonym przez niego cygarem.

– Nie. Dlaczego niby miałabym się gniewać?

– Powinienem był cię przedstawić przyjaciołom – mówi. – Byłem taki... zaskoczony. Nie spodziewałem się spotkać cię ot, tak, na ulicy.

Elina ma usta pełne pretensji. „Mogłeś mnie wszak do siebie zaprosić, kiedy oni u ciebie bawili”. „Kim ja właściwie dla ciebie jestem?” Nie stawia jednak Hjalmarowi żadnych zarzutów. Nie ma ochoty na swary. Chce tylko zasnąć na jego ramieniu.

W środku nocy budzi się głodna jak wilk. Wymyka się do kuchni, zagląda do spiżarni i zaczyna jeść. Dwa zimne jajka na twardo, zsiadłe mleko, dwie kanapki, wczorajsze klopsiki i resztki gotowanego pstrąga.

A później z haka pod sufitem zdejmuje żeliwną patelnię, siada na stołku i zaczyna ją lizać. Ssie tłuste, czarne żelazo.

DOCHODZIŁA TRZECIA po południu. Zapadał zmrok. Śnieg padał jak szalony. Pogoda raczej nieodpowiednia na wycieczkę. Ale Rebeka Martinsson i Lars Pohjanen za wszelką cenę chcieli się dostać do Lainio, żeby odebrać koszulę.

Medyk sądowy zaofiarował się, że poprowadzi samochód. Nie siedział za kierownicą od roku, więc teraz chętnie spróbuje. Rebeka stanowczo odrzuciła propozycję, tłumacząc Pohjanenowi, że jeśli ledwo może podnieść się z krzesła, to średnio nadaje się na kierowcę.

W końcu postanowili wziąć taksówkę. Wprawdzie trzepnie ich to trochę po kieszeni, stwierdzili, ale jeśli rozważyć... Ponieważ nie przyszło im do głowy nic, co mogliby rozważyć, zadzwonili po samochód. Pohjanen obiecał, że zapłaci za cały kurs, pod warunkiem że – kiedy wrócą – Rebeka zaprosi go na obiad.

Podróż trwała trochę ponad godzinę.

Taksówkarz podwiózł ich niemal pod same drzwi, a mimo to zdążyli zmoknąć, kiedy wysiedli z auta. Śnieg przyklejał się do włosów, wdzierał za kołnierz, osiadał na rzesach i za każdym mrugnięciem wpadał do oczu. Prokuratorka i lekarz czekali przed wejściem jak dwa bezdomne bałwanki. Nie skorzystali z zaproszenia na kawę. Gospodarz przyniósł plastikową torebkę z koszulą oraz dodatkową reklamówkę, do której mogli włożyć zawiniątko, gdyby w samochodzie zaczęło śmierdzieć. Podziękowali serdecznie za pomoc i pobiegli z powrotem do taksówki.

– To musi być coś cholernie ważnego – odezwał się kierowca, spoglądając nieufnie na reklamówkę we wstecznym lusterku. – Ładny kawał drogi tam i z powrotem. W taką pogodę...

Ale siedzący z tyłu Rebeka i Lars zdążyli już zapaść w głęboki sen. Ocknęli się dopiero w Kurravaarze.

Pohjanen wyciągnął kartę płatniczą.

Oboje byli głodni jak wilki. Smarkacz, nacieszywszy się ich powrotem, usadowił się przy piecu. Rebeka odsmażyła *palt*¹⁷, który zjedli ze stopionym masłem, boczkiem i brusznicą. Popili mlekiem.

Później rozłożyli gazety na stole i znów wyjęli butelki po oranżadzie, by wzmocnić się przed czekającym ich zadaniem. Postanowili bowiem poskładać w całość strzępy brudnej koszuli Fransa Uusitalo.

Tymczasem zbieracza jagód z Lainio ogarnęły wątpliwości. Miesiącami przechowywał koszulę w garażu. Opowiedział o swoim znalezisku wszystkim

policjantom, którym starczyło si ę, by go wysłuchać. A teraz c óż najlepszego zrobił? Oddał zakrwawion ą i postrzępion ą koszul ę dwóm nieznanym osobom, które wytoczyły si ę z taks ówki na jego podw órze. Oboje śmierdzieli jak po dobrze zakrapianej imprezie, bez dwóch zdań. Zar ówny kobieta na chwiejnych nogach, w kozaczkach na obcasach, jak i umarłak, którego miała ze sob ą. Skąd w og óle m ógł być pewien, że to naprawd ę prokuratorka i medyk s ądowy? Przecie ż nie pokazali mu żadnej legitymacji, niczego!

A jak te ochlajtusy zapodziej ą koszul ę, to dopiero b ędzie miał przechłapan ę. Gdzie ż on, kurde, miał rozum? Po kilku godzinach rozmyślań podni ósł si ę z fotela przed telewizorem i najzwyczajniej w świecie zadzwonił na policj ę w Kirunie.

Odebrała kobieta mówiąca śpiewn ą odmian ą szwedzkiego z Finlandii.

Zbieracz jag ód poprosił o pokwitowanie odbioru koszuli. To chyba niespecjalnie wygórowane żądanie?

Sonja z centrali połączyła go z prokuratorem Carlem von Postem.

MAJ 1915 ROKU dobiega końca. Panna Pettersson wraca do domu z pawilonu muzycznego, w którym pokazano film o one-stepie. Film autorstwa Isaaca Gr ̄newalda jest dozwolony tylko dla dorosłych.

Krytycy uważają, że ów taniec to obrzydlistwo. Twierdzą, że wypacza ide ę tańca jako wyrazu naturalnej i zdrowej radości życia. Wszyscy, którym le ży na sercu dobro młodzi ęży, wszyscy, dla których wa żna jest obecnoś ć kultury w rozrywce, wszyscy ci ludzie powinni wyrugowa ć owo „parzenie si ę” z najbliższego otoczenia. Najlepiej zaczą ć od rodziny.

Artysta, który w swej kinematograficznej wypowiedzi tańczy z żon ą, zaciekle broni one-stepu. To taniec młodych, mówi. Tak jak tango. Oczywiście, wszystko, co nowe, wydaje si ę nieoby czajne i nieestetyczne. Na ile przyzwoita jest współczesna sztuka? – pyta retorycznie.

Idąc do domu, Elina drobi jak w one-stepie i two-stepie. Nadszedł czas roztop ów, ziemia nie nad ąża z wchłanianiem wody, ulic ą spływa rzeka błota.

Noce wciąż s ą mro źne. Rano pod stopami trzeszczy l ód i chodzenie po zmarzniętej ziemi nie nast r ęcza trudnoś ci. Ale za dnia s łońce przypieka jak płomień. Mimo że buty stoj ą przez noc w kuchni, wypełnione sianem i gazetami, rankiem ci ągle czuć w nich wilgoć. Lam ówka sp ódnicy jest cała

ubłocona. Współlokatorzy śmierzdzą oborą i wnoszą do domu tyle brudu, że Kruszka rwie włosy z głowy.

Nauczycielka zazwyczaj nie wraca sama, dziś jednak nikt nie szedł w jej stronę. Pomyślała, że jest jasno, do domu niedaleko. Nie chciała się narażać na śmieszność, prosząc kogoś o towarzystwo. Nigdy zresztą nie opowiedziała o nadsztygarze i jego nieprzystojnych zalotach nikomu oprócz Kruszki. Rozeszłyby się plotki. Wszystko obróciłoby się przeciw niej, tak jak zawsze. Zwłaszcza gdy chodzi o człowieka pokroju Fastha.

Kiedy mija cmentarz, słyszy za sobą coraz szybsze kroki.

Gdy się odwraca, widzi nadsztygara, który zdążył ją dogonić. Strach rozpełza się po jej plecach.

Wokół ani żywej duszy. Tylko ich dwoje. Elina przyspiesza kroku. Wchodzi prosto w kałuże, nie przejmując się ni spódnicą, ni butami.

– Pannno Pettersson! Skąd ten pośpiech?

Obejmuje ją w talii. Przypomina, że to on wypłaca jej pensję, powinna zatem być dla niego miła.

Nauczycielka próbuje zaprzeczać; wszak zatrudnia ją spółka i pan Lundbohm...

Ależ skąd, Lundbohm nie zajmuje się takimi sprawami, wyjaśnia nadsztygar. Szczególnie teraz; Fasth rozmawiał z nim dziś przez telefon i odniósł wrażenie, że dysponent zabawia się z jakimś nowym dziewczęciem w Sztokholmie. Bo przecież panna Pettersson nie sądzi, że coś dla niego znaczy? No. Poza tym jest – jak to się mówi – wyemancypowana? A jeśli dokucza jej świąd, to on wie, jak temu zaradzić.

Zatrzymuje Elinę, łapie za przegub dłoni i przyciąga jej rękę do wybrzuszenia w spodniach. Twarz ma czerwoną jak sztuka mięsa.

– Dotknij – dyszy. – To coś dla...

– Halo! – przerywa mu męski głos.

O, dzięki Bogu, nadchodzi dwóch znajomych! Narzeczony Kruszki i jego kolega. Na widok Eliny, schwytanej jakby w sidła na niedźwiedzia, przyspieszają kroku. Fasth ciągle jeszcze nie zwolnił uścisku, jego ręka jest jak ze stali.

– Co tu się dzieje? – pyta Johan Albin.

Elina nie może wydusić z siebie ani słowa, nadsztygar zaś nie ma z tym

najmniejszych trudności.

– Idźcie, chłopcy – mówi, nie spuszczać oczu z nauczycielki. – Panna Pettersson i ja miło sobie tutaj gawędzimy.

– No, zmiatajcie! – dodaje, widząc, że młodzieńcy nie ruszają się z miejsca.

Mężczyźni postępują krok do przodu.

– Sam niech pan idzie, panie Fasth – odpowiada narzeczony Kruszki. – I mówię to tylko raz, bo potem porozmawiamy na pięści.

Nadsztygar rozluźnia uścisk.

– A weźcie ją sobie! Widać cipa ją swędzi, tak nachalnie mnie prosiła.

Potem najspokojniej w świecie odchodzi. Bez żadnego pośpiechu.

Młodzi ludzie stoją przez chwilę w milczeniu. Dopiero kiedy Fasth znika z pola widzenia, Johan Albin mówi:

– Nie płacz, Elina. Odprowadzimy cię do domu.

– Dziękuję!

– Nie ma za co. Nie przepadam za urzędasami – oznajmia i zaczyna swoją opowieść.

Elina słyszała ją już od Kruszki, ale nie zdradza się ani słowem; nie chce, by Johan Albin pomyślał, że narzeczona zawiodła jego zaufanie. Mężczyźni czasami nie rozumieją takich rzeczy. Że kobiety się sobie zwierniają. Że opowiadają o sobie i o tych, których darzą miłością.

Johan Albin mówi o rodzicach, biednych wyrobnikach folwarcznych mieszkających pod Överkalix.

– Ojciec miał rękę do zwierząt. Znał się też na ziołach i potrafił nimi leczyć bydło. Zresztą tak jak ludzi, choć o tym raczej się nie mówiło. Zatrzymywał krwotoki i takie tam. A z ciężkimi porodami radził sobie jak nikt. Umiał wyciągać cielaczki, źrebaki, niemowlęta... Uwaga! Hop! Teraz trzeba skakać, Heikki, chodźże, przeniesiemy Elinę. Kiedyż tu w końcu wykopią porządne rowy? Co wiosnę te same nieszczęsne roztopy! No, w każdym razie... Czasami się nie udawało. Młode nie rodziły się całe i zdrowe. Kiedy były za duże albo ułożyły się nie tak, jak trzeba. To dopiero pierońskie zajęcie: połamać cielaka wewnątrz krowy, żeby jej nie uszkodzić, i jeszcze go wyciągnąć. Bo wyjąć go trzeba, tak czy siak. Śmierć krowy to dla rodziny pewna zguba. Ojciec tylko wtedy pił, po tych okropnych... – Potrząsa głową.

– Dziękowali mu wódką za fatygę. Zagrzebywał się w sianie na jakimś

przygórku i pił do nieprzytomności. Wracał do domu, gdy wytrzeźwiał.

Heikkiemu wyrywa się ciche *voi helvetti*¹⁸.

– Ale co to ma wspólnego z urzędnikami? – pyta Elina, choć wie, chce mu tylko pomóc przejść do rzeczy.

– Wójt we wsi miał asystenta, niemieckiego urzędnika. A ten asystent przepadał za młodymi Laponkami.

– No wiesz – wtrącił Heikki, zwracając się do Eliny. – W armii Karola XII służyli niemieccy najemnicy. Po wojnie nie mogli wrócić do swojego kraju, bo przecież walczyli po stronie wroga; no więc zostali tutaj i zajęli się tym, w czym byli mocni.

– Zostawali katami – powiedział Johan Albin – albo wójtami. A ich synowie też zostawali katami albo wójtami. A ich synowie... W każdym razie te lapońskie dziewczynki miały po jedenaście, dwanaście lat. On sobie używał. Ale jak zachodziły w ciążę... Ich ciała nie były przygotowane na rodzenie dzieci. Wezwano mego ojca. Dwóch dziewczynek nie mógł uratować. Zmarły w położu. I wtedy, po tej drugiej...

Zatrzymują się przed domem. Elina prosi mężczyznę na górę. Będzie z Kruszką gotowała ciepłą strawę dla współlokatorów; z pewnością starczy jej również dla dwóch niezapowiedzianych gości.

Kruszka przychodzi do domu zaraz po nich. W ręku trzyma wiadro. Na obiad poda miętusy w białym sosie.

Słuchając opowieści o tym, co się przydarzyło Elinie, odrąbuje rybom głowy, patroszy je i zdiera z nich skórę z taką zaciekłością, jakby na desce do krojenia leżał nadsztygar Fasth.

Później Johan Albin powraca do swojej opowieści z dzieciństwa.

– Kiedy druga lapońska dziewczynka wyzionęła ducha, mój ojciec powiedział: dość! To było na wiosnę. Któregoś wieczora dopadł młodzieniaszka i wykastrował go, tak jak się kastruje konia. Naprzód powalił go na ziemię, przeciągnął parę gwoździ przez ubrania, coby go przytwierdzić do stajennych drzwi, i zabrał się do roboty. Naciął mu jajca, wywinął worek i wyjął to, co trza.

Johan Albin zaciska pięść i przez chwilę głośno więźnie mu w gardle. Kruszka, stojąca z zakrwawionymi rękami, chciałaby go wziąć w objęcia.

– Urzędnik przeżył. Ale ojciec dostał pięć lat więzienia. Po dwóch zmarł na suchoty. Matka nie mogła wyżywić wszystkich dzieciaków. Była nas piątka.

Miałem sześć lat, jak nas wystawili na aukcji biedaków. Wylądowałem w rodzinie fińskich węglarzy. Wytrzymałem u nich tylko rok. Później uciekłem. Zaczepiłem się przy budowie kolei. Zacząłem jako chłopiec od gwoździ. Biegałem do kuźni z wiaderkami pełnymi krzywych gwoździ i wracałem z wyprostowanymi. Nie skończyłem żadnej szkoły. W końcu znalazłem się tutaj. Że tak powiem, nie przepadam za urzędnikami.

Jedzą obiad w ponurym nastroju. Po lesie wokół górniczej osady grasuje bieda. W każdej chwili gotowa połknąć osobę, która straciła rękę, męża albo cnotę.

Właśnie, cnotę. Elina czuje, jak jedzenie rośnie jej w ustach, ale udaje, że nic się nie dzieje. Udaje nawet przed sobą.

CARL VON POST OSZALAŁ.

– Oszałeć można! – krzyknął do Sonii z centrali.

A kiedy ją trochę przycisnął, dowiedział się ciekawych rzeczy o Rebecce. Nie dość, że pojechała po koszulę, która należała do rozszarpanego przez niedźwiedzia ojca Sol Britt Uusitalo, to jeszcze wydebiła od Sonii akta dochodzenia dotyczącego ucieczki z miejsca wypadku, w którym zginął syn zamordowanej.

– Do kurwy nędzy! – wrzasnął i puścił się biegiem do Alfa Björnfota, który siedział w gabinecie Rebeki i pisał uzasadnienia wyroków, jedno po drugim.

– Ona – mówił głosem drżącym z emocji – to znaczy Rebeka Martinsson... miesza mi się w dochodzenie!

Alf Björnfot spuścił okulary na nasadę nosa i uważnie przyjrzał się koledze. Po chwili znów przesunął je na czoło i wrócił do korekty wydruku, podczas gdy von Post dość głośno i drobiazgowo zdawał relację z przebiegu wydarzeń.

– To jest sprawa dla działu personalnego w Prokuraturze Generalnej – zakończył wystąpienie von Post. – Martinsson powinna zostać przesunięta!

– Ale jeżeli dobrze cię zrozumiałem – odparł spokojnie Björnfot – to Rebeka nie wtrąca się do twojego dochodzenia. Przygląda się dwóm wypadkom, a że ich ofiary są spokrewnione z twoją ofiarą morderstwa...

– To nie jest w porządku – dyszał von Post. – Nie możesz jej popierać, doskonale o tym wiesz. Prokurator generalny z pewnością...

Alf podniósł ręce w geście „poddaję się”.

– Porozmawiam z nią – obiecał.

Von Post nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa. Targała nim tak wielka złość, że miał pustkę w głowie.

Ale jednej rzeczy był pewien. Porozmawia z prokuratorką osobiście. Miał jej to i owo do powiedzenia.

Rebeka Martinsson i Lars Pohjanen włożyli cienkie gumowe rękawiczki i ułożyli puzzle z porozrywanych części koszuli. Odtworzyli prawie całą; brakowało jedynie połowy rękawa i fragmentu pleców.

– Ależ pazury! – powiedział Pohjanen z podziwem w głosie, przypatrując się brzegom poszczególnych kawałków. – Jakby ktoś ją pociachał ostrymi nożycami.

Podniósł część przodu koszuli i przytrzymał pod światło. Ziemia i krew zabarwiły tkaninę na brunatny kolor. Na samym środku widniał niewielki otwór.

– Co o tym myślisz? – spytał medyk.

Rebeka przyglądała się dziurce.

– Nie wiem – odparła, czując dodatkowe uderzenie serca. – A ty?

– Ja... – zaczął powoli Pohjanen – myślę, że to ślad po kuli. Tak właśnie myślę. Myślę też, że powinniśmy wysłać ten kawałek do SKL i poprosić o ekspertyzę.

– Niedźwiedź go nie zabił – powiedziała Rebeka. – Zjadł go. Ale nie zabił.

Pohjanen rzucił jej spojrzenie, którego nie potrafiła zinterpretować.

– Ty i te twoje sny... – odezwał się w końcu.

Potem pokręcił głową.

– Jestem...

– ...pijany jak bela – dokończyła Rebeka. – To co, wykapiemy się w saunie?

Saunę wybudował dziadek Rebeki wspólnie ze swymi braćmi. Drewniana konstrukcja z bali była pomalowana tradycyjną, czerwono-brunatną farbą fału. Na drewnianych ławeczkach ganku mogły siedzieć jednocześnie cztery osoby, dwie po każdej stronie. W pierwszym pomieszczeniu była przebieralnia z kominkiem. Później przechodziło się do umywalni, gdzie stały wiadra, czerpaki i miednice. Na samym zaś końcu znajdowało się to, co

najświętsze, czyli sauna. Opalana drewnem, rzecz jasna, z oknem wychodzącym na rzekę.

Zarówno Pohjanen, jak i Rebeka dorastali w stronach, gdzie od zarania dziejów kobiety i mężczyźni bez skrępowania siedzieli razem w saunie. Ciało, w całej swej kruchości, naznaczone wiekiem lub wieloma porodami; w saunie nikt nie musiał się go wstydzić. Młodzieńcze krągłości w odpowiednich miejscach, skóra niby płatki róży; w saunie nikt nie musiał się obawiać niestosownych spojrzeń.

Rebeka paliła w piecu i nosiła wodę, podczas gdy Pohjanen – przeklinając z rozkoszy – sączył piwo i wygrzewał kości przed kominkiem.

Później nadeszła pora na kąpiel. Rebeka, bardziej odporna na wysoką temperaturę, zajęła miejsce na samej górze. Medyk usiadł trochę niżej. Pot spływał im solą do oczu, woda skwierczała na kamieniach, para wzbijała się do sufitu.

Mówili o tym, o czym ludzie zwykli mówić w saunie. Że dobrze byłoby wychłostać się brzoźowymi witkami, ale o tej porze roku to dość trudne, bo witki przecież muszą mieć liście. Że tylko w ten sposób człowiek naprawdę wymyje się do czysta; co za obrzydliwość, kurde, pluskać się w wannie we własnych brudach, fuj! Rozmawiali o saunie dymnej i o leciwych krewnych wytrzymujących największy gorąc. Wymienili wspomnienia z dzieciństwa związane z sauną i ponarzekali na diabelski wynalazek elektrycznego pieca.

Zdrapywali martwy naskórek i przyglądali się jego szarym resztkom za paznokciami. Kiedy Rebeka polewała kamienie wodą, schylali głowy i czując, jak pierwsza fala gorącej pary rozbija się o ich ciała, pojękiwali z rozkoszy zmieszanej z bólem. Rebeka chuchała w ręce i jak zawsze nie mogła się nadziwić, że wydmuchiwane z ust powietrze niemal parzy.

Dwa razy wyszła w ciemność i śnieżycę, by ochłodzić się w zimnej rzece. Pohjanen zrezygnował z tej przyjemności, zapewnił jednak, że chętnie zanurzy się w przerębli trochę później, zimą. Pod warunkiem jednak, że dostanie od Rebeki zaproszenie na prawdziwą bożonarodzeniową kąpiel. Smarkacz, który uprzyjemniał sobie czas leżeniem przed kominkiem, wybiegł teraz na dwór. Bez powodzenia próbował kasać wirujące płatki śniegu. Niezadowolony, obszczał swoją panią, by w końcu wskoczyć za nią do wody.

– Jak to jest z tymi psami – zastanawiał się ze śmiechem Pohjanen, gdy Rebeka z nie odstępującym ją ani na krok wilczurem wróciła do sauny. – Dlaczego zawsze muszą otrzepywać się z wody w pobliżu człowieka?

Po jakimś czasie lekko chwiejnym krokiem ruszyli do domu.

Rebeka patrzyła na wątłe plecy lekarza.

Obyś mógł tutaj przyjechać na bożonarodzeniową kąpiel, pomyślała. Żyj jeszcze długo, proszę!

W tej samej chwili, w której ręka Pohjanena spoczęła na klamce drzwi wejściowych, na podwórze wjechał Carl von Post.

Wysiadł z samochodu w samej koszuli. Wymachując palcem w stronę Rebeki, wykrzyknął:

– Do kurwy nędzy, Martinsson! Szlag by cię trafił!

Rebeka nie powiedziała ani słowa. Opuściła ręce; zwisały teraz bezwolnie wzdłuż tułowia. Śnieg układał się na jej mokrych włosach w kleistą czapkę. Pohjanen wszedł na ganek, ale wiszący nad nim balkon nie dawał wystarczającego schronienia.

– Myślisz, że nie rozumiem, co wyprawiasz?! – wrzasnął prokurator. – Wiesz, że złapaliśmy mordercę. Ale bez dowodów rzeczowych będziemy mieli tylko sprawę poszlakową. A ty teraz chcesz wszystko spieprzyć, szukając alternatywnych motywów...

– Nie szukam żadnych...

– Zamknij się! Wystarczy najmniejsze podejrzenie, że ktoś usiłuje wymordować całą rodzinę Uusitalo, syna, ojca i tak dalej... i wtedy nie ma szans, żeby skazać Jockego Häggrotha. Doskonale o tym wiesz. Próbujesz znaleźć alternatywne motywy, alternatywnych podejrzanych tylko po to, żeby mi się nie udało. Jesteś gotowa uwolnić mordercę, żeby mi schrzanić dochodzenie. To jest takie kurewsko... chore. Jesteś po prostu chora!

Znów wyciągnął palec wskazujący.

Pohjanen zrobił niepewny krok w przód.

– Uspokój się, chłopcze. Wejdz do środka, strzel sobie jednego i zobacz, co znaleźliśmy, to żadna tajemnica.

I Rebeka, i von Post popatrzyli na medyka, jakby zaproponował im fikcyjne małżeństwo albo wspólne odśpiewanie *We Shall Overcome*.

– Chora umysłowo! – zbulgotał von Post w odpowiedzi. – Myślisz, że możesz ze mną w chuja lecieć i na wszystko sobie bimbać, Martinsson. Jeszcze się, kurwa, zdziwisz, jak bardzo się mylisz! Znam szefową działu personalnego w Prokuraturze Generalnej i nie omieszkać jej powiedzieć, że

stanowisz zagrożenie dla dochodzenia. I dla siebie samej. Wszyscy wiedzą, że byłaś w wariatkowie. Nic dziwnego, że w krytycznej sytuacji nagle znów się załamujesz. Obawiam się, że nadużyjesz środków przymusu, które mamy do dyspozycji. Szefowa działu personalnego z pewnością zleci badanie u lekarza zakładowego, serduszek. To skrajnie upokarzająca historia. Ma w sobie coś z inkwizycji. A później przeniosą cię na stanowisko, na którym nikomu nie będziesz mogła zaszkodzić. Policyjny wydział postępowań administracyjnych. Reklamacje mandatów za złe parkowanie. Udzielanie pozwoleń na broń.

Ucichł. Oddychał ciężko. Dyszał, jakby wbiegał pod górę.

Smarkacz podbiegł do gościa tanecznym krokiem. Upuścił przed nim szyszkę. Taką miał rolę w stadzie. Odwracał uwagę. Proponował wesołą zabawę, kiedy w powietrzu wisiała awantura. Ot, taki niski rangą, nieszkodliwy klaun.

Von Post spojrzął wrogo na szyszkę, a potem machnął ręką, jakby chciał odpędzić psa. Niezrażony Smarkacz chwycił zdobycz zębami i położył ją jeszcze bliżej prokuratora. Wlepił w niego ślepią, jakby chciał powiedzieć: „Prawda, że nie można jej się oprzeć?”. Pohjanen wydał z siebie chrapliwy dźwięk. Tylko nieliczni wiedzieli, że lekarz tak się śmieje.

– Nikt z was, kurwa, nie jest przy zdrowych zmysłach – krzyknął von Post. – Nikt!

Nie otrzepawszy się ze śniegu, zanurkował do samochodu i odjechał.

– Ten typ... – zarechotał Pohjanen, kiedy mercedes zniknął z pola widzenia.

Otworzył dłoń i pozwolił Smarkaczowi położyć w niej szyszkę. Rzucił ją jakiś metr przed siebie.

– ...to okazały buc i psychopata. Biada społeczeństwu, w którym tacy skurwiele prowadzą walkę z przestępczością.

Rebeka przyglądała się aportującemu Smarkaczowi.

Myślała o von Poście. Patrzył na wilczurę, jakby chciał go zabić.

– Pies – zwróciła się do Pohjanena, kiedy wrócili do kuchni i ponownie rozpalili ogień w piecu. – Pies Sol Britt Uusitalo. Kiedy przeglądałam zapis przesłuchania, które Anna Maria przeprowadziła z Marcusem... Chłopiec nie wspomniał ani słowem o nocy, kiedy popełniono morderstwo. Jakby zupełnie nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Ale powiedział, że im zginął pies.

– Aha.

Nie bez trudu wyjęła komórkę i zadzwoniła do Sivvinga. Odebrał błyskawicznie, jak gdyby siedział przy telefonie i czekał na sygnał. Poczowała wyrzuty sumienia. Powinna była go zaprosić na kąpiel w saunie.

– Słuchaj – zaczęła. – Sol Britt miała kiedyś psa. Czy wiesz, kiedy zaginął?

– Poczekaj... Porozwieszała wtedy kartki z informacją. Kiedy to mogło być? Nie dalej niż miesiąc temu. Mówię ci: trzymaj Verę na smyczy. Wiesz, jacy są ludzie! Niektórzy świadomie przejeżdżają psy, gdy tylko mają okazję.

– Dzięki – przerwała mu. – Zadzwonię do ciebie później.

– Piłś? Wydaje mi się, że jesteś na lekkiej bańce.

– Nie, no co ty – odpowiedziała i rozłączyła się, zanim Sivving zdążył się znowu odezwać.

– Zaginął miesiąc temu – poinformowała Pohjanena. – Gdybym planowała morderstwo, najpierw zlikwidowałabym psa ofiary.

Lekarz pokiwał głową.

– No jasne. Te wszystkie szajki, które w środku nocy włamują się do wszystkich domów przy jednej i tej samej ulicy... Wchodzą, kiedy ludzie śpią w najlepsze. Omijają gospodarstwa, w których są psy.

– Jeżeli Jocke Häggroth rzeczywiście jest mordercą – powiedziała Rebeka. – Jeżeli faktycznie nim jest... To w każdym razie nie zabił w afekcie.

NAZAJUTRZ PO INCYDENCIE z nadsztygarem Elina wraca do domu około godziny trzeciej. Współlokatorzy są jeszcze w pracy. Kruszka i Johan Albin siedzą przy stole. On spuścił głowę, ona trzyma go za rękę. Przyjaciółka spogląda poważnie na Elinę, jej narzeczony wbija wzrok w blat stołu.

– Co? – pyta Elina. – Co się stało?

Mężczyzna tylko kręci głową, ale Kruszka odpowiada.

– To Fath. Zwolnił go z pracy.

– Nie zwolnił.

– No dobrze, nie zwolnił, bo nie chce zadzierać ze związkiem zawodowym. Kopalnia wrze, ludzie są niezadowoleni, a Johan Albin jest popularny. Ale ni stąd, ni zowąd Fath przeniósł go na inne stanowisko. Wcześniej był

ładowaczem. Zarabiał sześć koron na godzinę. A teraz ma stać przy kruszarce. Za trzy korony na godzinę! Z tego przecież nie da się wyżyć. A tym bardziej odłożyć na przyszłość.

– To robota dyżurnego. Za taką nie płacą. A Heikki będzie opróżniał latryny koło jadalni.

Elina nie ma odwagi wejść do kuchni. Stoi w przedpokoju jak zamurowana.

Kruszarka. Diabelska śruba zamieniająca rudę w kamienie. Nie ma gorszej roboty w kopalni. Mężczyźni głuchną od huku potężnej maszyny, która rozdrabnia bloki skalne i wypływa kruszec na stojące pod spodem wagony. Płuca czernieją od kamiennego pyłu. To bardzo niebezpieczna praca. Dyżurni chodzą z żelaznymi drągami i podważają kamienie, które utknęły w maszynierii. Drągi też mogą utknąć i wciągnąć człowieka do kruszarki. Albo – sprężynując – uderzyć i nawet zabić. Wystarczy chwila, moment.

– Przepraszam – mówi Elina. – To moja wina.

Johan Albin znów kręci głową, ale ani on, ani jego narzeczona nie zaprzeczają.

Na twarzy Kruszki, zazwyczaj pogodnej, maluje się niepokój.

– Musisz porozmawiać z dysponentem – mówi stanowczo przyjaciółka.

Elina blednie.

Kruszka wstaje od stołu. Podchodzi do niej. Poprawia jej szalik i gładzi po policzku.

– Musisz z nim porozmawiać... tak czy owak, prawda? – dodaje, omiatając wzrokiem piersi i brzuch nauczycielki.

Elina potakuje w milczeniu. No tak. Dwie kobiety śpiące na tym samym łóżku. Cóż mogą przed sobą ukryć?

– Nie ma co planować. Nie warto się zastanawiać – mówi Kruszka. – Dysponent jest w domu. Idź i mu powiedz.

I CO MAM TERAZ ZROBIĆ? – zastanawiała się Rebeka.

Pohjanen i Smarkacz zasnęli na sofie. Ogień dogasał, ostatnie polana żarzyły się w ciemności.

Von Postowi udało się ją zastraszyć. Nie na żarty. Rebeka nie mogła znieść

myśli, że jakiś lekarz medycyny pracy miałby badać jej duszę. Kolejna miernota z przechyloną głową. „Jak się pani czuje tak naprawdę, pani Rebeko?” I jakiś znękany biedak ze związku zawodowego, stojący po jej stronie. Nigdy w życiu! Równie dobrze może sama się jutro zwolnić.

Co zatem miała zrobić? Wszyscy uważali, że praca w kancelarii adwokackiej w Sztokholmie to ciągle aktualna alternatywa. Måns też tak uważał.

Ale ja tam umrę! – powiedziała do siebie.

Na samą myśl o biurze... Wyścig szczurów wśród aplikantów, wykorzystywanie przez współwłaścicieli, spaprane życie rodzinne tych, którzy mieli rodziny. Wszyscy czuli się do dupy. Liczyło się tylko utrzymanie na powierzchni. I pieniądze.

Chcę być tutaj! – zapragnęła gwałtownie.

Zatęskniła za rozmową, co niemal wprawiło ją w zdumienie. Ale z kim rozmawia się o takich sprawach? Ciągle miała w biurze przyjaciółkę, Marię Taube. Chociaż nie, Maria wkrótce miała zostać współwłaścicielką firmy. Stopniowo się dostosowywała. Była już jedną z nich. Nie rozumiała, co Rebeka robi w prokuraturze na dalekiej północy.

Włożyła kurtkę, zeszła po schodach. Smarkacz, który momentalnie się obudził, nalegał, żeby go wzięła ze sobą.

Wsiadła na rower i popedałowała do Mai Larsson. Śnieg przestał padać, ale przykrył ziemię grubą warstwą; jechało się dość ciężko. Od czasu do czasu wpadała w poślizg, nie wywróciła się jednak ani razu.

Smarkacz pędził jak wariat to w jedną, to w drugą stronę. Przeszczęśliwy z powodu całej tej białości.

PANNA ELINA PETTERSSON siedzi w gabinecie Hjalmara Lundbohma i zbiera się na odwagę. Dysponent nazywa ten pokój palarnią. Elina zawsze dobrze się tu czuła. W powietrzu unosi się zapach cygar, a kiedy na dworze jest zimno, na kominku trzaska ogień.

Któraś ze służących właśnie dołożyła do paleniska. Ogień migocze, strzela i syczy. Po chwili – buzując jasnym płomieniem – pnie się ku kominowi.

Kominek jest dziełem Christiana Erikssona, rzeźbiarza i przyjaciela dysponenta. Boczne kolumny z piaskowca przedstawiają z jednej strony

wspinające się do góry niedźwiadki, z drugiej zaś – bawiącą się z młodymi niedźwiedzicę. W samym palenisku umocowano trzy żeliwne płaskorzeźby obrazujące wnętrze lapońskiego namiotu. Na środkowej widnieje para Lapończyków, a na bocznych pies pasterski oraz bawiące się dzieci.

Elina wie, że gdy słabnący ogień ledwie się tli, reliefy nabierają życia. Bywało, że siedząc tak z Hjalmarem przed kominkiem, wyobrażali sobie, iż artysta wyrzeźbił ich przyszłe wspólne życie. Żartowali nawet kiedyś, jak bardzo Hjalmarowi przyjdzie schudnąć. On wówczas natychmiast spoważniał i wyznał, że właśnie tak chciałby żyć: jak koczownicy, wolny. A ona powiedziała mu o swoim umiłowaniu wolności. Przecież głównie z tego powodu została nauczycielką. Żeby móc się utrzymać z własnej pracy, żeby nie być od nikogo zależną.

Pamięta jedną z ich pierwszych wspólnych nocy, kiedy Hjalmar ją zapytał, co myśli o instytucji małżeństwa. Odpowiedziała: nigdy!

Wolność jest czymś prostym, gdy miłość goreje.

Teraz zaś Elina mogłaby się obejść bez wolności. Teraz wolałaby, żeby dysponent padł przed nią na kolana. Albo po prostu powiedział: „Czy nie moglibyśmy...?”.

Jej wzrok wędruje po drewnianych ścianach, obitych do połowy wysokości dekoracyjną tkaniną z Jukkasjärvi, zatrzymuje się na woskowanych meblach z mahoni, na artystycznie rzeźbionych nogach stolika i wysokich oparciach krzeseł. To piękny pokój. W jego urządzeniu pomogli Hjalmarowi przyjaciele artyści. Wszystko wygląda tak bezpretensjonalnie, choć Elina wie, że to jedynie pozory.

Na podłodze leżą obok siebie dwie skóry z niedźwiedzia, brunatnego i polarnego. Jeszcze nie tak dawno Elina się na nich przeciągała. Teraz siedzi sztywno na ławie pod ścianą, niby reprezentantka jakiegoś stowarzyszenia, która z pokorą czeka na dysponenta, by go poprosić o wsparcie działalności.

A ona chce tu mieszkać jako jego żona. Chce mu towarzyszyć w podróżach. Razem z synem, bo Elina wie, że urodzi im się chłopiec. Chce zobaczyć Amerykę i Kanadę. A kiedy czasami przyjdzie jej zostać w domu, chce tu czekać, tęsknić i pisać listy przy jego biurku, słuchając, jak po schodach tupoczą dziecinne stopy, a w kuchni śpiewa Kruszka. Tak bardzo tego pragnie, ach!

Ale nie brak jej dumy. Nie chce mu się narzucać. Bo jeśli on zamiast małżeństwa zaproponuje pieniądze? Co wtedy? Kiedy w wyimaginowanej rozmowie dochodzi do tego punktu, w głowie Eliny powstaje pustka.

Hjalmar wchodzi do gabinetu, przeprosza ją, że musiała czekać, i całuje w czoło. W czoło!

Siada, choć nie obok niej, tylko na krześle przy bibliotecznym stoliku. Spogląda jej w oczy, lecz już po chwili ucieka wzrokiem ku stojącemu w kącie zegarowi ze Stjärnsund.

Serce Eliny tonie. Jak kamień w czarnej wodzie.

Pyta go, czy ma dużo pracy. On odpowiada, że owszem. Zasadniczy temat rozmowy czai się między nimi jak ciche żywe stworzenie.

Niezobowiązująco gawędzą o tym, jak to LKAB¹⁹ zaopatruje wojenną Europę w stal. Mnóstwo zatem podróży, mnóstwo interesów. A cała ta pisanina i niesnaski wokół porządku społecznego w Kirunie nie ułatwiają dysponentowi zadania. Wichrzyciele wciąż są niezadowoleni z wyników głosowania w 1909 roku. Ludność miejscowa dążyła do tego, by Kirunie nadano status miasta targowego, ponieważ wtedy dochody z podatków spółki kopalnianej można by przeznaczyć na budowę niezbędnej infrastruktury. Zarząd firmy zaś optował za jednostką municypalną, wówczas bowiem spółka odprowadzałaby podatek od produkcji w swojej siedzibie, czyli w Sztokholmie. Obowiązująca w 1909 roku ordynacja wyborcza dopuszczała uprzywilejowanie względem prawa głosu. A to oznaczało, że im ktoś więcej zarabiał, tym więcej miał do powiedzenia. Lundbohm mógł oddać sto głosów, podczas gdy zatrudnieni u niego robotnicy zaledwie po jednym.

Ponieważ dysponent głosował zgodnie z wolą członków zarządu w Sztokholmie, a lokalni inżynierowie i mieszczaństwo poszli za jego przykładem, Kiruna uzyskała status jednostki municypalnej.

Dyskusje na ten temat ciągle są bardzo żywe.

– Ale żeby mnie nazywać zdrajcą... – mówi poirytowany Hjalmar.

Elina go zapewnia, że w głębi duszy chyba wszyscy wiedzą, iż dysponent stoi po stronie zwykłych ludzi.

Nastroje są wzburzone, to fakt. I nic dziwnego, skoro w rozrastającym się mieście tak niewiele rzeczy funkcjonuje jak należy. Na rogu każdej ulicy prowadzi się agitację. Jeśli kobiety nie debatuje na zebraniu dotyczącym prawa wyborczego, to dyskutują na zebraniu w sprawie zaopatrzenia w wodę. Dopytują się dość głośno, jak to możliwe, że w osadzie jest tylko dwanaście pomp wodnych, ale dwa razy więcej punktów, w których rozlewa się piwo.

Elina zbiera się w sobie. Boi się, że Hjalmar coś wyczuwa. Że wymawiając się obowiązkami, zaraz ją przeprosi, a ona zaprzepaści okazję do rozmowy.

– Brakuje mi ciebie, gdy jesteś w rozjazdach – mówi, zmuszając się do lekkiego tonu.

– A mnie ciebie – odpowiada Hjalmar.

I poklepuje ją po dłoni!

– Ale ja jestem człowiek periodyczny – dodaje.

Elina kiwa głową; już to wcześniej słyszała.

Dysponent jest człowiekiem periodycznym. Przeciwnieństwem człowieka porządnego. Ach, kiedy leżąc na jego ramieniu, słuchała tego całego wywodu po raz pierwszy, każde słowo sprawiało jej wówczas dziką radość! „Nie potrafię – powiedział wtedy – jak większość ludzi kierować życiem wedle ustalonych zasad i nawyków”.

Elina potakuje i zmusza się do uśmiechu. Wie, że Hjalmar znów wygłosi coś w rodzaju mowy na swój temat.

Raz pracuje bez wytchnienia. Innym razem zaś, ogarnięty lenistwem – tylko wyrwykowo. Przez jakiś czas przestrzega norm życia towarzyskiego; składa wizyty, chodzi na przyjęcia, pisze listy i odpowiada na te, które dostał. Później znów zaczyna życie eremity, odmawia udziału w czymkolwiek, zaniedbuje korespondencję do granic możliwości. Taki już jest. Nigdy nie będzie jak inni. Podróżować musi nie tylko ze względu na pracę, ale również dlatego, że czasami z wielką siłą odzywa się w nim natura tułacza.

Słuchając Hjalmara, Elina przygląda się swoim butom. Wszak jeszcze nie tak dawno leżała obok niego i całując go, mówiła: „Proszę, nie bądź taki jak inni”. Ludzie, cała reszta świata, wszyscy byli szarzy i nudni. Tylko ona i Hjalmar płonęli jak dwie pochodnie w śniegu.

Teraz to ona czuje się jak inni, albo raczej jak inne. Kobiety.

– Jak wyobrażasz sobie naszą przyszłość, Hjalmarze? – pyta w końcu.

– Co masz na myśli?

– Zastanawiałeś się nad czymś więcej niż tylko...

Dokańcza zdanie nieokreślonym gestem.

Dysponent czuje presję. Elina to dostrzega. Ale musi się dowiedzieć. Teraz.

– Myślałem, że jesteś wolną duszą. Zadowoloną z naszego związku.

Nie doczekawszy się żadnej reakcji, mówi dalej:

– Stary ze mnie jegomość. A ty mnie nie chcesz.

Zbyt wyraźnie widać, kto kogo nie chce.

Elina zbiera się na odwagę.

– Zaistniały konsekwencje.

Dysponent siedzi w milczeniu. Już teraz, już podczas tej potwornej ciszy powinna wstać i wyjść. Bo gdyby ciągle jeszcze ją miłował, nie wahałby się ani chwili, nie potrzebowałby czasu do namysłu. Wziąłby ją tylko w ramiona.

Lundbohm przesuwając ręką po twarzy.

– Muszę cię o coś zapytać... – zaczyna.

Elina myśli: nie! Nie może jej o to zapytać. Po prostu nie może!

– Czy jesteś pewna, że... ono jest moje?

Nauczycielka sztywno podnosi się z ławki. Nie wie, czy ma zacząć krzyczeć czy płakać. Wstyd szczypie ją koślawymi palcami. To mieszkańcy rodzinnej wsi. Szarpią za delikatną bluzkę szorstkimi dłońmi. Stoją wokół matczynej trumny i szepczą. Zniżając głos, wspominają o córce, która tak bardzo chciała do „seminaryjum”, że pozwoliła matce zapracować się na śmierć. Opowiadają o dziewczętach, które oszalały od czytania i skończyły w szpitalu.

Bo cóż ona myślała? Że jej się uda? Emancypantka jedna! To wszystko dla dziewczeczek i panien z dobrych domów. Przychodzą jej na myśl słowa, które Strindberg w *Pannie Julie* włożył w usta Jeana: „Ech, to ta moja podła, chamska krew!”²⁰.

W niej płynie krew wyrobników folwarcznych.

Hjalmar Lundbohm właśnie to sobie uświadamia. Dostrzega w niej córkę biedaków, której nie chce. Proszę, jaki zakłopotany. Dyszy niczym zwierzę w niewoli.

– Na mnie już pora – mówi Elina najchłodniejszym tonem, na jaki ją w tej chwili stać. – Ale... jest jeszcze jedna sprawa.

Opowiada o niezasłużonym przeniesieniu Johana Albina na inne stanowisko. Nie wspomina przy tym ani słowem o incydencie z nadsztygarem; nie ma odwagi, zbyt mocno pali ją wstyd. Nie daj Boże, Hjalmar zapyta, czy ojcem dziecka nie jest Fasth.

Lundbohm odpowiada, że nie ma w zwyczaju wtrącać się w sprawy organizacji pracy. Nadsztygar bywa surowy, to fakt. Ale nieobce mu poczucie sprawiedliwości.

Kiwnawszy lekko głową, Elina rusza ku drzwiom. Nie ma nic więcej do powiedzenia.

Dysponent nie próbuje jej zatrzymać. Żadne z nich nie przypuszcza, że spotykają się po raz ostatni. Elina spieszy do wyjścia, czując napływające do oczu łzy.

Hjalmar odprowadza ją wzrokiem, przekonany, że gdyby faktycznie był jej jedynym mężczyzną, z pewnością by to powiedziała.

W drodze do domu Elina nieustannie zadaje sobie pytanie: co teraz? Co teraz?

Co mam teraz zrobić?

MAJA LARSSON jeszcze nie spała. Rebeka oparła rower o rozsypujący się ganek i zajrzała do środka przez kuchenne okno. Przy stole, naprzeciw Mai, siedział jej partner.

Można by ich wziąć za rodzeństwo, pomyślała Rebeka, przyglądając się profilom siedzących. Maja z tysiącem srebrnobiałych warkoczyków. Bujna czupryna mężczyzny miała taki sam kolor. Grzywka od czasu do czasu spadała mu na oczy.

Rebeka zapukała do drzwi. Kiedy zaproszona gromkim: „otwarte!” weszła do środka, Maja była w kuchni sama.

– Pani Rebeka! – wykrzyknęła, zapraszając ją gestem do stołu. – I pies. Jak miło.

– Przepraszam – powiedziała Rebeka. – Nie chciałam wystraszyć pani... partnera? Jak ma na imię?

– E tam. Örjanem proszę się nie przejmować. To odludek. Napije się pani kawy? A może piwa?

Rebeka pokręciła głową i usiadła.

– Przepraszam. Przepraszam, że byłam taka kanciasta, kiedy pani ostatnio opowiadała o mojej mamie. Jestem... nie wiem, jak to nazwać.

– Doskonale rozumiem. Lepiej niż się pani wydaje – odparła Maja, wytrząsając z paczki papierosa.

– Jak z mamą? – spytała Rebeka.

– Moja mateńka... Nie chciałabym, żeby umarła, zanim nauczę się

rozdzielić pragnienie od nadziei.

– Nie rozumiem.

– Ech, to takie śmieszne. Wkrótce stuknie mi sześćdziesiątka. Ale tutaj w środku...

Nie spuszczać oczu z Rebeki, z siłą uderzyła się w piersi.

– Tutaj w środku jest mała dziewczynka, która pragnie, żeby mamusia... powiedziała coś, zanim będzie za późno.

– Co ma powiedzieć?

– Nic wielkiego. Może: przepraszam? Albo że mnie kocha i jest ze mnie dumna? Albo: rozumiem, że nie było ci łatwo? Wie pani. To ironia losu. Zostawiła mnie, kiedy miałam dwanaście lat. Znalazła mężczyznę swego życia, a on od razu zastrzegł: żadnych dzieci. Boże, ileż się naobiecowałam, że nie będę przeszkadzać. Ale ona... – Podniesiona ręka kobiety zawirowała w powietrzu. – Zamieszkałam z ciotką i jej mężem. Wujek był... interesujący. Przyklejał bibeloty do parapetów i stolików, żeby zawsze stały na swoim miejscu. Przypuszczam, że mama zawarła z nimi jakąś umowę; płaciła im za to, żeby się mną zajmowali. Całe życie uganiała się za miłością. A ja... Teraz jestem już stara, ale kiedyś mężczyźni za mną szaleli. W ogóle mnie to nie ruszało.

Próbowała się uśmiechnąć, z marnym skutkiem. Twarz wykrzywiła się w grymasie.

– A on?

Rebeka wskazała głową sufit.

– Örjan. Przyszedł któregoś dnia, żeby odczytać wodomierz. I już został. Jak zblakany pies.

Podrapała Smarkacza pod brodą.

– Zrozumiał, że nie wierzę w wielką miłość – powiedziała. – Ale dobrze jest mieć towarzystwo. Na szczęście Örjan dostrzega różnicę między tym, co chciałby mieć, a tym, na co może liczyć. Chce, żebyśmy razem zamieszkali, chce, żebyśmy ze sobą żyli, ale ma na tyle oleju w głowie, żeby się nie łudzić. Akceptuje mnie taką, jaka jestem. Nie czeka, aż się zmienię. Jest zadowolony. Miły. Spokojny. To cholernie niedoceniane cechy u mężczyzny.

Rebeka się zaśmiała.

– Co? – zapytała Maja, odpalając nowego papierosa od poprzedniego.

– Mój chłopak, czy jak go nazwać... Zadowolony, miły i spokojny to ostatnie pozycje na liście cech jego charakteru.

Maja wzruszyła ramionami.

– To, co ważne dla mnie, nie musi być ważne dla pani.

Rebeka pomyślała o Månsie. O tym, jak nie potrafi sobie tutaj znaleźć miejsca. Ciągłe niezadowolony. Zawsze było „cholernie zimno”, a jak już się zrobiło cieplej, to grasowały „te pieprzone komary”. Zimą panowała wieczna ciemność, a latem było tak jasno, że nie mógł spać. Psy za bardzo się brudziły i za bardzo dokazywały. Dookoła było zbyt pusto i za cicho. Ludzie byli zbyt głupi, a woda w rzece – stanowczo za zimna.

Zawsze kiedy przyjeżdżał, musiała coś wymyślać. Nigdy nie mogli po prostu być.

– Powinam przestać się łudzić, że on się zmieni – odezwała się Rebeka.

– Mówią, że nadzieja jest matką głupich – zgodziła się Maja. – Chcieć czegoś to inna sprawa. To tak jak z moją mamą. Chcę, żeby wzięła mnie za rękę i powiedziała, że mnie kocha. Ale muszę przestać się karmić nadzieją, bo wiem, że ona nigdy tego nie robi. Kiedy przestanę się łudzić, myślę, że stanę się wolna.

– Jak dużo czasu jej zostało? Nawet nie wiem, co jej dolega.

– Może odejść lada chwila. Rak wątroby. Przerzuty tu i tam. Dostaje kroplówkę, ale prawie już nie sika. A kiedy przestają funkcjonować nerki... Ech, muszę się napić. A pani? Dalej nie?

Rebeka podziękowała, Maja wyjęła piwo z lodówki i wzięła potężny łyk prosto z puszki.

Zapadła cisza.

– Moja mama też nas zostawiła dla innego mężczyzny – przerwała milczenie Rebeka.

Zdziwiła się, jak ostro to zabrzmiało.

– Tylko że ja nigdzie nie chciałam z nią jechać. Czasami przysyłała mi widokówki. „Tutaj już kwitną jabłonie”. Ćwir, ćwir. „Twój młodszy braciszek to najśłodsze stworzenie na świecie”. Ani słowa o tym, że za mną tęskni, albo choćby: „Co tam u ciebie?”. To prawda. Nadzieja dokuczała mi najbardziej.

– Bo właśnie to jest trudne – powiedziała Maja, przeglądając się w ciemnym

oknie. – Pogodzić się z istniejącym stanem rzeczy. Z tym, jacy są ludzie. Jacy sami jesteśmy. Smutni. Wkurzeni. Wystraszeni. Przy odrobinie szczęścia – pogodni i radośni.

– Tak – odparła Rebeka. – Chyba powinnam już iść. Żeby pani biedny facet odważył się zejść z piętra.

Maja Larsson nie odpowiedziała. Nie przestając palić, uśmiechnęła się, zmęczona. Rebeka nie chciała opuścić ciszy, która zaległa w kuchni. Jeszcze przez moment trwała w milczeniu.

Zmarłe kobiety, matki, babcie. Wszystkie zasiadły na pustych krzesłach wokół stołu.

Na piętrze w ciemności stał Örjan i obserwował Rebeke. Widział, jak podeszła do roweru.

Jej przekłety pies zaczął grzebać w kompostowniku.

Mężczyzna słyszał nawoływania Rebeki.

– Do nogi! No, chodź tutaj!

Pies nie przestawał kopać. W końcu Rebeka położyła rower na ziemi i poszła po wilczura. Ciągnęła go za obrozę.

Z niejaką trudnością prowadziła rower, jednocześnie trzymając psa, który z utęsknieniem spoglądał w stronę kompostu.

Spadaj stąd, zwrócił się do niego w myślach mężczyzna. W przeciwnym razie też tam wylądujesz.

– DZIEWIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ... STO. Szukam!

Krister Eriksson i Marcus bawili się w chowanego. Teraz szukał Krister. Chodził po parterze domu, zaglądał do jednej szafy za drugą, wołając: „Aha!”, by po chwili zawiedzionym głosem dodać: „Nie, psia kostka, tutaj też go nie ma”.

Słyszał wyraźnie dochodzący z piętra głos małego człowieczka: „Uciekaj stąd, Vera, bo wszystko psujesz!”.

Szukając, wysłał krótki SMS do Rebeki.

„Bawimy się w chowanego. A ty co robisz?”

Uśmiechnął się do siebie, świadomy swych starań, by pokazać się Rebecce od jak najlepszej strony. Bywało, że brał się za pieczenie tylko po to, by później do niej zaesemesować: „Piekę chleb z owocami, b. zdrowy. Co robisz?”.

Znalazł Marcusa w łazience.

– Jak to możliwe, że się tu zmieściłeś? – zapytał pełen podziwu, pomagając chłopcu wydostać się z kosza na brudną bieliznę.

– Jeszcze raz! – poprosił chłopiec. – Teraz na dworze, dobrze?

Krister wyjrzał przez okno. Było już ciemno. I dość późno. Ale wszędzie leżał cudownie świeży śnieg. Księżyc lizał ciężkie drzewa srebrnym jęzorem.

– Tylko przez chwilę – zgodził się policjant. – Przecież jutro rano chcesz iść do szkoły, prawda?

Bawili się trochę w chowanego, dość prędko jednak skończyły im się kryjówki. Później próbowali rzucać psom śnieżki, ale śnieg był zbyt sypki. Musieli go najpierw topić w dłoniach, żeby dał się formować w kulki. Szybko zgrabiały im palce. Psy nie dawały wiary swemu szczęściu; tyle zabawy!

Nagle Tintin zjeżyła sierść. Schowała ogon pod siebie. Zaczęła bulgotać i warczeć. Obnażyła zęby, spuściła głowę. Krister spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Co się dzieje?

Suka zaszczekała w stronę drzew rosnących wzdłuż ścieżki rowerowej.

– Poczekaj – powiedział do Marcusa, który chciał robić anioły w śniegu.

Teraz wszystkie psy ruszyły do siatki okalającej ogród. Skakały na nią, ujadając.

– Halo! – zawołał Krister w ciemność między drzewami. – Jest tam kto?

Nikt nie odpowiedział. Psy wróciły do pana.

– Chodź – zwrócił się do chłopca i wziął go na rękę. – Pora iść do domu.

– Ale mieliśmy robić anioły! – zaprotestował Marcus.

– Jutro, mój dziki psie. Chcesz mi zrobić przysługę? Oswojone psy są głodne. Mógłbyś dać im jeść?

Kiedy weszli do środka, zamknął drzwi na klucz i opuścił żaluzje. Nie mógł przestać myśleć o tym kimś, kto zakradł się pod dom i obserwował ich z ciemności.

Dziennikarz, to pewne, wmawiał sobie.

Powinien wziąć do domu pistolet służbowy. I co z tego, że to wbrew przepisom.

Ktoś postawił ten znicz w budzie.

Ale przecież złapali mordercę. Leżał w szpitalu.

To musiał być dziennikarz, powtórzył w duchu, wlewając wodę do pudełka ze snusem. Wyrzucił je potem do śmieci z twardym postanowieniem, że teraz to już naprawdę koniec.

– Dziś w nocy wszystkie psy chcą spać w domu – oznajmił Krister Marcusowi. – A wiesz dlaczego?

– Nie.

– Ponieważ będą mogły leżeć w moim łóżku. A to dla nich największy luksus.

– Dziki pies też chce spać w twoim łóżku – powiedział chłopiec.

To nie było takie proste. Zwierzęta nie miały odwagi wskoczyć na łóżko. Krister zachęcał je, jak umiał. Widział, co myślały, przechylając głowę w bok. Rozumiał, co mówiły ich ciemne psie ślepia.

O nie, mówiły. Jak nic dostaniemy reprimendę. Łóżko to teren zabroniony.

W końcu się odważyły. Pomyślały, że przecież do tego łatwo się przyzwyczaić.

Lata tresury szlag trafił, zaklął w duchu Krister, zasypiając z Marcusem na ramieniu.

WTOREK, 25 PAŹDZIERNIKA

KRISTER ERIKSSON obudził się, zanim zadzwonił budzik. Sięgnął po leżący obok łóżka komputer. W internetowym wydaniu zarówno „Aftonbladet”, jak i „Dagens Nyheter” znalazł informację o kiruńskiej policji, która pozwala strauumatyzowanym dzieciom spać w budzie dla psa.

O tym, że Krister spał w namiocie obok, nie wspomniano ani słowem.

Wstał i skierował się prosto do kuchni. Otworzył szafkę pod zlewozmywakiem i z kosza na śmieci wygrzebał pudełko ze snusem. Otworzył je i z przygnębieniem przyglądał się zawartości.

Pieprzeni dziennikarze! I po kiego diabła wlał wodę do pudełka? Ostrożnie wysypał mokry snus na kawałek ręcznika papierowego i włożył do kuchenki mikrofalowej. Po trzydziestu sekundach na pełnej mocy snus znów nadawał się do użycia, aczkolwiek nie był najlepszej jakości.

– Tylko się nie wygadaj – poprosił Verę, która stała obok, przekonana, że najwyższa pora na śniadanie. – Bo wtedy nigdy nie da mi się pocałować.

W porze lunchu na policję w Kirunie zadzwoniła technik kryminalna z SKL. Przekazała informację, że na widłach znaleziono ślady krwi i że krew należała do Sol Britt Uusitalo.

– Świetnie – powiedział von Post, ożywiony. – A co z Jockem Häggrothem?

Kobieta wyjaśniła, że nie znaleźli ani odcisków palców, ani włosów. Pozostało DNA, ale to zajmie trochę czasu. Badanie krwi to znacznie prostszy test. Poza tym ślady dobrze zachowały się na mrozie.

Zapewniła prokuratora, że przyznali sprawie priorytet, i zakończyła rozmowę.

Teraz, pomyślał von Post. Wypił duszkiem zimną kawę, zszedł do samochodu i ruszył prosto do szpitala. Jeśli ktoś mi stanie na drodze, to zabiję!

Pierwszą osobą, która stanęła na drodze prokuratora, była lekarka stażystka. Stan pacjenta nadal był krytyczny. Zbliżając się do niej dokładnie wyważonym krokiem, Carl von Post postanowił, że będzie mówił ściszym głosem. Salowe śmigły po korytarzu w crocsach i birkenstockach. Wszystkie są niesamowicie młode, zanotował.

Przed salą, w której leżał Häggroth, siedział umundurowany policjant i z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie.

Najpierw von Post przedstawił lekarce sytuację. Wyjaśnił, że dysponuje dowodami rzeczowymi, które mogą sprawić, że podejrzany przyzna się do winy. Następnie uderzył w czułą strunę.

– Mamy siedmioletniego chłopca, który stracił ostatnią bliską mu osobę – zaczął opowieść.

Nie ukrywał, że mały Marcus prawdopodobnie był naocznym świadkiem brutalnego morderstwa, ale je wyparł ze świadomości.

– Nie chcę go zmuszać – kontynuował von Post drżącym głosem – żeby przypominał sobie coś, czego nie chce pamiętać. Z całym szacunkiem, ale... jeżeli mam coś ryzykować, to będzie to zdrowie mordercy.

Lekarka słuchała w milczeniu.

– Uważam też osobiście, że ukrywanie prawdy to dla Häggrotha spore obciążenie. Był związany z ofiarą, rozumie pani. Kiedy przyzna się do winy, z pewnością poczuje się lepiej. Nie jestem psychologiem, ale wiem to z doświadczenia.

W końcu zastosował groźbę, choć zrobił to w białych rękawiczkach.

– Zdaje sobie pani sprawę, że to łakomy kąsek dla mediów? Widziała pani okładki tabloidów?

Kobieta kiwnęła głową.

– Próbowali się tu dostać – powiedziała. – Jeden nawet ofiarował mi pieniądze.

– Wkrótce się dowiedzą, że mamy tutaj mordercę i... jeśli wyjdzie na jaw, że nie zezwolono nam na przesłuchanie...

To wydziobią ci wątrobę i zjedzą ze smakiem, moja droga, pomyślał. A ja sobie dorobię jako kelner.

Rozłożył ręce, jakby sygnalizując, że wtedy nie będzie mógł jej wziąć w obronę.

– Niech mi pani da piętnaście minut – poprosił. – Może pani siedzieć obok i w każdej chwili mi przerwać. Ba, byłbym wdzięczny za towarzystwo, tak będzie bezpieczniej.

– Okej. Zgadzam się na kwadrans.

Jocke Häggroth leżał na drugim piętrze, w jednoosobowej sali, mogli zatem rozmawiać swobodnie.

Von Post przysunął krzesło do łóżka i usiadł. Za oknem nad oślepiająco białą Kiruną świeciło słońce. Prokurator zerknął na lekarkę stojącą trochę dalej i nie spuszczającą oczu z monitorów, na których zmieniające się cyfry i linie pokazywały tętno, pracę serca i ciśnienie krwi.

Häggroth, biały jak śmierć, sprawiał wrażenie kompletnie wycieńczonego. Przetłuszczone, rzadkie włosy przylepione do czaszki, cudowna koszula szpitalna w rozmiarze *one-size-fits-all*. Frotowy koc przykrywający nogi, opaska identyfikacyjna wisząca luźno wokół przegubu dłoni, wenflon w ramieniu i spływająca weń kroplówka.

Von Post włączył magnetofon i położył go na kolanach.

– Nie zrobiłem tego – powiedział beznamiętnie Häggroth. – I...

– Dobrze, dobrze – przerwał mu von Post. – Tylko że widły, które znaleźliśmy pod pańską stodołą, są przesiąknięte krwią Sol Britt Uusitalo.

Najchętniej zapytałbym go o inne rzeczy, pomyślał von Post. Jak ty, kurde, rozumowałeś, człowieku? Dlaczego nie wyrzuciłeś tych wideł do rzeki? Czy można być jeszcze większym pojebem?

Brakowało mu odwagi, by spojrzeć na monitory; miał nadzieję, że linie i wykresy trzymają się w granicach normy. Odczekał chwilę, a potem pochylił się do przodu i szepnął pacjentowi do ucha:

– Znajdziemy pana ślady. To tylko kwestia czasu. Odciski palców, jeden włos, kropla potu, nitka z pańskich spodni. Teraz wystarczą... – Potarł kciukiem o palec wskazujący. – ...tylko atomy. Rozumie pan, co mówię? Nie lepiej przyznać się od razu? Myślę, że to panu dobrze zrobi.

– Pan kłamie – szepnął Häggroth. – Nawet nie wiedziałem o tych widłach. Musiały należeć do dziadka...

Przygryzł wargę. Odwrócił głowę. Dopiero kiedy zaczął dygotać na całym ciele, von Post zrozumiał, że mężczyzna płacze.

– Dobrze, już dobrze – pocieszał go niezdarnie.

Tylko żeby teraz czegoś nie wymyślił, bo zaraz przyczepi się lekarka, poprosił w duchu.

– Dzieciaki – zakwilił Häggroth.

– Tak – powiedział von Post. – Rozumiem.

Płacz przybrał na sile, więc ta cholerna stażystka w kącie zaczęła się ruszać i pochrząkiwać.

– Pan Häggroth musi odpocząć – odezwała się w końcu.

Von Post zaklął bezgłośnie i wyłączył magnetofon.

– To ja – powiedział nieoczekiwanie pacjent.

Prokurator natychmiast włączył funkcję nagrywania.

– Przepraszam, co pan powiedział? – spytał.

– To ja. To ja ją zabiłem.

A potem znów zakwilił. Lekarka w mgnieniu oka znalazła się przy łóżku.

– Wystarczy – powiedziała. – Może pan podjąć przesłuchanie po jakimś czasie.

Von Post jak na skrzydłach opuścił salę i szpital. Szybował dalej, w górę, ku ośnieżonym wierzchołkom drzew, ku niebu w kolorze zimnego błękitu.

Teraz konferencja prasowa, radował się w duszy. Mamy go! I to ja sprowokowałem go do zeznań.

Carl von Post wszedł do samochodu i skręciwszy w Hjalmar Lundbohmsvägen, pojechał prosto na komendę policji. Kiruna przykryta pierwszym śniegiem wydawała mu się całkiem ładna.

Góra kopalniana z zaszranego żwiru zmieniała się w pobielone wzniesienie

z tarasami. Drewniane rzędy żółtych domków przypominały obrazki z książek Astrid Lindgren. Zanim wysiadł z samochodu, pośpiesznie przejrzał się w lusterku wstecznym. W głowie zdążył ułożyć kilka efektownych bon motów. To będzie olśniewająca konferencja prasowa.

A Martinsson niech sobie wraca do pracy. Proszę bardzo, kochaniutka. Możesz teraz oskarżać pijanych kierowców i innych nieszczęśników, którzy przekraczają dozwoloną prędkość. Nie mam nic przeciwko temu.

Przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie. Wtedy była kobietą ze świetlaną przyszłością. Prosto ze Sztokholmu, ze znamienitej firmy adwokackiej, w płaszczu, który kosztował tyle, ile wynosiły jego miesięczne pobory. Teraz wszystko wskazywało na to, że Martinsson dokona żywota na wsi, w samotności, zjedzona przez własne psy.

Kiedy wkroczył na komendę, zobaczył w korytarzu Annę Marię, Svena Erika, Tommy'ego i Freda.

Coś było nie tak. Od razu to dostrzegł w ich spojrzeniach. Poważnych i niespokojnych.

– Gdzie masz komórkę? – spytała Anna Maria.

– Co? Wyłączyłem ją i... zapomniałem włączyć. Byłem w szpitalu i...

– Wiemy. Właśnie stamtąd dzwonili. Häggroth wyskoczył przez okno.

Strach ścisnął prokuratorowi żołądek.

Przeżył, pomyślał. To tylko drugie piętro.

Chociaż po minach kolegów widział, że to nieprawda.

– I jak? – zapytał.

Wszyscy spuścili oczy, by po chwili znów na niego spojrzeć.

– Głowę w dół – powiedziała Anna Maria. – Wylądował na asfaltowym podejździe przed pogotowiem ratunkowym.

KRUSZKA I ELINA leżą na rozkładanej ławie w kuchni. Jest środek nocy, choć słońce nie zachodzi i za oknem panuje jasność jak za dnia.

Rozmawiają ze sobą szeptem. W pokoju obok współlokatorzy chrapią i puszczają bąki. Elina wylała już morze łez.

– Musisz wiedzieć o kimś... – mówi do przyjaciółki – kto mógłby zrobić zabieg.

Na te słowa smutek przepełnia serce Kruszki. Jej Bóg nie przejmuje się przedmażeńskim obcowaniem z narzeczonym, jest tego dość pewna. Uważa, że Bóg z grubsza podziela jej poglądy: człowiek ma być odpowiedzialny i sprawiedliwy, nie powinien przepijać wypłaty, musi umieć okazać miłosierdzie. I jeszcze coś: nie wolno mu gasić życia.

– Damy sobie radę – przekonuje szeptem Elinę. – Możemy wyjechać z Kiruny, ty, ja i Johan Albin. Jeśli chcesz, zaadoptujemy dziecko. Wówczas dalej będziesz mogła pracować jako nauczycielka. Możemy zamieszkać razem, we czwórkę. Albo pozostaniesz jego mamą. Będziemy ci pomagać. Są przecież też inne zajęcia oprócz uczenia dzieci.

Obejmuje przyjaciółkę i zapewnia, że będzie dobrze, będzie dobrze, będzie dobrze.

Elina nie poddaje się zabiegowi. Nie pozbywa się płodu, który rośnie w jej wnętrzu. Nie potrafi się na to zdobyć. Przez cały lipiec ukrywa swój stan. W wakacje i tak nie dostaje uposażenia.

W sierpniu, zgodnie z oczekiwaniami, dostaje informację, że jednostka municypalna zatrudniła nową nauczycielkę, która przejmie jej obowiązki.

Często towarzyszy Kruszcze, która przez całe lato i jesień pracuje jak opętana. Nie tak dużo w mieszkaniu dysponenta, wszak Lundbohm nieustannie jest w rozjazdach. Ale Kruszka cieszy się wziętością. Potrafi wybielać prześcieradła i rąbać drewno. To właśnie ona usilnie namawia Elinę, żeby z nią chodziła do pracy. Może przecież pomóc w lżejszej robocie, ale przede wszystkim może czytać!

Podczas gdy Kruszka obrębia ręczniki albo wiesza firanki w domach inżynierostwa, Elina czyta na głos *Olivera Twista* Dickensa i *Emmę* Jane Austen.

Kruszka i młodsze służące są zgodne: wysłuchiwane historie wciągają tak potwornie, że człowiek zapomina o jedzeniu i może pracować na okrągło. A jak Elina czyta! Toż to prawie teatr!

Książki! Książki łagodzą jej cierpienie. Czytając, Elina nie musi myśleć o Hjalmarze i przyszłości.

Dziecko w jej falującym brzuchu wierci się i kopie. Zapiera się nóżkami i naciska główką na jej klatkę piersiową tak mocno, że Elina chwyta się za żebra.

Żony inżynierów i nauczycielki nie kłaniają się pannie Pettersson na ulicy. Ale w Kirunie mieszkają ludzie pracy, prawie wszyscy młodzi, dzieciaki rodzą się tu nieustannie. Wszędzie widać ogromne brzuchy; nie wszystkie matki są mężatkami. Nie brakuje osób, do których można przyjść na pogawędkę. Ani na zebraniach politycznych i wykładach, ani nawet w lokalu Armii Zbawienia, gdzie Elina z Kruszką słuchają muzyki smyczkowej, nikt nie patrzy na nauczycielkę krzywym okiem.

Damy radę, mówi Elina do siebie i do dziecka w swoim łonie.

A Kruszka utrzymuje niezachwianie pogodny nastrój.

– Przecież wiesz, że potrafię pracować za trzech – przekonuje przyjaciółkę.

Często się śmieje. Nawet wtedy, gdy Elinę ogarnia przygnębienie, a Johan Albin wraca do domu z krwią w uszach. Śmiechem wypędza z kuchni cień nadsztygara.

W tej samej kuchni trzeciego listopada Elina wydaje na świat chłopca. Akuszerka daje mu klapsa w pupę. „Okazały – mówi. – Piękny jak jego matka”.

Postanowili go nazwać Frans. Elina chce, żeby w księdze parafialnej został uwieczniony jako Frans Olof. Hjalmar Lundbohm ma na drugie imię właśnie Olof, a anioły wiedzą, jak czytać cały zapis. Skupiają się na tym, co istotne. Nie przywiązują wagi do znieprawionego słowa „nieślubny”.

DOCHODZIŁA SZÓSTA. Wkrótce miała się rozpocząć konferencja prasowa. Dziennikarze nie mogli się doczekać, żądni krwi.

Von Post przechadzał się po korytarzu tam i z powrotem, mrużąc pod nosem: „To nie jest nasza wina”.

Co za „nasza”, irytowała się Anna Maria. To nie my wymyśliliśmy przesłuchanie w szpitalu.

Zadzwoiła do Rebeki Martinsson.

– To jedna wielka katastrofa – powiedziała. – Potrzebna, kurde, jak dziura w moście. Najmłodsze dziecko Häggrotha ma tyle lat co Gustav.

– No – odparła Rebeka.

A po chwili opowiedziała o koszuli.

– Pohjanen wysłał ją do SKL. Przyznaj, że to dziwne. Kobieta zadźgana widłami, jej syn śmiertelnie potrącony przez nieznanego kierowcę, jej ojciec prawdopodobnie zastrzelony, Marcus...

Umilkła.

– Przecież to wszystko wiesz.

– Pewnie jakiś pijany myśliwy spanikował – odpowiedziała Anna Maria. – Nie pierwszy i nie ostatni raz. Jeżeli to w ogóle jest ślad po kuli. A później niedźwiedź odgrzebał zwłoki.

– Mhm...

– Rebeka, Häggroth przyznał się do winy. To strasznie smutne, że wyskoczył przez okno, ale to on jest sprawcą. I naprawdę nie miał powodu, żeby zabić jej ojca czy uśmiercić na drodze jej syna. Przypadki chodzą po ludziach.

– Wiem.

– Muszę lecieć. Za chwilę zaczynamy. Chociaż wolałabym się schować w mysią dziurę i przeczekać, aż to wszystko się skończy.

– A gdzie jesteś?

– W ubikacji. Ale muszę już wyjść. Cześć!

Rebeka się rozłączyła. Dopijając zimną kawę, przeczytała SMS-a od Kristera.

„Bawimy się w chowanego. A ty co robisz?”

Właśnie, pomyślała. Chowanie się. Zabawa w chowanego.

Odłożyła telefon.

Wyobraziła sobie Kristera i Marcusa. Krister szuka. Marcus się chowa. Anna Maria ukrywa się w toalecie.

Ależ tak! W domu Sol Britt Uusitalo wszystkie szafy były otwarte. To jasne, ktoś szukał Marcusa. Wiedział, że chłopiec mógł się schować.– Nie mogę tego poskładać do kupy – zwróciła się do Smarkacza, który siedząc obok, błagalnie spoglądał na jej kanapki.

– Ale pewnie mają rację. Bo dlaczego Jocke Häggroth miałby wybić całą rodzinę?

Podrapała Smarkacza pod brodą.

– Czegoś ode mnie chcesz? Nie zjadłeś przypadkiem obiadu jakieś dziesięć minut temu?

Nie, odparł Smarkacz. Zdążyłem zapomnieć. Głód ssie mnie w środku jak ssak.

MÅNS WENNGREN siedział w gabinecie w kancelarii adwokackiej Meijer & Ditzinger.

Był jedynym współwłaścicielem firmy, który jeszcze nie poszedł do domu. W pokojach aplikantek wciąż jarzyły się lampy pracowitości. Kobiety opuszczały biurka tylko po to, by przynieść więcej kawy lub wody. Stąpały bezgłośnie po wyściełających korytarz dywanach.

Jedna z nich stanęła w progu i o coś zapytała. Adwokat odnotował, że zanim się tu pojawiła, zadała sobie trud, by pociągnąć wargi błyszczkiem. Zastanawiał się niemrawo, czy nie zaproponować jej wspólnej kolacji i nie olać Rebeki.

Choć teraz mogło go spotkać coś gorszego niż zwykła odmowa. Narzął się na śmieszność. Na to, że dziewczyna pójdzie do koleżanki i powie: „Sorry, ale co on sobie, kurde, wyobrażał?”.

Obejrzał w sieci konferencję prasową w Kirunie.

Co za idioci! Jak mogli mu pozwolić na samobója? Koleś przyznaje się do winy, a oni zostawiają go samego.

Z najniższej szuflady biurka wyciągnął macallana i pociągnął łyk prosto z butelki. Potem wygrzebał pudełko miętowych pastylek i wrzucił kilka do ust.

Podczas konferencji na wszystkie pytania odpowiadał Carl von Post.

Måns wskazał go palcem.

– Ty nadęty dupku! To miejsce mojej dziewczyny.

– Mamy przyznanie się do winy i tragiczną śmierć – powiedział von Post. – Formalnie zatem śledztwo zostało zakończone.

Podnoszone wysoko aparaty w pogoni za najlepszym kadrem. Podnoszone w górę ręce i dziennikarze zadający pytania bez czekania na swoją kolej.

– Jak to się mogło stać? Zostawili go państwo bez dozoru?

– Zapewniliśmy dozór, rzecz jasna.

Prokurator zrobił długą pauzę. Zacisnął zęby tak mocno, że widać było napięte mięśnie szczęki.

– Naturalnie. Tylko że nasz człowiek był w szpitalu...

Odczekał moment, by informacja utrwaliła się w świadomości obecnych, i wpatrując się w największą kamerę, mówił dalej.

– Morderca odebrał sobie życie. To głęboko tragiczne. Wszyscy będziemy musieli z tym jakoś żyć. Nasze myśli są teraz przy rodzinie zmarłego. Ale, co ważne, proszę państwa, o ile mi wiadomo, lekarka sprawująca opiekę nad pacjentem nie zaobserwowała u niego zachowań suicydalnych.

Ładne, przyznał Måns. „Morderca odebrał sobie życie”.

– Jak wyglądał ów nadzór?

– Wyglądał w ten sposób, że uniemożliwiliśmy pacjentowi samowolne opuszczenie szpitala, ponieważ był aresztowany. Lekarka nie uznała pacjenta za osobę skłoną do samobójstwa. Nie mieliśmy powodu, by podważać jej opinię.

Zdolny z niego chłopak, skomentował w duchu Måns. Zwała winę na lekarza, jakby nie robił w życiu nic innego.

To było nieomal widoczne, jak dziennikarze wyciągali szyje, wietrząc zdobycz w innym miejscu.

Biedactwo, pomyślał adwokat. Miejmy nadzieję, że to jakaś ordynatorka o twardej skórze.

Prokurator paplał w najlepsze. Måns wypił jeszcze jeden łyk whisky.

Von Post poinformował o nieformalnym związku mordercy z ofiarą. O tym, że w posiadłości Häggrotha znaleziono narzędzie zbrodni ze śladami krwi zamordowanej.

Czy człowiek, który targnął się na swoje życie, stracił wszelką ochronę prawną? – zastanawiał się Måns. Ten bubek nazywa go mordercą, a przecież ani nie udowodniono mu winy, ani nie został skazany. Gdzie się podziała zasada domniemania niewinności? Myślałem, że Szwecja to państwo prawa. Widocznie się myliłem.

Stracił zainteresowanie konferencją prasową. Nie miał ochoty wysłuchiwać tych bzdur. Zajął się swoim iPhone’em.

Sprawdził SMS-y, choć na wyświetlaczu nie było informacji o żadnych nowych. Sprawdził ostatnie połączenia, choć nic nie wskazywało na to, że

miał jakieś nieodebrane. Sprawdził maile; Rebeka nie napisała.

Ni stąd, ni zowąd zadzwonił do byłej żony.

Zanim doszedł do wniosku, że to raczej nie najlepszy pomysł i że może powinien się rozłączyć, Madelene odebrała.

Nie była tak wrogo usposobiona, jak się obawiał.

Lata robią swoje, pomyślał. Widocznie zabrakło jej sił, żeby mnie nienawidzić w nieskończoność.

– Co u ciebie? – zapytał.

– Måns – odpowiedziała z ciepłem, na które nie zasługiwał. – To ty do mnie dzwonisz. No więc o co ci chodzi?

Jedna z aplikantek minęła jego gabinet. Miała na sobie długi płaszcz, a w ręce ciężką aktówkę. Pomachała dłonią i wypowiedziała bezgłośnie: „do widzenia!”.

Zakrzywiając palec, poprosił ją o zamknięcie drzwi.

– Co się z nami stało? – zapytał. – Dlaczego właściwie się rozwiedliśmy?

Po drugiej stronie Madelene wzięła głęboki oddech.

– Dajmy temu spokój, dobrze? – zaproponowała miękko. – Co słyhać u ciebie?

– Nie piłem, jestem tylko...

– Coś nie tak z Rebeką? Słyszałam, że tam na północy złapali mordercę i że popełnił samobójstwo. Ale to chyba nie było jej dochodzenie?

– Nie. Zajmował się tym jej kolega idiota. Że też ona ma odwagę z takimi pracować...

Przyglądał się butelce whisky. Nie chciał z niej pociągać podczas rozmowy, Madelene od razu by to usłyszała. Wytrenowane ucho.

– Myślę poważnie o Rebecce – powiedział. – Chciałbym się z nią ożenić. Nie żywiłem takich uczuć do żadnej innej kobiety oprócz ciebie. Ale to wszystko, kurde, jest takie skomplikowane. Dlaczego tak musi być?

Usłyszał jej westchnienie.

– Wiesz – mówił dalej – to nie jest tak, że nie mogę sobie znaleźć miejsca. Chciałbym, żeby wróciła do Sztokholmu. Chciałbym, żebyśmy się razem starzeli, a ona...

– Co ona? – spytała cierpliwie Madelene, notując nie bez satysfakcji, że nie skomentowała ostatniego zdania. Nie mogli się razem starzeć, ponieważ Rebeka była znacznie młodsza.

– Ona... może pójść w diabły! – powiedział, nagle rozzłoszczony.

– No, czyli mniej więcej tam, gdzie sam zwykłeś znikać.

– Przepraszam.

W jego głosie nie było cienia ironii.

– Co?

– Przepraszam, Madde. Za wszystko, co musiałaś wytrzymywać. I... cały czas byłaś wspaniałą matką. Gdyby nie ty, dzisiaj nie miałbym z dziećmi żadnego kontaktu.

– W porządku, Måns.

– Udały nam się dzieci, prawda? Wygląda na to, że mają dobre życie.

– Owszem, udały się.

– No to cześć! – zakończył nieoczekiwanie i rozłączył się, zanim Madelene zdążyła odpowiedzieć.

Madelene Ekströmer, dawniej Wenngren, odłożyła telefon.

Jej były mąż zakończył jak zwykle. Niespodziewanie i szybko. Sposób, w jaki Måns odkładał słuchawkę... Latami uczyła się, jak sobie radzić choćby z takimi drobiazgami.

Wróciła do męża, który siedział na sofie Howard z aperitifem w ręku i foksterierem u stóp.

– Måns? – spytał, nie odrywając oczu od telewizora.

– Wiesz co? – powiedziała i cmoknęła go w głowę, jakby zaznaczając, że to właśnie tutaj jest jej dom. – Przeprosił mnie. Naprawdę powiedział: przepraszam. A może ja śnię? Chyba muszę się czegoś napić.

– A to ci dopiero! – wykrzyknął mężczyzna. – Dowiedział się, kurde, że ma raka, czy co?

Anna Maria Mella cierpiała przez całą konferencję prasową u boku von Posta. Czowała się lepka. Bolała ją głowa.

A więc dla dobra tego dochodzenia sprzedała swoją lojalność.

Powinna go była odesłać w diabły. „Wynoś się do diabła, prokuratorski

fircyku!”, tak mu powinna była powiedzieć, kiedy wykołował Rebekeę.

Alf Björnfot stał na końcu sali z zaciętą miną. Anna Maria próbowała myśleć: w gruncie rzeczy to jego wina. Przecież to on podjął taką decyzję.

Choć oczywiście nic nie zmieniało faktu, że powinna była postąpić inaczej.

„Morderca odebrał sobie życie”. W trakcie konferencji prasowej von Post powtórzył owo zdanie trzykrotnie. Jutro z pewnością ukaże się na okładce co najmniej jednego tabloidu.

No i ta biedna lekarka stażystka. Momentalnie się na nią rzucili. Komisarz Mella widziała reakcje dziennikarzy, gdy tylko usłyszeli insynuacje o odpowiedzialności szpitala. Komórki zaraz poszły w ruch.

Anna Maria poczuła dotyk beznadziei. Była policjantką i ściagała przestępców. Złapawszy jednego z nich, powinna czuć radość. Choćby dlatego, że zakończona sprawa to coś w rodzaju rekompensaty za wszystkie inne sprawy, niewyjaśnione i nie dokończone. Rekompensaty za wszystkich, którym udało się uniknąć odpowiedzialności, za brak czasu, za brak środków, za wszystkie kobiety maltretowane przez mężów i za wszystkie akta, które poleżawszy na biurku, po umorzeniu sprawy lądowały w archiwum.

Ale nikt nie powinien podżegać przestępców do wyskakiwania przez okno. Czuła się coraz bardziej podle.

Von Post perorował w najlepsze. Jego zdaniem dochodzenie było prowadzone efektywnie i profesjonalnie. No proszę, pomyślała Anna Maria. Przynajmniej jakaś nowa wiadomość.

Na samym końcu sali, za plecami dziennikarzy i fotografów, otwały się drzwi i do środka weszła Sonja z centrali telefonicznej. Okulary w niebieskich oprawkach wisiały na szyi na czerwonym sznureczku. Włosy spięte dużą klamrą, elegancko odprasowana bluzka.

Kobieta dość długo szeptała Björnfotowi do ucha. Prokurator coraz bardziej ściągał brwi. Potem coś jej odpowiedział. Wzruszyła ramionami i znów zaczęła szeptać. W końcu oboje wbili wzrok w Annę Marię.

Alf Björnfot się wyprostował. Ruchem głowy dał policjantce do zrozumienia, że powinna do nich podejść.

Komisarz Mella potrząsnęła nieznacznie głową. Teraz nie może.

Prokurator skinął powoli, a jego spojrzenie oznaczało: jak-mówię-teraz-to-teraz!

– Przepraszam – wymamrotała i opuściła miejsce za stołem.

Von Post zerknął na nią kątem oka.

Spadaj na drzewo, prokuratorski fircyku! – pomyślała, wymykając się z sali konferencyjnej w towarzystwie Alfa i Sonii.

– Co się stało? – spytała.

– Noo – odparła Sonja śpiewną odmianą szwedzkiego, jaką mówiono w Finlandii. – Nie chciałam przeszkadzać. Ale pomyślałam, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Otworzyła drzwi do pokoju przesłuchań i odeszła.

Na skraju stołu siedział trzydziestoparoletni mężczyzna.

Miał na sobie rozpiętą obszerną kurtkę puchową, bluzę z kapturem, staromodne spodnie wojskowe i ciężkie buty. Na głowie – wełnianą czapkę zrobioną na drutach. Jego zarost był na tyle długi, że po kilku dniach mógł zyskać miano brody. Wygląd nieznajomego nie komponował się zbyt dobrze ze skromnie umeblowanym wnętrzem. Oprócz stołu znajdowało się tu jedynie kilka krzeseł z niebieską tapicerką. Oczy mężczyzny były czerwone jak u białego królika. Twarz lekko nabrzmiała.

No ładnie, pomyślała Anna Maria. Jakiś wariat, który chce przyznać się do winy?

Spojrzenie mężczyzny przywodziło jej na myśl sytuacje, w których służbowo zawiadamiała o śmierci rodzinę zmarłego.

– Jesteście państwo policjantami?

Gdy tylko otworzył usta, komisarz Mella zrozumiała, że nie jest szurnięty. Raczej przepity. Przedstawiła siebie i Alfa Björnfota.

– Właśnie przyszedłem do domu i dowiedziałem się... – mówił dalej. – Nazywam się Mange Utsi. Jocke Häggroth jest moim kolegą. To znaczy był moim kolegą. I jestem pewien, że nie zabił Sol Britt Uusitalo.

– Ach tak?

– Nic z tego nie rozumiem. Podobno przyznał się do winy, a potem... To przecież chore. Ale z pewnością nie zamordował tej kobiety. Bo był ze mną całusieńki weekend.

VON POST STAŁ na rozstawionych nogach przed Mangem Utsim.

Ramiona skrzyżowane na piersi, zaciśnięte szczęki, podejrzliwa mina. Konferencja prasowa przebiegła świetnie, zgodnie z jego życzeniem. I nagle pojawia się ten szaleniec. Prokurator nieufnie przyglądał się wymiętej postaci.

– Pan kłamie! – powiedział, a w jego głosie pojawił się ton niemal modlitewny.

– Czy mógłbym prosić o kawę? – spytał mężczyzna posądzony o łgarstwo.

Popatrzył zrezygnowany na pozostałych policjantów.

– Dlaczego miałbym kłamać? Przecież Jocke, kurwa, nie żyje.

Anna Maria Mella, Fred Olsson i Tommy Rantakyrö opierali się o ścianę. Sven Erik Stålnacke był w domu. Gdy tylko dowiedział się o samobójstwie Häggrotha, bez słowa wziął kurtkę i wyszedł. Później zadzwonił i powiedział, że jest chory.

– Ma pan świadków? – zapytał von Post.

– Myślałem, że to ja jestem kimś w rodzaju świadka – westchnął Utsi. – I jeszcze colę, dobrze? – rzucił w stronę Tommy’ego, który ruszył do automatu.

– Przecież przyznał się do winy – odparł prokurator. – Dlaczego miałyby wziąć na siebie winę za coś, czego nie zrobił?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Proszę opowiedzieć jeszcze raz to, co mi pan wcześniej mówił – zwróciła się do niego Anna Maria.

– Pojechaliśmy w sobotę rano. Do domku jego brata w Abisko. I... no, chlaliśmy dość ostro. Wiecie, jak to jest. Czasami człowiek musi wyczyścić mózg.

Koledzy spojrzeli po sobie. Pozostawało dla nich zagadką, co w tym mózgu było do wyczyszczenia.

– Jocke pojechał do domu późno w niedzielę. Ja wróciłem przed chwilą. Usłyszałem, co się stało. Proszę mi wierzyć, w sobotę wyczołgivaliśmy się z sauny. Nie byłby w stanie prowadzić samochodu, nawet gdyby chciał. Wpadł do nas na chwilę sąsiad. On też może poświadczyć, że to prawda.

– Muszę pana o coś zapytać – odezwała się Anna Maria. – Jego żona... Jak im się układało?

Mange Utsi nagle zamrugał, jakby miał pod powiekami papier ścierny. Pokręcił głową i spojrzął na policjantkę błagalnym wzrokiem. Litości!

– Chciałem tylko powiedzieć, że to nie on.

– Prędzej czy później wszystko się wyda – odparła Anna Maria. – Śmiało. Lepiej się pan poczuje.

Tommy wrócił z kawą i colą. Mange Utsi opróżnił puszkę i kubek kilkoma dużymi haustami. Czknął, przeprosił i po chwili milczenia powiedział:

– Biła go.

Policjanci znów spojrzeli po sobie.

– Jak często? Jak dotkliwie? – dociekała komisarz Mella.

– Nie wiem. Nie rozmawialiśmy o tym. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Czasami, jak przychodził ze śliwką pod okiem, to żartował, że Jenny trochę przesadziła z patelnią.

Mężczyzna wbił wzrok w podłogę. Wykrzywił twarz w grymasie.

– Takie rzeczy jakby... nie istnieją. Można sobie robić jaja. Ale wystarczyło, że się rozebrał. Zawsze miał stare, poźółkłe siniaki.

– Zna ją pan?

– Pi razy oko.

– Wiedział pan, że Jocke miał romans z Sol Britt Uusitalo?

– Tak. Czasami służyłem mu za alibi. Chociaż...

– Tak?

– Powiedział, że nigdy nie zostawiłby Jenny, nawet gdyby chciał. Ze względu na dzieci i...

– I?

– Bo ona by go zabiła. Tak powiedział.

A może zabiłaby Sol Britt? – pomyślała Anna Maria i zauważyła, że pozostali też dopuścili podobną myśl.

– Jak, według pana, zareagowałyby, gdyby się dowiedziała, że mąż ma kogoś na boku?

– Nie ucieszyłyby się – odpowiedział Mange Utsi. – Z pewnością nie.

– Przeprowadźcie ją tutaj! – rozkazał von Post. – A jeśli ktoś piśnie dziennikarzom choć słówko, to...

Przebiegł spojrzeniem po obecnych, zacisnął pięść i rozgniół w niej coś

niewidzialnego.

POLICJANCI, KTÓRZY POJECHALI po Jenny Häggroth, mieli wrażenie, że zanurzają ręce w worku ze żmijami.

Otworzyła im kobieta z oczami zaczerwienionymi od płaczu. Przedstawiła się jako siostra wdowy i odwróciwszy się na moment, zawołała Jenny.

Czy to jest praca? – pomyślała Anna Maria, starając się nie patrzeć na przemoczone dziecięce buty i kurtki, które wisały w przedpokoju. Odbieramy dzieciom rodziców. Przyjeżdżamy po całe rodziny emigrantów, którym nie przyznano prawa pobytu, tylko kazano opuścić kraj. Kurwa mać! Nienawidzę tej roboty.

Koledzy Fred i Tommy stali za nią w bezpiecznej odległości. Przez całą drogę do Kurravaary żaden z nich nie odezwał się ani słowem.

Tommy kilka razy przestąpił z nogi na nogę, podniósł ręce do góry, a później jedną z nich położył na karku i zaczął się intensywnie drapać.

Stój spokojnie! – upomniała go w duchu rozzłoszczona Anna Maria.

Jenny pojawiła się w przedpokoju. Nieumyte włosy, spodnie od dresu i bluza z kapturem. Oczy zwężone nienawiścią.

– Przykro mi – zaczęła komisarz Mella – ale musi pani z nami pojechać.

– Żebyście mnie wyrzucili przez okno?

– Pani Jenny, musi pani zrozumieć...

– Jak śmiesz! – kobieta wrzasnęła tak głośno, że policjanci i jej siostra się wzdrygnęli. – Jak śmiesz wypowiadać moje imię? Ty kurwo policyjna! Gliny, skurwysyny jedne!

Nie spuszczać z nich wzroku, trzasnęła pięścią w lustro wiszące w przedpokoju. Szkło pękło, kilka odłamków posypało się na podłogę.

Policjanci patrzyli, oniemiaли, na jej zakrwawioną rękę.

– Jenny! – krzyknęła siostra.

– Stul pysk! – odparowała Jenny i zwracając się ku piętru, wrzasnęła: – Dzieci! Chodźcie tutaj! Już!

Na schodach pojawiło się dwóch chłopców. Starszy miał ogromny T-shirt i

nisko opuszczone džinsy, a na głowie czapkę. Młodszy też był ubrany w obszerny podkoszulek i luźne spodnie. W jednej ręce trzymał konsolę do gier, drugą próbował chwycić brata za rękę, ale ten się odsunął.

– Tutaj, proszę bardzo – powiedziała Jenny, wyciągając przed siebie zakrwawione dłonie. – Załóżcie mi kajdanki. Na oczach moich dzieci. No już! Skurwiele, to wy zabiliście im ojca!

– Czy nie może pani po prostu z nami pójść? Uspokoić się trochę?

– Uspokoić? Ja ci pokażę! – zawołała kobieta i doskoczyła do policjantki.

Ta zdążyła podnieść rękę, ale Häggroth była szybsza. Jedną ręką chwyciła Annę Marię za włosy, drugą zaś usiłowała uderzyć ją w twarz, co nie było proste, ponieważ komisarz Mella skutecznie ją osłaniała. Jenny próbowała więc wcisnąć jej głowę w rozbite lustro. Dzieci i siostra zaczęły krzyczeć.

Tommy z Fredem rzucili się na napastniczkę i wspólnymi siłami odciągnęli ją od koleżanki. Kobieta pluła i kopała, a kiedy udało jej się wyrwać jedną rękę, przejechała nią po twarzy Freda.

Ten krzyknął:

– Moje oko! – i zakrył je obiema dłońmi.

Wówczas Tommy powalił Jenny jednym uderzeniem. Usiadł na niej okrakiem i wykręcił jej ramiona.

Anna Maria asystowała przy nakładaniu kajdanków, a potem wspólnie wyciągnęli zatrzymaną z domu, przy akompaniamencie wrzasków jej siostry i synów.

Fred poprosił kolegę, by spojrział na jego oko.

– Nie wypadło – stwierdził ponuro Tommy, masując prawą dłoń.

Fred usiadł za kierownicą.

– Halo! – zaprotestowała Anna Maria. – To moje auto.

– Do jasnej cholery, Mella! – ryknął Fred. – Siadaj i nie dyskutuj. Jeszcze tylko tego brakowało, żebyś rozwaliła samochód i nas wszystkich pozabijała.

Ruszyli. Milczeli równie zawzięcie, jak wcześniej.

Jenny Häggroth nie milczała. Przez całą drogę do Kiruny nie zamykały jej się usta. W powietrzu fruwały kurwy, chuje złamane, pokraki i szurnięte buce. Groziła, że ich poda do sądu i pozabija. Poprzysięgła zemstę i ostrzegła, żeby się mieli na baczności.

Nikt jej nie powiedział, żeby się zamknęła. Anna Maria zerkała na jej twarz. Czerwoną i nabrzmiałą po prawym prostym Tommy'ego. A tę rozciętą rękę trzeba by opatrzyć.

Kiedy Jenny na komendzie policji spotkała von Posta, nie omieszkała go poinformować, co o nim sądzi. Opinia ta dotyczyła głównie jego odmiennej orientacji seksualnej. A później, zadziwiająco spokojnie, kobieta oznajmiła:

– Nie powiem ani słowa, dopóki nie dostanę adwokata. I ma to być Silbersky.

Kiedy zamknęli ją w celi, Carl von Post obiecał, że postara się spełnić jej życzenie.

- W końcu zatrzymaliśmy ją w związku z podejrzeniem o morderstwo – powiedział, oparty o ścianę korytarza. – Mając na względzie dzisiejsze wydarzenia, powinniśmy być szczególnie ostrożni. Postępować zgodnie z przepisami. A co wy jej, kurde, zrobiliście?

– Czynny opór – odparła Anna Maria, wskazując na Freda, który ciągle krwawił z rany nad okiem – to tylko początek.

– Było was troje – powiedział prokurator zmęczonym głosem. – Troje na jedną kobietę. Chyba sami rozumiecie, że wasze tłumaczenia gównu pomogą.

Spojrzał na zegarek.

– Róbcie, kurwa, na co macie ochotę. Nie możemy jej przesłuchać, dopóki nie pojawi się jej pełnomocnik. Jeśli Silbersky faktycznie podejmie się tej sprawy, to będzie musiał wziąć pierwszy poranny samolot. A my spotkamy się jutro o ósmej.

Odmaszerował.

– Nie wiem, jak wy – zwróciła się Anna Maria do kolegów – ale ja mam ochotę na piwo u Landströma.

U Landströma usiedli w głębi sali i pierwsze piwo wypili w milczeniu. Czuli na sobie spojrzenia gości. Wszyscy już o wszystkim wiedzieli. Trochę dalej w lokalu nie znany im trubadur dość znośnie śpiewał ballady Cornelisa Vreeswijka.

Po jakimś czasie alkohol wygładził kanty tego cholernego dnia. Policjanci zamówili befsztyk z dobrze skruszałej polędwicy oraz smażonego śledzia z ziemniakami piure i pieczywem chrupkim.

Anna Maria się odprężyła. Miło było znaleźć się w stanie lekkiego otępienia,

miło było przyjmować dowody sympatii składane przez kolegów. Coraz bardziej płomienne w miarę wzrostu promili we krwi.

– Jesteś, kurde, najlepszą szefową, jaką kiedykolwiek miałem – wyznał Tommy.

– Jedyną, jaką miał, ale co tam! – dodał Fred i wznosił kufel.

– Najlepszą i wymarzoną – potwierdził Tommy, patrząc na nią z psim oddaniem.

– Daj spokój, bo jeszcze zaczniesz zadzierać nosa – ostrzegł Fred.

Po chwili spoważniał.

– Przepraszam za dzisiejsze zachowanie, Mella. Byłem, kurde, pierońsko zestresowany...

– Nie ma sprawy – rzekła. – To był chyba najgorszy dzień w moim życiu. Biedne dzieciaki.

– Biedni to będziemy my – skomentował Tommy. – Gdy Silbersky zobaczy śliwkę pod jej okiem, oskarży mnie o pobicie i przewinienie służbowe. A później wyleją mnie z pracy.

– Martinsson powinna była zostać – dodał Fred. – Jej takie adwokackie sławy nie imponują. I nie da się tym bubkom zastraszyć. Von Posten-Dupen rzuci człowieka wilkom na pożarcie, byle tylko jemu uszło na sucho.

– Nikt cię nie wyrzuci z pracy – powiedziała Anna Maria. – Obiecuję.

Tommy chwiejnym krokiem pomaszerował do baru. Trubadur śpiewał *List z kolonii*.

– Trudno to pojąć – odezwał się Fred.

– No.

– Maltretowała go. A on bierze winę na siebie i strzela samobójca.

Tommy wrócił ze specjalnym drinkiem Arvo dla Anny Marii i tequilą z solą i cytryną dla siebie.

– O, mój ulubiony! – wykrzyknęła. – Jak kwaśne żelki, tylko lepszy.

Tommy zlizął sól, wypił zawartość kieliszka i zagryzł cytrynę.

– No i jak myśzycie? – zapytał z plastrem cytryny w ustach, jak małpa. – Myśzycie, sze ona jest sdolna sapić człowieka?

Anna Maria zarżała jak koń.

Fred parsknął i wykrztusił piwo przez nos.

A później już nic nie mogło ich powstrzymać. Łzy spływały im po policzkach. Ludzie wokół ucichli i z zainteresowaniem zerkali na policjantów. Przez jakiś czas można było ulec złudzeniu, że Fred płacze. Tommy trzymał się za brzuch. Na moment wszyscy troje spowaźnieli, by po chwili znów eksplodować.

Śmiali się tak długo, aż ich rozboleły szczęki.

Goście restauracji wymieniali między sobą znaczące spojrzenia. Ale policjanci nie mogli przestać się śmiać.

Anna Maria wracała do domu sama. Cieszyła się świeżym śniegiem, który rozjaśniał ciemność. Ale do pełni szczęścia potrzebowała czegoś więcej niż tylko puszystej bieli. Zateśniła za mężem i dziećmi. Pomyślała o biednych synach Jockego i Jenny Häggrothów. O ich matce, jej krzyku, zakrwawionych rękach w kajdankach.

Byłaby do tego zdolna, pomyślała. Chociaż kto ją tam wie?

ZIMA SROŻY SIĘ, rozzłoszczona. Porywisty wiatr wali śniegiem o ściany domów, targa ubraniami nieszczęśników, którzy muszą wyjść na dwór, tnie ich po twarzach, przygina do ziemi.

Nie pomoże odgarnianie śniegu; drogi już po chwili znów są zasypane. Człowiek nieustannie brnie w miękkim puchu i nie widzi, dokąd zmierza.

Ludzie palą w piecach, aż huczy. Kiedy zaczyna brakować drewna, niektórzy spalają meble. W naprędcie skleconych budowlach z niedoschniętych desek spływa woda. Strach otwierać drzwi wejściowe, bo wietrzysko chce wyrwać je z zawiasów, a śnieg wali tumanami do środka. Nawet okna są pokryte śniegiem i lodem.

Frans Olof ma dwa tygodnie. Odkąd się urodził, Elina nie była poza domem.

Wieczorem 18 listopada burza śnieżna nagle mija. Potworny huk za oknem ustaje. Wiatr słabnie i zasypia. Cisza zalega w pobielonym mieście. A nad nim wznosi się księżyc, żółty i krągły.

Elina opatula małego i kładzie do sanek. Musi zażyć odrobinę ruchu na świeżym powietrzu.

Na zewnątrz powstały już wąskie dróżki wydeptane przez ludzi, którzy

nareszcie mogą wyjść na dwór. Przywodzą na myśl ścieżki nornic w głębokim śniegu. Kilkoro dzieci bawi się z psem. Frans Olof smacznie śpi.

Elina idzie przed siebie bez zastanowienia i bez celu. Wtem uświadamia sobie, że stoi przed szkołą.

Na myśl o uczniach i profesji, do której nie może wrócić, czuje ukłucie w sercu. Zastanawia się, czy dzieci za nią tęsknią, czy nowa pani zdążyła sobie zaskarbić ich sympatię. Ciekawi ją, czy w sali lekcyjnej wszystko wygląda tak jak kiedyś, czy następczyni wprowadziła zmiany.

W Kirunie nie zamyka się drzwi na klucz. A gdyby tak zajrzeć do środka? Przecież to nikomu nie zaszkodzi.

Bierze opatulonego synka na ręce i wchodzi do szkoły. Okna są do połowy pokryte lodem, ale przez górną część wpada do środka wystarczająco dużo księżycowego blasku. Oczy szybko przyzwyczajają się do półmroku.

Nie, dużo się tu nie zmieniło. Czyżby nowej nauczycielce zabrakło wyobraźni? Elina już w pierwszym tygodniu pozmieniała tysiąc rzeczy.

Robi jej się gorąco. Kładzie Fransa Olofa za fisharmonią i rozpina płaszcz. Właśnie ma go odłożyć na katedrę, gdy słyszy, jak ktoś otwiera drzwi wejściowe.

Po chwili dociera do niej głos, który z łatwością odróżnia od innych. Głos mrozący krew w żyłach.

– Panna. Panna Pettersson!

Kiedy nadsztygar pojawia się w klasie, jego twarz tonie w ciemności.

– A więc tutaj jest! Powiła bękarta i już się włóczy, niby suka po wsi. Jakżeby inaczej.

Fasth niespiesznie zamyka drzwi i chowa klucz do kieszeni. Elina nie ma odwagi się poruszyć.

Myśli wyłącznie o synku. Żeby tylko się nie obudził.

Jeśli odkryje dziecko, to mnie zabije, a Fransa Olofa zostawi na mrozie, myśli przerażona.

I wie, że to nie jest wymysł jej fantazji.

Nadsztygar postępuje niczym zwierz. Jego silne dłonie zamykają się wokół jej nadgarstków.

Elina odwraca twarz, ale on chwyta ją za brodę i przyciska do jej ust swoje.

– Spróbuj tylko ugryźć, to cię zatłukę!

Pochrzakując, rozrywa jej bluzkę. Napiera na jej ciało, popycha ją, przygniata do katedry. Miętosi obolałe, nabrzmiące mlekiem piersi. Ona tylko kwili.

To go jeszcze bardziej rozjusza. Wolałby, żeby krzyczała, płakała, broniła się.

Uderza ją pięścią między oczy.

Eliną nie czuje bólu. Jedynie rozlewające się po policzkach ciepło i smak krwi w ustach.

Uświadamia sobie, że Fath chce ją zabić. Że naprawdę ma taki zamiar. Ten człowiek jej nienawidzi. Kipi w nim niepohamowany gniew. Wprawiała go weń swą młodością, urodą, związkiem z Hjalmarem.

Nadsztygar zdiera jej bieliznę, wyciąga przyrodzenie, wdziera się w jej krocze, ciągle jeszcze niezagojone po porodzie.

– Takie rzeczy – dyszy – takie rzeczy kurwa lubi, prawda? Prawda?!

Uderza na odlew. Wali jej głową w katedrę. Wyrzywa kępki włosów.

Krew z rozbitego nosa spływa do gardła.

Nadsztygar wbija się w Elinę raz po raz. Sapie i charczy coraz głośniej.

Ona czuje na szyi żelazne palce. Próbuje się uwolnić, lecz ma zbyt słabe ręce.

Księżyc z gwiazdami wślizgują się do środka przez dach. Wypełniają całą klasę płonącym światłem.

Chłopiec śpi jak anioł. Kiedy godzinę później budzi się z płaczem, nikogo już tam nie ma. Oprócz martwej mamy na katedrze.

ŚRODA, 26 PAŹDZIERNIKA

ZROBIŁO SIĘ CIEPLEJ. Ze śniegu została tylko wodnista maź. Niebo rozpostarło się szarością nad obrazem nędzy i rozpaczy.

Jenny Häggroth leżała w celi na pryczy i patrzyła w sufit. W czasie przesłuchań odsyłała policjantów do stu diabłów. Ale najpierw im wyjaśniła, że gdyby wiedziała o niewierności męża, zabiłaby nie Sol Britt, tylko Jockego.

Leif Silbersky jej nie przerywał. Podczas przesłuchań prawie nic nie mówił. Mowę zostawił na później.

Po południu słynny adwokat królował i brylował wśród dziennikarzy zebranych w hotelu Ferrum.

Alf Björnfot trzymał się na uboczu. Zajęty sprawami, które dobrowolnie przejął od Rebeki, słuchał teraz w milczeniu von Posta, uzalającego się na kolegów, adwokatów, podejrzanych i dziennikarzy. W mediach roiło się od nagłówków: „Potworna pomyłka policji”, „Dzieci pozbawione rodziców!”, „Niewinnie posądzony. Odebrał sobie życie!”.

Pogoda i dochodzenie, pomyślał Björnfot, wkładając kurtkę. Wszystko razem o kant dupy potłuc.

O ósmej rano Krister Eriksson wysadził Marcusa przed szkołą.

– Będę tu na ciebie czekał po lekcjach – obiecał.

Siedząc w aucie, patrzył, jak chłopiec biegnie przez dziedziniec. Trzech starszych uczniów ruszyło za nim, gdy tylko go zobaczyli. Nie zdążyli go jednak dopaść; Marcus zniknął w budynku szkoły.

Jest problem, pomyślał Krister.

Kiedy dwie dziewczynki przechodziły koło samochodu, opuścił szybę.

– Halo! Przepraszam... Nie bójcie się. Kiedy byłem mały, strasznie się poparzyłem. Znacie Marcusa Uusitalo? Chodzi do pierwszej klasy.

Dziewczynki trzymały się trochę na dystans, ale tak, wiedziały, kim jest Marcus. A co?

– Jego babcia została zamordowana – powiedziała jedna z nich.

– Wiem – odparł Krister. – Jestem policjantem. Tam z tyłu, w klatce, siedzą psy policyjne. Vera, tu obok mnie, to zwykły cywil. Słyszałyście o chłopcach, którzy uwzięli się w szkole na Marcusa?

Dziewczynki wahały się przez moment.

– Hampus, Willy i paru innych z trzeciej A. Ale niech pan nie mówi, że to my powiedziałyśmy, dobrze?

– A co robią?

– Popychają, kopią. Mówią różne rzeczy. Jak ktoś ma pieniądze, to mu odbierają. Kiedyś zmusili Marcusa, żeby jadł żwir.

– Kto jest przywódcą?

– Willy.

– Jak ma na nazwisko?

– Niemi. Wsadzi go pan do więzienia?

– Nie.

Choć zrobiłbym to z przyjemnością, pomyślał, odjeżdżając.

NIEOPODAL KATRINEHOLMU znajduje się grobowiec rodzinny. Spoczywają w nim rodzice Eliny i jej młodszy brat.

Kruszka żegna się z przyjaciółką na stacji kolejowej. To jeden z najmroźniejszych dni tej zimy. Śnieg skrzypi i trzeszczy. Wszędzie tam, gdzie ciepło wymyka się z ciała, powstaje szron; na rękach, na szaliku zakrywającym usta, na krańcach rękawów płaszcza.

Kiedy mężczyźni załadowują trumnę do wagonu towarowego, Kruszka zaczyna rozpaczliwie płakać. Lodowate powietrze mrozi płuca, boleśnie zapiera dech. Łzy zamarzają na policzkach. Johan Albin przytrzymuje narzeczoną, żeby się nie przewróciła.

Dzisiaj nie przyszło zbyt wiele osób. Kilka dni wcześniej Armia Zbawienia przygotowała spotkanie dla uczczenia pamięci nauczycielki. Wtedy dla wszystkich chętnych zabrakło miejsca w lokalu. Brutalne morderstwo wywołało w Kirunie powszechny smutek i przygnębienie. Pisano o nim w gazetach ogólnokrajowych.

Drzwi wagonu się zasuwały. Kruszka wciąż zanosi się płaczem. Zaczynają ją boleć przemarznięte stopy.

– Dobrze już, moja miła. Chodźmy do domu – mówi w końcu Johan Albin.

Zmusza ją niemal do powrotu. Tylko że w domu stoi kufer Eliny, a w nim leżą jej książki i ubrania. Te ostatnie, wyprane, wyprasowane, zreperowane i wykrochmalone, wyglądają jak nowe. Gwałtowny płacz znów wstrząsa ramionami Kruszki.

Albin gotuje dla niej kawę i podaje jej kilka sucharków, a dwunastoletnia dziewczynka przychodzi z Fransem od mamki. Dopiero wtedy Kruszka się uspokaja.

Trzyma w ramionach chłopca, który patrzy jej prosto w oczy i zaciska małą piąstkę wokół jej palca.

– Chcę się nim zaopiekować – oznajmia. – Siostra Eliny nie ma możliwości.

Johan Albin moczy sucharka w gorącej kawie.

– Ten mały nie ma nikogo na całym świecie oprócz mnie – mówi dalej

Kruszka. – Jeśli chcesz odwołać zaręczyny, trudno. Nie mogę cię ganić. Nigdy nie przyrzekałeś, że będziesz się opiekować cudzym dzieckiem. A ja dam sobie radę, przecież wiesz.

Uśmiecha się dzielnie do ukochanego.

A on odstawia blaszany kubek i podnosi się z krzesła. Kruszka wstrzymuje oddech. Czyżby zamierzał odejść?

Nie, siada obok niej na ławie, obejmuje ramieniem i ją, i niemowlę.

– Nigdy cię nie opuszczę. Choćbyś miała w domu dwa tuziny dzieciaków. Wiem, że sobie poradzisz. Ale ja nie potrafię bez ciebie żyć.

Kruszka znów musi uronić łzę albo dwie, by zaraz wybuchnąć śmiechem. Johan Albin szybkim ruchem wyciera oczy. Przecież kiedyś sam, półsierota, został wystawiony na aukcję biedaków. Odżywają wspomnienia.

Ani Kruszka, ani Johan Albin nie słyszą kroków na schodach, dlatego też oboje się wzdrygają, gdy ktoś puka do drzwi.

Do środka wchodzi Blenda Mänpää, służąca nadsztygara Fastha. Wygląda poważnie. I nie chce się napić kawy.

– Muszę z tobą porozmawiać – zwraca się do Kruszki. – O Elinie. I nadsztygarze.

ZA OKNEM SZAROŚĆ. Rebeka piła trzecią poranną kawę, spoglądając ponuro na to, co powinno być zimą. Smarkacz zaszczekał. Po chwili na schodach dało się słyszeć kroki.

Za drzwiami stał Alf Björnfot.

Rebeka poczuła, jak narasta w niej gniew.

– Możemy porozmawiać? – zapytał prokurator.

Zaprosiła go do środka wzruszeniem ramion. Usiedli przy stole w kuchni. Smarkacz wskoczył gościowi na kolana.

– Myślisz, że jesteś pieskiem pokojowym? – spytał Björnfot. – Rebeko, moja żona twierdzi, że nie umiem przeproszać. Ale pozwól mi teraz powiedzieć: przepaszam! To był błąd, że odebrałem ci dochodzenie. No wiesz, von Post chodził i głądził, wciąż niezadowolony, rok w rok. I nagle chciał wziąć tę sprawę. Dałem mu ją bez zastanowienia. Myślałem, albo

raczej – miałem nadzieję, że nie będzie ci na tym zależało.

Ku swojemu zdziwieniu Rebeka odkryła, że po dławiącej ją złości nie zostało ani śladu.

– A niech cię dunder świśnie – powiedziała tonem wskazującym na to, że mu przebaczyła. – Napijesz się kawy?

– Miejmy nadzieję, że na widłach zabezpieczymy jakieś ślady Jenny Häggroth – powiedział Björnfort, kiedy dostał kawę i ciastka z Kangos. – Chociaż to i tak nie wystarczy, żeby ją skazać.

– To prawda. Widły leżące pod stodołą były dostępne dla każdego. A jeżeli nawet są na nich jej ślady, to zupełnie zrozumiałe, w końcu mogła ich kiedyś używać. Trzeba zabezpieczyć ślady Jenny Häggroth u zamordowanej. A tak na marginesie: von Post jest przekonany, że próbuję mu spieprzyć dochodzenie.

– Tak, słyszałem. Rozmawiałem też z Pohjanenem, stąd wiem, co tam razem kombinujecie. I faktycznie, ktoś zastrzelił ojca Sol Britt. Dostaliśmy ekspertyzę z SKL-u. To był pocisk. To pocisk uszkodził kość, którą wygrzebaliście... z zamrażarki medycyny sądowej w Umeå!

– Szczęśliwy traf. Ale to widać też na koszuli. Czy Pohjanen ci o niej opowiedział?

– Owszem. A więc to nie zwierzę zabiło starca. Niedźwiedź tylko zjadł pozostawione w lesie zwłoki. I co o tym sądzić?

Rebeka pokręciła głową.

– To wszystko nie trzyma się kupy. Ktoś chce zabić całą rodzinę. Dlaczego ten ktoś tak bardzo ich wszystkich nienawidzi? Fakt, Sol Britt Uusitalo nie była lubiana, ale to nie znaczy, że ludzie czuli do niej nienawiść. Raczej pogardę. Dobrze, teraz udaję, że nie widzę, jak trzymasz psa na kolanach i karmisz go ciastkami. To co, Smarku? Pójdiesz z panem Björnfortem do domu, usiądziesz w eleganckim fotelu i będziesz się objadał ciastem?

– Jedno ciastko to prawie jak nic.

– Wiesz, dla niego dziesięć ciastek to też nic.

– Może ktoś nienawidzi potomków Hjalmara Lundbohma? – powiedział Alf, próbując pić kawę, mimo że Smarkacz zmienił pozycję i potężną łapą domagał się pieszczot. – Frans Uusitalo był synem Hjalmara Lundbohma, o tym chyba słyszałaś?

– Tak. Sivving wie takie rzeczy. No ale kto nienawidziłby Lundbohma do

tego stopnia? To brzmi nieprawdopodobnie.

– A ja wiem? Zawsze znajdzie się jakiś wariat. A Lundbohm wcale nie był taki święty, za jakiego jest uważany. Znam na przykład historię strzałowego Venetpalo, który jakieś sto lat temu odkrył złoża rudy w Tuolluvaarze. Poinformował o znalezisku Hjalmara Lundbohma, który niezwłocznie, choć tylko w swoim imieniu, złożył podanie o promesę koncesji. Trochę później przekazał prawa do eksploatacji prywatnej spółce, w której piastował stanowisko zarządcy kopalni. Venetpalo nic z tego nie miał. Nie trzeba więcej, żeby człowiek poczuł się rozgoryczony.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Mój pradziadek na początku ubiegłego wieku był naczelnikiem policji w Kirunie. Niektóre jego opowieści krążą w rodzinie, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Poza tym pamiętam, jak kilka lat temu jakiś czytelnik o nazwisku Venetpalo napisał list do NSD w sprawie kopalni Tuolluvaara. Sprawiał wrażenie pieniacza. Takim ludziom może w końcu totalnie odbić. Wiem, że wtedy tak pomyślałem.

– To prawda – potwierdziła Rebeka. – Goryczą można zaprawić kilka pokoleń. Mogę porozmawiać z tym krewnym. To nie jest nawet cień cienia nadziei, ale i tak nie mam nic lepszego do roboty.

Björnfot spojrzał na nią z rezygnacją.

– To znaczy, że nie wrócisz do pracy?

– Za sześć tygodni – odpowiedziała. – Przy założeniu, że von Post wróci do Luleå.

NA KOMISARIACIE policji meldują się dwie opatulone kobiety. Spod zaśnieżonych płaszczy i szali wyłaniają się Kruszka Andersson, gosposia dysponenta, oraz Blenda Mänpää, służąca nadsztygara Fastha.

Naczelnik Björnfot siedzi pochylony nad biurkiem. Ściboli notatki w kronice policyjnej. Spisywanie protokołów i przesłuchań świadków nie należy do jego ulubionych zajęć, ale dzisiaj panuje pogoda protokolarna. Płatki śniegu tańczą w blasku elektrycznych latarni.

Björnfot to mężczyzna o szerokich barkach i pokaźnej krzepie. „Dyplomacja oraz tężyzna fizyczna” to cechy, których od strażników prawa wymaga spółka kopalniana, opłacająca miejską policję. W praktyce chodzi o umiejętność

rozdzielania hałaburdów. Bo takich w mieście jest pod dostatkiem. Socjaliści i komuniści, agitatorzy i działacze związków zawodowych. Nawet na osobach religijnych nie można polegać. Laestadianie i kaznodzieje wolnych kościołów, zawsze na granicy ekstazy i bezrozumia. Żeby nie wspomnieć o tych wszystkich młodych mężczyznach! Budowniczości kolei, górnicy, niedowarzone gołowąsy, nie wiadomo skąd. Z dala od ojca i matki przepuszczają zarobek na gorzałkę i wiadomo, jak to się kończy.

Cela jest pusta. W taką pogodę ludzie ciągną wódkę w domu, nie wszczynają burd na mrozie.

Nigdy wcześniej naczelnik Björnfort nie pragnął tak żarliwie, żeby w celi ktoś siedział. Minęło osiem dni od morderstwa nauczycielki. Nikt nic nie widział. Nikt nic nie wie.

Woźny odkrył ją wczesnym rankiem, kiedy przyszedł do szkoły, by odśnieżyć podwórze i napalić w piecu. W nocy znów zaczął padać śnieg, zasypał wszelkie ślady.

Kobiety, które właśnie weszły na posterunek, nie zdołały otrzepać całego śniegu ze swych odzień. Za chwilę będą miały mokre ubrania. Płoną im policzki. Naczelnik ma w gabinecie solidny piec kaflowy i dobrze dziś w nim napalił.

Kruszka odzywa się pierwsza.

– Chodzi o Elinę Pettersson – mówi bez ogródek i szturcha stojącą obok Blendę. – Mów, co mi opowiedziałaś!

– Pracuję u pana Fastha. Pan nadsztygar próbuje się do nas, dziewczyn, dobierać. Zawsze pracujemy we dwie, gdy jest w pobliżu. Jak siedzi w pokoju, to nawet sama nie wchodzę, żeby napalić w piecu.

– Ach tak – mówi policjant, czując nieprzyjemne mrowienie.

– Ale od śmierci panny Pettersson jest łagodny jak baranek. Żadnej z nas nie złapał. Nawet nie klapnął w tyłek. Jakby... czuł się syty. Syty i zadowolony. Rozumie pan?

– Nie – odpowiada naczelnik Björnfort, choć wewnętrzny głos w nim krzyczy, że naturalnie, że świetnie rozumie.

– To bardzo poważne oskarżenie – dodaje po chwili. – Bardzo. Poważne.

– Jasne – syczy Kruszka zajadle. – Bardzo poważne. Mów dalej, Blenda!

– Jedna z młodszych służących miała wybrać popiół z pieca w sypialni nadsztygara. To było na drugi dzień po morderstwie. W piecu leżał kawałek

rękawa koszuli. Czy to nie dziwne? Dlaczego mężczyzna nagle pali swoje ubranie?

Naczelnik policji zakrywa usta dłonią i w milczeniu przygląda się obu kobietom, co samo w sobie jest bardzo nietypowym zachowaniem, jeśli chodzi o Björnfota.

– A poza tym – mówi dalej Blenda – kiedy pan Fasth zmienia koszulę, to tę brudną zostawia na podłodze, razem z resztą bielizny. Tego dnia wziął nową koszulę, ale do prania nie poszła żadna stara. To znaczy, że w piecu leżała wczorajsza koszula. Rozumie pan?

Björnfot kiwa głową. Rozumie nazbyt dobrze.

Kruszka Andersson patrzy na niego wzrokiem człowieka, który chce podpalić cały świat. Blenda Mänpää zaciska usta i nie ma śmiałości, by odwzajemnić spojrzenie policjanta. Przyjście na posterunek wymagało od niej nie lada odwagi. Nadsztygar Fasth to najmożniejszy człowiek w Kirunie. No, może oprócz dysponenta, ale ten prawie nigdy nie bawi w domu, cały czas w rozjazdach.

Spółka kopalniana jest właścicielem wszystkiego. To spółka zbudowała miasto i kościół. Spółka opłaca policję, pastora i nauczycielki. A nadsztygar Fasth to spółka.

W końcu naczelnik Björnfot odejmuje dłoń od ust.

– Chcę ją zobaczyć – mówi. – Tę służącą, która znalazła w piecu rękaw koszuli.

– TAK, MÓJ PRADZIADEK, Oskar Venetpalo, pracował jako strażak. To był prosty człowiek, rozumie pani, a Lundbohm go oszukał. Pradziadek odkrył pokłady rudy w Tuolluvaarze. Wie pani, z niego był taki lojalny pracownik starej daty. Poszedł więc do szefa i wszystko mu opowiedział. A Lundbohm już następnego dnia napisał podanie o promesę koncesji.

Rebeka stała na ganku Johana Venetpalo. Paliła papierosa. Mężczyzna siedział na wózku inwalidzkim i sprawiał wrażenie zadowolonego z niespodziewanej wizyty. Zupełnie się nie przejmował, że gość jest prokuratorem.

– Pradziadek sam nigdy o tym nie wspominał – mówił dalej Johan Venetpalo. – Milczał jak kamień. Wiem, że kiedyś podpisał dokument, w

którym stało jak byk, że to Lundbohm odkrył złoża w Tuolluvaarze. A później parę razy dostał od niego dość pokaźne sumy. Nigdy nie powiedział dlaczego. Jasne, że żona i dzieci się zastanawiały. Dziadek zawsze powtarzał, że jego ojciec został wystrychnięty na dudka. No ale był zatrudniony przez spółkę kopalnianą i widocznie nie miał odwagi się postawić.

– Tak, to jasne.

– A Lundbohmiowi nie brakowało sprytu. Jako że był urzędnikiem państwowym, w zasadzie powinien był ubiegać się o koncesję w imieniu państwa. Ale on te prawa wynikające z koncesji sprzedał od razu pewnemu przemysłowcowi, który z kolei odstąpił je nowo zarejestrowanej spółce kopalnianej. I wtedy państwo, żeby nie komplikować sprawy jeszcze bardziej, zawarło umowę z tą nowo powstałą spółką. Lundbohm dostał stanowisko dysponenta kopalni i pięć tysięcy rocznie. Sto lat temu to były ogromne pieniądze. Dlaczego pani o to pyta?

– Bo mnie to interesuje. Wie pan, pociąga się za jakiś sznureczek...

Johan Venetpalo obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

– Czy to może ma związek z tą... no, Solveig Uusitalo z Kurravaary? Była przecież wnuczką Lundbohma.

– Sol Britt. W pewnym sensie tak. Nie prowadzę dochodzenia w tej sprawie, ale zainteresowała mnie historia zamordowanej.

Mężczyzna zarechotał.

– To znaczy, że nie jestem podejrzany o morderstwo?

– Nie.

– Fakt, że tu na północy rodziny mogą się nienawidzić przez pokolenia. I może gdyby istniały jakieś pieniądze, to kto wie? Gdyby ta Sol Britt dostała w spadku parę milionów. Ale Lundbohm umarł goły jak święty turecki. A Frans Uusitalo, jak to się wtedy mówiło, pochodził z nieprawego łoża.

– Tak, wiem.

– Chociaż... Co to pomoże, że człowiek nienawidzi i przeklina? Od tego się nie wzbogaci.

– Napisał pan o tym list do gazety.

– Aha, pamięta go pani? Coś pani powiem: po tym wszystkim... – Wskazał na swoje nogi. – ...przez parę lat trochę za dużo piłem. Kobieta mnie zostawiła, byłem ogólnie źle nastawiony do świata, jak nie urok, to sraczka.

Ale człowiek się uczy, prawda? Może pradziadek miał rację, że zamknął dziób na kłódkę, wziął trochę pieniędzy i starał się zapomnieć. A z innej beczki: jak pani myśli, przyjdzie w końcu zima? Czy będziemy mieli taką sztokholmską chlapawicę? Straszne są te zmiany klimatyczne.

Rebeka uśmiechnęła się do mężczyzny na wózku inwalidzkim.

Czysty żywy morderca, prawda? – stwierdziła w duchu.

Podążaj za pieniędzmi, pomyślała później, zapalając silnik samochodu.

Ale przecież nie było żadnych pieniędzy.

Zadzwoniła do Sonii z centrali komendy.

– Frans Uusitalo nie zostawił w spadku żadnych wielkich oszczędności, prawda?

Sonja poprosiła ją, żeby nie odkładała słuchawki, i już po chwili mogła potwierdzić przypuszczenie Rebeki. Pieniądzy ledwie starczyło na pokrycie kosztów pogrzebu.

– Wiesz co... – zaczęła Sonja, ale Rebeka wtrąciła szybkie: „dziękuję” i zdążyła się rozłączyć.

Nie przestając bębnić palcami po kierownicy, spojrzała na zegarek. Za pięć dziesiąta, za ledwie.

– Nie wszystko zostaje spisane w inwentarzu spadkowym – zwróciła się do Smarkacza. – Chyba znów muszę się przejechać do Lainio.

Sven Erik Stålnacke nie przyszedł do pracy z powodu choroby. Wprawdzie zapewniał, że jest przeziębiony, ale wszyscy wiedzieli, że nawiedza go Jocke Häggroth ze swoją pękniętą czaszką pod pachą.

Krister Eriksson pojechał do niego do domu. Kiedy Sven Erik otworzył drzwi, dwa koty wysunęły głowy na zewnątrz i stwierdziwszy, że na dworze ciągle mokro, postanowiły wrócić na kanapę. Gospodarz był ubrany i uczesany.

To dobry znak, pomyślał Krister.

W środku było miło i przytulnie. Kwitnące rośliny doniczkowe i zdjęcia wnucząt oprawione w ramki.

Widać wyraźnie ślady działalności kobiety, zanotował. W domach samotnych mężczyzn, takich jak jego dom, w brzydkich doniczkach z ziemią suchą jak pieprz stały tylko łysawe figowce benjamina i języki teściowej.

Krister opowiedział o Marcusie. O tym, jak w szkole prześladowają go starsi koledzy.

– Chłopiec pobiegł na lekcję, a ja porozmawiałem z dyrektorem i ze szkolną psycholożką. Owszem, potwierdzili, jakiś czas temu doszło do szarpaniny, ale oczywiście „momentalnie zareagowali” i „porozmawiali ze wszystkimi zamieszanyymi w sprawę”.

– I pewnie głównie to pomogło – skomentował ponuro Sven Erik, ciągle mając w pamięci bezsilność, jaką czuł, kiedy jego córka Lena padła ofiarą szkolnego mobbingu. Zszarzała wtedy i schudła. Nieustannie bolał ją brzuch. Nie chciała chodzić do szkoły. Teraz była dorosłą kobietą, ale ten okres w jej życiu, zanim w końcu zmieniła szkołę, zapamiętał jako coś potwornego.

– Chciałbym pogadać z rodzicami chłopca, który jest przywódcą – wyjaśnił Krister. – Przynajmniej tyle mogę zrobić dla Marcusa. Mam wrażenie, że wezmą synka w obronę, niezależnie od tego, ile nachuligani. I jeszcze postraszą. Pomyślałem, że pora z tym skończyć. Chciałbym, żebyś ze mną pojechał.

– Dlaczego?

– Bo lepiej, jak nas będzie dwóch. Możesz później poświadczyć, że mu nie groziłem.

Sven Erik uśmiechnął się krzywo.

– Mhm, aż tak? To chyba faktycznie z tobą pojedę, żebyś przypadkiem kogoś nie zabił.

– To miło z twojej strony.

– Mówisz, że nazywają się Niemi? Proponuję, żebyśmy najpierw, zanim ich odwiedzimy, zasięgnęli języka.

– Wiedziałem, że będę miał z ciebie pożytek – odparł Krister z uśmiechem.

SŁUŻĄCA, KTÓRA ZNALAZŁA rękaw koszuli w piecu u nadsztygara, mieszka na wyspie z matką i trojgiem rodzeństwa.

Otwiera matka. Ma duże, wystraszone oczy. W jej spojrzeniu kryje się coś jeszcze. Sprzeciw.

Naczelnik policji musi się schylić, gdy przekracza próg. W środku nędznej chatynki ledwie może się wyprostować.

Wyjaśnia cel wizyty, a towarzyszące mu Kruszka i Blenda namawiają dziewczynę, aby opowiedziała policjantowi, co zobaczyła.

Ale ona nie mówi ani *be*, ani *me*. Dwoje młodszego rodzeństwa siedzi na podłodze i w milczeniu przygląda się obcym. Matka bez słowa sprząta po wieczery; proste drewniane talerze i łyżki. Jedli kaszę jęczmienną, dziś bez mleka. Bacznie obserwuje najstarszą córkę i gości, podczas gdy naczelnik stara się sprowokować dziewczynę do zeznań.

Jest tak oporna, że policjant przez moment się zastanawia, czy aby na pewno zna szwedzki. Czyżby mówiła tylko po fińsku? A może brak jej rozumu? Może to idiotka, która potrafi wykonywać tylko proste czynności, jak rąbanie drewna i płukanie bielizny?

– A więc to ty masz na imię Hillevi? – pyta, ale nie dostaje odpowiedzi.

– Pracujesz u nadsztygara Fastha, prawda? Ani słowa. Zaciśnięte usta.

– *Puhutko suomea?*²¹ – naczelnik pyta nieporadnie po fińsku.

Wówczas Blenda Mänpää nie wytrzymuje.

– Co się z tobą dzieje? – zwraca się szorstko do dziewczyny. – No, opowiedz o tej koszuli!

– Pomyliłam się – odzywa się w końcu Hillevi. – To nie była żadna koszula. To była stara szmata. Któraś ze służących wrzuciła ją do ognia.

Mówi szybko, jakby czytała; zerka przy tym na matkę.

– Może pójdziesz z nami na posterunek policji, żebyśmy się porządnie rozmówili? – proponuje naczelnik Björnfot.

Stara się brzmieć oficjalnie, sam jednak słyszy, jak jego głos traci siłę.

Dziewczyna wydaje przerażony okrzyk, matka zaś wbija oczy w policjanta.

– Mijają dwa miesiące, jak mój Samuel zginął w kopalni – mówi. – Ogrzewał strzałowym dynamit. Spółka gwarantuje wdowom pracę. Teraz sprzątam kawalerskie baraki. Na każdego chłopca, u którego robię porządki, dostaję czterdzieści öre tygodniowo. Jak wezmę pranie, to skapnie trochę więcej. Hillevi dostała pracę służącej u Fastha. To wystarczy, żeby związać koniec z końcem. Gdyby nie spółka, gdyby nie nadsztygar Fasth, toby dzieciaki poszły na aukcję biedaków.

Jej bluzka robocza jest tak znoszona, że niemal przezroczysta.

– Jasne, że wiem, kim była panna Pettersson – dodaje, patrząc rozpaczliwie

na gości. – Była jak słoneczko. Jak promyczek boży. Ale...!

– Rozumiem – mówi Björnfort.

Wraca przygnębiony wśród śnieżnej zamieci. Za nim suną płacząca ze złości Kruszka i milcząca Blenda.

– To nie jest sprawiedliwe – łka Kruszka. – To nie jest sprawiedliwe!

– Co panna chce, żebym zrobił? – dopytuje się poirytowany policjant. – Mam oskarżyć nadsztygara o morderstwo, bo przestał klepać służbę po tyłku? Nie mogę mu niczego udowodnić. Niczego. Nawet gdyby ta nieszczęsna dziewczyna zechciała mówić, jej zeznania i tak by nie wystarczyły.

Kruszka stara się, jak może, ale nie potrafi opanować kolejnych wybuchów płaczu. Wyje jak zranione zwierzę. Björnfort ma tego dość.

– A ja z pewnością wylecę z pracy – mówi Blenda. – I za co? Za nic!

Naczelnik policji wraca na posterunek i siedzi cały wieczór, wpatrzony w pustą celę, nie czując nawet, że w pokoju robi się coraz chłodniej.

Kruszka leży na rozsuwanej ławie w kuchni, wpatrzona w ciemny sufit.

Nie wytrzymam, zwraca się do Boga i zaciska dłoń tak mocno, że aż bieleją jej palce. Nie wytrzymam, jeśli ominie go kara. To nie jest sprawiedliwe.

RAGNHILD LINDMARK pracowała w gminnym ośrodku pomocy domowej w Lainio. Przyjęła Rebekeę we własnym domu i obiecała odpowiedzieć na jej pytania.

– Ale kawy u mnie pani nie dostanie – uprzedziła. – Musiałam z nią skończyć wiele lat temu. Rozumie pani, ile się człowiek nażłopał u tych wszystkich staruszek i staruszków. Doszło do tego, że miałam kompletnie zatruty organizm.

Na karniszu siedziała papużka, pokrzykująca od czasu do czasu. Na parapecie tłoczyło się mnóstwo niewielkich szklanych figurek. Rzeka za oknem sprawiała wrażenie nieruchomej wśród otaczającej ją szarości. Przygotowując zieloną herbatę, Ragnhild wyjaśniła Rebecę, że nie należy zalewać liści wrzątkiem i że nie powinno się ich parzyć zbyt długo.

– Znalazłam ją w Internecie – powiedziała, kiedy Rebeka kurtuazyjnie pochwaliła wyborny smak.

– Opiekowała się pani Fransem Uusitalo, prawda?

– Tak. Boże, co za historia! A ja go tyle razy uczulałam, żeby mi mówił, kiedy się wybiera do lasu. Przecież tyle mogło mu się przytrafić, wywrotka na rowerze czy coś; chciałam przynajmniej wiedzieć, gdzie mam zacząć szukać. Ale gdzie tam! Uparty chłop. A poza tym w niesamowicie dobrej formie. Ponad dziewięćdziesiąt lat, proszę sobie wyobrazić! Dlaczego pani o niego pyta?

– Przyglądam się bliżej jego śmierci. Słyszała pani o kimś, kto by żywił do niego urazę?

– Nie... ale o co pani właściwie chodzi? Przecież rozszarpał go niedźwiedź.
– Nie przypomina sobie pani czegoś szczególnego, zanim zniknął? Jak by to powiedzieć... Czegoś, co by odbiegało od codzienności? Może był zmartwiony? Albo coś w tym rodzaju?

– Co? Nie. O ile pamiętam, był taki jak zwykle. A czym niby miał być zmartwiony?

Rebeka nie wiedziała, co odpowiedzieć.

No właśnie, czym? – pomyślała.

– Coś jest nie tak z jego śmiercią – wyznała w końcu. – Czy miał pieniądze?

– Z tego, co wiem, starczało mu na jedzenie i rachunki za prąd.

Ragnhild Lindmark zastanawiała się przez chwilę, by wreszcie powiedzieć otwarcie:

– Nie mam pojęcia, dlaczego pani mi zadaje te wszystkie pytania. W gruncie rzeczy nie znałam go zbyt dobrze. Ale miał tutaj we wsi ukochaną. Rozumie pani, przystojny był z niego chłop. Postawny. Włosy wciąż gęste, kręcone. Ona mieszka trzy domy dalej. W tamtym kierunku. Willa z cegły. Jedyna taka w okolicy. Kobieta nazywa się Anna Jaako. Chce pani pożyczyć parasol? Widzę, że znów pada mokry śnieg. No, właściwie nie powinnam narzekać, bo przynajmniej nie będę musiała odśnieżać u wszystkich staruszek i staruszków. To niby nie wchodzi w zakres moich obowiązków, ale człowiek i tak odśnieża. Mój Boże, w zeszłym roku to nikt nie mógłby się ruszyć z domu, gdybyśmy im z mężem nie odgarniali śniegu. Padał prawie codziennie.

Chyba mi porządnie odbiło, myślała Rebeka, idąc w kierunku domu Anny Jaako. Przecież nawet nie wiem, czego szukam.

Anna Jaako była w domu i zaproponowała kawę. Rebeka piła tak wolno, jak tylko potrafiła, żeby uniknąć dolewki.

Kobieta była filigranowa. Wyglądała jak podstarzała balerina. Włosy połyskliwie białe, zebrane w młodzieńczy koński ogon.

– Myślę, że Frans nie został rozszarpany przez niedźwiedzia – odezwała się Rebeka.

Postanowiła przestać dbać o ostrożność. Ludzie i tak zaczną gadać, więc równie dobrze mogła podzielić się tajemnicą i w najlepszym razie dostać coś w zamian.

– Myślę, że został zastrzelony, a dopiero później zjadł go niedźwiedź.

Anna Jaako pobladła.

– Przepraszam – powiedziała Rebeka, zawstydzona.

Gospodyni machnęła ręką.

– Nic nie szkodzi, nie jestem taka krucha, na jaką wyglądam. Ale kto chciałby go zabić?

– To mógł być nieszczęśliwy wypadek. Może trafił go jakiś myśliwy i nawet tego nie zauważył?

– To brzmi bardzo nieprawdopodobnie.

To jest bardzo nieprawdopodobne, potwierdziła w duchu Rebeka. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że Frans został postrzelony w nogę i co najmniej dwa razy w pierś.

– Sama nie wiem, o co chodzi – wyznała szczerze Rebeka. – Czy ktoś miał powód, żeby go zabić? Czy wydarzyło się coś szczególnego, zanim zniknął?

– Nie. W każdym razie nic mi nie przychodzi do głowy. Nie miał pieniędzy. Ale umiał tańczyć. Zazwyczaj tańczyliśmy tutaj, w kuchni.

Twarz kobiety rozjaśniła się na to wspomnienie.

– Gdyby pani sobie coś przypomniała, proszę do mnie zadzwonić – powiedziała Rebeka, zapisując numer komórki na odwrocie paragonu, który znalazła w torebce.

Anna Jaako obejrzała paragon i odczytała głośno cyfry.

– Chociaż to chyba nic ważnego – odezwała się nagle, jak gdyby rozmawiała sama ze sobą. – To było dość dawno temu.

– A co? – spytała Rebeka.

– Jedyna rzecz, jaka mi przyszła na myśl... Ale, jak mówię, to było trzy lata

temu. Pamiętam, bo miałam właśnie skończyć siedemdziesiąt pięć. Aha, Frans był nieślubnym dzieckiem Hjalmara Lundbohma, może pani o tym nie wie?

– Owszem, wiem – odparła Rebeka.

– Jego matka, to znaczy nie jego prawdziwa matka, tylko ta, która go wzięła na wychowanie, pracowała jako gosposia u Lundbohma i strasznie była na niego cięta. Frans dorastał więc w przekonaniu, że Lundbohm to potworny łobuz. No, dorastał, jak dorastał... Dowiedział się o swoich prawdziwych rodzicach dopiero po śmierci przybranego ojca, miał wtedy ponad dwadzieścia lat. W każdym razie trzy lata temu wśród świadectw i fotografii znalazł jakieś stare akcje. Był tam też list, w którym Lundbohm napisał, że przekazuje akcje swojemu synowi Fransowi Uusitalo. Frans dostał bowiem nazwisko przybranego ojca. No i żartował wtedy, że możemy popłynąć w daleką podróż statkiem, bo nagle stał się bogaty. Zamożny. Tak powiedział, zamożny.

– Ach tak.

– Ale raczej nic z tego nie wyszło, bo potem już nigdy o tych akcjach nie wspominał. Sądzę, że było tak: jego córka miała je sprawdzić i pewnie się okazało, że nie mają żadnej wartości. Chociaż przyjemnie było na nie popatrzeć; były po prostu ładne. Teraz akcje są tylko w komputerze.

– Trzy lata temu?

– Tak.

Trzy lata temu ktoś potracił syna Sol Britt, pomyślała Rebeka.

– Przepraszam – odezwała się Anna Jaako, wycierając oczy, nagle przepelnione łzami. – Ale wie pani, potwornie mi go brakuje. Gdyby ktoś mi powiedział, kiedy byłam w pani wieku, że spotkam miłość swego życia po siedemdziesiątce, zaczęłabym się śmiać.

Spojrzała uważnie na Rebeke.

– Miłością trzeba się zaopiekować, kiedy przychodzi. Bo nagle się okazuje, że przeżywasz ją ostatni raz. A wszystko inne to tylko wiatr.

CZŁOWIEK MUSI PRACOWAĆ, żeby nie stracić rozumu. Kruszka już kilka razy zrobiła porządki w mieszkaniu. Wyszorowała podłogi oraz sufit w kuchni, wyprała i wyprasowała zasłonki z delikatnego lnu, pomalowała na

niebiesko kuchenne szafki.

– Czyś ty zwariowała? – pytają sąsiadki. – Kto to widział, żeby prać firanki w zimie? Nie wystarczą ci te wszystkie ubrania górników?

Teraz postanowiła ugotować *palt*, ogromne ilości. Pokroiła boczek i słoninę. Uformowała szare kluski z mąki jęczmiennej i utartych ziemniaków. Chłup, chlup, wpadają do kotła z wrzątkiem. Całą kuchnię pokrywa para, jak w prawdziwej saunie.

Słyszając czyjeś kroki, Kruszka przez ułamek sekundy myśli, że to Elina.

Kiedy się odwraca, stoi przed nią nadsztygar Fasth.

Jego oczy są jak ostrza noży w poczerwieniałej, opuchłej twarzy. Mężczyzna błyskawicznie zagląda do pokoju, by się przekonać, że są sami w mieszkaniu.

– Pannno!

Jego głos jest surowy. Mrozi ciało do szpiku kości. Jak lodowata woda, w której zimą płucze się pranie. Człowiek marznie później cały wieczór, choć na kominku huczy ogień.

– Lada moment wróci mój narzeczony – mówi Kruszka i natychmiast żałuje swych słów. Brzmią tak mizernie. Kiedy mimowolnie zerka na nóż, słyszy pogardliwe parsknięcie.

– Mam gdzieś jej wszystkich narzeczonych. A teraz niech słucha! Po mieście krążą plotki. O dziwce Pettersson i o mnie. A ta, która najbardziej kłapie, to gosposia dysponenta.

– Owszem, jako że pan nadsztygar zaczął grozić służącym...

– Jak mi jeszcze raz przerwie, dam jej w twarz! Zrozumiała?! Czy to dzieciak lafiryndy?

Wskazuje głową na kosz, w którym śpi Frans.

– Wystarczy, że Kruszka piśnie słówko naczelnikowi albo dysponentowi, gdy wróci do domu, albo komukolwiek, to odbiorę jej dziecko! Opowiem w komisji opieki nad dziećmi o jej rozpustnym życiu, o tym, jak tu mieszka sama z czterema chłopami. Czyż nie? A do tego ma jeszcze narzeczonego! Kiedyś były dwie panny i mogły się dzielić, ale teraz gosposia musi obsłużyć wszystkich sama jedna.

Przerywa i patrzy na Kruszkę tak obrzydliwym spojrzeniem, że ta musi skrzyżować ręce na piersi.

– Jak Kruszka myśli, czyje słowa będą się bardziej liczyły, moje czy jej? Wezmę bękartą na wychowanie. Będę go bił, nie inaczej! Każdego dnia. Tylko różga i pas uwolnią go od dziedzictwa rozwiązłej matki. Więc jak? Czy tego Kruszka chce? No, niech w końcu odpowie!

Kobieta opiera się o kant pieca. Nie potrafi wydobyć z siebie głosu, kręci tylko głową.

– No, to wszystko jasne – podsumowuje Fath. – Gosposia przestaje kłapać dziobem. A potem pakuje manatki i wyprowadza się z Kiruny. Daję wam miesiąc. I ostrzegam: nie jestem z tych cierpliwych.

Kruszka nie może dłużej utrzymać się na nogach. Opada na stojący przy piecu taboret.

Fath pochyla się nad nią i szepcze jej do ucha:

– A nauczycielka... Ona to lubiła. Błagała i prosiła o więcej. Musiałem ją udusić, żeby się zamknęła.

Potem znika na schodach.

Spieniona woda przelewa się z kotła, ale Kruszka nie ma sił, żeby zdjąć garnek z ognia. Nie może nawet wstać. Kiedy Johan Albin przychodzi do domu na obiad, jego narzeczona wciąż siedzi przy piecu, Frans leży i płacze w swoim koszu, a *palt* zdążył się przypalić. Okno ocieka wilgocią.

REBEKA GRZEBAŁA w kartonach Sol Britt Uusitalo. Zadzwoiła wcześniej do Alfa Björnfoto, aby się upewnić, że decyzja o rewizji w domu zmarłej ciągle jest aktualna.

– Nie mam ochoty słuchać von Posta, jak mi to później rzuca w twarz, zapraszając na badania u lekarza zakładowego – powiedziała.

– Niech tylko spróbuje – wycedził Alf przez zęby. – A już do emerytury będzie skazywał na karę grzywny.

Ile szpargałów człowiek zdoła zebrać w ciągu życia! Rebeka czuła, jak kurz drażni jej nos. Fotografie, listy, kopie deklaracji podatkowych, polisy, rysunki dzieci, rachunki, reklamy sprzed dziesięciu lat i Bóg wie co jeszcze.

Kiedy znalazła list, w którym zatroskany szef Sol Britt pisał o jej nadmiernym picciu, ogarnęły ją wątpliwości natury moralnej. Zrobiła przerwę i wyszła ze Smarkaczem na spacer.

– Ale przecież to nikomu nie może zaszkodzić – odezwała się do psa, który ciapiąc w mokrym śniegu, na każdym drzewie zostawiał ogłoszenie towarzyskie. – Po prostu trochę węższą. Mniej więcej tak jak ty.

W jej kieszeni zaburczała komórka. Dzwonił Krister.

– Hej – przywitał się głosem tak miękkim, że Rebeka musiała się uśmiechnąć. – Chciałem tylko zapytać, czy mogłabyś wziąć Verę? Wybieram się do rodziców paru łobuzów, którzy szykanują Marcusa. Rozmawiałem z Mają; powiedziała, że pożyczyci od znajomych domek nad Rautasälven i że Marcus może z nimi pojechać na ryby. Czyli świetnie się złożyło. To będzie dla niego fajna wycieczka. Planują zostać nad rzeką cały dzień.

– Zostaw Verę u mnie w domu – odparła Rebeka. – Zaraz tam będę. Jeśli chcesz, to mogę też odebrać Marcusa. Klucz jest pod doniczką na ganku.

Po drugiej stronie Krister głęboko westchnął.

– Pod doniczką. Po co w ogóle zamykasz dom, jeśli chowasz klucz pod doniczką? Przecież to pierwsze miejsce, w które się zagląda. Albo do butów, które z jakiegoś niezrozumiałego powodu stoją na mrozie.

– Wiem. Ale czy to nie piękny zwyczaj? Kiedy żyła babcia, w ogóle nie zamykano drzwi na klucz. A gdy ktoś wychodził, stawiał miotłę pod drzwiami, żeby goście spragnieni kawy nie musieli na darmo podchodzić pod sam dom, bo już z daleka było widać, że nikogo nie ma.

– Wpuszczę psa do środka i wystawię miotłę na ganek, okej? – zaproponował ze śmiechem Krister i się pożegnał.

Rebeka znów wzięła się do pracy. W końcu znalazła to, czego szukała. Dużą brązową kopertę. Trzy arkusze oznaczone „Share Certificate”. List napisany staroświeckim charakterem pisma, odrobinę drżącą ręką.

Napisany przez starego człowieka, pomyślała z bijącym sercem.

„Droga Kruszko...”

List może poczekać. Pismo nie było zbyt czytelne. Rebeka zadzwoniła do Månsa. Odebrał natychmiast. Ucieszył się. W niej zaś odezwało się poczucie winy. Nie miała jednak czasu na wstępną paplaninę.

– Måns, znasz wszystkie osoby, które zajmują się prawem spółek i obrotem papierów wartościowych. Potrzebuję twojej pomocy.

KRUSZKA BUDZI SIĘ po nocach i rozmawia z Bogiem. Nie pomaga nawet najcięższa praca; w środku nocy sen ją nagle odlatuje. Wyznaje Panu, że nie może wytrzymać. Leży, wpatrzona w ciemny sufit, i czuje wzbierającą nienawiść. Pozostaje tylko modlitwa. Nie znajduje wielu słów. Pomóż mi, Boże, pomóż mi, proszę.

Usiłuje odepchnąć pojawiające się w głowie obrazy. Złote włosy Eliny. Elina i nadsztygar Fasth. Zakrwawiona bluzka Eliny, którą wręczył jej kościelny, kiedy przyszła z czystymi ubraniami na ostatnią drogę.

Pomóż mi Boże, prosi. Chcę go zabić. Dlaczego jest mu dane żyć? To niesprawiedliwe.

Kruszka żyje w ciągłym strachu. Chce uciec z Kiruny jak najszybciej, bo kto wie, co nadsztygarowi strzeli do głowy. Może nagle odbierze jej Fransa? Johan Albin obiecuje przeprowadzkę, ale najpierw musi znaleźć nową pracę.

Kruszka myśli intensywnie. Niech no tylko Fasth spróbuje spojrzeć na chłopca, to ona roztrzaska mu tę tłustą czaszkę pogrzebaczem. Ciach, ciach i jeszcze raz... A w ogóle to powinna była wylać na niego ten wrzątek z kotła, sparzyć go jak prosiaka.

Pomóż mi, prosi ponownie. Pomóż mi, Jezu najmilejszy!

SVEN ERIK, KRISTER I MARCUS wysiedli z samochodu. Żwirowa droga kończyła się w środku lasu. Gdzieś w oddali słychać było szum rzeki.

– Wkrótce przyjdą po ciebie Rebeka z Verą – zwrócił się Krister do chłopca.
– Ja też niedługo wrócę.

– Ale ja chcę pojechać z tobą – powiedział Marcus, łapiąc go za rękaw kurtki.

– Będę się spieszył, obiecuję.

W lesie nie było dużo śniegu. Jednak na ścieżce leżało go dość sporo. Rozdeptany, zamienił się w wąski pas lodu. Kapało z drzew. Szli gęsiego, stąpając po krzewinkach brusznicy i wystających kamieniach; żeby się tylko nie poślizgnąć.

Ale trochę się przejaśniło, zanotował Krister, nie mając odwagi na dłużej oderwać wzroku od ścieżki. Niebo wypogodniało. Chmury się przerzedziły.

Do rozpościerającego się przed nimi torfowiska prowadziły drewniane

schodki. Dalszy szlak wytyczała zygzakowata kładka.

Przejście po nich wydawało się czymś niewykonalnym. Stopnie schodów były śliskie jak gluty. Kładkę pokrywał lodowy pancerz.

– Elegancko i z wdziękiem, jakby człowiek narobił w portki – zamruczał Sven Erik. – Przecież ja się tu zabiję.

A po chwili krzyknął do Marcusa:

– Ostrożnie, chłopcze!

– Ach, te dzieciaki! – dodał ciszej. – I pomyśleć, że ja też kiedyś taki byłem.

Dziecięco nieustraszony, Marcus balansował na śliskiej kładce daleko przed policjantami. Miętko ugięte kolana, szybkie kroki.

Na samym końcu kładki, na skraju lasu, pojawił się mężczyzna. Pozdrowił przybyszy uniesioną ręką.

– Marcus? – zawołał.

Sven Erik i Krister zatrzymali się na moment. Pomachali ostrożnie na powitanie.

– Przejmuję go! – krzyknął mężczyzna. – Maja jest nad rzeką. A tu potwornie ślisko. Lepiej zawróćcie od razu!

– Tak, to jej facet – powiedział Sven Erik do Kristera. – Örjan, o ile mnie pamięć nie myli. Był u niej w domu, kiedy von Dupen zaciągnął nas tam wszystkich na przesłuchanie. Szkoda, że cię z nami nie było. Co za buc z tego prokuratora! No dobrze. Wracamy. Nie mam ochoty przypłacić życiem tej wędrówki.

– Do widzenia! – zawołał Krister. – To potrwa nie dłużej niż godzinę. Proszę pozdrowić Maję i podziękować za pomoc!

Z mozołem ruszyli w kierunku schodów. Mężczyzna na skraju lasu przywołał Marcusa skinieniem ręki.

Chłopiec szedł mu ostrożnie na spotkanie. W skrytości ducha rozmawiał z Dzikim Psem. Niedługo przyjdzie Vera, powiedział. I Krister. I Rebeka. Wkrótce po mnie przyjdą. Już niedługo. Wkrótce.

Mężczyzna o bujnych włosach przywitał Marcusa krótkim: „hej”. Chłopiec ruszył za nim. Co jakiś czas odwracał głowę, by spojrzeć na Kristera i Svena Erika. Dość szybko jednak zniknęli mu z pola widzenia. Kładka się skończyła i ścieżka biegła dalej przez las. Teraz wyraźnie słychać było szum bystrzyny. Marcus starał się nie stąpać po śniegu. Pod śniegiem czasami kryje się lód.

Wtedy łatwo się poślizgnąć.

– Idź przodem – zaproponował mężczyzna.

Marcus ruszył przed siebie jak strzała.

Kiedy las się przeredził, nad brzegiem rzeki zobaczył kobietę o białych włosach. Stała jakieś sto metrów dalej, obok łodzi odwróconej do góry dnem, i próbowała uwolnić wiosła przymarznięte do podłoża.

Uderzała łopata w oblodzoną ziemię.

Trzymała łopatę obiema rękami i uderzała. Bach, bach.

Marcus zatrzymał się jak wryty.

Kiedyś już widział tę sylwetkę. Wtedy. Gdy stojąc na schodach, zajrzał do sypialni babci. Twarzy nie widział, bo była zasłonięta. Osoba u babci miała taką czapkę do jazdy skuterem, z otworami na oczy i usta.

Ale teraz, teraz rozpoznał tę sylwetkę. Ramiona, które rąbały raz po raz.

Rąbały babcię. A on stchórzył i uciekł. Nie uratował jej. Zakradł się schodami na górę. Otworzył okno, choć trzęsły mu się ręce. Wskoczył i zaczął biec. Biegł przez las. Później przyszedł Krister. A babcia nie żyła.

Teraz. Teraz rębacz go złapie.

Marcus usłyszał swój zachrypnięty głos.

Krzyczał jak opętany. Próbował uciec. Ale nie zdążył.

Idący za nim mężczyzna uniósł go w górę, trzymał za ramię i kurtkę. Nogi chłopca biegły w powietrzu.

– Zamknij się! – huknął mężczyzna.

– Krister! – krzyczał przeraźliwie Marcus. – Krister!

A później spadło na niego drzewo.

I nie było już nic.

Krister i Sven Erik nie słyszeli żadnego wołania. Wsiedli do samochodu i ruszyli w kierunku Kiruny. Dwóch rycerzy, którzy mieli zadbać o to, by Willy Niemi, lat dziewięć, przestał szykanować Marcusa Uusitalo, lat siedem.

NADSZTYGAR FASTH maszeruje ulicami Kiruny. Prze niby taran.

Mieszkańcy ustępują mu z drogi. Pospieszne gesty pozdrowień, uniesione czapki, dygnięcia, ukradkowe spojrzenia.

Nie martwi go to, że budzi postrach i niechęć. Wręcz przeciwnie, widzi tego zalety. Ludzka nienawiść go wzmacnia, tak jak gorąc hartuje stal.

W gruncie rzeczy Fasth nie ma nic przeciwko temu, że ludzie w mieście coś podejrzewają, ale nie potrafią niczego dowieść.

Najpierw powalił na kolana tę czupurną pannę, a teraz ugina przed nim czoła cała Kiruna.

Jedyną osobą, która ma nad nim władzę, jest dysponent Lundbohm. Ale Lundbohm to idiota. Fasth wyłuszczył mu w liście całe tragiczne zdarzenie. Napisał o tym, co wykazało śledztwo. Że nauczycielka była w związku z kilkoma mężczyznami, że urodziła dziecko, że nie wiadomo, kto jest ojcem, i że wygląda na to, iż morderca pozostanie nieznany.

Dysponent nie odpowiedział. Nadsztygar liczy na to, że w przyszłości nie będzie go często widywał w Kirunie. I dobrze.

Ale teraz Fasth ma inne rzeczy na głowie. Kruszarka w kopalni stanęła! Nadsztygar pędzi więc przez miasto niczym rozzłoszczony władca.

Przekłęci dyżurni! Nie umieją robić, co do nich należy! Jakiż pożytek z tej całej rudy, skoro nie można jej stąd wywieźć? Żaden! Rudę trzeba skruszyć i załadować.

Zazwyczaj już z daleka słychać huk kruszarki, potężnej maszyny mielącej bloki skalne. Ale teraz panuje cisza. Na zewnątrz siedzą mężczyźni i palą. Na widok Fastha podnoszą się w pośpiechu.

Jeden z nich próbuje wyjaśnić sytuację.

– Blok skalny zaklinował się tak porządnie...

Lecz nadsztygar nie przyszedł tutaj na jakieś pieprzone gadki przy kawie. Odpycha mówiącego na bok, odbiera mu żelazny drąg.

Robotnicy idą za nim jak uczniacy. Kruszarka ma kształt potężnego leja. Kolczasty wał obracający się w jego wnętrzu kruszy skałę na coraz mniejsze kamienie, które w końcu trafiają na stojący pod spodem wagon.

Fasth wskakuje do środka.

– Wyłuskiwanie zakleszczonych kamieni to wasza robota!

Wciska żelazny drąg pod blok skalny, który zaklinował maszynę.

– Pieprzone z was panny! – postępuje. – Potrącę wam za to z pensji!

Przy słowie „panny” przez mężczyzn przepływa fala wspomnień. Nawet nie muszą na siebie patrzeć. Wszyscy myślą o Elinie. Jakby tu przy nich stała. Niemal widzą jej krągłe policzki i radosne oczy.

Zerkają na Johana Albina, on ją przecież znał. Jest zaręczony z gospożą dysponenta, a ta dzieliła z nią mieszkanie.

Na dnie kruszarki nadsztygar parska jak zwierzę. Mocuje się ze skałą, która ani drgnie. Ale Fasth uparł się, że pokaże tym mięczakom, co potrafi.

– Czy wy w ogóle macie chuję? – pyta, rzucając w górę marynarkę.

Po chwili znów wieszka się na drągu.

Najmłodszy w brygadzie chwytając w locie marynarkę i rozgląda się, niepewny, gdzie ją powiesić.

I wtedy mężczyźni zatrzymują wzrok na tym samym urządzeniu.

Na głównym wyłączniku prądu. Nikt go nie wyłączył.

Wymieniają między sobą spojrzenia. Nikt nie wykrzykuje *voi perkele!*²² i nie zrywa się, by przerzucić dźwignię. Młodzieniec elegancko przewiesza marynarkę przez ramię.

W końcu nadsztygarowi udaje się wyłuskać zaklinowany kamień.

Kruszarka rusza z potwornym hukiem. Kamienie szczękają o stal, łomoczą o skałę.

Kruszywo pod stopami Fastha zapada się niby ruchome piaski. Moment i maszyna połyka połowę ciała.

Robotnicy nie słyszą krzyku. Widzą jedynie zdumienie i strach. Otwarte usta. Ludzkie odgłosy toną w łoskocie kamieni napotykalających opór stali.

To wszystko trwa zaledwie kilka sekund. Kruszarka pożera Fastha i rozdrabnia go z kamieniami, mieli ciało i wypluwa ochłapy na stojący pod spodem wagon.

Johan Albin przesuwając dźwignię głównego wyłącznika prądu. Zapada cisza i spokój.

Narzęcony Kruszki spluwa na dno kruszarki.

– No – mówi. – Powinniśmy chyba pójść po naczelnika policji, nie?

MANS ODDZWONIŁ po niespełna półgodzinie.

– Jesteś pewna, że chodzi o Share Certificate Alberta Power Generation?

– Tak – odpowiedziała Rebeka. – Trzymam je w ręce.

– O ilu udziałach mówimy?

– Na pierwszym arkuszu jest napisane Representing shares 501-600, na drugim 601-700, a na trzecim 701-800.

– Kurde blade, Rebeka! A na odwrocie? Coś o przeniesieniu akcji?

– Poczekaj... Transferee i czwarty marca tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego, Frans Uusitalo. Poniżej: Transferor Hjalmar Lundbohm. No, mów!

– Spółka nadal istnieje. To dość pokaźna firma hydroenergetyczna z siedzibą w Calgary. Przeprowadzono wiele nowych emisji. Początkowo akcje reprezentowały jedną dziesiątą kapitału zakładowego, teraz tylko jedną tysięczną.

– To znaczy?

– To znaczy, że mimo wszystko mają sporą wartość.

– Jak dużą? Mam je schować za pazuchę i odlecieć pierwszym samolotem do Ameryki Południowej?

– Tak, właśnie tak bym ci doradził, gdyby nie to, że na odwrocie jest wykaz akcjonariuszy.

– No dobrze. Ale ile? Måns, powiedz w końcu!

– Mówię, że dla ciebie te akcje są głównie warte.

– Ale...

– Ale dla Fransa Uusitalo lub jego spadkobierców mają wartość około dziesięciu milionów.

– Żartujesz!

– Dolarów kanadyjskich.

Zapadła między nimi kilkusekundowa cisza. Rebeka wzięła głęboki oddech.

Sol Britt Uusitalo była bogata. Siedziała w zapuszczonym domu w Lehtiniemi, liczyła się z każdym groszem, nie miała pojęcia...

– Tych akcji nie można ukraść – powiedziała głośno – ponieważ zapisano na

nich zasady sukcesji.

– Czy jej ojciec miał jakiegoś innego spadkobiercę? – zapytał Måns.

– Zadzwoń do ciebie później.

– Co się mówi?

– Dziękuję, Måns! Dziękuję, mój cudowny, dzielny, piękny mężczyzno! Kocham cię. Ale, kurde, zadzwonię później.

– Tylko bez żadnych głupstw, proszę – powiedział Måns.

Ale Rebeka zdążyła się już rozłączyć.

– Próbowałam ci to właśnie powiedzieć, kiedy ostatnio rozmawialiśmy – wyjaśniła Sonja z centrali telefonicznej – ale ty jesteś taka...

– Tak, wiem!

– No, sama widzisz.

– Przepraszam. Teraz słucham.

– Frans Uusitalo miał też syna. Starszego od Sol Britt. Z inną kobietą. Ale pieniędzy po sobie nie zostawił. Nie starczyło nawet na pogrzeb.

Nie, bo skąd, pomyślała. Głośno zaś powiedziała:

– A więc Sol Britt miała przyrodniego brata. Jak się nazywa?

– Serce ty moje, jak mam to wszystko spamiętać? Chcesz, żebym sprawdziła?

– Tak, od razu, proszę. Chcę mieć całe drzewo genealogiczne.

WILLA RODZINY NIEMI leżała w Kurravaarze, w głębi zatoki. Gospodyni wpuściła do środka Svena Erika Stålnackego i Kristera Erikssona. Najpierw się wystraszyła. Zapewnili ją jednak, że nic złego nie stało się ani dzieciom, ani krewnym.

Kobieta wyglądała na trzydzieści lat. Wysoka i szczupła. Rozjaśnione włosy, krótko przycięte na karku, z przodu sięgały kącików ust. W nosie miała jeden kolczyk, w lewym uchu – kilka. Żuła gumę, poruszając intensywnie szczękami. Od czasu do czasu rzucała okiem na włączony w kuchni telewizor. Ktoś reklamował cudowną krajarkę do warzyw, która miała zmienić życie jej posiadacza i sprawić, że dzieci będą błagały o więcej

marchewki.

Kiedy policjanci usiedli, pani Niemi zawołała męża, który po kilkunastu sekundach stanął w drzwiach i przedstawił się jako Lelle. Miał umięśnione ramiona i podobnie jak żona – blond włosy. Złamany kiedyś nos nadawał mu wygląd przystojnego, choć odrobinę pokiereszowanego boksera.

– Policja – obwieściła krótko pani Niemi.

– Tak, ale nie jesteśmy tu służbowo – powiedział Krister Eriksson.

– Podać coś? – zapytał Lelle z uśmiechem, jakby zwracał się do dwóch przyjaciół z dzieciństwa, którzy przyszedli z wizytą. – Kawę? Piwo bezalkoholowe?

Obaj policjanci podnieśli ręce w geście oznaczającym: nie, dziękuję.

– Chodzi o państwa syna – wyjaśnił Krister. – I chłopca, który chodzi do tej samej szkoły, Marcusa Uusitalo.

Uśmiech momentalnie zamarł na ustach Lellego.

Za późno na piwo, pomyślał Sven Erik.

– No nie, tylko nie to – mruknął gospodarz.

Po chwili zaś krzyknął w głąb domu:

– Willy, chodź no tutaj!

Na schodach zadudniły kroki i po chwili w drzwiach kuchni pojawił się młody panicz Niemi. Ojciec pokierował synem tak, żeby stanął tuż przed nim.

– Jeśli chcecie mi zrobić pogadankę o mobbingu, to chłopak też powinien jej wysłuchać. Bo to przecież jemu macie coś do zarzucenia, prawda?

– Woli pan, żebym mówił z synem czy z panem? – spytał Krister.

– Niech pan pogada z Willym. Tak go wychowałem: zwracasz się do tej osoby, której sprawa dotyczy. No nie, Willy? Oko w oko i kawa na ławę.

Willy skinął głową. Zacisnął usta.

– Ty i twoi koledzy... – zaczął Krister. – Chciałbym, żebyście zostawili Marcusa Uusitalo w spokoju. Żebyście mu dali święty spokój.

– Ale o co, kurde... – zawył Willy. – Przecież nic nie zrobiłem. Mówiłem już wcześniej, że nic nie zrobiłem. Wyłumacz mu, tato.

– W porządku, Willy – odezwał się Lelle, kładąc rękę na ramieniu chłopca.
– Mam nadzieję, że nie zamierza pan nazwać mojego syna kłamcą?

– Owszem – odparł Krister. – Pana syn kłamie. I dręczy innych. Szkoda mi ciebie, Willy. Bo takie rzeczy wynosi się z domu. W taki czy inny sposób. A teraz zamierzam cię zmusić, żebyś przestał szykanować kolegów. Cieszę się, że mogę to zrobić. Z troski o Marcusa.

– O czym pan, kurwa, mówi? – wrzasnął Lelle Niemi. – Ten cały Marcus ma poważne problemy. Matka go porzuciła. Ojciec zmarł jakiś rok temu, ktoś go potrafił samochodem. Jego babka...

Zakończył zdanie gwizdnięciem i gestem sugerującym, że lubiła wypić.

– A teraz została zamordowana, piszą o niej w „Expressen” i wszędzie. To przecież tragedia. Ale niech pan, kurde blade, nie miesza w to naszego syna!

– No właśnie – wtrąciła się gderliwie pani Niemi. – Nie rozumiem, dlaczego pan się czepia Willy’ego. To jest dopiero szykanowanie.

– Doskonale wiem, co macie na sumieniu, ty i twoi koledzy – Krister zwrócił się ponownie do chłopca. – Zaczęliście jeszcze wtedy, kiedy Marcus chodził do zerówki. Nazywacie go ciotą i pedałem, obrzucacie kamieniami oblepionymi śniegiem, wkładacie psie kupy do jego plecaka, gdy przechodzie obok niego, popychacie go tak mocno, że się przewraca. Dosyć tego!

Willy wzruszył ramionami.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Czy policja naprawdę nie ma lepszych rzeczy do roboty, niż prześladować zwykłych Svenssonów? – zapytał Lelle. – Nie powinniście się zajmować łapaniem złodziei? A teraz proszę, żeby panowie stąd wyszli. Rozmowa skończona.

– I przestańcie prześladować zwykłych ludzi – powtórzyła niczym echo pani Niemi.

Spojrzała na Kristera, nie kryjąc obrzydzenia.

Krister patrzył jej w oczy wystarczająco długo, by spuściła wzrok.

– Tyle tylko – przemówił Sven Erik, który dotychczas nie odezwał się ani słowem – że pan nie jest zwykłym Svenssonem, panie Niemi. Pobiera pan zasiłek chorobowy. Od dwóch lat.

– Uraz biczowy szyi – odpowiedział Lelle Niemi.

– Ale wciąż pracuje pan jako malarz. Chociaż na czarno.

– Przecież to pomówienie! – warknęła pani Niemi. – Myślałam, że takie

rzeczy są zabronione prawem.

– O czym pan, kurwa, mówi? – nie wytrzymał Lelle.

– Ładny basen ogrodowy – kontynuował spokojnie Sven Erik. – Dwa nowe samochody. Gdyby tak sprawdzić państwa karty płatnicze, myślę, że znalazłyby się wakacje w Tajlandii i różne inne drobiazgi, prawda? Jakim cudem pana na to wszystko stać? Pan jest na zwolnieniu chorobowym, żona pracuje na pół etatu, w domu trójka dzieciaków. Takimi rzeczami interesuje się biuro do spraw przestępstw gospodarczych.

– Myślę, że znalazłyby się też dość pokaźne zakupy farby – dorzucił Krister.

– W takich sprawach nigdy nie ma kłopotów ze świadkami. Ludzie są zaskakująco szczerzy i rozmowni, gdy sami niczym nie ryzykują. Jednorazowe zatrudnienie malarza na czarno to przecież żadne poważne przestępstwo. Ale to, czym pan się zajmuje...

Gospodarze milczeli. Willy patrzył niespokojnie to na mamę, to na tatę. Na ekranie telewizora podstarzały aktor z Hollywood w religijnym uniesieniu kroił ogórek.

– Trochę się tego nazbiera – mówił dalej Sven Erik. – Najwyraźniej jest pan całkowicie zdolny do pracy, ale pobiera pan zasiłek chorobowy. To poważne oszustwo. Prowadzi pan na czarno działalność gospodarczą. Poważne przestępstwa skarbowe: uchylanie się od płacenia podatków i nieprowadzenie ksiąg rachunkowych.

– Więzienie, jak nic – wtrącił Krister. – Ładnych parę lat. A kiedy pan wyjdzie na wolność... Rodzina gnieździ się w nieciekawej czynszówce, bo komornik zajął willę i całą resztę, urząd skarbowy domaga się spłaty długu, a pan nawet nie może pracować na własnym, bo ma pan zakaz prowadzenia działalności gospodarczej. Pozostaje jakaś cienka posadka i życie na granicy minimum egzystencjalnego.

– Pan nie jest zwykłym Svenssonem – powiedział Sven Erik życzliwym głosem. – Zwykle Svenssony harują w pocie czoła i płacą podatki, żeby pański syn mógł chodzić do szkoły, a pan mógł jeździć samochodem po wyasfaltowanej drodze. Oni łożą na pański zasiłek chorobowy. Pan jest tylko pasożytem.

– Ale... – odezwał się Krister – mnie chodzi głównie o dobro Marcusa Uusitalo. Nie pisnę ani słówka kolegom zajmującym się przestępczością gospodarczą, jeśli pan zmusi tego oto panicza, żeby zostawił Marcusa w spokoju. To dotyczy również twoich kolegów, Willy. Odczepcie się od

Marcusa. Dajcie mu święty spokój.

– Ale ja przecież nic... – zaczął głośno Willy.

– Zamknij się! – przerwał mu ojciec.

Ciszej zaś dodał:

– Słyszałeś. Zostaw chłopaczka w spokoju.

– To my już pójdziemy – powiedział Krister, podnosząc się z krzesła. – Ale radzę, żebyście o tym ze sobą poważnie pogadali. Zastanowili się, co lepsze. Bo macie tylko pół szansy. Wystarczy jedno spojrzenie. Jedno słowo. I od razu dzwonię. Nie jestem z tych cierpliwych.

– To co? Udało nam się choć trochę naprawić świat? – zapytał Sven Erik, kiedy wychodzili z willi.

Usłyszeli jeszcze, jak pani Niemi zaczęła krzyczeć i jak mąż odpowiedział jej tym samym tonem, ale słów nie dało się rozróżnić.

Policjanci usiedli w samochodzie. Krister obiecał odwiedzić kolegę do domu.

– Nie – odparł. – Te dzieciaki pewnie znajdą inną ofiarę. Ale uczyniliśmy świat ciut lepszym dla Marcusa. I to musi mi dzisiaj wystarczyć.

PO WYPADKU NADSZTYGARA Fastha Hjalmar Lundbohm musi przyjechać do Kiruny.

Kruszka korzysta z okazji i składa wypowiedzenie. Ćwiczyła to wielokrotnie w bezsenne noce. Nazywała dysponenta biedakiem. Mówiła mu, że gdyby nie uchylił się od odpowiedzialności, Elina by żyła. Że umarła, ponieważ on się od niej odwrócił.

Ale teraz gospościa stoi w kuchni i posłusznie przyjmuje dyspozycje co do kolacji, na którą dysponent zaprosił inżynierów z żonami.

Wysłuchawszy poleceń, Kruszka dyga. Zwariować można! Dyganie w żadnym wypadku nie było częścią pożegnalnej mowy, powtarzanej po nocach.

Nocą dysponenta unicestwiało poczucie winy. Kruszka nie miała dla niego litości. Stojąc przed nim, wygłaszała prawdy niczym anioł zemsty.

Teraz nie potrafi wydusić ani słowa o Elinie. Mówi więc tylko, że Johan Albin dostał pracę w Luleå. Dysponent też nie wspomina o nauczycielce.

Chociaż na moment zatrzymuje się w bezruchu i można odnieść wrażenie, że coś mu ciąży na sercu.

Wtem dzwoni telefon i chwila ta mija bezpowrotnie. Lundbohm spieszy do gabinetu. Kruszka myśli, że gdyby usłyszał brzęczenie telefonu podczas pogrzebu swojej matki, z pewnością też pobiegłby odebrać.

Rozzłoszczona, wyżywa się w kuchni na służących, którym wszystko leci z rąk. Biegają jak przerażone myszki i boją się zrobić cokolwiek bez pytania.

Że też nawet nie zapytał o syna! Kruszka nie posiada się z gniewu.

A może to nawet lepiej, myśli. Bo gdyby nagle poczuł się do odpowiedzialności, kto by się zajął wychowaniem chłopca? Jakaś gosposia?

Ale mimo wszystko, podsumowuje w duchu, przypalając biały sos, powinien zapytać o syna!

Jest późny wieczór. Hjalmar Lundbohm stoi na podwórzu swego domu i pali cygaro. Ma na sobie futro z wilka; właśnie odprowadził i pożegnał gości.

Bawili się dobrze. Niemal nieprzyzwoicie dobrze, jeśli wziąć pod uwagę, że nadsztygar Fasth nawet jeszcze nie został złożony do grobu. Zresztą w czasie kolacji nikt o nim wspomniał. Kiedy dysponent wygłosił kilka słów ku jego pamięci, goście w posłusznym milczeniu spełnili toast, ale gdy tylko odstawili kieliszki, zaraz zaczęli mówić o czymś innym.

Może faktycznie tylko mnie będzie go brakowało, myśli Lundbohm i jak zawsze zawiesza oko na gwieździe polarnej.

Nadsztygar był nielubianym twardzielem. Ale dobrze wykonywał swoje obowiązki.

Nie tylko swoje, moje też, dodaje w duchu. Te wszystkie, które najchętniej pomijam, bo dotyczą dyscypliny, porządku, cyfr.

A teraz jeszcze zostanie bez gosposi.

Usiłuje wypędzić ze świadomości jej zamkniętą twarz. Twarz, która dawniej zawsze promieniała radością, dokładnie tak jak...

Twarz Eliny.

Ale nie może teraz myśleć o Elinie. Nie wolno mu. Nic nie cofnie czasu. Co się stało, to się nie odstanie.

Pegaz, Byk i Woźnica spoglądają chłodno na Lundbohma. A on – kiedy tak stoi pośród zimowej ciszy – uświadamia sobie ogrom swej samotności. Ni stąd, ni zowąd ozywają w nim biblijne słowa: „Gdy się przypatruję niebiosom

twoim, dziełu palców twoich, miesiącowi i gwiazdom, któreś wystawił, tedy mówię: Cóż jest człowiek, iż nań pamiętasz? albo Syn człowieczy, iż go nawiedzasz?”.

Jestem nikim, myśli i nagle czuje się równie samotny, jak w pierwszych latach w szkole elementarnej. Już wtedy był grubawym marzycielem bez kolegów.

A teraz, gdybym nie miał kopalni, tej przystani? Kim byłbym wówczas? Świat zna dysponenta. Ale kto zna Hjalmara?

Elina, myśli. Czy rzeczywiście mnie kochała? Tak naprawdę? Ci wszyscy mężczyźni, którzy nieustannie wykręcali za nią głowy. Listy, które zostawiali pod jej drzwiami.

Pamięta jej skórę, jej ciało. Swoje własne zdziwienie na początku. Że go chciała. Mimo że mógłby być jej ojcem.

Nagle czuje duszności; cygaro wypada mu z ręki i gaśnie w śniegu. Dysponent boi się, że upadnie. Że nie będzie w stanie się podnieść.

To tylko zmęczenie, pociesza się. Nic innego. Po prostu za dużo pracuję.

Wraca do domu niepewnym krokiem. Rozpościera ramiona, aby utrzymać równowagę.

Przekroczywszy próg, opada na ławę w przedpokoju.

Chłopiec... Niewykluczone, że jest jego synem. Ale przecież nie zaprzeczyła, kiedy zapytał. Poza tym jak miałby się nim zająć? Mały potrzebuje matki. Dysponent wie, że zaopiekowali się nim Kruszka z narzeczonym.

Tak będzie najlepiej.

Dom jest potwornie milczący. W łóżku leżą jedynie termofory.

Hjalmar Lundbohm z mozołem wspina się po schodach do sypialni. Z każdym krokiem: tak najlepiej. Tak najlepiej.

DZIESIĘĆ MILIONÓW, pomyślała Rebeka, jadąc do domu. Akcje leżały na tylnym siedzeniu, w torebce.

Kanadyjskich dolarów, pomyślała, stojąc niezdecydowana w kuchni z akcjami w ręce. W końcu włożyła je na sam spód sterty rachunków leżących

na biurku.

– Jadę po Marcusa – obwieściła Verze i Smarkaczowi. – Czekaście tutaj.

Ale gdy tylko uchyliła drzwi, Vera wymknęła się na dwór.

– Nie, no jasne – powiedziała Rebeka, otwierając samochód. – Jakbyś kiedykolwiek słuchała tego, co mówię. Rozumiem, że chcesz mi dotrzymać towarzystwa?

Vera wskoczyła na przednie siedzenie. Rebeka słyszała ujadanie Smarkacza zamkniętego w domu.

Jechała zwirową drogą aż do końca, do ścieżki prowadzącej ku rzece Rautasälven.

Wygasty ostatnie promienie słońca. Niebo było błękitnoszare. W szczelinach między chmurami ukazał się księżyc. Plamy śniegu błyszcząły niczym lusterka.

Ścieżka była śliska i ledwo widoczna. Kładka nad torfowiskiem – jeszcze gorsza.

Vera pomagała sobie pazurami, ale i ona, i Rebeka kilka razy wpadły z pluskiem w grzęzawisko.

Kiedy dotarły do końca kładki, suka miała mokry brzuch, a Rebeka nogi, aż do kolan.

Przemoczone buty mlaskały. Palce u nóg zaczęły marznąć.

Zabudowania nad rzeką stały w ciemności. Opuszczone i puste. Łodzie odwrócone do góry dnem. Przykryte plandekami rowery, piaskownice i meble ogrodowe.

Rebeka zastanawiała się, który z domków wypożyczyła Maja.

– Śmigaj do przodu – wydała komendę zwierzęciu.

Vera wbiegła do lasu. Rebeka poczłapała za nią. Wkrótce dostrzegła chatkę, w której paliło się światło. Zapukała do drzwi.

Otworzyła Maja Larsson.

– Oj! – skomentowała przemoczone nogi prokuratorki.

Znalazła parę suchych wełnianych skarpet i wyjęła puszkę z kawą.

Rebeka rozcierała stopy. Powracające w nich czucie przeradzało się w ból.

– Örjan i Marcus poszli na ryby w górę rzeki – wyjaśniła Maja. – Miejmy

nadzieję, że nie roztrzaskają sobie głów w tych ciemnościach. Tak łatwo się potknąć i wywrócić. Powinni zaraz być. Niech pani ściągnie te mokre dżinsy. Zje pani kanapkę z pasztetem?

– Chętnie. Nie jadłam dzisiaj lunchu. Wiedziała pani, że Sol Britt miała przyrodniego brata?

– Nie. Co też pani powie! Zawsze mi powtarzała: „Jak to dobrze, że jesteś, bo nie mam rodzeństwa!”. Moment, muszę policzyć miarki, żeby pani nie poczęstować siekierą. Örjan mówi, że w mojej kawie można łyżkę postawić na baczność.

– A więc nie miała pojęcia o jego istnieniu?

Maja Larsson włączyła ekspres i wyjęła chleb z plastikowego woreczka. W jej ruchach pojawiła się osobliwa rozwaga. Kroiła bochenek powoli, na idealnie równe kromki. Smarowała je masłem i pasztetem, jakby malowała farbami olejnymi.

– To byłoby bardzo dziwne. Ale przecież każda rodzina ma jakąś tajemnicę, czyż nie?

Położyła kanapki przed Rebeką.

– Nic mi nie powiedziała. Ale musiała o tym wiedzieć. W każdym razie po śmierci swojego ojca.

W kieszeni płaszcza Rebeki zabręczał telefon. Maja Larsson się odwróciła, żeby wyjąć kubki z szafki. SMS od Sonii z centrali. „Brat przyrodni Sol Britt Uusitalo. Dane osobowe i fotografia w mejlu”.

Rebeka otworzyła skrzynkę e-mailową.

„Örjan Bäck, 19480914-6910”.

Wstrzymała oddech. Zdjęcie paszportowe ładowało się kilka sekund. Momentalnie rozpoznała bujną, jasną czuprynę.

– Proszę mi przypomnieć... – Rebeka starała się, by jej głos brzmiał naturalnie. – Jak państwo się spotkali, pani i... Örjan?

Shit, zaklęła w duchu. *Shit, shit, shit!*

– To było na wiosnę – powiedziała Maja, stawiając kubki na stole. – Przyszedł do mnie, żeby odczytać wodomierz.

– Ale przecież teraz odczytuje się je samemu.

– Owszem, odczytałam, wysłałam dane. Ale mieli jakąś awarię komputerów

i podobno część danych ulotniła się z systemu. W każdym razie... Stało u mnie zbutwiałe drzewo, które lada moment mogło się zwalić na szopę. Örjan zaproponował, że je zetnie. Tak się spotkaliśmy. Dlaczego...?

Rebeka wstała gwałtownie.

– Marcus! – wykrzyknęła.

Maja właśnie stawiała na stole dzbanek z kawą.

– Boże drogi! Co się z panią dzieje?

– Nie wiem, jak mam to powiedzieć – zaczęła Rebeka. – Ale Örjan... on jest...

W tym momencie ze schowka w przedpokoju doleciał jakiś dźwięk. Stłumiony.

Maja odskoczyła do tyłu, jakby na widok węża. Z jej gardła wydobył się okrzyk zdziwienia.

Rebeka w kilku susach była przy schowku. Otworzyła drzwiczki.

Ze środka wypadł Marcus. Nogi podciągnięte pod brodę. Skrępowane dłonie i stopy. Zaklejone usta. Cały owinięty srebrną taśmą.

Patrzył na Rebeke wielkimi oczami.

Schyliła się, żeby zerwać taśmę z ust chłopca. Nie dało się, klej trzymał jak diabli.

Pewna myśl błysnęła jej w głowie.

Nie. To się nie zgadza. Bo Örjan...

Wzrok Marcusa spoczął na czymś za jej plecami. Rebeka poczuła na karku żelazne palce.

Maja Larsson była zadziwiająco silna. Jedną ręką ujęła Rebeke za kark, drugą zaś pociągnęła za włosy i walnęła jej głową o futrynę. Rebeka podniosła ręce, ale zanim udało jej się zasłonić twarz, poczuła kolejne uderzenie. Po trzecim pole widzenia nagle się skurczyło. Z obu stron zalała je czerni. Rebeka patrzyła na Marcusa jakby przez dziurkę od klucza. Czwartego uderzenia już nie czuła. Jeszcze tylko uginające się pod nią nogi. Bezwolne ramiona.

W końcu się przewróciła. Prosto na Marcusa.

PEWNEGO SIERPNIOWEGO wieczoru 1919 roku Hjalmar Lundbohm spotyka naczelnika policji Björnfoto. Postanawiają zjeść razem kolację w hotelowej restauracji. Zaczynają od śledzia, masła i sera, wódki i piwa. Zamawiają szynkę z Lubeki ze szpinakiem i jajkiem. Piją więcej wódki. Kończą zsiadłym mlekiem z cynamonem, kawą i koniakiem.

Kiedy na stół wjeżdża whisky, są już solidnie wstawieni. Ale rosłe z nich chłopcy i wytrzymałe mają głowy; po raz kolejny przywołują obsługującą ich kelnerkę, pannę Holm. Piją i palą.

Rozmawiają o wojnie, która nareszcie się skończyła. Rozmawiają o nadejściu nowych czasów. Dysponent utyskuje na zarząd spółki, który we wszystko się wtrąca. Każda najmniejsza sprawa musi być poddana pod dyskusję i pod decyzję zarządu. O wszystkim trzeba pisać raporty.

– Jestem człowiekiem czynu – mówi. – Jeśli jest coś do zrobienia, robię to raz-dwa.

Nowe czasy. Jazz i prawo wyborcze kobiet. Wojna domowa w Rosji. Kariera dysponenta dobiega końca, niedługo Lundbohm będzie obchodził sześćdziesiąte urodziny. Panowie zatracają się we wspomnieniach.

Dysponent podejmuje wątek Eliny Pettersson. To przecież nie tajemnica, mówi do naczelnika, że przez rok poprzedzający brutalne morderstwo byli dla siebie kimś więcej niż tylko przyjaciółmi.

Policjant nagle milknie. Lundbohm tego nie zauważa.

– No, ale miała też innych – mówi dalej lekko bełkotliwym głosem.

Widząc konsternację Björnfoto, dodaje:

– Wiem, bo tak wykazało dochodzenie. Nie byłem jedynym kandydatem do ojcostwa.

– Jakie dochodzenie?

– Wasze! Wasze dochodzenie! Poinformował mnie o nim nadsztygar Fasth, zanim sam... To osobna tragedia. Nazbierało nam się smutków i powodów do rozpacz, prawda?

Naczelnik Björnfoto milczy. Milcząc, potrząsa głową. Wpatrzony w szklaneczkę z whisky, bije się z myślami, w końcu jednak postanawia powiedzieć prawdę.

– O ile wiem, nigdy nie miała innego. Jestem natomiast święcie przekonany,

że to nadsztygar Fasth pozbawił ją życia.

Dysponent się otrząsa. Niby pies otrzepujący się z wody. O czym on, do diaska, mówi?

Naczelnik policji spogląda na Lundbohma i myśli: on nie miał pojęcia. Naprawdę o niczym nie miał pojęcia!

Opowiada więc. O koszuli, która leżała w palenisku pieca. O zeznaniu służących.

Skończywszy opowieść, czeka na reakcję dysponenta.

Ale ten siedzi znieruchomiały. Otwarte oczy. Otwarte, milczące usta.

Policjanta ogarnia niepokój.

– Panie Lundbohm – mówi. – Panie Lundbohm! Co się z panem dzieje?

Ale dysponent stracił mowę. Nie może się podnieść z krzesła.

Naczelnik Björnfot przywołuje kelnerkę. Jedna z pomocy kuchennych biegnie po lekarza, podczas gdy kilku gości restauracyjnych pomaga przenieść chorego na łóżko panny Holm.

– On nie jest pijany – zapewnia policjant. – Widziałem go kiedyś pijanego, więc wiem. Proszę na niego spojrzeć. Przecież on próbuje coś powiedzieć!

Kiedy w końcu przybywa lekarz, Hjalmar Lundbohm odzyskuje mowę i staje na nogach o własnych siłach.

Doktor podejrzewa zatrucie nikotynowe i przerost mięśnia sercowego. Zaleca zachować umiar w picciu.

– To ostatnie dotyczy również władz porządkowych!

ŚWIADOMOŚĆ NADPŁYWA falami. Ktoś krzyczy. Głowa rozpada się z bólu na dwie części. Kiedy Rebeka próbuje wciągnąć powietrze w płuca, odkrywa, że nie może oddychać przez nos. Jakby ktoś jej przykleił do twarzy grudę gliny. Zatkął drogi oddechowe.

Nie rusza się, czuje bowiem ogarniające ją mdłości.

Ktoś nad nią krzyczy w mroku. Mężczyzna.

– Nie, nie! Tego nie było w planach!

Rebeka leży w jakiejś dziwnej pozycji; nogi wysoko uniesione, ręce na

plecach.

Najpierw pojawia się mglista myśl: złamałam się wpół. Pękł mi kręgosłup.

Później kobiecy głos. Maja Larsson.

– Ciii... To ostatni raz. To wszystko dla ciebie, kochanie. Spokojnie. Jak tylko przestawisz jej samochód...

– Nic nie będę przestawiał! Nigdy niczego nie obiecywałem. Rozumiesz?

– Okej, okej, ja go przestawię. Wszystkim się zajmę. Spokojnie. Usiądź. Przestań chodzić w kółko. Tylko spokojnie.

Nie, to nie złamany kręgosłup. Raczej ręce związane z tyłu. I głowa rozsadzana bólem, który promieniuje od karku. Rebeka wstrzymuje oddech. Nasłuchuje odgłosów Marcusa.

Leżeć cicho. Nie wymiotować. Nie ruszać się. Inaczej Maja znów ją walnie w głowę.

Odgłos butelki stawianej na stole. I czegoś jeszcze. Szklanki?

– Proszę bardzo – mówi Maja. – Na uspokojenie. Zaraz wracam.

– Co chcesz zrobić? Dokąd się wybierasz? Nie możesz mnie tu tak zostawić.

– Przestawię jej samochód. Małego włożę do łodzi, a potem ją wywrócę. Ot, zwykle utonięcie. Dla niej przyniosę plandekę i ciężarki.

– Miałem nie być w nic wplątany. Obiecałaś!

– Przepraszam. No, ale przecież nie musisz nic robić.

Słumiony głos. Jakby mówiła z ustami przy jego włosach.

– Wytrzymaj jeszcze trochę. To już prawie koniec. Wkrótce będziesz miał wszystko. Przez resztę życia będziesz mógł robić, co ci się zamarzy. Będziesz mógł pojechać, dokąd tylko zapragniesz. A jeżeli chcesz mojego towarzystwa...

– Tak, chcę. Musisz!

– ...to pozostanę u twojego boku.

Kroki po skrzypiącej podłodze. Drzwi. Które się otwierają. Które się zamykają.

Odgłos szklanki przesuwanej po stole. Odgłos odkręcanej metalowej zakrętki. Odgłos lejącego się płynu.

Czy już poszła? – zastanawia się Rebeka. Czy jest sam? Tak, raczej tak.

Gdybym tylko potrafiła zrozumieć, myśli, walcząc z uczuciem, że znów odpływa w nieświadomość. Czarna wyzwalająca otchłań, jak powtarzające się uderzenia serca. Ułamki sekund, które nie są pulsującym bólem. Ciało chce się poddać. Osunąć w niebyt.

Nie! – protestuje w duchu Rebeka. Głośno zaś mówi:

– Ona pana zabije.

Wypowiadając te słowa, otwiera oczy.

Partner Mai siedzi przy kuchennym stole. Wzdrygnąwszy się, wbija w nią wzrok.

– Örjan... – zwraca się do niego prokurator Martinsson.

Nos ma spuchnięty. Z trudem wypluwa na podłogę krew i śluz, spływające do gardła.

– Ona cię zabije.

– Gównu prawda! Zamknij się, bo rozwalę ci łeb.

Oddech Rebeki jest płytki, urywany.

– Łeb mam już rozwalony – wyrzuca z siebie. – Przecież tego nie chciałeś. Chciałeś zabić dziecko?

Mężczyzna wali pięścią w stół. Wybija takt wykrzykiwanych słów.

– Cicho! Cicho, cicho! Ona robi to wszystko dla mnie. Rozumiesz, dla mnie! Dlaczego miałaby mnie zabić? Wówczas nie dostanie ani grosza.

Odsuwa szklanę, podnosi butelkę do ust i wlewa w siebie jägermeistera.

– Kuzyni ustawowo nie dziedziczą – oznajmia, jakby wygłaszał wyuczoną lekcję. – Sol Britt i Maja były kuzynkami.

– Tak, ale dziedziczą ciotki. Mama Mai jest ciotką Sol Britt. Przemyśl to sobie. Gdyby Sol Britt żyła, dostałbyś połowę spadku. To bardzo dużo pieniędzy. Maja zaś nie dostałaby nic. Na początku miała cierpliwość. Minęły trzy lata, odkąd śmiertelnie potrafiła syna Sol Britt.

– To był wypadek. Ona nie miała z tym nic wspólnego.

– Oj, Örjan. Myślę, że miała. Mogła sobie pozwolić na czekanie. Wszystko pozorowała na nieszczęśliwy wypadek. Ale później czas zaczął ją naglić i... jak się spotkaliście?

– Gównu cię to obchodzi – odpowiada mężczyzna. Wyciera rękawem czoło

i górną wargę.

Nie mam dużo czasu, myśli Rebeka. Maja zaraz wróci.

– Sądzę, że w jakiś sposób starała się o twoje względy – mówi coraz szybciej. – To nie był przypadek. Mnie powiedziała, że przyszedłeś odczytać wodomierz. Później będzie twierdziła, że ją oszukałeś i wykorzystałeś, żeby dotrzeć do Sol Britt i Marcusa. Ale pomyśl. Dlaczego nagle zaczęło jej się spieszyć? Parę miesięcy temu zabiła ojca Sol Britt, a teraz Sol Britt i... Marcusa nie, bo uciekł. Wiesz, skąd ten pośpiech?

Örjan Bäck milczy. Zaczesauje włosy do tyłu, nie odrywa wzroku od Rebeki. Coś czai się w jego oczach.

Strach, myśli Rebeka.

– Matka Mai jest umierająca – wyjaśnia. – Stąd ten pośpiech. Maja kombinuje tak: kiedy na świecie nie będzie już ani ciebie, ani Sol Britt i Marcusa, jedyną spadkobierczynią zostanie jej matka. Ciotki dziedziczą. Matka ma raka wątroby. Nie zostało jej dużo czasu. Może tylko kilka dni. Maja cierpliwie ją karmi. Rozumiesz? Maja postanowiła pozbyć się was wszystkich, żeby jej mama dostała spadek po Sol Britt. Później, kiedy matka umrze, spadek przypadnie Mai. Ona chce zgarnąć wszystko!

– To są tylko...

Głos Örjana zamienia się w szept.

– Już dawno by cię zabiła, gdybyś jej nie był potrzebny. Myślę, że jesteś jej planem awaryjnym.

– Ona mnie kocha – mówi mężczyzna, ściskając w dłoni pustą szklanekę.

– Rozumiem – odpowiada Rebeka i na moment zamyka oczy. – Ja też myślałam, że Maja naprawdę mnie polubiła. Znała moją mamę. W każdym razie tak twierdzi. Czy to nie dziwne? Prawie się zaprzyjaźniłyśmy. Błyskawicznie.

Słup bólu wznoszący się wzdłuż kręgosłupa. A jeśli to krwotok wewnętrzny? W głowie?

– Myślę, że Maja chce cię obciążyć winą. Musiała się strasznie zdziwić, kiedy dowiedziała się o twoim istnieniu. Może wspomniała jej o tobie Sol Britt? Marcus i ja... Tego nie da się ukryć. Ślady mojej krwi zostaną tu na zawsze. Moje włosy. Obrażenia na ciele chłopca zdradzą, że to nie był zwykły wypadek. Myślę, że ona przyniesie teraz jakieś narzędzie, które trzymałeś w rękach. Łopatę, pogrzebacz, cokolwiek. Najpierw zabije nim nas.

Potem zabije ciebie i powie, że zrobiła to w obronie własnej. Chciała, żebyś przeparkował mój samochód. Teraz, gdy odmówiłeś, podłoży tam coś od ciebie... Coś z twoimi śladami. Wystarczy kropla potu. Włos. DNA.

Örjan chwyta się za głowę. Nagle wstaje i sprawdza półkę na kapelusze. Rozgląda się dokoła, omiata spojrzeniem podłogę i stół.

Później znów zatrzymuje wzrok na Rebecce, która mówi:

– Ona jest bystra.

Mężczyzna potwierdza skinieniem głowy.

– Frans Uusitalo... – odzywa się. – Wzięła strzelbę z chatki któregoś z myśliwych polujących na łosie. Później odstawiła ją na miejsce. Zawsze podejrzewałem...

Znów wyciera twarz rękawem.

– ...że jest zbyt dobra, żeby była prawdziwa. Piękna i mądra.

I zimna, i wyrachowana, dodaje Rebeka w duchu. Z niego też niezły odklejeniec. Ale każdy chce jakoś żyć.

– Ty nic nie zrobiłeś – mówi. – Rozwiąż mnie. Nie chcesz być wplątany w tę historię. Przed chwilą to powiedziałeś.

Örjan przestępuje z nogi na nogę. Kołysze się jednostajnie.

– I co teraz? Co mam teraz zrobić?

– Nie wytrzymasz, jeśli coś się stanie Marcusowi – marudzi Rebeka. – Jesteś niewinny, Örjan. I już teraz jesteś bogatym człowiekiem. Te akcje są warte miliony. Połowa należy do ciebie.

– Kurwa – łamie mu się głos. – Kurwa, kurwa!

Nie przestając przeklinać, wyjmuje z szuflady nóż kuchenny i rozcina taśmę krępującą nogi i ręce prokuratorce.

Rebeka podnosi się z mozołem. Oparta na dłoniach i kolanach. Mroczki fruują jej przed oczami. Niedowidzi po prawej stronie.

Staje na nogach. Przytrzymuje się ściany. Teraz widzi Marcusa. Cały czas leżał za nią.

Chłopiec patrzy jej w oczy, o, dzięki! Patrzy jej w oczy!

– Uwolnij go – prosi Örijana.

W tej samej chwili rozlega się sygnał SMS-a. Mężczyzna wpatruje się w

wyświetlacz swojego telefonu.

– Ona zaraz tu będzie – mówi tylko.

NADCHODZI ZMIERZCH. HJALMAR LUNDBOHRM traci wszystko. Traci majątek. Oddaje w zastaw akcje, a pożyczone pieniądze lokuje w kolejne akcje. Następuje gwałtowny spadek kursów i to jest początek końca. Wiosną 1925 roku jego długi wobec czterech banków i jednej osoby prywatnej wzrastają do trzystu dwudziestu tysięcy koron. Dysponent musi przekazać wierzycielom wszystkie papiery wartościowe oraz zaliczkę na poczet emerytury. Zastawia całą kolekcję obrazów.

Traci zdrowie. Coraz częściej nękają go zawroty głowy. Pogarsza mu się pamięć. Skarży się na bóle.

Traci przyjaciół. Nie stać go na wystawne kolacje, mieszka kątem u brata Sixtena. Ton pisanych przez niego listów jest zrzędlawy. Lundbohm narzeka na bóle, schorzałe kolana i rygorystyczną dietę; lekarz zabrania mu wszystkiego oprócz jarzyn i wody mineralnej.

Odpowiedzi przyjaciół – najczęściej na pocztówkach – są zdawkowe i przychodzą coraz rzadziej.

Nadchodzi zmierzch. Ale Hjalmar Lundbohm musi zrobić jeszcze jedną rzecz. Jedną rzecz, zanim zapadnie całkowita ciemność.

REBEKA CHWYTA Marcusa za kurtkę i wyciąga z domu. Jak daleko jest Maja? W najlepszym razie wysłała SMS-a, kiedy była jeszcze po drugiej stronie torfowiska.

Jeśli ruszą w kierunku mokradła, z pewnością ją spotkają. Lepiej więc uciec lasem, w górę rzeki, a później skręcić ku szosie. Obejść torfowisko.

Na dworze jest ciemno, ale nie całkowicie czarno. Zbyt jasno świeci księżyc na gwieździstym niebie. Plamy śniegu lśnią jak kałuże cyny. Uciekinierów widać dość wyraźnie. Za parę minut Maja podąży ich śladem.

Rebeka porusza się zbyt wolno. Idąc tyłem, wlecze chłopca, byle tylko oddalić się od chatki. Ciężko jej. Trzęsą jej się nogi; w głowie dudni, jakby ktoś walił młotem w kowadło.

Z wdzięcznością myśli o szumie bystrzyny, zagłuszającym wszystkie inne

dźwięki. Łamane pod stopami gałązki. Przyspieszony, głośny oddech.

Stara się unikać śniegu. Nie może zostawiać śladów. Jeśli tylko uda jej się zaszyć w lesie, poszuka kryjówki. Wyśle SMS-a z prośbą o pomoc.

Wypatruje oczy. Nagle między drzewami, na ścieżce, zaledwie sto metrów dalej, rozbłyskuje światło latarki.

Dziesięć kroków i kilka sekund wytchnienia. Spokojnie, spokojnie. Kolejne dziesięć kroków, coraz cięższy Marcus, oddech. Tak daleko, jak tylko się da. W końcu dociera do wysokich świerków. Drzewa są czarne i rosochate. Na mchu ścielą się ich długie, księżycowe cienie. Rebeka jest dość dobrze osłonięta. A Maja musi najpierw wejść do chatki.

Wtem coś odrywa się od ciemności. Strach ściska Rebecę pierś. Dławi krzyk. Mija pół sekundy i już wiadomo.

Vera.

Suka nadbiega tanecznym krokiem. Obwąchuje pospiesznie Marcusa i przyłącza się od uciekinierów, jakby chodziło o najzwyklejszy spacer po lesie.

Boże drogi, zapomniała o Verze!

Nie może ukryć i dziecka, i psa. A Vera nie reaguje nawet na komendę „leżeć”.

– Uciekaj – szepcze do niej i przez chwilę przytrzymuje Marcusa tylko jedną ręką, żeby drugą odgonić zwierzę.

Suka staje. Nasłuchuje, zwrócona w stronę chatki.

Rebeka nic nie słyszy. Ale widzi światło latarki kierowane we wszystkie strony.

Wlecze Marcusa jeszcze dalej.

Spogląda przez ramię, by sprawdzić, dokąd zmierza. Ciągnie chłopca przez suche gałęzie, między kamieniami. Szuka miejsca, w którym mogliby się ukryć. Jakiegoś zagłębienia, które można by zasłonić chrustem i mchem. Gęstego świerku. Czegokolwiek, czegokolwiek!

Patrzy w kierunku chatki. Latarka błądzi w tym samym miejscu, by po chwili odrobinę się przybliżyć. Snop światła jeszcze raz omiata wszystko dokoła. I znów jest o krok bliżej.

Upłynie kilka sekund, zanim Rebeka zrozumie, co to znaczy. Maja odnalazła ślady Very. Suka nie unikała resztek śniegu. Maja podąża jej tropem.

Odnalezienie kolejnej plamy ze śladami łap zajmuje trochę czasu, ale Rebeka z Marcusem poruszają się znacznie wolniej.

Prokuratorka patrzy na Verę i tłumi płacz.

Znikaj stąd, cholerny, głupi psie, myśli.

Ale pies nie znika. Idzie za nimi. Drepcze w mokrym śniegu. Zostawia ślady.

Rebeka osuwa się na ziemię. Klęczy bezsilna obok Marcusa. Nie mają szans. Nie zdołają uciec. Równie dobrze mogą się tu położyć. Poczekać, aż przyjdzie ciemność.

– Wybacz mi – szepcze. – Nie dam rady.

Wyciąga telefon. Trzyma go tuż nad ziemią, niepewna, jak bardzo widoczny jest wyświetlacz. „Domki rautas”, pisze, „uwaga groźna maja”. Wysyła SMS-y do Kristera i Anny Marii.

Usiłuje zerwać taśmę krępującą nogi i rękę chłopca, ale bezskutecznie. Udaje się jej tylko odciągnąć taśmę zaklejającą jego usta. W ten sposób ułatwia chłopcu oddychanie.

Myśli gorączkowo. Jeżeli ukryje Marcusa. Przykryje go gałęziami. A potem pójdzie dalej z Verą. Wkrótce i tak zabraknie jej sił. Czy w ogóle jest w stanie ustać na nogach? Prędeż czy później Maja ją dogoni. A potem Vera doprowadzi Maję do Marcusa. To tylko naiwny wiejski kundel.

Nie da się. Nie da się.

Albo? Tak! Jest sposób. Potworny sposób.

– Chodź tutaj – przywołuje Verę i rozgląda się za czymś twardym: kamieniem, konarem.

Jest. Suchy konar.

Podnosi go i ponownie wabi psa.

– Chodź, maleńka – mówi.

I Vera przychodzi.

PEWNEJ MARCOWEJ NIEDZIELI 1926 roku Kruszka wraca do domu z nabożeństwa. Frans Olof ma dziesięć lat. Idzie obok jak dorosły, trzymając ją

pod rękę. Johan Albin nigdy nie postawił stopy w świątyni, ale chłopiec wiernie towarzyszy mamie, mimo że raczej nie przykłada wagi ani do kazania, ani do cudownej muzyki w kościele Armii Zbawienia.

Może bardziej ceni samą wędrówkę przez Luleå, kiedy oboje mają czas na rozmowę o rzeczach małych i wielkich. Może lubi niedzielne wyprawy, ponieważ w drodze powrotnej czasami zachodzą do kawiarni Norden. A może chodzi z mamą do kościoła, ponieważ domyśla się, jak dużo to dla niej znaczy. Powoduje się miłością.

Przed ich domem przy Lulsundsgatan stoi mężczyzna. Kruszka rozpoznaje go dopiero po dłuższej chwili, mimo że z daleka wyglądał znajomo. Dysponent Lundbohm. Jak on się postarzał! Zwiotczała skóra na twarzy, zgarbiona sylwetka. Przytrzymuje się słupa furtki niczym prawdziwy staruszek.

Kruszka czuje, jak zaczyna jej walić serce. Może dlatego chwyta Fransa za ramię, bo chłopiec spogląda na nią z niepokojem.

– Co się stało, mamó? – pyta.

Ale ona nie odpowiada; są już przy bramie.

Hjalmar Lundbohm ostrożnie stawia kilka kroków do przodu. Obawia się, że znów dopadną go zawroty głowy. Boi się, że upadnie. Na krzewie obok siedzi chmara ćwierkających wróbli.

Dysponent próbuje zachować spokój, choć to nie takie proste, kiedy widzi się przed sobą syna. Żywe odbicie matki. Ta burza jasnych loków na głowie! Zazwyczaj akuratna Kruszka tym razem zezwoliła na dłuższą czuprynę. To zrozumiałe; chłopiec wygląda jak anioł.

Ma też coś z Hjalmara. Przede wszystkim oczy. Ich opadające zewnętrzne kąciaki nadają twarzy wyraz lekkiego zafrasowania.

– Dzień dobry! – wita się Lundbohm i momentalnie milknie, ponieważ o mały włos nie zwrócił się do Kruszki po imieniu. A przecież od dawna nie jest jego gosposią, a on nie potrafi sobie teraz przypomnieć jej nazwiska.

Kruszka odwzajemnia się chłodnym „dzień dobry”, Frans zaś – ukłonem.

– Mój chłopcze – wyrywa mu się. – Znałem twoją matkę...

Frans spogląda niepewnie na Kruszkę.

– O co temu panu chodzi? – pyta.

– O nic mu nie chodzi – ucina ostro Kruszka, wpatrzona w oczy

Lundbohma. – Jegomość jest stary, schorowany i z pewnością osamotniony, odkąd przestał być dysponentem. Mam rację? I nagle chciałby dostać to, o co nigdy się nie troszczył!

Hjalmar Lundbohm nie potrafi się zdobyć na ripostę. Przyciska do piersi dużą, grubą kopertę.

– Że też ma czelność tu przychodzić! – wyrzuca z siebie Kruszka. – Po tylu latach!

Przerywa, by zaczerpnąć tchu. Teraz nareszcie mu wygarnie! Nogi ma zupełnie proste. Nic w niej nie rwie się do dygania.

– Coś panu powiem. Myślałam o panu. Właśnie dzisiaj! Bo w dzisiejszym kazaniu pastor mówił o Molochu. O bożku, któremu ludzie dla bogactwa poświęcali dzieci. Kiedy tak siedziałam w ławce, pomyślałam sobie, że przecież wiadomo, co to za ludzie. Tacy jak pan. Właśnie tacy jak pan! Zależało panu na tym, żeby olśniewać. Przyjaciele artyści, szlachetni panowie i dobrze urodzone panie. Ale cały ten blask rozsypał się teraz w popiół. I może pan żałować. Bo ona, ona była naprawdę! Kochała pana! Tylko że ona, choć ładna, nie była dla pana wystarczająco dobrą partią. Nie tak świetną jak pani Larsson.

Hjalmar Lundbohm mruga nerwowo oczami. Przyłapany na gorącym uczynku.

Karin była u niego w Kirunie częstym gościem. Jej mąż, Carl, nigdy z nią nie przyjeżdżał. A jej listy przez pewien czas były takie ciepłe! „Niekiedy wydaje mi się, że jest pan jedyną osobą na świecie, która naprawdę mnie rozumie”, napisała kiedyś. Czytał to zdanie wielokrotnie, raz po raz. Później jednak między nią a Carlem się polepszyło, a teraz Karin prawie w ogóle nie pisze, choć mąż od lat nie żyje. Kiedy Hjalmar kiedyś jej to wypomniał, odpowiedziała, że ma mnóstwo roboty przy dzieciach i wnuczętach.

– Czyż nie? – krzyczy Kruszka tak przeraźliwie, że Frans, przerażony, szepce: „mamo!” i ciągnie ją za rękaw płaszcza.

– Uwielbiałam ją nieskończenie – mówi dalej Kruszka. – Jej brzmienie głosu, kiedy czytała. Sposób, w jaki traktowała dzieci w szkole. I nigdy nie dała mi odczuć, że jestem służącą.

– Ja chyba też nie dałem Kruszce odczuć, że jest mniej warta – wybucha dysponent na swoją obronę. – A jeżeli chodzi o nią...

Żadne z nich nie wymawia imienia Eliny. Chłopiec patrzy wielkimi oczyma to na mamę, to na nieznanomego.

– ...to dał jej pan odczuć, że jest kimś jeszcze gorszym – przerywa mu Kruszka. – Zostawił ją pan z...

Zerka na Fransa. I modli się do Boga, by chłopiec nie zrozumiał.

Twarz Lundbohma przybiera barwę spopielalego papieru. Kruszka milknie.

– Czy pastor w parafii Kruszki... – odzywa się cicho dysponent – czy w swoich kazaniach wspomina czasami o przebaczeniu?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, podaje jej kopertę.

– Proszę. Ogołocoło mnie z pieniędzy. Ale nie wszystko mi odebrano. To są udziały w zagranicznej spółce, nikt zatem nie wie, że...

– Niczego od niego nie potrzebuję! Mamy pracę i dajemy sobie radę.

Hjalmar wręcza więc kopertę Fransowi.

Chłopiec posłusznie ją przyjmuje, kiedy nieznajomy nalega, machając mu nią przed nosem.

– Niech pan stąd idzie! – mówi ostro Kruszka. – Proszę natychmiast odejść! Nic tu po panu. Nie naniszczył pan wystarczająco dużo? Nie uczynił pan wystarczająco dużo złego? Wynocha!

A potem wciąga chłopca do bramy.

Hjalmar Lundbohm przechodzi na drugą stronę ulicy. Czeka tam na niego dorożka, która ma go zawieźć z powrotem na stację kolejową.

No, serce ty moje, mówi bezgłośnie, kiedy woźnica zamyka za nim drzwi. Spełniłś moją prośbę. Bij jeszcze tak długo, bym zdążył stąd wyjechać. Potem już niczego od ciebie nie będę wymagał. Jedyne, czego pragnę, to móc cofnąć czas. A jeśli to niemożliwe, to nic już nie ma znaczenia.

Gdy tylko wchodzi do bramy, Kruszka odbiera Fransowi kopertę. Na pytania chłopca o nieznajomego odpowiada: „nikt” i „nic”. Później prosi go, by ani słowem nie wspominał ojcu o tym zdarzeniu.

Już w mieszkaniu zagląda do koperty. Widzi list od Lundbohma i trzy arkusze z nagłówkiem „Share Certificate Alberta Power Generation”.

Rozpalając w piecu, myśli, że powinna wrzucić to wszystko do ognia. Ale najpierw nastawia kawę. Później słyszy na schodach kroki Johana Albina. Wtedy pospiesznie chowa kopertę w sekretarzyku, wśród innych papierów.

I koperta już tam zostaje.

REBEKA KLĘCZY w lesie i płacze. Jedną ręką trzyma Verę za obrozę, w drugiej ma grubą gałąź.

Księżyc jest jak zimna biała bogini na czarnym niebie. A nieopodal światło latarki omiata krzewinki bruszniczy i wrzосу, resztki śniegu i ślady psa. Maja systematycznie podąża w kierunku uciekinierów.

Marcus albo Vera, myśli Rebeka. Nie ma czasu do namysłu.

Położyła chłopca obok siebie, odwróciła go w drugą stronę. Nie powinien tego widzieć.

– Moja śliczna dziewczuszko – mówi do suki stłumionym głosem.

Przykłada pokaleczoną twarz do jej czaszki, przyciska czoło do gładkiej głowy i miękkich uszu. Całuje ją w pysk, choć nędzny to pocałunek. Usta Rebeki są popękane i zakrwawione.

Vera nie protestuje. Trzymana za obrozę, nie może się wymknąć. Zresztą nawet nie próbuje. Siada na zadzie.

– Wybacz mi – głos Rebeki się łamie. – Jesteś najpiękniejszym psem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Przełyka ślinę.

Do trzech, myśli. Raz...

Może na nią czeka? Ten uparty, samotny wariat, jej pierwszy właściciel.

Dwa...

Teraz znów będą mogli włóczyć się po bezdrożach. Rebeka niemal widzi, jak Vera biega wokół niego; słyszy jej radosne szczekanie.

Trzy. Uderza z całej siły w miejsce, gdzie czoło przechodzi w kufę.

Nigdy nie byłaś moja, myśli. Ale i tak cię kocham.

Vera osuwa się bezwładnie na jej stopy; łapy lekko drżą. Rebeka wypuszcza obrozę z dłoni. Powinna uderzyć jeszcze raz, lecz nie potrafi się przemóc. Po prostu nie może.

Gałąź wypada jej z ręki. Palce zanurzają się w sierści. Zostaw ją. Uciekaj. Już!

Jeszcze zapłaczesz. Ale nie teraz. Nie teraz! Podnieś się! Wstawaj!

Chwyta Marcusa. Zbawienny ból przeszywa jej głowę i twarz, kiedy wlecze

go między drzewami, po mchu i suchych krzewinkach. Przenosi go nad wystającymi korzeniami.

Znów zaczynają jej drżeć ręce i nogi. Czuje, jak opuszczają ją siły. Nie przejdzie ani metra dalej. Kładzie Marcusa pod świerkiem. Przykrywa go zgarniętym wokół chrustem.

– Musisz być cicho – szepce mu do ucha. – Cokolwiek by Maja powiedziała. Ani mru-mru, dobrze? Zaraz przyjdzie policja i nas uratuje. Krister, okej? Czekamy na Kristera.

Wydaje jej się, że chłopiec kiwa głową w ciemności.

Powinna teraz odejść? A jeśli Marcus ze strachu zacznie coś mówić, płakać? Nie może się zdecydować. Brakuje jej sił. W końcu pada na ziemię.

Pod jej powiekami biegnie Vera. W charakterystyczny dla siebie sposób, na trochę ugiętych łapach. Wzdłuż suchej, zakurzonej drogi. Wskakuje do rowu, by po chwili znów się z niego wyłonić. Świeci słońce i Vera gna teraz przez łąkę, która przypomina falujący, kwiecisty welon. Kołyszą się bodziszki, jaskry i purpurowa koniczyna. Widać zaledwie jedno podniesione ucho suki.

Jak bardzo można kochać psa? – zastanawia się Rebeka. Mam nadzieję, że przy mnie czułaś się wolna.

Ostatnie myśli spływają ze łzami w zimny mech.

Marcus Dziki Pies czuje, jak Rebeka przestaje się trząść. Wie, że płakała i że już nie płacze. Porusza ramionami tak długo, że w końcu odrywa je od nóg. Ale dłonie nadal są skrepowane. Całe szczęście, że Dziki Pies ma ostre zęby. Odnajduje koniec taśmy i wkrótce udaje mu się ją zerwać.

Słyszy teraz znajomy głos. Choć woda tak huczy. Maja jest już blisko. Światło latarki pełza po ziemi. Dziki Pies musi zasłonić usta łapą. Ale najpierw rozciąga czarny szal Rebeki na jej twarz i białą rękę. Teraz są prawie niewidoczni.

– Rebeka! – woła Maja, błyskając latarką na wszystkie strony. – Nie spodziewałam się tego po tobie. Z zimną krwią!

Latarka się cofa. Dziki Pies nie ma odwagi spojrzeć w jej kierunku. Ale boi się leżeć z zamkniętymi oczami.

Głos nadlatuje z ciemności. Widać tylko ruchomy snop światła. Czasami skierowany prosto na nich. Wtedy Dziki Pies wstrzymuje oddech, choć Maja jest już daleko. Czasami dostrzega jej sylwetkę w blasku księżyca. Wygląda jak duch.

– Rebeka! Możemy się podzielić. Jesteś córką Virpi. Nigdy bym... chyba rozumiesz?

Latarka nieustannie się pali. Przez jakiś czas jest bardzo daleko, potem znów się zbliża. Maja ponownie zaczyna nawoływać. Tym razem zwraca się do niego.

– Marcus? Dziki Pies! Niepokoję się o Rebeke. Czy jest z tobą?

Latarka wróciła do miejsca, w którym zostawili Verę. Maja zatacza koło. Po chwili jeszcze większe koło. Oświeśla kamienie i ziemię pod drzewami.

– Czy Rebeka zemdląca? – woła. – Krwawi? Jeśli nie pojedzie do szpitala, to może umrzeć!

Dziki Pies lęka się nie na żarty.

– I to będzie twoja wina, Marcus.

Maja ma taki zagniewany głos. Dziki Pies patrzy na Rebeke. Zemdląca, i to bardzo. Może umrzeć.

Powinien się odezwać? Rebeka powiedziała, żeby siedział cicho, ale to było przed tym, zanim zemdląca.

Otwiera usta, żeby krzyknąć, ale nie wychodzi z nich żaden krzyk. Przecież obiecał.

I właśnie wtedy, kiedy boi się tak bardzo, że nie może dłużej powstrzymać płaczu, właśnie wtedy w lesie zapala się ogromna lampa. Dwie lampy. Trzy.

Dziki Pies słyszy głos Kristera.

– Marcus! – woła. – Rebeka!

Myśliwy Maja gasi latarkę i znika między drzewami.

Marcus głaszcze Rebeke. Będzie dobrze. Dziki Pies siedzi cicho. Bawił się z Kristerem w chowanego, to wie. A Krister na pewno ma ze sobą Tintin. Zaraz go znajdą. Wszystko będzie dobrze.

HJALMAR LUNDBOHRM umiera nad ranem w niedzielę wielkanocną 1926 roku. Lekarz był u niego poprzedniego wieczoru. Posłuchał serca i szybkiego, nieregularnego oddechu. Oznajmił, że teraz to już kwestia godzin. Podczas tej krótkiej wizyty Hjalmar nie odzyskał świadomości.

Pożegnawszy się z medykiem, Sixten powrócił do fotela przy łóżku. Przez chwilę trzymał brata za rękę. Później trochę czytał. Zasnął na siedząco. Książka wysunęła mu się z dłoni i spadła na podłogę.

O wpół do piątej rano Hjalmar po raz ostatni otwiera oczy. Sixten śpi w fotelu. Jego głowa zwisa niby zwiędły kwiat. Okulary leżą na kolanach.

Na skraju łóżka przysiada Elina. Pochyliła się nad Hjalmarem, całuje go w twarz i zaraz wstaje.

Wyciąga za nią ręce niczym topielec. Nie chce, żeby go tu zostawiła.

– No, chodź – mówi Elina z uśmiechem, jakby zdziwiona, że on wciąż jeszcze leży.

I wówczas Hjalmar wychodzi ze swego ciała z taką lekkością!

Zrobiwszy krok, opuszcza dom brata.

Jest przedwiośnie. Nad zaśnieżoną Kiruną świeci słońce.

Elina idzie przodem. Z koka na głowie nieustannie wymykają się jasne loki. Hjalmar ją dogania. Nie widać po niej żadnego smutku, żadnej nienawiści, żadnego rozczarowania. A mimo to Hjalmar czuje ukłucie w piersi.

– Przepraszam – mówi. – Przepraszam cię, Elino!

Zatrzymuje się, zdziwiona.

– A za co? – pyta.

Hjalmar uświadamia sobie, że nie pamięta. Odwraca się, jakby chciał sprawdzić, czy pamięć nie wypadła mu z kieszeni, czy nie leży gdzieś na ulicy. Ale nic tam nie ma.

A później już tylko śnieg, słońce i roześmiana nauczycielka, którą Hjalmar bierze pod ramię i już nigdy nie zamierza jej wypuścić. I drżące przeczucie wiosny, która – zaczajona pod bielą – tylko czeka, by wybuchnąć w całej swej cudowności.

ANNA MARIA MELLA wyszła na szpitalny korytarz po jeszcze jedną kawę. Kiedy wróciła, Rebeka otworzyła oczy. Leżała w łóżku, podłączona do kroplówki, wpatrzona w lampę u sufitu.

– Hej – odezwała się ostrożnie policjantka.

Rebeka odwróciła głowę. Wpiła w Annę Marię oczy czarne jak zimowa woda.

– Marcus? – zapytała.

– W porządku. Ten cały Örjan sprzął go do nieprzytomności, więc chłopiec zostanie tutaj przez noc. Ale tylko na obserwacji. Teraz śpi.

Anna Maria przysiadła na skraju łóżka i pogłaskała Rebeke, tak jak zwykła głaskać swoje dzieci, kiedy były chore.

– Możesz mówić?

– A Maja? – szepnęła prokuratorka.

Anna Maria wciągnęła powietrze.

– Tintin ją wytropiła. Maja biegła przez las, ale pożyczaliśmy quada stojącego przed jednym z domków i szybko ją dogoniliśmy.

Rebeka skinęła głową. Kiedyś widziała, jak Tintin stoi na macie antypoślizgowej na platformie czterokołowca i wskazuje nosem w odpowiednim kierunku.

– Gdy już byliśmy tuż-tuż, wskoczyła do wody – mówiła dalej policjantka. – Wypłynęła na sam środek.

Zajrzała do kubka; na jej twarzy pojawił się grymas.

– Sama rozumiesz. Rwały nurt i zero stopni. Nie dała rady. Rzeka wyrzuciła ją na ląd jakieś dwadzieścia metrów dalej. Tintin od razu znalazła ciało.

Wypiła łyk kawy. Przypomniała sobie, jak stała nad brzegiem z ręką na broni, podczas gdy Krister prowadził resuscytację i za nic nie chciał jej przerwać. Poświęta księżyc. Mokre kamienie. Czarna rzeka. Telefoniczny raport Sven Erika: ratownicy z noszami są już na miejscu, Rebeka żyje.

– Masz siłę opowiedzieć?

– Istnieje spadek – zaczęła Rebeka i odchrząknęła – po Fransie Uusitalo. Stare akcje, przekazane mu przez Hjalmara Lundbohma. Ponieważ są opatrzone jego imieniem i nazwiskiem, stanowią wartość tylko dla niego i jego prawowitych spadkobierców. Nie wiem, jak było w rzeczywistości, ale myślę, że Frans Uusitalo albo Sol Britt poprosili Maję Larsson, żeby sprawdziła, czy te papiery są coś warte. A może Maja zaproponowała to sama.

– I są warte?

– Miliony.

Anna Maria gwizdnęła, choć niemal bezgłośnie.

– Sądzę – mówiła dalej Rebeka – że Maja ich oszukała. Powiedziała, że akcje są bezwartościowe, a potem uzbroiła się w cierpliwość. Pomyślała, że spadkobiercy mogą zginąć w wypadkach. Że między jedną a drugą śmiercią upłynie dużo czasu. Kiedy się dowiedziała, że Sol Britt ma przyrodniego brata, może chciała się go pozbyć od razu. Ale później wpadła na pomysł, że jeśli zachowa go na koniec, to zdobędzie perfekcyjnego kozła ofiarnego, gdyby coś nie wypaliło. Gdyby policja odkryła, że nie chodziło o nieszczęśliwe wypadki.

Zrobiła pauzę. Język kleił się do podniebienia. Głowa już nie pękała. Ciekawe, co jej zaaplikowali. Anna Maria wstała i przyniosła Rebecce plastikowy kubeczek z wodą.

– Maja nie mogła dziedziczyć po Sol Britt; były kuzynkami. Ale jeśli nie ma dzieci ani wnuków, ani rodzeństwa, ani zstępnych rodzeństwa i tak dalej, to do spadku może zostać powołane rodzeństwo rodziców. Mama Mai była ciotką Sol Britt.

– Zaczęła więc od syna Sol Britt.

– Tak. Wtedy jeszcze jej się nie spieszyło. Ale gdy się okazało, że jej matka ma raka, czas zaczął naglić. Zastrzeliła Fransa w lesie ze strzelby, którą ukradła myśliwemu i którą potem odłożyła na miejsce. Wiem to od Örjana. Czy on też...?

Anna Maria pokręciła głową.

– Cały i zdrowy. Gada jak najęty. Zajął się nim Sven Erik. Jak myślisz, pomocnictwo w zabójstwie? Ukrywanie przestępcy?

– W każdym razie pomocnictwo w próbie zabójstwa, jeśli chodzi o Marcusa. I brutalne pobicie. Nie uniknie kary.

– Nie potrafię zrozumieć tej kobiety – przyznała Anna Maria. – Sprawiała wrażenie takiej... no, nie wiem... Takiego dobrego człowieka. A jak pięknie rozprawiała się z von Dupenem!

Rebeka milczała. Przypomniała sobie swoje rozmowy z Mają.

Dla niej nie byłam nawet człowiekiem, pomyślała. Wszyscy byliśmy tylko przeszkodą albo narzędziem. Trzeba nas było albo usunąć, albo użyć.

– Musiała być przeszczęśliwa, kiedy się dowiedziała o związku kuzynki z Jockem Häggrothem – odezwała się policjantka. – Wystarczyło pożyczyć od

niej telefon, spreparować wiadomość, że chce zerwać z kochankiem, i wysłać do siebie SMS-a. A na koniec wymazać go z komórki Sol Britt. Wiedziała, że dotrzemy do wszystkich SMS-ów, również tych skasowanych.

Zamilkły. Zadumały się. Myślały o Mai, która raz po raz dźga Sol Britt widłami, żeby upozorować czyn szaleńca. Która pisze na ścianie „KURWA”. Która w poszukiwaniu Marcusa otwiera wszystkie szafki. Która chowa widły pod stodołę Häggrotha.

– Chyba nie przyszło jej do głowy, że Jocke może zwać z drugiego piętra – powiedziała Anna Maria, wlewając w siebie resztę kawy.

O wiele lepsza niż ta z automatu w pracy, pomyślała.

– Teraz przewracamy do góry nogami dom jej mamy. Chłopaki pracują tam już od trzech godzin. W kompostowniku znaleźliśmy martwego psa w plastikowym worku.

– To pies Sol Britt i Marcusa.

– A kiedy chłopiec spał w budzie, włożyła do niej znicz – mówiła dalej policjantka. – Idealny nieszczęśliwy wypadek.

– Tak. Tylko że Maja nie miała pojęcia.

– O czym?

– Że już wcześniej przegrała. Kiedy Marcus przeżył Sol Britt, cały jej plan szlag trafił. Matka Mai nie dostałaby spadku po Sol Britt. Liczy się bowiem data śmierci, a nie data podziału majątku. Ciotka jest spadkobiercą trzeciego stopnia. Dziedziczy tylko wówczas, gdy w momencie zgonu spadkodawcy nie żyje żaden spadkobierca pierwszego lub drugiego stopnia. Marcus odziedziczył majątek babci w tej samej chwili, w której zmarła. Gdyby Maja go później zabiła, spadek automatycznie przypadłby jego matce, mieszkającej w Sztokholmie. Marcus musiałby umrzeć jednocześnie z Sol Britt albo przed nią, żeby spadkobierczynią została matka Mai. Maja przeoczyła ten szczegół.

A teraz nie żyje, pomyślała Rebeka. Więc nawet nie mogę jej tego powiedzieć. Co za wyrachowana i szalona kobieta...

– Ale dlaczego zabiła Verę? – spytała Anna Maria.

Rebeka nie odpowiedziała. Przewróciła się na bok i z mozołem usiadła na brzegu łóżka.

– Moje ubranie?

– Chcą cię tu zatrzymać na noc na obserwację – przypomniała Anna Maria.

Rebeka zerwała osłonkę przytrzymującą wenflon, wyciągnęła kaniulę i uwolniła się od kroplówki. Na niepewnych nogach podeszła do szafy.

– Niech idą w diabły! – odparowała.

– Smarkacz jest u Kristera – powiedziała Anna Maria. – Krister chciał zostać u Marcusa, ale pielęgniarki zmusiły go, żeby poszedł do domu. Obiecały zadzwonić, jak tylko chłopiec się obudzi.

Wkładając ubrania, Rebeka starała się nie patrzeć w lustro. Unikała też wzroku policjantki.

– Pozwól, że chociaż cię odwiozę – poprosiła Anna Maria.

Rebeka machnęła ręką w odmownym geście i zniknęła za drzwiami.

Anna Maria wyjęła telefon i zadzwoniła do Carla von Posta.

Raport z wydarzeń ostatnich godzin zajął jej pięć minut. Prokurator przez cały czas milczał. Komisarz Mella dwukrotnie przerwała opowieść, by się upewnić, że von Post jej słucha. Zapytała go, czy weźmie udział w jutrzejszej konferencji prasowej. Zaprzeczył. Obiecał, że będą w kontakcie, i zakończył rozmowę.

Anna Maria siedziała przez chwilę z telefonem w ręce.

Spodziewała się ze strony prokuratora wybuchu złości, choćby z tego powodu, że nie zadzwoniła do niego zdecydowanie wcześniej. Na przykład wtedy, gdy po SMS-ie Rebeki razem z Kristerem i Svenem Erikiem pojechała do Kurravaary.

Chyba wolałaby, żeby jej urządził awanturę.

No, bo co on teraz zrobi?, pomyślała. Zacznie torturować jakiegoś kota? Poprzypała się papierosem?

Zadzwoniła do Roberta. Poprosiła, żeby po nią przyjechał. Jej ford mógł zostać na szpitalnym parkingu. Nie szkodzi, że przysypie go śnieg. To zmartwienie na jutro.

Mąż Anny Marii czekał w samochodzie przed wejściem do pogotowia ratunkowego. Przy wejściu głównym czaiła się już grupa dziennikarzy.

– Kochanie ty moje! – powitał ją, kiedy wsiadła do środka.

Pozwoliła się wziąć w ramiona.

– Wiesz, czego bym chciała? – spytała.

Czuła na karku dłonie męża, w znajomy sposób tarmoszące ją u nasady

włosów.

– Pojechać do domu i zmajstrować jeszcze jednego dzieciaka?

– Zdziwisz się, ale wyjątkowo nie. Chciałabym mieć przyjaciółkę. I zamierzam sobie taką sprawić. Jeśli mi się uda.

Carl von Post nie torturował żadnego kota. Nie był też typem człowieka, który przypala się papierosem. Gdyby miał osobistego doradcę życiowego, prawdopodobnie usłyszałby od niego, że z całej tej historii mógłby się czegoś nauczyć.

Ale von Post stał z telefonem w dłoni i nie miał zamiaru z niczego wyciągać żadnej nauki.

To przecież nie może być prawda, pomyślał.

Poirytowany światłem latarni, wpadającym przez okna, poluzował sznurki żaluzji. Lamelle opadły z hukiem. Wziął dwa zolpidemy i przepłukał gardło trzema solidnymi porcjami whisky. Potem zasnął w ubraniu na sofie.

Krister Eriksson siedział przy stole kuchennym. Zbliżała się północ. Od lekarki w szpitalu dostał kilka tabletek nasennych, ale wolał ich nie zażywać. Obiecali mu, że zadzwonią, jak tylko Marcus się obudzi; chciał tam wtedy jak najszybciej pojechać.

Powtarzał sobie w duchu, że musi przejść do porządku dziennego nad tym, czego nie może zmienić.

Ale nie mógł przestać myśleć o Marcusie. W szpitalu siedział na skraju jego łóżka i trzymał go za rękę, aż chłopiec zasnął. Później lekarka zmusiła go do powrotu do domu. „Pan też musi odpocząć”, powiedziała.

Każdy napotkany człowiek jest tylko chwilowym darem, powtarzał sobie.

Ale to nie pomagało.

Spoglądał na ciemny ogród, gdzie jeszcze niedawno leżał z Marcusem w budzie i czytał mu *Małego Księcia*.

Kiedy jego mama dowie się o spadku, pomyślał, wsiądzie w pierwszy samolot i przyleci tu, żeby zabrać syna ze sobą. Powinienem się cieszyć. Cieszyć się każdą pozostałą nam minutą.

Rozmyślenia przerwało mu szczekanie psów. Zwierzęta podbiegły do drzwi.

Na progu stała Rebeka.

Jak ona wyglądała! Zapadnięte oczy w świetle latarni. Nos siny i spuchnięty.

Podobnie górna warga. Nad brwią parę szwów.

– Przyszłam po Smarkacza – powiedziała sztywno. Jej twarz walczyła z płaczem.

– O, Rebeka! Wejź, proszę.

Pokręciła głową.

– Nie. Chcę jak najszybciej wrócić do domu.

– Vera? – spytał. – Co się stało?

Ponownie pokręciła głową. Krister poczuł gdzieś w środku ból tak dojmujący, że nagle zapłakał.

– Zostawiała ślady – powiedziała Rebeka głosem, który w każdej chwili mógł się załamać. – Maja by nas znalazła.

Chociaż to on płakał, chciał ją wziąć w ramiona. Przytulić, pogrążoną w żalu.

Rebeka ciągle stała na zewnątrz w nikłym świetle lampy. Jej pierś unosiła się gwałtownie, jakby na skutek zadyszki.

– Marcus żyje – odezwał się w końcu. – Proszę, wejź na chwilę.

– To nie pomoże – szepnęła. – To nie pomoże, że on żyje.

Pochyliła się do przodu. Przycisnęła zaciśniętą pięść do mostka, jakby chcąc powstrzymać łkanie wzbierające pod żebrami. Oparła się o poręcz ganku. Żalony jęk wyrwał się z jej piersi. Rozpaczliwy płacz. Taki, jaki rozdziera człowieka, rzuca go na kolana.

– To nie pomoże! – łkała.

Po chwili podniosła wzrok.

– Przytul mnie. Muszę... Ktoś musi mnie przytulić.

Krister postąpił krok do przodu i wziął ją w ramiona. Ukołysał. Nie wypuszczał z objęć. Mamrotał z ustami w jej włosach.

– Dobrze, już dobrze. Wypłacz się.

Płakali oboje.

Psy wyszły na ganek, okrążyły stojących. Smarkacz wcisnął pysk między kolana swojej pani.

Rebeka podniosła twarz. Ustami odszukała usta Kristera. Ostrożnie, potłuczona i posiniaczona.

– Weź mnie do łóżka – powiedziała. – Przeleć mnie, żebym o tym wszystkim zapomniała.

Nie powinien. Powinien odmówić. Ale otoczony ramionami, jakże mógłby się jej wyrzec? Dłonie już błędziły pod płaszczem, pod bluzką. Wciągały ją do przedpokoju.

– Wlazły! – krzyknął do psów i jeszcze zdążył zamknąć za nimi drzwi.

A później chwycił Reбекę za ręce i szedł przed nią tyłem po schodach. Jej łzy kapały mu na dłonie. Wilczury ruszyły w orszaku niczym drużynie i družbowie.

Położył ją na łóżku. Nie chciał jej wypuścić z rąk. Nie mógł jej wypuścić. Dotykał jej. Muskał dłońmi skórę i niewielkie piersi. Rebeka wyswobodziła się z ubrań. Powiedziała mu, żeby się rozebrał. Nie protestował. Położył się na niej, wciąż myśląc o tym, że ona w każdej chwili może zażądać: stop!

Była taka miękka. Całował jej włosy, uszy i nieobolały kącik ust. Nie zażywał przecież dzisiaj snusu!

Nie powiedziała: stop. Wprowadziła go w siebie.

Jeszcze tylko przemknęło mu przez myśl, że to wszystko szlag trafi. Ale był już kompletnie stracony.

Później przyniósł szklanekę wody i jedną z pigułek, które dostał od lekarki.

– A co z Marcusem? – spytała, kiedy wrócił do sypialni. – Myślisz, że matka będzie go teraz chciała? Kiedy nagle stał się bogaty?

– Nie wiem – odparł i podał jej tabletkę. – Weź. To na sen.

– Z pewnością zapragnie tych pieniędzy – mówiła dalej Rebeka. – Przedtem nie chciała go znać. Ale teraz... Cholerne babsko! To jasne, że teraz będzie go chciała.

Ucichła, widząc smutne oczy Kristera.

– Byłeś gotów się nim zaopiekować? – spytała.

– Tak – odpowiedział cicho. – Odkąd go znalazłem. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Ale zajmowałem się nim przez kilka dni, a teraz...

Pokręcił ociężale głową.

Rebeka usiadła.

– Ubieraj się – powiedziała. – Zadzwoń do Björnfoto i Anny Marii.

Anna Maria Mella, Rebeka, Krister i Alf Björnfot spotkali się w mieszkaniu noclegowym prokuratora. Było wpół do drugiej w nocy.

Siedzieli w pokoiku, który łączył funkcję jadalni oraz salonu, i rozgrzewali się herbatą. Na oparciu niewielkiej kanapy wisały ubrania treningowe Björnfota. W łazience, na specjalnym stojaku do smarowania nart, czekały jego deski. Ktoś tutaj tęsknił za śniegiem, bez wątpienia.

– Jesteś szalona – powiedziała Anna Maria.

– Zostawiła go, kiedy miał rok – odparła Rebeka. – I nie chciała go widzieć na oczy, nawet w czasie wakacji. Chcę, żeby te akcje zniknęły.

Alf Björnfot otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

– Zdeponujemy je w skrytce bankowej – mówiła dalej Rebeka. – Marcus dostanie je dopiero wtedy, kiedy skończy osiemnaście lat. Obiecuję co jakiś czas sprawdzać, czy spółka nie planuje nowych emisji albo czegoś innego, co mogłoby pomniejszyć wartość tych papierów.

– Ale przecież Örjan wie, że te akcje istnieją – powiedziała Anna Maria, ziewając.

– Że istniały! Ale, ojej, Sol Britt musiała je wyrzucić! Sądząc, że nie mają żadnej wartości. Jeśli mama Marcusa chce się zaopiekować synem, to cudownie. Ale musi go chcieć bez pieniędzy.

– No, ale przecież nie chce – odrzekła Anna Maria.

– A ty naprawdę chcesz się nim zaopiekować? – zwróciła się do Kristera. – Uwierz mi, wychowywanie dzieciaka to ciężka praca. Tym bardziej że ten chłopiec sporo doświadczył.

– Tak, chcę – oświadczył Krister. – I guzik mnie obchodzi jego pieniądze. Jeżeli chodzi o mnie, możemy te akcje spalić.

– Nic nie będziemy palić – odezwał się Alf Björnfot. – Co tu jest do palenia? Nigdy nie widziałem żadnych akcji.

– Ja też nie – potwierdziła Anna Maria. – To możemy już iść spać?

– Tak – odparła Rebeka, unikając wzroku Kristera. – Chyba tak.

CZWARTEK, 27 PAŹDZIERNIKA

CARL VON POST obudził się z ukłuciem w piersi.

Do kurwy nędzy, pomyślał i wyciągnął rękę po telefon.

Alf Björnfot odebrał po pierwszym sygnale. Von Post spojrział na zegarek. Nic dziwnego, że szef jest na nogach. Minęła ósma.

– Jenny Häggroth – zaczął von Post bez wstępów. – Chyba nie siedzi ciągle w celi na komendzie?

– No... – odparł przeciągle Björnfot – jeśli ty, jako prowadzący postępowanie przygotowawcze, nie podjąłeś decyzji o jej wypuszczeniu, to raczej ciągle tam siedzi.

– Ale ja... – prokurator gorączkowo szukał sposobu wydostania się z potrzasku – wczoraj nie zostałem nawet poinformowany.

– Mhm... – mruknął Björnfot jeszcze bardziej przeciągle. – Przed chwilą rozmawiałem z Mellą, która twierdzi, że zdała ci raport wczoraj wieczorem. Ta rozmowa jest zarejestrowana w waszych komórkach, więc proponuję, żebyś uzupełnił luki w pamięci.

– Zaraz zadzwonię i wydam polecenie, żeby natychmiast ją zwolniono. W gruncie rzeczy nie stało się nic wielkiego. Jedynie przez noc...

– Z Silberskym w roli obrońcy? Nie licz na to. Jeżeli ustaną przyczyny, wskutek których zastosowano zatrzymanie lub areszt tymczasowy, zastosowany środek zapobiegawczy należy niezwłocznie uchylić. Niezwłocznie. Nie kilka godzin później. I zdecydowanie nie następnego ranka.

Von Post głośno jęknął. Adwokat z garbatym nosem zada mu bobu.

– Oskarżą mnie o przewinienie służbowe – wycedził przez zęby.

Zdarzało się, że sędziowie i prokuratorzy odpowiadali dyscyplinarnie za przewinienia służbowe. Na przykład gdy zapominali odliczyć pobyt w areszcie od ogólnego wymiaru kary więzienia lub jeśli pozbawiali kogoś wolności w inny nieuzasadniony sposób. Nie tracili pracy. Ale taka sprawa niewątpliwie obniżała ich prestiż. O takich historiach koledzy gadali za plecami człowieka całą wieczność.

– Rebeka Martinsson będzie siedziała na widowni i wcinała popcorn – mówił dalej.

– Nie sądzę – odparł jego szef, dodając w myśli: ale może ja będę wcinał.

REBEKA MARTINSSON obudziła się i spojrzała prosto w oczy Kristera. Jak długo leżał obok, czekając, aż ona się przebudzi? W nogach łóżka wylegiwały się porannie Tintin, Roy i Smarkacz.

– Hej, piękna – powiedział. – Jak się czujesz?

Poruszyła mięśniami twarzy. Sztywna i opuchnięta.

– Nawet nie próbuj – odparowała. – Nazywasz mnie piękną tylko dlatego, że znów chcesz się ze mną kochać. Psy w łóżku?

Westchnął.

– Wiem. To wasza wina, twoja i Marcusa.

Rebeka sięgnęła po płaszcz, leżący na podłodze, i wyjęła z kieszeni komórkę. Trzy wiadomości i pięć nieodebranych połączeń od Månsa.

Coś jest nie w porządku, pomyślała, jeśli człowiek nie ma ochoty zadzwonić do swojego chłopaka. Nie ma ochoty z nim rozmawiać. Czuje tylko presję. No, i może to nie do końca w porządku – kochać się z innym.

– Zerwę z nim – postanowiła. Pogłaskał ją po głowie.

Tak, pomyślał. Tak!

Głośno zaś powiedział:

– Nie podejmuj teraz żadnych ważnych decyzji.

– Okej.

– Ogranicz się do bagatelnych. Za chwilę jadę po Marcusa. Chcesz zjeść z nami śniadanie?

Uśmiechnęła się. Ostrożnie. Ciągle jeszcze zbyt mocno bolały ją twarz i serce. Pojedyncze, błahe decyzje.

– Tak – odpowiedziała. – Chcę zjeść z wami śniadanie.

PODZIĘKOWANIA

POTYKAŁAM SIĘ i przewracałam. Powieść się wyrywała i uciekała do lasu. Dziękuję Wam wszystkim, którzy pomogliście mi stanąć na nogi; doskonale wiecie, kogo mam na myśli. Przez jakiś czas przestałam wierzyć w jej powrót. Ale wróciła do mnie, kochana, przekłeta książka!

Hjalmar Lundbohm istniał w rzeczywistości. Ale cała jego historia z Eliną jest oczywiście wytworem mojej fantazji. Zmyślam i kłamię, to moja praca. Tłukę Rebekę po głowie i zabijam psy.

Tak wielu osobom chciałabym podziękować, a kilku z nich szczególnie. Mojej wydawczyni Evie Bonnier i redaktorce Rachel Åkerstedt za surową miłość. Wszystkim wspinałym ludziom w wydawnictwie Albert Bonniers i agencji Bonnier Group. Elisabeth Ohlson Wallin i Johnowi Eyre'owi za okładkę oryginalnego wydania.

Evie Hörnell Sköldstrand i Sarze Luthander Hallström za czytanie i doping. Malin Persson Giolito! „Czytaj z nożem w ręku”, powiedziałam. A ona wyciągnęła maczetę!

Dziękuję Wam, mamo i tato, za pomoc przy opisie tego wszystkiego, co stanowi moje korzenie, kulturę i ducha krainy mojej młodości.

Dziękuję również dyrektorowi Muzeum Regionu Norrbotten, Curtowi Perssonowi, który tak wspinałomyślnie podzielił się ze mną wiedzą o Hjalmarze Lundbohmie i o Kirunie w pierwszych dekadach dwudziestego wieku. Kjellowi Törmä, który pozwolił mi wykorzystać swoją historię kończenia z nałogiem i opowiedział, jak suszył mokry snus w kuchence mikrofalowej. Cecilii Bergman, do której dzwonię w sprawach związanych z prokuraturą, sądownictwem i przepisami prawnymi. Profesor Marii Allen z uppsalskiego Laboratorium Rudbecka, która opowiada o kościach i krwi w tak ciekawy sposób, że aż chciałoby się zmienić pracę. Ordynatorowi Peterowi Löwenhielmowi, który służył mi pomocą przy opisach obrażeń ciał moich zmarłych bohaterów. Nicklasowi Högströmowi, który zdradził mi tajemnice starych akcji. Jörgenowi Wallmarkowi, który oprowadził mnie po warsztacie przy Hotelu Lodowym w Jukkasjärvi.

Wszystkie błędy powstały z mojej winy. Zapomniałam zapytać, opacznie zrozumiałam albo wymyśliłam coś, co lepiej pasowało do opowieści.

Stello i Leo, książka jest w końcu gotowa! Wiem, że tęskniliście za tym dniem.

Ola, mój lisie polarny: z miłością, dzięki!

A Tobie, która/który jesteś ciekawa/-y, co znaczy *hänen ej ole ko pistää*

takaisinja nussia uuesti, przetłumaczę to mniej więcej tak: trzeba go włożyć z powrotem i przepierdolić jeszcze raz. Czyli: jest tak beznadziejny, że cały nadaje się do przerobienia. Moja babcia potrafiła wyrzucać z siebie takie powiedzonka. Fakt, że była głęboko wierzącą laestadianką, nie stanowił przeszkody; język w dolinie rzeki Torne był odrobinę pieprzniejszy.

OD TŁUMACZKI

W tekście zostały wykorzystane nie oznaczone cytaty z Ellen Key, *Stulecie dziecka*, przeł. Iza Moszczeńska, Warszawa 2005, oraz z Biblii Gdańskiej i Biblii Tysiąclecia.

Notatki

[← 1]

Snus – popularna w Szwecji używka na bazie tytoniu (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[← 2]

Länsstyrelsen – szwedzki odpowiednik urzędu wojewódzkiego.

[← 3]

Ellen Key (1849-1926) – szwedzka pisarka, działaczka feministyczna i pedagogka.

[← 4]

Chodzi o *färdtjänst* (szw. usługa podróżna) – finansowany przez gminę specjalistyczny transport dla osób niepełnosprawnych, które nie mogą korzystać z komunikacji zbiorowej.

[← 5]

”Norrländska Socialdemokraten” („Norlandzki Socjaldemokrata”) – największa lokalna gazeta codzienna w prowincji Norrbotten.

[← 6]

Länspolismästaren – odpowiednik komendanta wojewódzkiego policji w danym regionie terytorialnym (*län*).

[← 7]

Midsommar – święto przesilenia letniego, najważniejsze po Bożym Narodzeniu doroczne święto w Szwecji. Głównym punktem obchodów jest taniec wokół *midsommarstång*, słupa ozdobionego gałązkami brzozy i kwiatami. To czas spotkań towarzyskich i rodzinnych oraz hucznego biesiadowania na świeżym powietrzu.

[← 8]

Kaffeost – ser z młodziwa krowiego lub reniferowego, zazwyczaj pieczony i podawany zamiast ciasta albo – pokrojony w kawałeczki – w kawie. Tradycyjny deser z północnej Finlandii, popularny również po szwedzkiej stronie rzeki Torne.

[← 9]

Pennskaftet (dosł. obsadka pióra) – bestsellerowa powieść z 1910 roku autorstwa Elin Wägner, szwedzkiej pisarki feministycznej, żyjącej w latach 1882-1949.

[← 10]

Statens Kriminaltekniska Laboratorium – Państwowe Laboratorium Kryminalistyczne

[← 11]

Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Książę*, przeł. Jan Szwykowski.

[← 12]

Podczas tradycyjnego szwedzkiego przyjęcia rakowego wymagane są odpowiednie akcesoria, między innymi kolorowe kapelusiki, które trzymają się na głowie za pomocą gumki pod brodą.

[← 13]

Ziemniak migdałowy – ekskluzywna odmiana ziemniaka przypominającego kształtem migdał. Uprawiana głównie na północy Szwecji, stanowi nieodzowny dodatek do kiszzonego śledzia.

[← 14]

Ackja – rodzaj lapońskich sań w kształcie łodzi.

[← 15]

Cielęcy taniec (*kalvdans*) – norlandzki deser przyrządzany na bazie młodziwa.

[← 16]

Witra (szw. *vittra*) – niewidzialna postać z norlandzkich wierzeń ludowych, najczęściej występująca jako piękna, młoda dziewczyna.

[← 17]

Palt – sine kluski przyrządzone z mąki i surowych, utartych ziemniaków; najczęściej z mięsnym nadzieniem. Tradycyjna norlandzka potrawa, występująca w wielu odmianach.

[← 18]

Fińskie przekleństwo.

[← 19]

Luossavaara-Kiimnavaara Aktiebolag – szwedzki koncern państwowy zajmujący się wydobyciem i przetwórstwem rud żelaza.

[← 20]

August Strindberg, *Panna Julie*, przeł. Mariusz Kalinowski.

[← 21]

Puhutko suomea (fin.) – mówisz po fińsku?

[← 22]

Fińskie przekleństwo.